Rok XXVI.

Ogólnego zbioru Tom CI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.

1901.

DRUK. i LIT. JANA COTTY.
7. Kapucyńska 7.

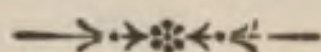
SPIS RZECZY.

str.

Zeszyt zawiera arkuszy 15.

Druk ukończono d. 18 lutego 1901 r.

Z CYKLU „PASTELE”.



MSZA MAJOWA,

OBRAZEK W 1-ej ODSŁONIE WIERSZEM.



OSOBY:

Magali, zamożna wdowa
Rose, jej córka
Kuma Renaude, Kuma Madeleine, Kuma Marthe — starsze wieśniaczki
Agathe, Claudine, Vivette, Naïs, Mireio, Agnès — młode wieśniaczki
Mitifio, śpiewak uliczny.

Ojciec Tim, „ Jacques, „ Aubin, „ Arnaud — starzy wieśniacy
Balthazar, Frédéri, Francet — młodzi wieśniacy
Marc
Arlatan
I Żebrak
II Żebrak
Żebraczka

Wieśniacy, wieśniaczki, dzieci.

Rzecz dzieje się w wiosce prowanckiej.

(Maj — błękitne niebo — dużo słońca — kwitną róże. Wioska prowancka. — Na pierwszym planie, z lewej, chata Magali—z ogródkiem i żywopłotem z róż—u okien powoje — na drugim, z prawej, chata Frederi — w głębi kościołek).

(Sygnaturka, tłumy śpieszą do kościoła — dziewczęta niosą pęki róż — mężczyźni mają bukiety przy bokach i na kapeluszach).

(**Francet** — **Balthazar** wychodzą z trzeciego planu, kierując się ku chacie Frederi).

Balthazar (bijąc pięścią w drzwi). Hej! hej! Frédéri!
Francet (podobnież). Frédéri!
Balthazar (nadsłuchując). Masz tobie!
Ręczę, śpi jeszcze.
Francet (nasłuchując). Cicho, jakby w grobie!...
Balthazar i Francet (razem waląc do drzwi). Frédéri! trutniu!
Fréderi (z głębi). Kto tam?!
Balthazar.— Wiosny gońce!
Fréderi (wychylając głowę przez okienko we drzwiach).
Francet! Balthazar!
Francet. Nie wstyd ci! — już słońce
Ze trzy godziny, jak wstało — już dzwonek
Z wieży kościelnej dzwoni, jak skowronek,
Wzywając wiernych — a ty śpisz?...
Balthazar (kończąc). Ladaco!...
Fréderi. Wnijdźcież na chwilę...
Balthazar. Do chaty! — a na co?...
Maj jest na dworze, a on...
Francet (ciągnąc go). Chodź...
Balthazar (ociągając się). Napróżno
Tracim czas tylko...

(wchodzą do chaty).

Żebrak I (płaczliwym głosem). Jałmużną, jałmużną
Wesprzyjcie biednych!...

Żebrak II. Ślepcowi!
Żebraczka. Litości!
Dziś święto maju!
Marc (rzucając jałmużnę). ...I święto miłości!...
Ojciec Jacques (do Aubin'a). Witajcie, kumie! (ściskają się za ręce).
Żebrak I (do przechodzących). Biednemu kalece!
Żebraczka (odbierając jałmużnę).
Niech cię Maryja ma w swojej opiece!...
Arlatan (dając jałmużnę II Żebrakowi).
Módl się, niech dziewka nie będzie mi krzywa,
Imię jej —Zïa!...
Żebrak II (wznosząc ręce). O, wszechmiłościwa
Królowo wiosny, Maryjo!...

(**Arlatan,** który przykląkł na progu kościoła i przeżegnał się — wchodzi—żebrak urywa).

Ojciec Arnaud (do Aubin'a). Cóż, kumie!
Maj! maj! aż miło!
Ojciec Aubin. A to się rozumie!
— Szczęść że nam Boże!...

(ściskają się).

Arnaud (wzruszony). Daj, Boże! daj, Boże!
Drugiego maju nie dożyjem może.
Żebraczka. Choć grosik biednym!
Agathe (do Claudine i Naïs). Wiecie, u mnie róże
Rozkwitły wszystkie.
Claudine. U mnie też...
Agathe. Tak duże,
Jak pięść — a pachną!...
Naïs. U mnie — tę, co wiecie,
Płonkę zeschniętą dziś okryło kwiecie,
Sześć białych pąków!...
Agathe. Sześć pąków! —to dużo... (wchodzą do kościoła).
Frédéri (który z Francetem i Balthazarem wmieszał się w tłum dziewcząt, do Vivetty). Dokąd te róże niesiesz, piękna różo?!
Vivette. Alboż to nie wiesz? — Wszak dziś z każdej chaty
Dziewczęta niosą do kościoła kwiaty,
By stroić ołtarz...

Fréderi. I to... najpiękniejsze!
Vivette (filuternie). Kwiaty?
Fréderi. Dziewczęta! (wchodzą do kościoła).
Balthazar (do Mireio). ... Z dwojga złego mniejsze
Wybrać już wolę...
Mireio. Uciec?
Balthazar. Nie! — pozostać!
Mireio (patrząc mu w oczy). Choćby za cenę?...
Balthazar. Choćby!...
Francet (do Agnès). ... Trudno sprostać
W wymowie tobie — jesteś nadto ciętą!...

(wchodzi z tłumem do kościoła — organy zaczynają grać).

Żebrak I (żegnając się) „Zdrowaś Maryjo — łaskiś...

(z prawej wychodzą **Renaude**—**Madeleine**—**Marthe**— ta ostatnia brzydka, stara i przesadnie wystrojona).

Madeleine. Mszę zaczęto! (do Marthe oburzona). Mówiłam!
Renaude (j. w.). Właśnie!...
Madeleine. Ale cóż! — tu trzeba
Wstążkę poprawić — czepek źle przypięty.
... Jeszcze w lusterko... — Cierpliwości świętej
Zabraknie z wami!...
Marthe (podnosząc oczy ku niebu,—słodko). Litościwe nieba!
Czegóż wy chcecie?...
Renaude (wzruszając ramionami, zła). Ona jeszcze pyta!
Madeleine (do Marthe). No, w waszym wieku...
Marthe (doskakując). Co w wieku?!
Madeleine. ... Kobiéta
Stara...
Marthe (zaperzona). Ja stara?!
Madeleine (z grymasem). Może nie!?
Marthe (dławiąc się z oburzenia). Ja!
Madeleine. Właśnie!
Marthe (doskakując z pięściami). Żmijo! jaszczurko! a niech cię [najjaśnie...!
Renaude (wchodząc między nich, surowo). Mszę już zaczęto!

Marthe (żegnając się i składając ręce). Przebaczże mi, Boże...
(grożąc Madeleine). Poczekaj, po mszy!..
Madeleine (czupurnie). Co?! zlęknę się może!?

(Marthe odchodzi zirytowana do kościoła, **Madeleine i Renaude** kierują się ku drzwiom chaty Magali).

Żebrak I (modląc się). Święta Maryjo — matko Boża...
Madeleine (patrząc na odchodzącą Marthe—d. s.). Jędza!...
Renaude (pukając do drzwi). Kumo Magali!
Magali (z głębi). Renaude!
Renaude. Cóż to, księdza,
Waszego brata, słuchać nie pójdziecie?
Ma dzisiaj kazać...
Magali (z głębi wesoło). Toć wiem!
Renaude (wesoło). Wiem — że wiecie!
Madeleine. Przyszłyśmy po was...
Magali (j. w.). Dziękuję!
Renaude. Jak zdrowie
Rose złotowłosej?
Magali (j. w. wesoło). Niech sama odpowie.
Rose (z głębi wesoło). Znacznie mi lepiej, matko Renaude, [dzięki!
Dziś nawet wyjdę...
Renaude (wznosząc oczy). Wszechmocnego ręki
Znak w tem widoczny...
Madeleine. Idziem?!...
Magali (z głębi). Tylko kosy
Splotę dziewczynie...

(wychodzi z Rose do ogrodu — Madeleine i Renaude rozmawiają po cichu)

Magali (dotykając kwiatów). Jeszcze słońce rosy
Nie spiło z kwiatów.
Rose. E! — to nic, matuchno!
— Nic mi nie będzie...
Madeleine (podnosząc głos). Żeby takie próchno!

— Nie mogę strawić!... – to ziółko! — czy wiecie...

(nachyla się i szepcze do ucha).

Rose. Mamuś!—jak pięknie jest dzisiaj na świecie.
Magali. Pięknie, córuchno!
Rose. Jak wonnie dokoła!
Jaki Bóg dobry!
Magali (wzruszona). Tak, Rose!
Rose (prosząc). Do kościoła
Weźmiesz mnie z sobą?..
Magali. Nie, dziecko — niezdrowe
Tam jest powietrze...
Renaude. Eh! czyżby?!
Madeleine. Dam głowę!
Magali (do Rose, która posmutniała).
No, no, maleńka! — Tam ludzi zbyt wiele,
Zresztą Bóg wszędzie — nie tylko w kościele!
Ja zaraz wrócę! (całuję ją w czoło i odchodzi).
Madeleine (do Renaude). Na taką ohydę
Mógłby kto spojrzeć!... (wzrusza ramionami).
Renaude. Magali!
Magali (wychodząc). Już idę...
(Rozmawiając szybko, kierują się ku kościołowi).

(Zaczynają grać organy. — Rose, wsparta o framugę drzwi stoi, wdychając w siebie wiosnę).

Żebraczka. Kyrie elejson.
Żebrak I. Chryste elejson!
Żebraczka. Kyrie elejson!
Żebrak i żebraczka (razem).
Chryste, usłysz nas!— Chryste, wysłuchaj nas!

Żebrak I.

Ojcze z nieba, Boże! zmiłuj się nad nami!

Żebraczka.

Synu, Odkupicielu świata, Boże! — zmiłuj się nad nami.

Żebrak I.

Duchu Swięty, Boże! — zmiłuj się nad nami!

Żebraczka.

Święta Trójco — jedyny Boże — zmiłuj się nad nami!
Żebrak I. Święta Maryo!
Żebraczka. Módl się za nami!
Żebrak I. Święta Boża Rodzicielko!
Żebraczka. Módl się za nami!
Żebrak I. Matko Chrystusowa!
Żebraczka. Módl się za nami!
Żebrak I. Matko niepokalana!
Żebraczka. Módl się... (stopniowo zniżając głos i pochylając głowy, przechodzą w szept).

(Słońce potokami blasków zalewa ogródek, przesiewa się przez róże i złotą mgłą osnuwa Rose).

Rose (składając ręce). . . . Dobry Boże!
Ty, któryś sprawił — że dzisiaj na dworze
Tak bardzo jasno — Ty, coś w barwne szaty
Przystroił drzewa i pachnące kwiaty,
Bądź pochwalony! — Święć się imię Twoje,
O, dobry Boże! — na niebie i ziemi
I po wsze czasy! —O, patrz! i powoje,
Wątłe powoje kielichy drżącemi
Do Ciebie w górę— pną się, dobry Boże!
I każda róża ku Tobie wystrzela
Dziękczynnym kwiatem! — dla Cię pachną ziela,
Tobie się słońcem uśmiecha przestworze
I drugie słońce — na stoku w parowie,
Złota dziewanna rozkwita dla Ciebie,
— Nawet te chmurki, co płyną po niebie,
Do Ciebie płyną! — Za to, żeś mi zdrowie
Wrócił i siły i w dzień tak radosny,
W tak wielkie święto upragnionej wiosny,
— Bądź pochwalony!...

(z oddali słychać wesoły śpiew **Mitifia**).

Mitifio (z oddali śpiew). Maj! Maj! Maj! Maj!
Maj! Maj! Maj! Maj!
— Świeci słonko na lazurze,
Ah! jak świeci!
I rozkwitły wszystkie róże
Mnóstwem kwieci!...
Maj! Maj! Maj! Maj!
Maj! Maj! Maj! Maj!

(Rose słucha z przymkniętemi oczami).

Mitifio (śpiew). Z za okienka dziewczę hoże
Mówi „kocham ciebie!"
Tyś mi jest, jak jasne zorze,
Jak słonko na niebie!
— Jak lilii kwiat
Wśród cienia chat.
Ja bez ciebie, o mój miły —
Więdnę, więdnę, — tracę siły,
Boś ty jest mój świat!
Boś ty jest, kochanku miły,
Mój calutki świat! (wchodzi).
Maj! Maj! Maj! Maj!
Maj! Maj! Maj! Maj!

Tim (który spóźniony szybko dąży do kościoła, z oburzeniem).

A to co znów znaczy,
Młokosie jeden! — Śpiewasz?!
Mitifio (wesoło). Nie inaczej
Śpiewam — bom wesół! (drwiąco). Lecz, jeżeli może
Wam się „ta" piosnka nie podoba — proszę
Mówić otwarcie!—Wnet „drugą" z strun spłoszę!
— Jak ptak, w ślad tamtej wzbije się w przestworze,
Aż ją dogoni — pod niebieskim szlakiem!...
— Może nie wiecie — że piosnka jest ptakiem?...
Tim (wściekły). Nie wiem!

Mitifio (z udanem zdziwieniam).

Zaiste?! — Słuchajcie! — Raz wiosną
Gdzieś ktoś zanucił piosenkę miłosną!
Ot! — taką sobie piosenkę! — Wnet gaje,
Szumiące zdroje — szemrzące ruczaje,
Łąki i pola — kwiaty, trawy, zioła
Echem tej piosnki rozbrzmiały dokoła!
I w ranka wiosny zadumie uroczej
Szeptały usta — śpiewały ją oczy!
— Wtem wiatr swawolny upowitą w wonie
Zaniósł do Boga — tam przy Jego tronie
Trwożna i drżąca — czekała wyroku.
— I rzekł Pan Niebios z łzą w Przeczystem oku:
„Wracaj na ziemię! — Leć, ptaszyno mała,
Leć, szczęście ludzkie. — Gdzie pod jaką strzechą
Uwijesz gniazdo — tam będziesz pociechą
W ciężkich dniach życia!" I ...skrzydeł dostała!
— Rozumiesz teraz?...

Tim. Lecz tam msza!

Mitifio. Oh! kumie!
Każdy się modli Maryi, jak umie,
Ja umiem śpiewać!

Tim (grożąc). Skarzą ciebie nieba!

Mitifio (wesoło). Im to pozostaw! — Tam rad twych nie trzeba!

Tim (oburzony). Szalony pustak!

Mitifio. Masz racyę! Szalony!
Szalony wiosną, co na wszystkie strony
Przehojne dary szczodrą sypie dłonią,
Szalony majem! i słońcem! i wonią!
Moją młodością i... moją beztroską!...
(wesoło) — Jak blask słoneczny, kiedy idę wioską,
Śmieją się do mnie cudnych ust szkarłatem
Wszystkie dziewczęta! — (lekceważąco)
Ty się nie znasz na tem!

(Tim, wzruszając ramionami, idzie ku kościołowi).

Mitifio (śpiewa). Maj! Maj! Maj! Maj!
Maj! Maj! Maj! Maj!

(kieruje się ku chacie Magali i spostrzega Rose).

(d. s.). Christi! — Do licha! — Ot wiosenne dziwo!
— Los niespodziankę sprawił mi prawdziwą,
Wiodąc me kroki w tę, nie inną stronę!
To blade dziewczę, dziwnie zamyślone,
Z tym półuśmiechem na dziecięcej twarzy!...
— Na honor! — ładna! — O czem ona marzy?! (głośno).
(głośno) Słuchaj, dziewczyno!

(Rose, drgnąwszy, patrzy na niego rozszerzonemi źrenicami).

— Daj mi kubek wody,
Idę zdaleka — spragnione ochłody
Są usta moje!... — Wszakże tu w zwyczaju
Prosić...

Rose. Tyś śpiewał piosenkę o maju?

Mitifio. Ja! — a... dlaczego?

Rose. Ładna!

Mitifio. Tyś ładniejsza!

Rose (zmieszana). Chcieliście wody!

Mitifio. Mniejsza o nią! — Mniejsza!
Później — pozostań!

Rose. Może jabłecznika?

Mitifio. Trucizny choćby!

(Rose szybko podąża do chaty).

(patrząc za nią). Zaledwie dotyka
Nóżkami ziemi! — U okien powoje,
Pełno róż wszędzie i.. maj! — Na szatana!
Życie jest piękne!

(Rose ukazuje się we drzwiach, — idzie powoli).

(do Rose). A ona — świetlana!
— Czemu tak wolno?

Rose. Bo rozlać się boję.
Proszę...

Mitifio (biorąc, długo patrzy w jej oczy). Dziękuję!...

(Rose płoni się i spuszcza oczy).

(podnosząc kubek) — Nie znam zawartości.
Lecz, czy jad mieści — czy wodę, czy wino,
Ponieważ tyś mi podała, dziewczyno,
Piję tem zdrowie życia i miłości,
Wiosny i... twoje!... (pije).

Rose. Niech służy na zdrowie!
Mitifio. Wino! i przednie! — Słuchajcie, bogowie
Prastarych Franków! — Jest tu kropla jeszcze!
Jeśli was po niej nie przenikną dreszcze,
Nie jestem sobą!

(wytrząsa i oddaje kubek).

Dziękuję — urocza.
Rose (z wyrzutem). Przestańcie — proszę!

Mitifio. Więc nie! — promienista!
Rose. Mam odejść! — chcecie?...

Mitifio. Lecz to prawda czysta.
— Wszak światłość bije od twego warkocza,
Jakby trzy pasma słonecznych promieni
Ktoś splótł misternie. — Z pod rzęs twoich cieni
Błyszczą ogniki — tak, jak ważki modrej
Skrzydełka w słońcu. — Bóg był dla cię szczodry,
— Mojaż w tem wina!!? — Winienem, żeś cała —
Jak lilia biała lub jak róża biała,
Kiedy się słońcu wschodzącemu płoni?
— Winienem temu, że wzrok mój cię goni
I że za tobą biegną moje oczy
Od nóżek drobnych do złotych warkoczy,
I że brwi twoje, które ściąga chmurka,
Są takie czarne, jak jaskółcze piórka?
— Winienem? Powiedz!
Rose (podnosząc nań oczy). Poco mówić o tem!

Mitifio. Poco maj kwitnie różami i złotem!
Rose (z rozmarzeniem). Maj!

Mitifio. Maj, dziecię!

Rose. Czekany tak długo,
Gdy jesień chmurna z wichrem i szarugą
Deszczem w me szyby dzwoniła żałośnie...

Mitifio (z zachwytem). Maj! maj! różany....

Rose. ... Marzenia o wiośnie!

Mitifio. Maj! maj słoneczny!...

Rose. Różami spłoniony!...

Mitifio. Maj! maj promienny!...

Rose. Maj! Maj! upragniony!

Razem. O złoty maju! — świetlany gońcu!
— Co mnóstwem kwiecia śmiejesz się słońcu,
Który w księżyca blade oblicze
Ślesz cichą nocą piosnki słowicze
I opalowe rosnuwasz rosy,
By dalej biegły srebrzyste głosy...

Mitifio. O wonny maju! — Ty „duszo" wiosny!
Natchniony twórco piosnki miłosnej, —
Boski łuczniku — co złote strzały
Rozrzucasz wokrąg po ziemi całej...
Rose. Błękitny maju! — Maju mój złoty,
Miesiącu wonnej, świetlnej pieszczoty
Motylich zabaw — dziecięcych rojeń,
Słodkich zachwytów, niemych upojeń...

Razem. O, lazurowy! wonny i czysty
W swojej przejrzystej szacie złocistej.
— Ty, królewiczu z baśni piastunek,
Co ziemi dajesz swój pocałunek
I budzisz ze snu śpiącą królewnę!...
Ty, co kapele prowadzisz śpiewne,
Wieczyście młody i uśmiechniony;
O złoty maju — bądź pozdrowiony!...

(duża pauza — grają organy i słychać szczebiot ptaków).

Mitifio (po pauzie, przecierając ręką czoło,—szeptem)

Zanadto pachną twe róże, dziewczyno.
— Aż upajają!

Rose (z uśmiechem). Słoneczną godziną

Przyszedłeś tutaj...

Mitifio. Tak! i w pełnym blasku!
Odkąd ujrzałem twą chatę w róż brzasku
I ciebie — słuchaj! — Zda się, w duszy mojej
Mam cząstkę tego słońca, co tam stoi
W górze nad nami...

Rose. I mnie w duszy jasno!...

Mitifio. I sercu w piersiach stało się za ciasno!
Rwie się ku słońcu! — śmieje się ku wiośnie,
Aż nie wyskoczy oniemal...

Rose. Radośnie

Dzień się dziś zaczął. — Od samego rana
Smuga się do mnie zakradła świetlana
Przez okiennice, w desenie krajane,
Złote serduszka kładąc mi na ścianę, —
Potem, gdym okno otwarła — z szczebiotem
Ptaków — róż wonią — błękitem i złotem
Maj do pokoju wtargnął uśmiechnięty,
Mówiąc: „dzień dobry" — złocąc wszystkie sprzęty...

Potem!.. (spogląda na Mitifia i urywa).

... Szczęśliwam, aż się tego boję...

Mitifio. Czemu?

Rose. ... Ja nie wiem...

Mitifio. Próżne niepokoje,
Wierz mi, kochana... — I cóż się stać może,
Gdy słońce świeci i wiosna na dworze!
— Płonne obawy twe... — Jak imię twoje?

Rose. Rose...

Mitifio. A więc róża! — tak! i róża biała!
— Patrz, tu się jedna tylko zabłąkała
Twoja siostrzyczka...

(nachylają się tak, że włosy Rose dotykają twarzy Mitifia).

Spójrz, jak śnieżne płatki
Obrzeża słońce... — Widzisz — promieniują!
— Ponieważ „białe" — bardziej słońce czują,
Niż wszystkie inne. — Ich aksamit gładki

Wprost pije blaski i chwyta je siłą.

(ujmuje rękę Rose, — która usiłuje ją cofnąć).

(prosząc) Nie cofaj ręki! — Czy ci to nie miło?

Rose. Nie!... tylko... dziwnie!...

Mitifio (pieszcząc jej rękę). Maleńka i miękka!...
— Zimna (dotyka ustami).

Rose (szeptem). Zaprzestań!

Mitifio. Czy wiesz? twoja ręka
Jest aksamitna bardziej — bardziej biała,
— Chociaż i tamtym różom coś zabrała...
Dłoń, paznokietki... (całuje)

Rose. ...Skąd idziesz?

Mitifio. Zdaleka!
— Gdzie modre morze od brzegu ucieka,
By znów doń wrócić. — Ot tak, jak dziewczyna
Zalotna robi... — Gdzie w błękitnej dali
Senne się słońce przeciąga po fali,
Gdy krótkiej nocy przedzwoni godzina,
Gdzie białe mewy — jak powietrzne duchy,
Lecą ku zorzy — złote roniąc puchy,
I gdzie wał morski — wiatrem całowany,
Na złote piaski — złote rzuca piany...

Rose. I porzuciłeś?...

Mitifio. Tak! — Szukając dalej,
Czy się gdzie słońce promienniej nie pali.

(biorąc ją za rękę i lekko przyciągając do siebie).

I — czy dasz wiarę? — teraz mi się zdaje,
Że tamte kraje to są obce kraje,
Że tutaj jaśniej — że lżej pierś oddycha,
Kwiaty wonniejsze — cisza bardziej cicha,
Że błękit nieba ma soczystsze tony,
Że tu mi „swojo" — żem tu urodzony

W tej właśnie wiosce — w przedziwnym sposobie!

(nachylając się ku niej).

A wiesz, dlaczego?!...

Rose (szeptem). Dlaczego?...

Mitifio. Przy tobie!...
O! bo ty nie wiesz, ile głębokiego
Masz w sobie czaru!— Róża, co rozchyla
Płatki, by przyjąć całunek motyla,
Też o tem nie wie! — a przecież dla niego
To cała istność! — Tylko przez tę chwilę
Żyje — bo tyle trwa życie motyle!
— Ty nie wiesz o tem, żeś jest blaskiem, wonią,
Wiosną, uśmiechem — życiem, jeśli życie
Można w kształt ująć! — O tobie w błękicie
Do furty niebios echa słońcem dzwonią!...
— Rose, kocham ciebie! — Kocham!... kocham!...

Rose (szeptem do s.). Boże!...

Mitifio. ...Kocham nad wiosnę — i nad jasne zorze,
Nad blask i pieśni! — Boś ty pieśnią pieśni,
Kiedy się cudem we kształt ucieleśni!
...Kocham cię! ..

Rose (zaledwie dosłyszanym szeptem). ...Kocham!...

Mitifio. ...Kocham do utraty
Zmysłów! — Ty sobą przesłaniasz mi światy!...

Rose (j. w.). ...Kocham!...

Mitifio. ...Nad życie! Nad duszy zbawienie!...

Rose. Kocham cię...

Mitifio. ..Kocham!

Rose. ...Mój!... mój!...

Mitifio. Te promienie,

Które od ciebie idą — omotały
Duszę mą — spojrzyj, jam promienny cały!...

Rose. Mój!... mój!...

Mitifio (z upojeniem). ...Słoneczna!—Wiośniana!—Jedyna!...
Miłości cudna zbliża się godzina!...
— Słyszysz ją — słyszysz?! — Przez słońcę i ciszę,
Słyszysz, jak szepce? — Czy słyszysz?!...

Rose (szeptem). Tak! — słyszę!...

Metifio (z wybuchem). Niech żyje życie!

Rose (podnosząc oczy cicho). ...I niech się maj... święci!...

Mitifio (gorąco — chwytając obie jej ręce).
Pijmy czar chwili — aż do niepamięci!
Aż złota czara do dna będzie pusta!...

Rose. ...Ja nie rozumiem....

Mitifio (przyciągając ją). Daj mi swoje usta!

Rose (walcząc z sobą). Nie!--nie!—ja nie chcę!

Mitifio (szeptem). Daj! (długi pocałunek).
(po pauzie). Teraz bądź zdrowa!
Niech pamięć o mnie twe serce zachowa...

Rose (szeptem). Odchodzisz?... teraz!...

Mitifio. Muszę! — czas mi w drogę,
Bawiłem długo i dłużej nie mogę!
— Żegnaj, świetlana!!

Rose. Powrócisz?...

Mitifio. Być może!
Kiedy maj znowu rozjaśni przestworze.
...Zakwitną róże...

Rose (bezdźwięcznie). Tak!...

Mitifio (przesyłając jej ręką pocałunek). Więc do widzenia!
Ty, siostro wiosny, róży i promienia!

(odchodzi, śpiewając).

Maj! Maj! Maj! Maj!
Maj! Maj! Maj! Maj!

(Tłumy wychodzą z kościoła. — Rose stoi z bezwładnie opuszczonemi rękoma i zgasłym wzrokiem).

Jacques (do Aubina). Czekajcie, kumie.
Arnaude (do Jacques). Cóż żona?...
Jacques (machając ręką). At, żona.
Frédéri (do Francet'a i Balthazara).
Mówiłem, Agnès śpiewała na chórze.
Rose (patrząc smutnie przed siebie).
Słońce nie świeci i nie pachną róże.
(do Magali, która nadeszła).
— Dlaczego matuś?!
Tim (który nadszedł). Majowa msza skończona.

M. Tatarkiewicz.



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ *).

V.

Nie zrozumiemy nigdy obecnego stanu wsi rosyjskiej, jeśli nie weźmiemy pod uwagę niektórych szczegółów, dotyczących sposobu oznaczenia wielkości oddanych włościanom gruntów i wysokości wykupu, ustanowionych w 1861 r.

Kwestya ilości gruntu, w zasadzie pozostawiona jakoby dobrowolnej umowie między właścicielem a włościaninem, była w gruncie rzeczy unormowana określeniem minimum i maximum ziemi, przy których rząd interweniował w sprawie wykupu udzieleniem kredytu: wypłatą sum wykupowych; przyczem, rzecz zupełnie naturalna, od samego początku obywatele gubernii czarnoziemnych starali się usilnie, aby włościanom oddać jak najmniej ziemi, — obywatele zaś gub. nieczarnoziemnych o to, aby się przy tej sposobności jak najwięcej ziemi pozbyć i jak największą sumę wykupową otrzymać. W strefie nie czarnoziemnej przeważała opinia, wypowiedziana przez Karnowicza Haxthausenowi, że gospodarstwo folwarczne bez pracy pańszczyźnianej dochodu dać nie może. Na południu życzeniem

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń—marzec, lipiec—sierpień, październik — grudzień, 1900 r.

obywateli było zmniejszyć nadziały, posiadane przez włościan, i dać im nie więcej, jak 1-ą lub 1½ dziesięciny na duszę rewizyjną. Te ostatnie tendencye wzrosły z chwilą, gdy po śmierci Rostowcewa prezydyum w Komisyi Redakcyjnej objął hr. Pahlen. Ostatecznie podzielono Rosyę na 7 stref z maximum 3¼ do 8 dziesięcin na duszę rewizyjną; minimum oznaczono na ⅓ tejże ilości (t. j. 1 1/12 do 2,70) i dodano § 123, paragraf t. zw. Gagarinski, pozwalający oddać darmo włościanom ¼ maksymalnego nadziału. Przytem ustanowiono, że z każdego maksymalnego nadziału należy się właścicielowi—stosownie do strefy: 9 do 10 rubli (w okolicy Petersburga 12 rubli, a w 20 powiatach różnych gubernii 8 rubli) lub 40 dni roboczych męskich i 30 dni roboczych żeńskich. Przy nadziale jednak mniejszym od maksymalnego nie zmniejszano obroków i pańszczyzn proporcyonalnie do ilości dziesięcin, ale ustanowiono pewną regresyę (stosunek malejący), przy której za pierwszą dziesięcinę włościanin musiał zapłacić 3½ do 4 rubli, a za każdą dziesięcinę następną cenę coraz to niższą [1]). W końcu zastrzeżono, że po latach 20 właściciel będzie miał prawo obrok i pańszczyznę podnieść, nie więcej jednak, jak o 20%. Prawo z r. 1883 o przymusowym wykupie nie dopuściło wykonania tego ostatniego przepisu.

Cała ta operacya finansowa dotyczyła gruntów i osady; osadę mógł włościanin wykupić oddzielnie, bo, jak prawo głosiło, osadę tę nabywał na własność rodziny, ale wtedy rząd w pomoc nie przychodził. Od sumy, zapłaconej przez rząd właścicielowi, włościanin miał płacić 6% rocznie przez lat 49: ½% na pokrycie kosztów administracyjnych — 5½ na procent i amortyzacyę. Rachunkowość tej operacyi finansowej miała być prowadzoną oddzielnie od obrotów budżetowych — i była też tak prowadzoną aż do r. 1887, w którym po raz pierwszy włączono wpływy z sum wykupowych do budżetu państwa.

W dobrach prywatnych uwłaszczono na tych zasadach około 3,880,000 osad włościańskich z 10,608,000 dusz rewizyjnych (robotników męskich, zapisanych w „skazki" przy rewizyi 1858 r.), dając

---

[1]) Simchowitsch (l. c. str. 245), jako przykład, przytacza następujący rachunek. Przy maksymalnym nadziale 4 dzies. i przy obroku normalnym 10 r., na wieś, w której jest 100 dusz rewizyjnych, wypada 400 dziesięcin do uwłaszczenia i 1000 rubli obroku, t. j. po 2.5 r. za dziesięcinę. Podług przepisów o wykupie, jeśli włościanom oddano nadział minimalny (⅓ t. j. 133⅓ dziesięcin), to byli obowiązani płacić obroku: za 1-ą dziesięcinę po 5 rubli, t. j. 500 rubli, za pozostałe 33⅓ — 85 rubli, razem 585 rubli, t. j. że obrok z dziesięciny wypadł im po 4 r. 36 kop., t. j. o 74.4% więcej, niż przy otrzymaniu pełnego nadziału 400 dziesięcin.

im 36,219,900 dziesięcin ziemi, z których 24,880,400 dziesięcin (t. j. 69%) zostało własnością gmin, a 11,339,500 (t. j. 31%) własnością osobistą — dziedziczną. Największe nadziały na duszę wypadły w gub. Astrachańskiej (9.4), Ołoneckiej (8,3), najmniejsze w gub. Pskowskiej (1.6), Charkowskiej (2.3), Połtawskiej (2.4), Kurskiej (2.2). Naogół biorąc, przy reformie włościanie dostali gruntów mniej, niż posiadali przed reformą [1]), a Kawelin, jeden z najlepszych znawców sprawy włościańskiej, w dziele, dotyczącem tej kwestyi, tak o wykonaniu uwłaszczenia włościan w Rosyi się wyraża.

„Prawo z d. 19 lutego, zarówno jak i prawa następne, włościan „dotyczące, były, o ile tylko można, wykonane na niekorzyść wło„ścian, a na korzyść obywateli. Potwierdzenia prawa do ziemi, którą „włościanin czasami za własne pieniądze poprzednio na imię właści„ciela nabył (jedyna forma, w której poddanemu było wolno ziemię „kupić), często pod najmarniejszymi pozorami odmawiano. „Grunty włościańskie wbrew duchowi ustawy 19 lutego były z nie„korzyścią włościanina wydzielane. Obroki i sumy wykupowe były „z bezlitośną i rujnującą gospodarstwo włościańskie surowością wy„śrubowane. Wszelkie usiłowania, aby włościan przy nadziale grun„tów obejść, przy sposobności uciskać, ich ekonomiczną zależność „od właściciela gruntu wzmocnić, uważano nie tylko za dozwo„lone, ale nawet za czyn, godny pochwały ze strony właścicieli i ad„ministratorów dóbr. Szczupła, godna szacunku mniejszość właści„cieli ziemskich i urzędników, która na takie załatwienie sprawy „włościańskiej się nie zgadzała, powoli albo sama wycofała się „z wszelkiej publicznej działalności, albo też w ten lub inny sposób „od niej usuniętą została" [2]).

Wydzielano włościanom grunty najgorsze, najbardziej od wsi oddalone, łąk dawano im jak najmniej. Obdarowano na zasadzie § 123 (Gagarinskiego) — do 1877 r. — 640,380 dusz, t. j. prawie 9% włościan prywatnych.

Już w 1881 r. prof. Jansonn w dziele p. t. „Próba statystyki nadziałów i sum wykupowych" obliczał, że w niektórych okolicach (gub. Nowogrodzka) suma roczna raty wykupowej stanowiła 180 do 210, a przy małych nadziałach do 275 i 565% dochodu z ziemi wykupionej. Podług prac ziemstwa Petersburskiego wykup wynosił 76—131% dochodu z ziemi, a razem z podatkami i po-

---

[1]) Simkhowitsch, l. c. str. 249.

[2]) Simkhowitsch, l. c. str. 249.

winnościami 128 do 150% tego dochodu. Dla innych gubernii stosunek ten wypadał nie wiele lepiej; w gub. Moskiewskiej 205, Twerskiej 252, Smoleńskiej 220, Kostromskiej 240, Pskowskiej 213, Włodzimierskiej 276, Wiackiej 200% dochodu z gruntów uwłaszczonych [1]).

Uwłaszczenie włościan dóbr skarbowych opiera się na ustawach z 24 listopada 1866 i 12 czerwca 1886 r. Jak wiemy, płacili oni poduszne (od 1719) i czynsz — obrok (od 1724). I poduszne i obroki były stale podwyższane, a w 1797 podzielono państwo na 4 okręgi z różnemi normami czynszu (obroku) od 3 r. 57 k. do 5 r. 10 k. z duszy rewizyjnej. Z ustanowieniem Ministeryum Dóbr Państwa, przy zarządzie niem hr. Kisielewa, dążenie do podnoszenia obroków i podusznego ustąpiło miejsca staraniom o usunięcie niedoborów drogą lepszego przystosowania podatków do wydajności ziemi i zamożności włościan i zaprowadzenia wspólnego władania ziemią z peryodycznymi podziałami. W 1857 r. po Kisielewie objął ministeryum dóbr Państwa hr. Murawjew (Wileński) i wobec ciężkich kłopotów skarbu, wywołanych wojną wschodnią, podwyższanie podusznego i obroków rozpoczęło się nanowo; zaprowadzono podatek za użytkowanie z lasów, przeniesiono niektóre okolice do wyższej kategoryi podatku, podniesiono obrok w innych o 5%. Obroki podniesione były jeszcze prawami z 1861 i 1862 r. Prawo 1866 r. (§ 2)

---

[1]) Prof. Chodski w dziele p. t. „Ziemia i Rolnik“ starał się obliczyć ten stosunek dla 49 gubernii Państwa. Podług niego suma wykupowa była wyższą od wartości ziemi w 24 guberniach, a mianowicie:

w Wołyńskiej	o 81 %	Stawropolskiej	38,2%	Jarosławskiej	25,8%
Orenburgskiej	73,6„	Smoleńskiej	37,9„	Pskowskiej	24,8„
Permskiej	70,6„	St. Petersburgskiej	37,4„	Witebskiej	20,9„
Nowogrodzkiej	67,9„	Mohilewskiej	37,3„	Kałuskiej	20,1„
Tyfliskiej	67,9„	Twerskiej	34,9„	N. Nowogrodzkiej	18,9„
Astrachańskiej	59,7„	Samarskiej	33,1„	Wołogodzkiej	18,3„
Ufimskiej	56 „	Okr. Terskim	30,9„	Moskiewskiej	5,1„
Kostromskiej	41,3„	Wjackiej	29,8„	Ołoneckiej	?„

W następnych 25 guberniach była niższą od wartości ziemi:

w Czernihowskiej	o 3,9%	Charkowskiej	23,2%	Orłowskiej	89,6„
Włodzimierskiej	6,1„	Penzeńskiej	30,1„	Besarabskiej	92,5„
Okr. Dońskim	11,1„	Saratowskiej	32,9„	Riazańskiej	92,7„
Chersońskiej	11,2„	Połtawskiej	35,0„	Kurskiej	96,5„
Symbirskiej	11,9„	Kowieńskiej	62,7„	Kijowskiej	96,5„
Jekaterinosławskiej	18,0„	Woroneskiej	76,1„	Tambowskiej	99 „
Taurydzkiej	18,8„	Mińskiej	77 „	Podolskiej	100,9„
Riazańskiej	20,6„	Tulskiej	83,2„	Wileńskiej	134,2„
				Grodzieńskiej	139,1„

oddało włościanom skarbowym posiadane przez nich grunty, pozostawiając spłatę czynszów, t. j. wykup do ich woli; na 7,636,638 dusz rewizyjnych wydzielono 51,435,239 dziesięcin ziemi za opłatą roczną 31,321,853 r. podusznego i 17,580,090 r. obroku, który miał pozostać przez lat 20, t. j. do 1886 r. bez podwyższenia [1]. Jednocześnie wyjęto włościan skarbowych z pod władzy Min. Dóbr Państwa i oddano ich pod zarząd Min. Spraw Wewnętrznych.

Wykup obowiązkowy wprowadzono dopiero ukazem z d. 12 czerwca 1886 r. Już przedtem ukazy z 18 maja 1882 i 18 maja 1883 zniosły pogłówne dla niektórych kategoryi włościan i obniżyły je dla pozostałych. Ukaz z 18 maja 1885 r. zniósł ten podatek w całem Państwie z wyj. Syberyi; dla włościan b. skarbowych od 1 stycznia 1887 r., dla pozostałych z d. 1 stycznia 1886 r. Zniesienie to obniżało znacznie dochody skarbu — termin, do którego skarb zobowiązał się nie podnosić obroków w dobrach państwowych, kończył się; — postanowiono więc, że obroki zmienione zostają na sumy wykupowe, któremi w ciągu lat 44 (do 1931) skarb będzie zaspokojony za oddane włościanom grunty. Suma rocznego wykupu ustanowioną została na 49,036,884 rubli. (Obrok wynosił 33,84 miliony). Ciężary włościan skarbowych obniżyły się w ten sposób z 52,93 do 49,03 mil. rubli. Prawo określiło sumę ogólną wykupu i podzieliło ją na gubernie; rozdział jej w gubernii na powiaty i gminy pozostawiono porozumieniu się ministrów finansów, dóbr państwa i spraw wewnętrznych.

Włościanie dóbr apanażowych zwolnieni zostali z poddaństwa w 1858 i 1859 roku. W 1861 r. zwolniono ich od obroków i pańszczyzn i ustanowiono warunki wykupu, o wiele dogodniejsze od warunków wykupu dla włościan prywatnych. W 5,527 gminach, dla 900,486 dusz rewizyjnych wydzielono 4,333,261 dziesięcin, t. j. po 4.8 dzies. na duszę rewizyjną.

Ogół sum wykupowych w przybliżeniu powinien był wynosić około 105 milionów rubli; rzeczywiste wpływy wynosiły rocznie około 92²/₃ mil. r. Średnio wypadało z dziesięciny ziemi prywatnej 1 r. 31 k., z dziesięciny ziemi skarbowej 83 k; przyczem wahania między maximum a minimum były bardzo wielkie: dla włościan b. prywatnych z dziesięciny od 6 kop. (gub. Ołoniecka) do rs. 2 (gub. Kurska), dla włościan b. skarbowych od 29 kop. (gub. Ołoniecka) do rs. 2 k. 20 (w gub. Kurlandzkiej).

---

[1]) Niema w tem gubernii Nadbaltyckich, Besarabskiej, Stawropolskiej okręgów Kubańskiego i Terskiego.

O ile gorszem było położenie włościan b. prywatnych od położenia włościan b. skarbowych, maluje najlepiej to obliczenie, które czerpiemy ze źródeł urzędowych, że, podczas gdy z ogólnej sumy, oddanej włościanom z ziemi, z każdych 100 dziesięcin ogólnej przestrzeni włościanie prywatni otrzymali 32%, apanażowi 3,7, a skarbowi 64,3%, to w ogólnej sumie wnoszonych wykupów włościanie b. prywatni wnosili 43,94%, apanażowi 3,20, a skarbowi 52,86 [1]).

„Wynagrodzenie, wypłacone właścicielom poddanych, mówi „tož samo źródło [2]), było słuszne, ale hojne. Sumy wykupu, dotąd „przez skarb wypłacone, przewyższają to, co rząd pobrał. Sumy, za„płacone rządowi przez dłużników (włościan), nigdy nie były równe „sumom, które za nich zapłacono, nawet przy obliczeniu tylko śre„dnich procentów i kosztów administracyi, nie licząc amortyzacyi. „Poddani nie wnieśli, licząc ściśle, ani cząstki kapitału. Cała ope„racya finansowa była dla rządu uciążliwa, bardzo uciążliwa i tylko „dzięki przeprowadzonym konwersyom przestała ciężyć skarbowi."

Nie należy też spuszczać z uwagi, że z ogólnej sumy kapitału wykupowego, jaką przyznano obywatelom w ciągu lat 30 (od 1862 do 1891), wynoszącej 892,139,163 rubli, wypłacono im do ręki w 5 i 5½% biletach bankowych tylko 575,375,445 rubli, a 316,763,718 r. zatrzymano na pokrycie długów w bankach rządowych i prywatnych [3]). W ciągu tych samych lat 30-u niedobory w ratach wykupowych były zjawiskiem normalnem i tylko w pięciu latach (1873 i 1878 — 1884, 1887 i 1888) niedoboru z tego tytułu nie było. Suma niedoborów za te lat 30 (do 1892) wynosiła 39,850,723 rubli — a sumy, dołożone przez skarb do operacyi wykupowej: 24,226,684 rubli.

VI.

Badając ewolucyę form miru, najnowsi badacze rosyjscy z naciskiem podkreślają różnicę, jaka w tej ewolucyi ma zachodzić pomiędzy gminami włościan: byłych skarbowych i byłych prywatnych. Różnica ta, ich zdaniem, pochodziła nie tylko z różnicy w wielkości oddanej im przy uwłaszczeniu przestrzeni ziemi i w sposobie oznaczenia sum wykupowych, ale w wysokim stopniu jakoby i z tego

[1]) Bulletin: Russe de St. fen. et de legis, r. 1895, str. 294.
[2]) Bulletin: r. 1894, str. 553.
[3]) l. c. r. 1897, str. 537.

powodu, że w gminach skarbowych autonomia ekonomiczna gminy przechowała się do ostatnich czasów, w gminach zaś b. włościan prywatnych zamarła pod naciskiem samowoli właściciela.

Z trudnością jednak daje się stwierdzić ta różnica w materyałach statystycznych, w faktach i danych, dotyczących tej i tamtej kategoryi włościan. Ewolucya „miru" różni się czasami — naogół jednak zlewa się i miesza — gdyż różnice w przyczynach, jakie mają być powodem różnicy w ewolucyi, nie są znów ani tak stanowcze, ani tak wielkie, jakby się to wydawać mogło.

W ostatnich latach przed uwłaszczeniem włościan skarbowych, w epoce, gdy ministrem dóbr państwa był hr. Murawjew Wileński, obroki i poduszne z włościan dóbr skarbowych były silnie podwyższone — z drugiej zaś strony wielu właścicieli prywatnych nie uciskało zbytnio swych włościan, widząc najlepszą gwarancyę swej zamożności w ich dobrobycie. Wielu z nich przytem nie mieszkało całkiem w swych dobrach, nie prowadziło w nich często żadnego gospodarstwa folwarcznego, i ci poprzestawali na samym obroku, co do którego wysokości umawiali się z całą gromadą [1]). Pozostawiając rozkład obroku wewnątrz gminy i podział ziemi między członków gminy do uznania samych włościan, mieszając się tylko do tych spraw o tyle, o ileby gromada sama do zgody dojść nie mogła lub obroku regularnie nie płaciła, unikali wielu kłopotów i niedoborów obrokowych, tak samo, jak skarb ich unikał. Nakoniec zupełna autonomia gmin skarbowych przed reformą należy też w znacznym stopniu do legend. Od 1838 r. gminy te były poddane pod ścisły nadzór izb skarbowych i specyalnie do nadzoru nad włościanami skarbowymi ustanowionych naczelników okręgowych, których władza była silna i obszerna, a obowiązek niedopuszczania niedoborów podatkowych upoważniał do wnikania w ekonomiczne sprawy gminy [2]).

Sposób podziałów gruntami w gminie skarbowej był ściśle określony ilością dusz rewizyjnych — co do praw członków, i re-

---

[1]) M. Brzeski: Niedobory i solidarna odpowiedzialność gmin wiejskich str. 155.

[2]) Podług Milukowa (Zarysy Cywilizacyi Rosyjskiej — tom I. str. 208) — z ogólnej ilości włościan w guberniach nieczarnoziemnych w końcu XVIII w. 55% nie odrabiało pańszczyzny, a płaciło tylko czynsze (obrok); około r. 1860 było ich jeszcze więcej — około 64%. W guberniach czarnoziemnych płaciło obrok: w końcu XVIII w. 26%, przed uwłaszczeniem jeszcze mniej. W XIX w. folwarki i pańszczyzna w tych guberniach rozszerzały się.

wizyami — co do terminów. Sposób pobierania, przechowywania i wnoszenia sum podatkowych był ściśle w prawie opisany; podział gruntów po śmierci ojca zależał od zezwolenia władzy; — pobór rekruta normował się ilością dusz w gminie, a nie stanowiskiem indywiduum w rodzinie, — a odebranie gruntu włościaninowi wymagało zatwierdzenia przez izbę skarbową. Zebrania gminne składały się z główrodzin — często długo niepodzielnych, a autonomia gminy była pod najważniejszymi względami i mocno przez prawo ograniczona, i silnie pod wpływ naczelnika okręgowego poddana. Rachunkowość i porządki kasowe—instrukcyami szczegółowemi określone.

Jeśli więc rok 1861 uwolnił poddanych prywatnych z pod władzy pana — to uwolnił też włościan skarbowych z pod władzy skarbu, wykonywanej przez naczelników okręgowych; jeśli ciężary, włożone przy wykupie na poddanych prywatnych były wielkie, to nie na wszystkich bez wyjątku: były gminy prywatne, których położenie nie było gorsze, niż położenie gmin skarbowych, mianowicie w okolicach nieczarnoziemnych, centralnych, gdzie i ci skarbowi ziemi dostali mało i ziemia ta była lichą. Kaczorowski, który stara się bardzo ściśle oddzielić ewolucyę gminy włościan b. skarbowych od ewolucyi gminy włościan przywatnych, przyznaje sam, że u włościan b. skarbowych, „chociaż w widocznej ich mniejszości, był okres, w którym ciężary były wyższe od dochodu z ziemi” [1]).

Prawodawca 1861 r. kazał włościanom grunty swoje wykupić, a dając swobodę gminom prywatnym, rozszerzył także znacznie autonomię gmin skarbowych i dał—i tym, i tamtym—moralnych opiekunów w osobie pośredników mirowych; wprowadził do zgromadzeń gminnych nawet najmłodszych gospodarzy, a jako zasadę podziału, wskazał przedewszystkiem duszę rewizyjną, która z biegiem czasu musiała stać się zasadą z gruntu fałszywą. Włościanie mieli sami tę zasadę uregulować i do potrzeb swych przystosować.

Nim jednak zdążyli ustalić obyczaj dzielenia, wzmocniono wpływ policyi na pobór podatków (1867 r.), odebrano gminom moralnych opiekunów — mirowych pośredników (r. 1874), i zastąpiono ich instytucyą kolegialną, zdala od gminy w mieście powiatowem rezydującą — przeważnie biurokratyczną. Jednocześnie — w stosunkach ekonomicznych całego państwa a w stosunkach rolnych specyalnie, zaczęła się rewolucya tak gwałtowna, jakiej kraj nigdy może dotąd nie przechodził — rewolucya, której kres dotąd nie na-

---

1) Kaczorowski l. c. str. 333 i 348.

stąpił, a która w rozwoju stosunków gminnych musiała się odbić i ostatecznie stosunki te pogmatwać.

Budowa dróg żelaznych w państwie włączyła okolice dotąd stepowe w wir wszechświatowej wymiany towarów; powstanie nowych środowisk przemysłowych i rozwój wielkiego przemysłu stworzyły nowe rynki pracy i zbytu — podkopując zwolna dawne źródła zarobków: przemysł wędrowny i domowy; stepy zamieniały się w pola orne, wymagające dopływu robotnika sezonowego; taryfy różniczkowe na przewóz ziarna zachęcały do najekstensywniejszej uprawy najodleglejszych stepów, a wzrost cen zboża i rozszerzanie uprawy zakończyły się koło 1880 r. przesileniem rolnem. Że wśród takich ekonomicznych — a specyalnie rolnych przewrotów — stosunki w gminie prawidłowo rozwijać się nie mogły, to łatwo zrozumieć.

Zresztą, jak wskazaliśmy wyżej, sam punkt wyjścia był anormalny. Oddano włościaninowi ziemię — obciążając ją w wielu wypadkach powyżej jej przeciętnego dochodu. Włościanin — mówi Brzeski — wykupywał właściwie nie ziemię — ale powinności [1]). Podług § 173 o wykupie — włościanin mógł wyłączyć się z gminy i nie brać ziemi (przy uwłaszczeniu) — ale musiał zapłacić $^1/_2$ wykupowej sumy. Ta połowa miała znaczenie wartości jego osoby. Gmina brała na siebie jego nadział (miała prawo się na takie wyłączenie nie zgodzić), a suma wniesiona szła do skarbu na zmniejszenie wykupu od całej gminy. Gminy włościan b. prywatnych odrazu po reformie znalazły się w ciężkiem położeniu. Wobec wysokości sum wykupowych prawo do ziemi było w gruncie rzeczy tylko obowiązkiem płacenia podatków — i dlatego, kiedy mowa o podziałach gruntów w tych gminach, to właściwie mówi się nie o podziale gruntów, ale o podziale ciężarów: podatków i wykupu. Okolicznością, utrudniającą zrozumienie stosunków ekonomicznych w gminie zaraz po r. 1861, było jeszcze i to, że na pozostałych właścicielom prywatnym gruntach wszelkie prawie gospodarstwo folwarczne ustało, — i ziemie te były do wydzierżawienia za bezcen — a jednocześnie budowa dróg żelaznych i rozwój przemysłu podnosiły zarobki. Odskok pomiędzy ceną dzierżawną gruntów prywatnych a sumą podatków, płaconych z ziemi, oddanej włościanom przy uwłaszczeniu, był tak wielki, że w znacznej części okręgów wielkorosyjskich najlepszym interesem, jaki na razie włościanin mógł zrobić, było z gminy uciec,

---

1) N. Brzeski, l. c. str. 168.

albo też w gminie jak najmniej mirskiej ziemi dostać, a całą swą siłę roboczą zwrócić na dzierżawę gruntu od byłych panów, którą im dawano stosunkowo za bezcen.

Uwłaszczenie włościan — szczególniej przejście ze stosunków czasowo-zobowiązanych do zupełnego wykupu—szło, jak wiemy, powoli; wiele gmin przechodziło na wykup wtedy, kiedy stosunki ekonomiczne gmin sąsiednich już się wyjaśniły, a różnica pomiędzy sumą podatków i wykupu, z jednej strony, a sumami, płaconemi za dzierżawę gruntów prywatnych, z drugiej strony, stała się widoczna. Przy braku przewidywania, przy braku chęci i zdolności zastanowienia się nad tem, że stosunki te muszą zmianie uledz, bywały przypadki dążenia gminy do brania od pana i skarbu jak najmniejszej ilości gruntu — i dążenie do załatwienia uwłaszczenia na mocy § 123 — paragrafu „nędzarzy," wbrew twierdzeniu Samarina, że włościanin weźmie grunt tylko wtedy, kiedy go istotnie nie potrzebuje [1]).

Przypomnienie tych faktów jest koniecznie potrzebne do zrozumienia historyi podziałów ziemią w Rosyi pomiędzy 1860 a 1891 rokiem. W pierwszych latach po uwłaszczeniu podziałów ogólnych nie było zupełnie. Niektórzy z autorów twierdzą, że najważniejszą przyczyną tego zaniechania podziałów był zanik tradycyi gminnych (szczególniej u włościan b. prywatnych), nieznajomość prawa, nieświadomość, że gmina ma prawo — bez pytania się władzy o zezwolenie — dzielić się gruntami, ze strony zaś włościan b. skarbowych —zwyczaj dzielenia się nanowo tylko przy nowej rewizyi. Faktem jest wszakże, że przeważna większość gmin b. prywatnych przeszła już wtedy od podziału na dwory — rodziny — do podziału na dusze rewizyjne 1858 r., podług których wymierzono gminom ziemię; że podział ten w owym czasie odpowiadał siłom roboczym osad i że, ponosząc najważniejsze ciężary: podatki i pobór rekruta, według dusz rewizyjnych, gminy — zarówno skarbowe, jak i prywatne — jeśli myślały o nowych ogólnych podziałach, to tylko w związku z nową rewizyą — nowym Ukazem — którego, jak wiemy, dotąd oczekują.

Wpływ jednak przeciążenia ziemi włościańskiej ciężarami dał się gminom we znaki w dwojaki sposób. Pewna część członków gminy uciekała z gminy — inna traciła grunt ekonomiczny pod nogami i przestawała płacić podatki. Solidarnie odpowiedzialna

---

[1]) J. Samarin: Dzieła, wyd. 1878 r., str. 161.

gmina musiała interweniować: płacić podatki i z opuszczonej ziemi dochód wyciągać.

Książę Wasilczykow obliczył, że ciężary, leżące na gruntach włościańskich, wynosiły (1870—1880) na dziesięcinę 164,1 kopiejki, a średni dochód z dziesięciny 163 kopiejki [1]. Ktokolwiek raz tylko próbował obliczyć czysty dochód z ziemi, a szczególniej włościańskiej (na której włożona w gospodarstwo rolne praca własna jest wprost nieobliczalna), ten wie, jak mało wartości naukowej mają podobne, pozornie ścisłe, obliczenia.

Daleko lepiej objaśnia stan rzeczy porównanie ciężarów, leżących na dziesięcinie ziemi włościańskiej, z ceną dzierżawną tejże dziesięciny z własności prywatnej. Według danych statystycznych, zebranych w gubernii Moskiewskiej, w końcu lat 70-tych płacono:

w powiatach	podatkow i wykupu z dziesięciny oddanej włościanom ziemi	dzierżawy za dziesięcinę, przez włościan dzierżawioną w dobrach prywatnych
Podolskim	3 r. 30 k.	1 r. 29 k.
Sierpuchowskim . . .	3 ,, 50 ,,	— 98 ,,
Wierejskim	3 ,, —	— 73 ,,
Ruzkim	3 ,, 30 ,,	— 73 ,,
Zwienigrodzkim . . .	3 ,, 50 ,,	1 r. 06 ,, [2].

Podobny stosunek istniał na całej przestrzeni państwa. Rezultatem tych warunków było, — mówi Kaczorowski — że w dziesiątkach powiatów włościanie „potracili głowy”, nie cenili ziemi, „uciekali.” Kowalewski ocenia ilość zbiegłych w okolicach Samary, Stawropola i Buzułuku na 9, 10, czasem 19% mieszkańców wsi [3]. W gubernii Moskiewskiej bywały wypadki ucieczki, zniknięcia całych wsi [4]. W pow. Kaszyńskim gub. Twerskiej gromadne porzucanie wsi miało miejsce w 88,5% ogólnej ilości gmin. Zwrot gruntów właścicielowi był przepisami prawa — o których mówiliśmy w części I — ograniczony [5]. Sytuacya taka trwała prawie do 1875 r., a stanowcza poprawa stosunków datuje się mniej więcej od r. 1885. Są jednak lata — lata nieurodzaju, w których się ona odnawia i wy-

---

[1] Ziemia i rolnictwo, t. I, str. 492.

[2] Kaczorowski, l. c. — str. 343 przyp.

[3] Le regime économique de la Russie — str. 128.

[4] Kaczorowski, l. c. — str. 323.

[5] Ateneum — r. 1900, t. I, str. 83.

wołuje chwilowo te same objawy: niemożność wypłacenia podatku i tłumną emigracyę z gminy.

Ucieczka gospodarza z gminy albo niezapłacenie przezeń podatków stawia gminę odrazu w kłopotliwej sytuacyi. Kasa skarbowa nie czeka; całej solidarnej gminie grozi sprzedaż ruchomości a przedewszystkiem inwentarza roboczego, t. j. ruina zupełna. Zbyt często bowiem, mówiąc o mirze, zapomina się o tem, że człowiek bez inwentarza roboczego przy uprawie roślin zbożowych jest bezsilny. Gmina, w której fakty opuszczenia ziemi i bankructwa podatkowego zdarzają się, musi albo postarać się o nowych członków — co czasami, ale bardzo rzadko, praktykowano, oddając opuszczony grunt ludziom obcym, [1]) — albo zamienić ziemię na pastwisko, albo oddać ją w dzierżawę, o co w tych warunkach było trudno, albo nakoniec — i to było sposobem, najpowszechniej używanym — dzielić ziemię i podatki, a raczej podatki, a ziemię w dodatku, pomiędzy pozostałych członków gminy. Pierwsze po uwłaszczeniu podziały częściowe ziemi rolnej miały ten wyraźny powód, co w zupełności objaśnia ich techniczną nazwę „nakładanie i zdejmowanie" (swałka — nawałka) podatków raczej, niż ziemi. Niema prawie gminy w Rosyi, gdzieby tego gatunku podziałów nie praktykowano, i niema powiatu (nie wyłączając powiatów gubernii Moskiewskiej, opracowanych przez najlepszego ze statystyków, Orłowa) gdzieby w badaniach statystycznych nie pomieszano tych podziałów z podziałami późniejszymi, ogólnymi, które już miały wyraźny charakter podziału ziemi wspólnej. Czy dany podział gruntów jest podziałem wspólnej własności, za którą idzie dodatkowo równomierna repartycya ciężarów podatkowo-wykupowych, czy też jest on repartycyą ciężarów podatkowych, za którą idzie, jako dodatek i konsekwencya konieczna, podział gruntów, to możnaby ustanowić oddzielnie tylko dla każdego wypadku zosobna stwierdzeniem, co w danej gminie i w danej epoce było wyższe: dochód z ziemi czy ciężary, na ziemi włościańskiej leżące? a przynajmniej zestawieniem danych co do stosunku, zachodzącego między tymi ciężarami a ceną dzierżawną ziemi w okolicy. Bez tego objaśnienia prawdziwy charakter dokonanego podziału będzie wątpliwy, a wnioski o kierunku, w którym odbywa się ewolucya miru i realizowanie się idei gminnej, będą miały naukowo podejrzaną wartość. „Upadłe" grunty gmina najczęściej rozdzielała na młodych dorastających robotników męskich. Bardzo

---

[1]) Kaczorowski — l. c. str. 344.

często mir, nie chcąc zmniejszać udziału „duszy", dawał nowym duszom pełne nadziały, przyczem, ponieważ dorastających było zwykle więcej, niż nadziałów, dawał im ziemię wedle starszeństwa. Najczęściej jednak grunty upadłe mir dzielił w równych częściach na ilość dorosłych dusz pozarewizyjnych, przez co nadział „na duszę" stawał się coraz mniejszym.

W miarę wymierania rodzin rewizyjnych — powrotu zbiegłych, (o czem później jeszcze mówić będziemy) — obniżenia podatków, a podniesienia się ceny ziemi i ceny dzierżaw, gmina daleko rzadziej nakłada (nawaliwajet), a daleko częściej rozdaje życzącym sobie; z biegiem jednak czasu ten system mieszany „duszy rewizyjnej" i „duszy obecnej" staje się tak zagmatwanym, że jedynem wyjściem z niego jest ogólny podział gruntów według nowej normy — duszy męskiej obecnej. Przejście od podziału na dusze rewizyjne do podziału na ogół dusz męskich żyjących i obecnych nie koniecznie zatem jest wynikiem rozwoju idei gminnej — może on być wywołany żądaniem ogółu uporządkowania spraw ekonomicznych gminy.

Zamęt w określeniu praw członków gminy zwiększa jeszcze ta okoliczność, że prawo z 1861 roku nie zna utraty praw członka gminy przez przedawnienie [1]). Zbiegły z gminy jej członek albo jego prawi potomkowie mogą wrócić do gminy po latach 10, 20 i 30, i gmina obowiązana jest wydzielić im grunt tak samo, jak i tym jej członkom, którzy w gminie siedzieli i ciężary gminne przez cały ten szereg lat ponosili. Ukazy Senatu wyjaśniły, że odebranie gruntu włościaninowi za niepłacenie podatków w niczem nie nadweręża praw jego potomków do udziału w ziemi gminnej [2]). Sądy włości miały niemały kłopot w tych kwestyach. Zebrania gminne odmawiały lub przyznawały udział powracającym członkom lub ich sukcessorom bez żadnych stałych zasad. Władze kontrolujące — urzędy powiatowe do spraw włościańskich — decydowały też te sprawy w najróżniejszy sposób, stosownie do swego rozumienia (po usmotrienju) i dopiero jurysprudencya rządzącego Senatu wniosła porządek w tę kwestyę. Prawodawca 1861 r. obstawił wyjście z gminy takiemi formalnościami, w systemie paszportowym widział taką gwarancyę zatrzymania włościanina w gminie, że nieobecność samowolna włościanina wydawała mu się nieprawdo-

---

[1]) Część I Ateneum, 1900 — str. 331.

[2]) Brzeski — l. c. str. 187.

podobną. Sam porzucający ziemię nie sądził, aby w stosunkowo krótkim czasie warunki ekonomiczne mogły uledz tak wielkiej zmianie, iżby prawo do ziemi gminnej, które było ciężarem — tiagłem — w ciągu krótkiego czasu — stało się prawem, dającem realne korzyści.

W ciągu lat nieledwie kilkunastu — najwyżej 20 — ciężary, leżące na ziemi, zmniejszono, a jednocześnie dochód z ziemi, wartość jej wzrosła znacznie. Według danych urzędowych wzrost ten, obliczony według cen przy nabyciu dóbr prywatnych w latach 1860 — 1889, wynosił w okręgach [1]):

	Cena przecięciowa dziesięciny w 1860.	1870.	1883.	1889.	Wzrost w % 1860—1870	1870—1883	1883—1889	1860—1889
	rubli:							
Południowym stepowym	22	34	54	83	+48	+58	+52	+158
Południowo-zachodnim	43	66	110	119	+53	+67	+ 9	+129
Centralnym czarnoziemnym	37	61	99	101	+65	+62	+ 2	+129
Północnym czarnoziemnym	42	72	110	95	+81	+45	—13	+113
Wschodnim czarnoziemnym	23	39	59	55	+69	+51	— 7	+113
Przecięciowo w gub. czarnoziemnych	33	55	85	90	+66	+54	+'6	+126
Centralnym przemysłowym	16	26	40	44	+63	+54	+10	+127
Zachodnim	25	40	52	48	+60	+30	— 7	+ 83
Środkowej Wołgi . . .	19	27	52	46	+42	+93	—11	+124
Północno Zachodnim . .	12	17	29	44	+42	+70	+52	+162
Nadbaltyckim	55	70	99	84	+27	+41	—16	+ 53
Przecięciowo w gub. nieczarnoziemnych	24	36	42	51	+50	+44	— 2	+ 92
Przecięciowo w całem państwie	28	45	68	71	+61	+51	— 4	+108

Czy ruch ten cen był wywołany naturalnym wzrostem ludności, budową dróg żelaznych lub obniżeniem frachtów morskich, czy też szybkim wzrostem przemysłu lub ogólnym rozwojem ekonomicznym państwa, to kwestya dla nas drugorzędna; powszechny i gwałtowny wzrost cen ziemi w dwudziestoleciu 1860—1880, t. j. w pierwszych latach po uwłaszczeniu włościan, jest faktem niezbitym, który potwierdzają też nieliczne, zebrane przez Karyszewa dane o wzroście cen dzierżawnych na ziemię w ostatnich kilkudzie-

[1]) „Sielsko-choziajstwiennyja i statisticzeskija swiedienja". Wydanie Departamentu rolnictwa i przemysłu wiejskiego. Serya IV, 1891 r., str. 11 i 12.

sięciu latach. Karyszew—specyalista w kwestyi rosyjskich dzierżaw włościańskich — utrzymuje, że ceny te wzrosły w dwójnasób — miejscami pięcio- i dziesięciokrotnie.

W r. 1846 w powiecie Bugurusłańskim (gub. Samarskiej) ziemię prywatną wydzierżawiano po $4^3/_4$ do $8^3/_4$ kop. za dziesięcinę; w początkach lat 70-ych po 1 r. 71 k. do 3 r. 17 k., w 1885 r. grunta silne po 8 r. 36 k., lekkie po 4 r. 58 k., sianożęcie po 2 r. 40 k. za dziesięcinę. W powiecie Chwałyńskim (gub. Saratowska) ceny te w ciągu lat 1854 do 1885 podniosły się z 70 kop. do 5 r. 33 k., t. j. o 661%, a w niektórych miejscowościach do 800 i 1000%. W środkowych guberniach wzrost cen dzierżawnych nie był tak gwałtowny, jak w okolicach stepowych, w których właściwie od gospodarstwa stepowo-pasterskiego przechodzono do rolnictwa. W powiatach Morszańskim i Tiemnikowskim gub. Tambowskiej ceny zdwoiły się, potroiły, a miejscami wzrosły w czwórnasób [1]).

Z tablicy, przytoczonej przez nas, okazuje się, że ruch cen ziemi, stale rosnący do 1883 r., około tegoż roku osłabł; w wielu guberniach zatrzymał się, a w niektórych (nieczarnoziemnych) nawet zmienił się w tendencyę zniżkową. Było to skutkiem wszechświatowego przesilenia rolnego, które około r. 1880 dotarło do Rosyi. Wyobrażać sobie, że gospodarstwo włościanina rosyjskiego nie doznało wpływu tej obniżki cen ziarna, że spadek tych cen nie wpłynął na to, jak oceniał on wartość swych praw gminnych, byłoby grubem złudzeniem. W każdym razie wpływ tego ruchu na ceny dzierżaw włościańskich stoi poza obrębem wątpliwości.

Wartość ekonomiczna „prawa do ziemi gminnej" ulegała więc w ciągu 40 lat ubiegłych bardzo poważnym wahaniom. Wahania te musiały się odbić i na ewolucyi podziałów w gminie. Nadały one tej ewolucyi charakter chaotyczny, z którego najsumienniejszy badacz innych wniosków wyciągnąć nie może, tylko ten, że bilans tej ewolucyi nie jest jeszcze do zrobienia (Kaczorowski) — w każdym zaś razie musi on na ostateczne wnioski o tendencyach tej ewolucyi zapatrywać się z najwyższym sceptycyzmem, a to tem więcej, że z materyałów statystycznych, podanych przez autorów, poszukujących w tej ewolucyi rozwoju „idei gminnej", jasnem jest, że „rozwój tej idei spotyka na swej drodze bardzo poważne i trwałe przeszkody.

---

[1]) M. Karyszew: Rezultaty ekonomicznych badań Rosyi podług danych statystyki ziemstw. Tom II, Włościańskie pozanadziałowe dzierżawy. Dorpat, 1892, str. 323—333.

VII.

Najsilniejszą i najpowszechniejszą z tych przeszkód jest stały wzrost ludności i idące za tem koniecznie stałe zmniejszanie się stosunkowej wielkości nadziału na głowę ludności.

Słusznie bardzo Kaczorowski nazywa tę stosunkową wielkość nicią przewodnią dla zrozumienia stosunków gminnych i twierdzi, że przy bardzo małych parcelach peryodyczne podziały są absurdem [1]). W trzeciej części tej pracy staraliśmy się dowieść, że stosunek ludności do ziemi jest nicią przewodnią do zrozumienia ewolucyi własności ziemskiej wogóle — i chętnie zgadzamy się z Kaczorowskim. Sądzimy tylko, że za mało on jeszcze przywiązuje wagi do tej siły, jaką jest wzrost ludności — siły, działającej ślepo, stale i powszechnie. Działaniem swem zwycięża ona i zwyciężać musi wszystkie siły inne, czy to wstrzymujące ją, czy też działające w kierunkach przeciwnych.

Według ostatniej rewizyi przed uwłaszczeniem włościan, dokonanej w 1858 r., tej samej rewizyi, która była podstawą do obliczenia oddawanych włościanom gruntów, liczono w Rosyi 74 milionów ludności. Spis ludności 1897 r. wykazał 129 milionów, w 1900 r., doliczając przyrost normalny — ludność tę szacować należy na 135 milionów. W porównaniu z ludnością przybliżoną 1860 r. (1876) wykazuje ona zwiększenie o 77,6%.

Gdybyśmy uwzględnili silny w latach 1860—1900 wzrost miast i odtrącili terytorya, włączone do Państwa po r. 1861, otrzymalibyśmy prawdopodobnie, że wzrost ludności włościańskiej wynosił w tym czasie około 60% — i w żadnym razie nie mniej, jak 50%. Wzrost ten nie jest jednakowy dla wszystkich gubernii. Porównywając cyfry ludności gubernii południowych, podane u Tęgoborskiego, z cyframi ludności obecnej, widzimy, że w ciągu prawie lat 50 — od 1850 do 1897 r. ludność ta więcej, niż zdwoiła się, zwiększyła się dwa, trzy i cztery razy (Gubernie: Astrachańska, Ufimska, Orenburgska i Samarska). Ludność w Rosyi podwaja się co lat 50 do 55, i z wszelkiem prawdopodobieństwem twierdzić można, że w lat 80 do 100 po uwłaszczeniu, a więc przed 1950 r. nadział na duszę będzie stanowił połowę tego, co stanowił w 1860 r. Ścisłe określenie tego zmniejszenia na podstawie statystycznych da-

---

[1]) Kaczorowski — l. c. str. 387.

nych nie jest obecnie możliwe. Ziemię, oddawaną włościanom w r. 1861 obliczano na ilość dusz rewizyjnych — obecne obliczenia przestrzeni ziemi, posiadanej przez włościan, dokonywają się na ilość głów męskich i żeńskich. Obliczenie tej przestrzeni na „dusze rewizyjne" jest niemożliwe przed opracowaniem i ogłoszeniem danych ogólnego spisu ludności 1897 r. — co podobno tak prędko nie nastąpi.

Teorya ekonomiczna, mówiąc o małej własności ziemskiej, rozróżnia t. z. przestrzeń roboczą (Arbeitsfläche) i przestrzeń spożywczą (Nahrungsfläche). Pierwsza oznacza przestrzeń, jaką jeden robotnik uprawiać jest w stanie; druga — przestrzeń, dającą dostateczne pożywienie na jedną głowę ludności. Książę Wasilczykow oznacza przestrzeń roboczą dla Rosyi na 6 do 7-miu dziesięcin — my jej określać nie będziemy — zależy ona bowiem od natury gruntu, klimatu, rodzaju uprawy i systemu gospodarczego — i dla każdej gubernii, dla każdego powiatu, nieledwie dla każdej gminy powinna być obliczona zosobna. To samo odnosi się i do tak zwanej przestrzeni spożywczej.

Czy włościanin rosyjski posiada przestrzeń ziemi odpowiednią teoretycznej przestrzeni roboczej czy też przestrzeni spożywczej, to jest do określenia niemożliwe. Według obliczeń Maressa [1]), przy tym systemie rolnym, jaki śród włościan panuje, nie posiada on tyle ziemi, ile do jego wyżywienia potrzeba, a tem samem o wiele mniej, niż jest potrzebnem do produkcyjnego zastosowania jego zdolności pracy. Z punktu widzenia ekonomii państwowej stan taki przynosi ciężką krzywdę państwu; nie przynosi też korzyści osobie włościanina. Zmusza go on do szukania postronnych zarobków, które, jak w Rosyi, przy mało intensywnej uprawie folwarków, szukać musi na fabrykach albo w odległych, mniej gęsto zaludnionych, guberniach państwa — z wyraźną szkodą własnego gospodarstwa. Maress oblicza, że w guberniach czarnoziemnych tylko 11%, w nieczarnoziemnych tylko 5% ludności włościańskiej zbiera więcej ziarna, niż go na wyżywienie rodziny i inwentarza potrzebuje, i może tę część sprzedawać, nie narażając się na stały chroniczny brak pożywienia. W cyfrach Maressa mogą być omyłki, określenia procentowe mogą być za nizkie — pewnem jednak jest to, że, przy obecnie istniejącym stopniu kultury rolnej w gospodarstwie włościańskiem

[1]) Wpływ urodzajów i cen ziarna na niektóre strony gospodarstwa narodowego rosyjskiego — 1897. T. I. Patrz Ateneum 1898, t. I, str. 405.

położenie małego rolnika w Rosyi jest nieświetne i stale się pogarszać będzie, o ile ten rolnik wzrostem wydajności roli, t. j. bardziej intensywną kulturą, nie zrównoważy stałego zmniejszania się posiadanej ziemi. Ta prawda jest oczywistą nawet dla obrońców miru, i stąd to ten zacięty spór w kwestyi, czy „mir" jest przeszkodą dla postępów rolnictwa. Nikt nie zaprzecza, że nadział włościański z konieczności musi się stale zmniejszać, a jeśli mir jest przeszkodą w rozwoju rolnictwa, to wspólne władanie ziemią z konieczności też prowadzi za sobą stałe zubożenie rolnika.

Spór o to, czy mir jest przeszkodą w rozwoju rolnictwa, toczono z wyjątkowym zapałem i z obu stron, jak słusznie zauważył Simkhowitsch, dopuszczano się przesady. Z jednej strony starano się dowieść, że własność wspólna ziemi jest absolutną przeszkodą dla wszelkiego postępu w rolnictwie; z drugiej starano się wykazać, że gminne władanie ziemią nie tamuje bynajmniej postępów rolnictwa. W obu razach stawiano kwestyę wadliwie — przyczem w dodatku zapominano zwykle, że postępy kultury rolnej zależą od różnych warunków, w których rzędzie forma własności ziemskiej zajmuje pewne, bardzo poważne stanowisko, ale jest tylko jednym z warunków.

Nie spotkamy się chyba z zaprzeczeniem, jeśli powiemy, że, przy braku wzrostu ludności, i to ludności mało oświeconej, przy braku szkół rolniczych i postępowego gospodarstwa rolnego na folwarkach, postępy rolnictwa w gospodarstwach włościańskich będą żadne, bez względu na formy prawne własności ziemi. Tradycya będzie tu jedyną teoryą rolną — żywi będą gospodarować tak, jak gospodarowali umarli. Przyczyną porzucenia tradycyi jest zawsze wzrost ludności; warunkiem zaś umiejętności stosowania nowych zasad w rolnictwie jest znajomość tych zasad, których dostarcza ogólna oświata, szkoły rolne i przykład większych właścicieli rolnych; forma prawna własności ziemi może tylko ten rozwój hamować lub przyśpieszać, ale ani go wywołuje, ani mu stanowczo przeszkodzić nie jest w stanie. Hamując, może jeszcze, jak każda forma, trwać szeregi lat, póki roźdźwięk treści i formy nie stanie się tak wielki, że forma rozsypać się musi.

Dla nas też — przechodząc od teoryi do praktyki — kwestya brzmi: „co więcej sprzyja postępowi kultury rolnej, czy własność osobista ziemi, czy mirskie gminne władanie wspólne" — i sądzimy, że właściwą odpowiedź na to pytanie dała już w 1872 r. t. zw. Wałujewska komisya w przytoczonem przez nas poprzednio twierdzeniu,

„że każdy postęp zaczyna się od pojedyńczych indywiduów" [1]). W tym małym światku miru sprawdza się też teorya socyalna Tarde'a o naśladownictwie i wynalazczości; śród miru prędzej zjawia się postępowa jednostka, aniżeli postępowa większość zebrania gminnego.

Próbowano twierdzić, że mir czyni postęp rolnictwa niemożliwym. Wzrost na „mirskich ziemiach" uprawy koniczyny i innych roślin pastewnych, pogłębianie orki, nabywanie pługów i innych narzędzi i maszyn rolniczych przez włościan, pojedyńcze wiadomości o rozszerzaniu się zastosowania nawozów zaprzeczają stanowczo temu twierdzeniu. Zjawiska te są zapewne sporadyczne, a jak słabym naogół jest postęp kultury śród włościan rosyjskich, najlepiej dowodzi rozprawa Fortunatowa „O związku cen ziarna z niektóremi zmianami w rolnictwie rosyjskiem" [2]), w której autor bada wpływ cen ziarna na zmiany w przestrzeni uprawy zbóż, na zmiany w przestrzeni różnych innych płodów rolnictwa, na ilość koni włościańskich, ale o wpływie urodzajów i cen na postępy kultury zamilcza zupełnie.

Dowodzenia, że własność gminna nie hamuje postępów kultury, podjął się w ostatnich czasach A. S. Posnikow. Pamiętamy, że Haxthausen przewidywał, iż rolnictwo rosyjskie może osiągnąć przy formie istniejącej własności ziemskiej ten stopień produkcyjności, jaką posiada rolnictwo we Francyi; osiągnięcie jednak tej doskonałości, na jakiej ono stoi w Anglii, uważał za niemożliwe. To ostatnie twierdzenie próbował zbić Posnikow, twierdząc, że farmer angielski za jednorocznym kontraktem — „tenant at will" — nie jest co do pewności posiadania w lepszej pozycyi, niż członek miru. Stąd wniosek, że postęp rolnictwa w Rosyi hamują inne przyczyny: brak oświaty, podatki etc. — ale nie mir, nie wspólne władanie ziemią.

Posnikow sądzi [3]), że, kto tylko wzniesie się po nad wązkie pojęcia osobistego interesu, ten zrozumie, że rozwój ekonomiczny niemożliwy jest tam, gdzie pewna część ludności, faktycznie zależna od drugiej części ludności, zmuszona jest na nią pra-

---

[1]) Część II. Ateneum 1900, tom III, str. 144.

[2]) „Wpływ urodzajów i cen na różne strony rosyjskiego gosp. nar." T. I. str. 247 do 261.

[3]) „Władanie gminne" — Odessa, 1878.

cować, — ten ujrzy, że nierozsądnem jest nie tylko żądać zniesienia peryodycznych podziałów ziemi, ale nawet przedłużenia terminów podziału.

Tego poglądu Posnikowa nie podpisują nawet obrońcy miru, z których wielu (np. przytoczony przez nas Iwaniukow) sądzi, że wspólna własność ziemi i peryodyczne podziały można zrobić nieszkodliwemi dla kultury rolnej przez opóźnienie podziałów, zapewnienie włościaninowi trwałego i, jeśli można, dożywotniego używania danego kawałka gruntu.

Posnikow ulega złudzeniu, jakoby angielski landlord i mir — jako właściciele ziemi—niczem się od siebie nie różnili i dawali dzierżawcy — resp. użytkującemu z nadziału włościaninowi — jednakową łatwość włożenia kapitału na melioracye rolne i zwrotu kapitału, włożonego przez użytkownika.

Dość jest przejrzeć rezultaty prac „Komisyi królewskiej do zbadania przyczyn upadku rolnictwa w Wielkiej Brytanii", aby zwątpić odrazu o istnieniu między włościaninem - użytkownikiem a mirem - właścicielem takiego stosunku, jaki istnieje w Anglii między właścicielem ziemi a jego dzierżawcą. Lord Derby w ciągu lat 12 wydaje na melioracye rolne 200.000 funtów, t. j. po 7 sh. i 8 p. na akr rocznie (około 6 r. 22 k. na dziesięcinę). Lord Sefton w ciągu lat 22 wydaje 286,000 funtów, t. j. po 14 sh. rocznie na akr (11 r. 33 k. na dzies.), hrabia Ancaster 689,197 funtów, t. j. 11 sh. 7 p. — Sir Massey - Lopes 150,000 funtów, administracya dóbr koronnych w latach 1879—1893 wydaje 257,016, komisarze dóbr duchownych w latach 1880—1892 wydali 812,438 funtów i t. d. w szeregu przykładów, którym niema końca [1]).

Nie posiadamy danych, aby ocenić, ile wkłada jeszcze od siebie dzierżawca angielski w dzierżawiony grunt, ale wiemy, że wkłada niemało, a wkłada dlatego, że ustawy dają mu prawo żądania zwrotu niezamortyzowanej części tych nakładów, a rozsądzenie sporów, stąd wynikłych, powierzają sądom koronnym. W Rosyi w sporze między właścicielem ziemi a użytkownikiem o melioracye na gruntach włościańskich sądzi sam „landlord" — „mir" — i dlatego członek miru ma mało szans otrzymania sprawiedliwego zwrotu włożonych w ziemię pracy i kapitału.

[1]) Final report of her Majesty's Commissioners appointed to inquire in to the subject of the agricultural depression. Londyn. 1897, str. 287—289.

Stosunek między właścicielem ziemi a t. zw. „tenant at will" może być prawnie corocznie zerwany. W kraju jednak, tak szanującym tradycye, jak Anglia, stosunek ten trwa latami, pokoleniami. Znane są wypadki trwania tych dzierżaw przez lat 60 bez podwyższenia tenuty dzierżawnej [1]). Landlord usuwa dzierżawcę w wypadkach wyjątkowych; w zasadzie sumienny dzierżawca jest pewnym długiego trwania dzierżawy. Mir usuwa każdego członka miru z zajmowanego przezeń gruntu, stale zmniejsza obszar jego dzierżawy, i tylko przypadek może mu dać drogą losowania ten sam grunt, który miał poprzednio. Owszem w pewnych wypadkach celem nowego losowania jest właśnie to, aby wszyscy dostali inne grunty, niż mieli dotąd. Czasowe posiadanie „tenant at will" i czasowe posiadanie członka miru, są formami, prawnie i ekonomicznie tak od siebie odległemi, że nawet porównywać ich ze sobą nie można.

Zamiast zastanawiać się „in abstracto", o ile mir nie tamuje postępów rolnictwa, zejdźmy na grunt realny i postawmy pytanie: jak własność mirska wpływa na nawożenie gruntów, ten, jak w Rosyi, pierwszy i elementarny objaw rolnego postępu.

Materyału faktycznego do odpowiedzi na to pytanie dostarczy nam jeden z najżarliwszych obrońców wspólnej własności ziemi — W. W (Woroncow). Badając bliżej tę kwestyę, rozstrząsając poglądy Woroncowa i rozpatrując fakty, jakie przytacza na ich poparcie, nie tylko wyjaśnimy sobie jedną z najciekawszych praktycznych stron miru, ale przyjrzymy się bliżej metodom dowodzenia na podstawie danych statystycznych, używanym przez Woroncowa.

Kwestyę wpływu własności gminnej na użycie nawozu Woroncow łączy nie z kwestyą ogólnych podziałów gruntu, ale z kwestyą losowań (żerebjewok), które zaraz po uwłaszczeniu, o ile wiadomo, praktykowały się bardzo często,—czasami co roku— miejscami co do wszystkich pól, miejscami tylko co do ugorów, idących pod uprawę oziminy, co przy powszechnej prawie trójpolówce równało się losowaniu co trzy lata. Nawiasem zauważymy, że w gminie, w której pomiędzy jednem a drugiem losowaniem ilość członków gminy, mających prawo do udziału w ziemi, nie uległa zmianie, losowanie i nowy podział ogólny mają ten sam praktyczny rezultat [2]):

---

[1]) Karyszew — l. c. str. 384.

[2]) Rezultaty i t. d. T. I. Rosyjska gmina wiejska. Rozdział VIII. Sposoby jakościowego wyrównania użytkowania ziemi i zaspokojenie wymagań rolnictwa. Wpływ gminnego władania na nawożenie pól. — Specyalnie strony 397—419 i 453 do 458.

Każdy gospodarz dostaje tę samą ilość gruntu, ale w innem miejscu. Celem takiego losowania jest wyrównanie szans, wynikających z naturalnych różnic w gruntach, ich odległości od wsi, a czasami zmniejszenie istniejących szachownic (czerezpołosicy).

Bywają jednak losowania, których celem jest wyrównanie różnic gruntu, powstałych wskutek osobistej działalności gospodarzy; losowania, mające na celu oddanie dobrze uprawnych i wynawożonych kawałków biednym i ekonomicznie słabym gospodarzom (małomoszcznym). Są to losowania — mówi W. W. —z celami socyalnymi, których dążeniem jest nie zrównanie członków gminy, ale przyjście z pomocą słabym na rachunek silnych. Losowania takie rzadko się zdarzają i są coraz rzadsze; gminy starają się ich unikać i próbują usuwać od losowania grunty nawożone. Biedni takich losowań żądają (pow. wiaziemski, tambowski) i, jeśli spotyka ich odmowa, bunt podnoszą (pow. kozłowski). Na południu, gdzie wogóle ziemi nie nawożą, losowania są dla biednych sposobem dostania w posiadanie ziemi, już obrobionej przez bogatych, sami bowiem nowin czarnoziemnych, stepowych dla braku odpowiedniego inwentarza rozorywać nie są w stanie. Wogóle, podług W. W., nie gminne władanie ziemią jest przyczyną, hamującą nawożenie. W wielu okolicach stepowych czarnoziemnych jest ono niepotrzebne dotąd i tam nawet na folwarkach nie bywa stosowane; w wielu okolicach nawóz jest dotąd jedynym środkiem opałowym. Dalej odległość pól i szachownice, warunki najmu pracy i cały szereg innych okoliczności hamują rozszerzanie się nawożenia gruntów. Przy zapytaniach, zwróconych w tej kwestyi wprost do włoscian, mówi dalej nasz autor, często słyszy się odpowiedź, że jedną z przeszkód nawożenia są podziały gruntów i ich losowania (str. 416), że w niektórych gminach zaprzestano nawozić grunta w oczekiwaniu podziału, w niektórych obiecują sobie nawozić, jak tylko podział dokonanym zostanie. Są to wypadki pojedyńcze, ale, gdzie one długo trwały, tam odbiły się wyraźnie na urodzajach.

Z drugiej strony — mówi — podział był często chwilą rozpoczęcia nawożenia, a konieczność nawożenia przyśpieszała chwilę podziału. Podziałom — zdaniem Woroncowa — przypisują zbyt wielki wpływ na zastosowanie nawozu do roli, a wpływ ten w rzeczywistości nie jest tak wielki, jak na to wskazują włościanie. Objaśnienia włościan—powtarza on za statystykiem gub. Samarskiej — odnoszące się do przeszkód, jakie nawożenie gruntów napotyka w porządkach gminnych, należy przyjmować z wielką ostroż-

nością, gdyż w wielu gminach gub. Samarskiej, w których nie praktykują losowania, ziemia mimo to nie nawozi się.

Po takiem zastrzeżeniu Woroncow cytuje odpowiedzi włościan, zebrane w gub. Samarskiej, Tambowskiej i Kurskiej, wśród których spotykamy się ciągle z objaśnieniami: nie nawozimy, bo będzie podział; przestaliśmy nawozić, bo boimy się podziału; podzieliliśmy grunty na długi termin, bo chcemy nawozić; nikt u nas nie nawozi, bo podział się zbliża; przestaliśmy nawozić, odkąd grunty losują; nawozimy po zrobieniu podziału, zaczniemy nawozić, gdy się podzielimy, losowanie nawozić przeszkadza, chowamy nawóz przy chacie, aż podziału dokonamy, przestaliśmy nawozić, bo w gminie zjawiła się silna agitacya za nowym podziałem.

Na podstawie — a raczej wbrew takim objaśnieniom, Woroncow (419) reasumuje swe wnioski w następujący sposób: „Tam, „gdzie nawożenie nie stało się koniecznością i gdzie o korzyściach „nawożenia włościanin jeszcze się nie przekonał, tam przytacza on „różne przyczyny nienawożenia i czasami wymienia podziały i loso„wania, jako jedną z tych przyczyn. W miejscowościach, gdzie „nawożenie weszło w obyczaj, skarg na podziały mniej, a gdzie „zjawi się konieczność nawożenia (pow. szacki, gub. Woroneżska), „tam rozszerza się ono szybko mimo podziałów i losowań. Tam, „gdzie nawożenie jest oddawna w obyczajach ludu, zbliżanie się ter„minu podziałów zmusza niektórych gospodarzy lub niektóre gminy „do nienawożenia, a jeśli to trwa dłużej, urodzaje zmniejszają się". Z tego okazuje się, według Woroncowa, że nie tyle same podziały, ile raczej niepewność położenia, jako rezultat braku określenia pewnego terminu, w którym podział nastąpi, bywa czasami przeszkodą w zastosowaniu nawożenia (419). Gmina stara się tym skutkom zapobiedz w rozmaity sposób.

Z wielką sumiennością Woroncow dostarcza nam materyału do ocenienia, w jaki sposób w 11-tu guberniach i więcej, niż 30 powiatach gminy walczą z podziałami i losowaniami, aby tylko zrobić możliwem nawożenie bez straty dla rolnika (str. 453—8). Gmina zobowiązuje wszystkich do nawożenia (powiatów 2), a gospodarzy nie nawożących, przy nowym podziale lub losowaniu zostawia na dotąd posiadanych gruntach (pow. 4), znosi losowania i częściowe podziały (swałki nawałki — pow. 10), wyłącza grunty nawożone od losowań (powiatów 9), daje przy losowaniu 2 morgi nienawożone za jedną nawożoną; przedłuża terminy losowań (pow. 14), losuje na wieczne czasy, zabrania wywozić nawóz z gminy na pola, które

są osobistą (poza gminą) własnością włościanina. W wielu z tych powiatów nawożenie dopiero wchodzi w obyczaj. Woroncow przytoczył powiat szacki, jako okolicę, w której nawożenie mimo podziałów i losowań szybko weszło w obyczaj (str. 419), wkrótce zaś potem (str. 454) powiada: około 6 gmin (skarbowych) ze względu na konieczność nawożenia, przy ostatnim podziale zniosło losowanie, t. j. zostawiło gospodarzy na dawnych gruntach. Niektóre gminy włościan b. prywatnych rzadziej grunty losują, odkąd zaczęły nawozić, ale wieś Kawerino dokonywa ich coraz częściej, a wieś Alda, postanowiwszy, że losowań corocznych nie będzie, po 3-ch latach dokonała losowania w skutek domagania się tych włościan, którzy pól swych nie nawozili. Większość gmin, praktykujących wogóle losowania, wyłącza z nich pola blizkie wsi, wynawożone (45 gmin), albo losują co lat 10 — 15 (gmin 12). Z biegiem czasu — mówi on dalej—ta nawożona część pól zwiększa się; niektóre gminy włościan skarbowych, które dawniej często dokonywały losowań, od końca lat 70 i od początku lat 80-tych, zniosły je „w interesach nawożenia".

Powiat szacki — dla Woroncowa typowy przykład, jak obok podziałów i losowań, może sią szybko rozprzestrzeniać zwyczaj nawożenia gruntu -— dla nas jest typowym przykładem walki między dwiema — nie ideami, ale bardzo realnemi potrzebami: podniesienia wydajności roli przez bardziej intensywną uprawę — i zachowania formy prawnej władania ziemią, przez prawo roku 1861 usankcyonowanej, która to forma — kiedyś, dawniej, przy bardziej pierwotnej kulturze rolnej doskonale się z tą kulturą zgadzała. Z chwilą, gdy ta kultura robi pierwszy krok naprzód — stare formy i obyczaje prawne stają się niemożliwe. Jak mogą być one pogodzone z innemi wymaganiami postępów rolnictwa: grodzeniem pól, kopaniem rowów, osuszaniem, drenowaniem, usuwaniem kamieni i t. d ? — dla nas jest zupełnie ciemne.

Na pytanie to niektórzy z obrońców miru mają gotową odpowiedź: na drodze kooperacyi włościańskiej. Do kwestyi tej wrócimy później, a wyjaśniwszy tymczasem, że mir, jako forma organizacyi społecznej przymusowej, różni się zasadniczo od stowarzyszenia kooperacyjnego, które jest formą organizacyi społecznej dobrowolnej, skończymy rozbiór kwestyi: jak mir godzi się postępem w rolnictwie następującą myślą, zapożyczoną od Kaczorowskiego.

Każda kropla potu ludzkiego, wylana więcej na roli, każda fura nawozu, wywieziona na rolę, każda skiba, głębiej pługiem wzię-

ta — wzmacnia w rolniku tendencyę do indywidualnej własności, wzmacnia w nim prawo do owoców pracy, usuwa ideę prawa do pracy i prawa do zaspokojenia potrzeb. W miarę, jak ziemia coraz intensywniejszej od osoby rolnika domaga się pracy, tem intensywniejszem musi być i prawo, którę tę rolę wiąże z osobą rolnika.

Wzrost ludności i konieczność postępów w kulturze rolnej są to konieczności fizyczne, do których mir —jeśli ma istnieć—przystosować się musi.

(*d. c. n.*) *St. Piotrowski.*



Postępy techniki a kwestya społeczna.

Wrażenia z wystawy powszechnej w Paryżu.

Zauważono powszechnie, że wystawa r. 1900 nie dała nowych „zdumiewających", „epokowych" wynalazków. Nie dziw. Nowych prawd naukowych w dziedzinie przyrodoznawstwa zdobyto w ostatniem dziesięcioleciu wiele, i wynalazków technicy poczynili niemało. Lecz dziś zużytkowanie tych prawd dla celów praktycznych, zastosowanie wynalazku w przemyśle odbywa się natychmiast. Dla kogo dziś „promienie Röntgena" lub nawet telegrafowanie bez przewodnika Markoniego są nowością! To już dziś do przeszłości należy. Ta szybkość, z jaką świat pochłania i przetrawia wyniki wiedzy, jest bezpośrednim skutkiem rozpowszechnienia wykształcenia fachowego. Szanująca się fabryka chemiczna lub mechaniczna utrzymuje dziś na swoim żołdzie cały sztab „wynalazców", urządza całe pracownie naukowe, w których fachowcy wykształceni pracują nad nowemi kombinacyami i nad zastosowaniem każdej idei naukowej do celów praktycznych; bezpośrednio zajęci w produkcyi technicy natomiast mają za zadanie drugą niemniej ważną funkcyę: uczynić produkcyę, opartą na tych nowych zasadach, zyskowną. Całą

tę ogromną armię fachowców przygotowywa szkolnictwo nowożytne, które przybrało odpowiednie cechy: gimnazyum filologiczne, „humanistyczne”, mające dawać wykształcenie ogólne, ustępuje krok za krokiem przed szkołą „realną”, w której nacisk położono na przygotowanie do dalszych studyów fachowych; a obok szkół realnych coraz szybciej wzrasta ilość średnich szkół fachowych. Uniwersytet staje się dziś kopciuszkiem, politechnika dziecięciem pieszczonem. Tolerują jeszcze uniwersytet głównie dlatego, że nie jest już „uniwersytetem” czystym, że przygotowuje również „fachowców” — lekarzy, prawników, teologów, lecz biada mu, gdyby chciał wyrzec się tego charakteru! W każdym parlamencie europejskim łatwo przekonać przedstawicieli narodu, że milion, wydany na wybudowanie nowego laboratoryum chemicznego, jest wydatkiem pożytecznym, trudniej skłonić ich do zezwolenia na wydatek kilku tysięcy dla urządzenia nowej katedry filozofii lub na wydawnictwo historyczne. Ideologicznie rozumując, można przytaczać nieskończoną ilość za lub przeciw tej przewadze „realizmu” w wychowaniu i szkolnictwie. Lecz jeżeli zadamy sobie pytanie, dlaczego właśnie we współczesnej dobie rozwoju społecznego tak intensywnie występuje dążność do popierania wychowania fachowego, odpowiedź nie może być wątpliwą: żyjemy w dobie kapitalizmu, którego podścieliskiem jest produkcya wielko-kapitalistyczna, oparta na pracy wielko-przemysłowej; burżuazya, jako klasa panująca, nadaje więc i tej poszczególnej ideologicznej dziedzinie, jaką jest wychowanie i wykształcenie, cechy zgodne z jej światopoglądem utylitarystycznym.

Właśnie grupa pierwsza wystawy paryskiej, poświęcona wychowaniu, naocznie przekonywała o szybkim rozwoju tego systemu „realnego” i fachowego szkolnictwa. Niestety, brak miejsca nie pozwala nam zatrzymywać się przy tym objawie; musimy ograniczyć się zaznaczeniem ogólnego wrażenia. Owoce zaś tego wykształcenia fachowego — to był właściwy popis na wystawie.

Przedewszystkiem w oczy rzucił nam się nieprzerwany, zdumiewający postęp w dziedzinie mechaniki. Najbardziej rażącym był on w dziale machin t. z. narzędziowych, t. j. machin, przeznaczonych do obrabiania metalów i drzewa, a zastosowanych głównie przy fabrykacyi machin; a więc: machiny do piłowania, krajania, sztancowania, narzynania gwintów, szlifowania i t. p. i t. p. Przodowali w tym dziale bezwarunkowo Yankesi. Na wystawie w Vincennes nieprzebrana ilość machin, będących w ruchu, wykonywała czynności najrozmaitsze, o których do niedawna sądzono, że tylko ręka wykwalifikowanego rzemieślnika może je wykonywać, a przy-

tem wykonywały je z większą dokładnością, szybciej, a przedewszystkiem niezmordowanie. Doniosłość postępów na tem polu jest oczywistą: im wyżej wykwalifikowaną jest machina, służąca do wyrobu nowych machin, tem większą dokładnością będzie odznaczała się z kolei ta ostatnia. To też maszyna robocza, bezpośrednio stosowana do wyrabiania przedmiotów użytku, wskutek udoskonalenia machiny narzędziowej doszła do takiego udoskonalenia, o jakiem nie marzono dawniej. Weźmy, jako przykład, machinę do wyrobu koronek i haftów. Zasada właściwie jest również prostą, jak zasada maszyny do szycia; igła lub cały szereg igieł przedzierzga nici po kanwie, pionowo rozpostartej; trudność polegała na tem, aby ramę, zawierającą kilkaset takich igieł, można było poruszać w kierunku pionowym i poziomym, ustawiając igły zgodnie z wzorem. Trudność tę pokonano już przed laty; przy maszynie takiej stoi robotnica, wodząc ostrzem, osadzonem w jednem z ramion długiej dźwigni, po wzorze, który ma rozpięty pionowo przed sobą; ilekroć osadzi to ostrze w punkcie deseniu, tyle razy cały szereg igieł robi ścieg na kanwie, tylekroć deseń zostaje odtworzony z całą dokładnością. Lecz pierwsze z tych maszyn miały zaledwie po kilkanaście igieł, były wprawiane w ruch ręcznie i mogły robić najwyżej po 20 ściegów na minutę; na wystawie były maszyny szwajcarskie, których rama o długości do 6,17 metrów i odpowiedniej ilości igieł wprawiana jest w ruch motorem elektrycznym i robi 120 ściegów na minutę, zużywając siłę pół konia parowego. Otóż takich rezultatów można było dosięgnąć tylko przy bajecznej dokładności wykonania wszystkich części składowych. Jest to jeden z tryumfów machiny narzędziowej.

Albo maszyna-zecer, układająca ze zdumiewającą szybkością czcionki drukarskie, pracująca niemal trzy razy szybciej od zecera, a przytem dająca już dziś druk nieposzlakowanie równy i piękny! Takich przykładów było na wystawie cały legion.

I oto, jak wspomnieliśmy, Amerykanie górują tu nad innymi. Dziś już całe mnóstwo maszyn roboczych Europa sprowadza z Ameryki, a parowozy amerykańskie są uznane za bezwarunkowo najlepsze. A więc doskonałość maszyny narzędziowej staje się jednym z argumentów, przemawiających za tem, że konkurencya amerykańska na polu przemysłowem nie jest czczym wymysłem, lecz faktem wielkiej doniosłości społeczno-ekonomicznej. Jeżeli teraz zapytamy, skąd pochodzi wyższość Yankesów, to oczywiście nie zadowolnimy się frazesem o „pomysłowości amerykańskiej". Wynalazcy bowiem ci w znacznej liczbie są przybyszami z Europy albo synami takich

przybyszów; o jakiejś specyficznej psychice amerykańskiej trudno rozprawiać poważnie. Rzecz tłómaczy się prościej. Przedsiębiorca europejski miał do rozporządzenia zawsze liczny personel robotników wysoce wykwalifikowanych, pochodzących z ludności rzemieślniczej, przedsiębiorca amerykański ich nie miał; o ludzi, uposażonych w prostą siłę mięśniową, było względnie łatwo wobec prądu emigracyjnego, ludzi z wykształceniem technicznem dostarczyła również pod dostatkiem Europa, lecz fachowych rzemieślników trudniej już znaleźć można było, a jeżeli byli w kraju, znajdowali zarobek łatwy, jako rzemieślnicy, zakładali własne warsztaty. Skąd robotnik fachowy był zawsze—a i dziś jeszcze jest—drogi. A więc musiał przedsiębiorca amerykański dążyć przedewszystkiem do zastąpienia pracy robotnika fachowego pracą maszyny narzędziowej; opłacała mu się nawet tam, gdzie przedsiębiorcy europejskiemu nie opłacałaby się. To więc było pobudką początkową, a później już rozwój wskutek rutyny nabytej i specyalizacyi poszedł dalej w tym kierunku pomimo obniżenia płacy roboczej. Znów więc warunki społeczne, a jako ich podstawa — warunki produkcyi rozstrzygają tu kwestyę.

Zawód sprawiły kotły parowe na wystawie. Należało się bowiem spodziewać, że przy kotłach, będących w ruchu dla dostarczenia siły motorycznej — czynne były dwie baterye, jedna o 40, druga o 50 kotłach, powierzchni ogrzewalnej 17,000 metrów i mogących dostarczyć pary o sile 30,000 koni parowych — zostaną zastosowane ostatnie wyniki wiedzy. Tymczasem próżno szukano tam zastosowania bezdymnego spalania i nowych systemów, polegających na zużytkowaniu materyału opałowego do ostatnich granic. A tymczasem właśnie te kwestye nabierają coraz większego znaczenia ekonomicznego i hygienicznego, i właśnie wystawa powszechna powinna była wykazać, czy wynalazki ostatnich lat w tym kierunku rozwiązują zagadnienia.

Co do motorów parowych, obraz był w każdym razie niezupełny. Amerykanie nie wystawili nic w tym dziale, Anglicy wystawili kilka zaledwie okazów, a i te nie były w ruchu. Współzawodniczyły tedy głównie z sobą firmy francuskie, niemieckie, szwajcarskie i austryackie. Prym trzymały maszyny niemieckie, odznaczające się prostotą, znakomitemi ulepszeniami co do utylizacyi pary i jednostajności chodu. Nader charakteryczną jest przytem rzeczą, że po większej części motory parowe były bezpośrednio łączone z motorami elektrycznymi. Szczególniej zwracał uwagę ogromny motor dwucylindrowy o sile 1,500 koni parowych i 94 obrotach, złą-

czony z jednej strony z dynamomaszyną o toku przerwanym, dostarczającym energii 1,000 kilowoltów przy napięciu 5,000 woltów, z drugiej — z dynamomaszyną o prądzie stałym sprawności 400 kilowoltów przy 500 woltach; koło z magnesami pierwszej dynamomaszyny o średnicy 5,8 metrów służy jednocześnie, jako koło rozpędowe motoru parowego. Wielkie zajęcie budziły także „turbiny parowe" (angielskie); zasada ich jest taka sama, jak turbin wodnych; para, przechodząc po szufelkach koła turbinowego stopniowo rozszerza się aż do sześciodziesięciokrotnej swojej objętości pierwotnej, i wskutek tego ostatnia odrobina energii motorycznej zostaje wyzyskaną, co nigdy nie mogło mieć miejsca w maszynach łukowych, a prócz tego chód maszyny jest pomimo nader prostej konstrukcyi niesłychanie jednostajny. Motor ten znalazł już obszerne zastosowanie w Anglii, a obecnie zaprowadzają go niemieckie elektryczne stacye centralne. Charakterystyczna, że po dziesięcioleciach dopiero zasada turbiny zostaje w ten sposób zastosowaną do maszyny parowej, podczas gdy od samego początku maszyny parowej, wynalazcy zawsze pracowali wyłącznie nad udoskonaleniem maszyny tłokowej. Przejawia się tu znów ów konserwatyzm myśli ludzkiej, wskutek którego staramy się przy wszelkich inowacyach naśladować pierwotną zasadę, czego przykładem najbardziej rażącym była pierwsza lokomotywa, pierwsza maszyna parowa do przebywania przestrzeni, która, jak zwierzę, chodziła na nogach. Można być pewnym, że turbina parowa rozpocznie nową erę na polu wynalazków, a początek miała ona znów w Anglii, w klasycznym kraju wynalazków mechanicznych.

Jako fakt znamienny, przytoczyć warto, że najpotężniejszy motor parowy, wystawiony w w Paryżu, potrójna maszyna reseirowa o sile 5,000 koni, wykonywająca 160 obrotów, arcydzieło pod względem dokładności i potęgi, jest przeznaczoną dla cesarskiej fabryki stali w Japonii. „Narody europejskie, chrońcie najświętsze wasze dobra", głosi napis na skomponowanym przez Wilhelma II obrazie, na którym dziewica Germania podnosi tarczę i miecz przeciw bałwanowi Buddy. Technicy niemieccy widocznie innego są zdania, skoro arcydzieła swoje oddają na usługi wyznawców Buddy i — mają słuszność.

Iście olbrzymimi kroki podąża naprzód elektrotechnika. Na wystawie paryskiej samo już oświetlenie wieczorne głosiło nawet profanom o ogromie tej gałęzi przemysłu. Dynamomaszyny o sile przeszło 36,000 koni dały możność uruchomienia 6,000 lamp łukowych i 40,000 żarowych, a kilka olbrzymich reflektorów, rzucają-

cych światło na dziesiątki kilometrów, potęgowało jeszcze tę powódź światła. Jeszcze w roku 1881 względnie świeca Jabłoczkowa budziła zachwyt; dziś szukać już jej chyba w muzeach potrzeba; zarówno bowiem w konstrukcyi lamp łukowych, jak żarowych, postęp jest olbrzymi. Lecz nie tylko światło lamp jest nierównie intensywniejsze, czystsze i jednostajniejsze, lecz koszt ich jest o wiele mniejszy. Dawniejsza lampa łukowa wraz z mechanizmem regulującym kosztowała 250 do 400 fr., dziś sprzedają je po 30 do 50 fr Jest to przedewszystkiem skutkiem uproszczenia owego mechanizmu regulującego, które było i jest przedmiotem ciągłych zabiegów. Jeszcze ważniejszem jest powiększenie utylizacyi energii. Pierwsze lampy elektryczne bowiem mogły być oświetlone tylko w ten sposób, że w jednym obwodzie elektrycznym paliła się jedna lampka, każda lampa tedy wymagała oddzielnej maszyny; a czasem zdołano zużyć energii, dostarczonej przez jedną maszynę, dla 12 do 20 lamp, przyczem wszakże każda lampa wymagała specyalnego przewodnika i aparatu. Naturalnie, było to jeszcze połączone z ogromną zatratą energii — do 70%. Obecnie te straty są zredukowane do *minimum*, oświetlenie elektryczne pod względem ekonomicznym jest najkorzystniejszem. Tak samo z lampą żarową: forma jej zewnętrzna pozostała taką samą, jaką jej nadał Edison, ale ulepszenia są olbrzymie, wyzyskanie energii dochodzi do *maximum*. To też zastosowanie jest coraz większe: firma amerykańska General Electric Company wyrabia rocznie 15 milionów sztuk, *Allgemeine Elektrizitäts Gesellschaft* w Berlinie 10 milionów i t. d.; ale też przed laty 20 jeszcze lampa kosztowała około 10 franków, dziś zaledwie 60 centymów. Nie ulega przytem kwestyi, że postępy są tu jeszcze ciągłe, czego dowiodła właśnie wystawa: wystawiono bowiem tam wiele lamp, udoskonalonych dopiero w ostatnich latach, pokazano kilka systemów, opartych na nowych zasadach. Z ostatnich największe zajęcie budzi lampa niemieckiego technika Nernsta: chodzi tu o zastosowanie siły świetlanej t. z. „ziem rzadkich", jak to ma miejsce w palnikach Auera. Zasada więc jest znaną oddawna, lecz zastosowaniu jej do lamp elektrycznych to stawało dotąd na przeszkodzie, że te tlenki w stanie ochłodzonym są złymi przewodnikami elektrycznymi, a przeto nie mogą być rozżarzone prądem elektrycznym. Chodziło tedy o zastosowanie automatycznych nagrzewaczy, które zużywają energię elektryczną w celu ogrzania palnika, i tu trudność została pokonaną przez profesora Nernsta. Lampa odznacza się przedewszystkiem niezrównanie białem, przyjemnem światłem, i to gwarantuje jej przyszłość. Obok lamp do oświetlenia ulic i mieszkań

wystąpili technicy z olbrzymiemi ogniskami świetlnemi, przeznaczonemi dla celów specyalnych, przedewszystkiem dla latarni morskich. Jeden z takich palników rzuca światło o sile 316 milionów świec normalnych.

Zastosowanie oświetlenia elektrycznego przyczyniło się do ulepszeń w urządzeniu stacyi centralnych, dostarczających energii elektrycznej w wielkiej ilości dla oświetlenia miast, a obok tego później te stacye centralne poczęły dostarczać prądu, jako siły motorycznej. O urządzeniu i rozwoju takich stacyi pouczają plany, wystawione w oddziale inżynieryi. Weźmy, jako przykład, stacyę centralną berlińską. W roku 1885 stacyę całą obsługiwała maszyna parowa o sile 150 koni; w roku 1899 siła maszyn parowych wynosiła już 38,000 koni parowych. Lecz to okazuje się już zgoła niewystarczającem, i obecnie budują dwie nowe stacye centralne, po których wykończeniu będzie do rozporządzenia siła 142,000 koni parowych. Nadto zakład berliński dostarcza energii elektrycznej po cenie 22 fenigów za kilowolt na godzinę, podczas gdy paryska stacya żąda 87 centymów. Tłómaczy się to tem, że w Berlinie i okolicach dziś już ogromna ilość fabryk używa energii elektrycznej, dostarczanej przez stacyę centralną, jako siły motorycznej, zużywając do 20,000 koni parowych. Ogromne też postępy pod względem zastosowania energii elektrycznej dla celów motorycznych zrobiła w ostatnich czasach Szwajcarya; wodospad Renu oraz prąd rzek i strumieni górskich jest zużyty, jako siła motoryczna dla wprawienia w ruch turbin wodnych, a energia ta, przekształcona w energię elektryczną, przenosi się na dalekie przestrzenie, by później, znów przeinaczona w energię ruchu, wprawiać w bieg maszyny zakładów fabrycznych. Na wystawie była mapa Szwajcaryi, pokryta siecią linii czerwonych, zaznaczających przewodniki elektryczne; sieć ta już dziś przypomina systematycznie rozgałęzioną sieć kolei żelaznych. Wystawiono też plany licznych stacyi centralnych, planowanych w Niemczech południowych, Norwegii, Rumunii, Holandyi i t. d.

Nader imponująco przedstawia się plan urządzenia, które ma posłużyć do osuszenia moczarów w delcie u ujścia Niemna: mają tam być wzniesione ogromne czerpaki, poruszane motorami elektrycznymi, wprawianymi w ruch ze stacyi centralnej, przyczem same czerpaki będą działały zgoła automatycznie, maszyny nawet nie będą potrzebowały żadnego dozoru. Tu motory elektryczne odegrają po raz pierwszy rolę, jaką odegrały machiny parowe Woolfa przy osuszeniu jeziora Haarlemskiego w latach 1840—53; w ciągu tych trzynastu lat maszyny wypompowały 8,000 milionów metrów kubicz-

nych wody i osuszyły 45,000 akrów gruntu, co kosztowało około 18 milionów franków. Obecnie na tej przestrzeni zamieszkuje do 18,000 dusz, a morga ziemi przedstawia wartość do 3,500 franków. Jeżeli machiny elektryczne ziszczą pokładane w nich przy tej pierwszej próbie nadzieje, to wkrótce zapewne podobne przedsięwzięcia na wielką skalę zostaną rozpoczęte w innych miejscach. Maszyn dostarcza tutaj berlińska *Allgemeine Elektrizitätsgesellschaft.*

Znaczenie takich stacyi centralnych, mogących przesyłać energię motoryczną na znaczne odległości, jest oczywiste. Z chwilą, kiedy utrata przy przesyłaniu energii zostanie zredukowaną do *minimum*, zamiast transportu węgla, potrzebnego do wytwarzania energii motorycznej w siedliskach przemysłowych, będziemy spalali węgiel w miejscu jego wydobycia — przypuśćmy w Dąbrowie, wprawiali tam w ruch maszyny parowe, przeistaczali ich pracę w energię elektryczną, tę skierujemy do siedlisk przemysłu, przypuśćmy do Łodzi i Warszawy, gdzie wprawimy w ruch wszystkie maszyny motorami elektrycznymi. Należy pamiętać, że na wystawia elektrotechnicznej w Monachium w roku 1881 po raz pierwszy dopiero udało się przenosić w ten sposób energię elektryczną: wówczas Marcel Deprez wprawiał w ruch motor elektryczny siłą, dostarczoną przez dynamomaszynę, ustawioną w Miessbach, t. j. z odległości 50 kilometrów; w roku 1891 na wystawie we Frankfurcie nad Menem wyzyskano pracę turbiny w Lauffen – na odległości 175 kilometrów, jako źródło energii dla maszyn elektrycznych; praca, równa 100 koniom parowym w Lauffen, dawała we Frankfurcie 70 koni parowych. Dziś nastąpiła znaczna redukcya tej straty. Pewna ilość energii zawsze oczywiście będzie traconą wskutek takiego przewodu, lecz dziś strata jest bez porównania większą, jeżeli weźmiemy w rachubę energię, utraconą na transport węgla. Otóż wystawa paryska dowiodła, że, bądź co bądź, zbliżamy się do chwili, kiedy przenoszenie energii motorycznej za pomocą prądu elektrycznego będzie ekonomicznie korzystniejszem od transportu nosiciela energii — węgla i zbliżamy się szybko. Tak np. do niedawna można było kablów podziemnych używać tylko dla prądów elektrycznych, których napięcie nie przewyższało 3,000 woltów, obecnie na wystawie można było oglądać kable o trzech drutach miedzianych, po których przewodzono prądy o napięciu do 50,000 woltów. Na wystawie można się było też przekonać, że kwestya zastąpienia miedzi, jako metalu przewodniczego, innym metalem zbliża się również do rozwiązania. Kwestya ta stała się palącą od czasu, kiedy właściciele kopalń miedzi, utworzywszy syndykat międzynarodowy, zdobyli monopol i podwyż-

szyli niepomiernie ceny. Obecnie udowodniono już, że równie dogodnym przewodnikiem, jak miedziany, jest drut aluminiowy. Dziś tedy ta kwestya redukuje się do kwestyi kosztów, ta zaś tak się przedstawia: kilogram drutu aluminiowego kosztuje dziś 3,24 franków, kilogram drutu miedzianego 2,28 franków; lecz, biorąc pod uwagę własności tych metali pod względem przewodnictwa i ciężar gatunkowy, dochodzimy do rezultatu, że 1 kilogram drutu aluminiowego zastępuje 3 kilogramy miedzianego. Przy chwilowych więc cenach aluminium okazuje się już znacznie dogodniejszem. Elektrotechnicy, których dziełem jest obniżenie kosztów produkcyi aluminium, odparli zamach monopolistów, który groził zatrzymaniem całego rozwoju elektrotechniki!

Jednakże przeciw planom, powyżej wskazanym, podnoszą zarzut poważny, że, skoro, przy przesyłaniu energii motorów parowych na przestrzenie wielkie za pomocą elektryczności—straty energii są konieczne, więc taka utylizacya energii, zawartej w węglu, jest społecznie niekorzystną wobec zawieszonej nad naszą przyszłością klęski stopniowego wyczerpania zapasów węgla. Zarzut ten słusznie odpierają elektrotechnicy, wskazując na fakt, że ich stacye centralne wobec swoich rozmiarów olbrzymich mogą posługiwać się i posługują się zawsze kotłami i maszynami największej sprawności, a więc wyzyskują energię, zawartą w węglu, w stopniu najwyższym, podczas gdy dziś większość zakładów przemysłowych, pracując motorami mniej doskonałymi, trwoni tę energię, a więc straty dziś są daleko większe, aniżeli byłyby przy zastosowaniu wielkich, racyonalnie urządzonych stacyi centralnych.

Takie zastosowanie energii elektrycznej pociągnie niezawodnie za sobą doniosłe zmiany społeczne. Zmieni się zasadniczo charakter miast przemysłowych, nastąpi decentralizacya przemysłu. To znów pociągnie za sobą zmiany w ustosunkowaniu renty gruntowej, zwłaszcza wielkomiejskiej. Przewidzieć w szczegółach dobre skutki społeczne trudno, lecz kwestyi nie ulega, że przejawiłyby się one we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Charakterystyczną jest rzeczą, że wielkie nadzieje, pokładane dawniej w rozpowszechnieniu motoru elektrycznego pod względem dźwignienia drobnego przedsiębiorstwa, zwłaszcza rzemiosła, nie ziściły się. Twierdzono: motor elektryczny, który może być zastosowany do każdej maszyny, zajmuje mało miejsca, nie potrzebuje żadnego dozoru, stanie się motorem drobnego wytwórcy, znajdzie zastosowanie w warsztacie ślusarskim, stolarskim, nawet w krawieckim, gdzie będzie wprawiał w ruch maszynę do szycia.

Tu i owdzie ma to w rzeczy samej miejsce, zwłaszcza w Berlinie, gdzie, jak wspomnieliśmy, centralna stacya elektryczna dostarcza energii motorycznej po cenie nader taniej. Jednakże o wielkiem rozpowszechnieniu takiego zostosowania niema mowy. Przeciwnie, w pierwszej linii skorzystał z tego postępu technicznego wielki przemysł. Na wystawie widzieliśmy znakomite ulepszenia maszyn elektrycznych maleńkich rozmiarów, złączonych bezpośrednio z maszynami roboczemi; czy to będzie piła drzewna, czy selfaktor, czy krośna tkackie, czy maszyna drukarska, wszędzie ten maleńki motor daje się zastosować. Korzyści, stąd płynące, są naoczne: wszelkie transmisye zostają usunięte, każda maszyna posiada swój motor, może być wprawioną w każdej chwili w ruch lub zatrzymaną bez żadnego względu na motor główny i bieg innych maszyn, i każda maszyna zużywa tylko energię konieczną przy jej własnej pracy. Stąd więc zwiększa się utylizacya energii; zmniejszają się zatraty zbyteczne. Jednakże warunkiem pozostaje, aby każda z maszyn roboczych była najzupełniej wyzyskaną, a to ma w daleko mniejszym stopniu miejsce w przedsiębiorstwie drobnem, aniżeli w wielkiem, gdzie można przeprowadzić racyonalniejszy podział pracy i racyonalną korperacyę pracy. To też właśnie wielkie przedsiębiorstwa w pierwszej linii zastosowały owe „drobne" maszyny elektryczne, i w ten sposób postępy elektrotechniki, wbrew oczekiwaniom zwolenników drobnej produkcyi, stały się raczej czynnikiem, potęgującym przewagę wielkiego nad drobnem przedsiębiorstwem. Zresztą ekonomista, głębiej patrzący na rzeczy, oddawna już nie wątpi, że nie zaufanie pod względem technicznym jest główną przyczyną zastoju w rzemiośle, że raczej to zaufanie jest zjawi skiem wtórnem, wynikającem z ogólnej sytuacyi ekonomicznej, głównej zaś przyczyny, dla której rzemiosło i wogóle drobne przedsiębiorstwa odgrywają coraz mniejszę rolę w ogólnym układzie ekonomicznym społeczeństw nowożytnych, należy szukać raczej w stosunkach handlowych i kredytowych, w ogólnej organizacyi przedsiębiorstwa.

W przemyśle chemicznym wielkie przedsiębiorstwo panuje dziś niemal niepodzielnie, co tłomaczy się samym procesem produkcyi. To też nie tylko z punktu widzenia technicznego, lecz i ekonomicznego, jest to jeden z działów wytwórczości najbardziej ciekawy. Przedewszystkiem młody ten względnie przemysł skorzystał z postępów techniki mechanicznej; skutek dla masy robotniczej był ten, że niema tu prawie mowy o robotniku „wykwalifikowanym"; chemik naukowo wykształcony i wyrobnik — oto personel fabryki chemicznej; najwyżej w masie robotniczej wyróżnia się jeszcze „do-

zorca", który wszakże po największej części jest tylko prostym robotnikiem, nie posiada kwalifikacyi fachowych. To też robotnicy fabryk chemicznych to paryasi pośród proletaryatu, najgorzej płatni, najmniej mający zapewniony byt. Przytem pamiętać należy, że robotnicy ci pracują w okropnych warunkach. Z tego więc względu, zwiedzając dział chemiczny na wystawie, przeglądając wydawnictwa przemysłowców, w których figurują imponujące cyfry co do wzrostu produkcyi — wartość produkcyi chemicznej w Niemczech obliczają dziś na miliard marek rocznie!—szukaliśmy skrzętnie sprawozdań o wysiłkach, mających na celu ochronę zdrowia robotników, którzy wytwarzają pracą swoją te miliardy. Rezultat był minimalny: wynalazczość ludzka, która zdaje się nie mieć granic, kiedy chodzi o nagromadzenie bogactw, o wyzyskanie ekonomiczne zdobyczy naukowych, żółwią odznacza się nieruchomością, kiedy chodzi o dobro szarej masy, niosącej w ofierze swe kości, mięśnie i płuca molochowi przemysłowemu. Smutne! Jeden tylko był okaz wystawowy, zasługujący pod względem powyższym na słowa szczerego uznania. Jak wiadomo, rząd francuski zaprowadził przed laty kilkunastu monopol na wyrób zapałek. Przez długi czas fabryki państwowe nie wahały się produkować dalej zapałek z białego fosforu, przy której to fabrykacyi robotnicy niechybnie padali ofiarą nekrozy, owej strasznej a nieuleczalnej choroby. Projekt prawa, zakazującego wogóle użycia białego fosforu przy fabrykacyi zapałek, został odrzucony w parlamencie. Włościanin francuski, rozumowała większość, przywykł do zapałek, które rozpalają się przy potarciu o każdą powierzchnię, nie wolno mu zabierać tych zapałek. Więc pozwalano by nadal setki dziewcząt i chłopców truły się białym fosforem, byle poczciwy kmiotek mógł zapalać fajkę, potarłszy zapałkę o spodnie, i nie sarkał na polityków. Dopiero przed kilku laty udało się chemikom wynaleźć masę, która rozpala się przy potarciu o każdą powierzchnię, lecz nie zatruwa robotników (połączenie fosforu białego z siarką). Teraz zaś zarząd monopolu wystawił maszynę, przy której robotnicy nie stykają się zupełnie z masą fosforową, gdyż maczanie zapałek odbywa się automatycznie w naczyniu, hermetycznie zamkniętem, przygotowywanie zaś masy jest możliwe w takich warunkach, że robotnik nie jest narażonym na oddychanie gazami trującymi. Zarządowi monopolu i technikom należy się uznanie.

Co do ogólnych postępów w przemyśle chemicznym, to najtrudniej wykazać je na wystawie tak, by stały się zrozumiałe dla niespecyalistów. Jeżeli np. w dziale niemieckim wystawiono olbrzy-

mią czaszę krystaliczną, zawierającą wspaniałe ciemnobarwne błyszczące kryształy syntetycznego indygo, to napewno śród milionowego tłumu, który przeszedł obok witryny, było bardzo niewielu takich, co uprzytomnili sobie na widok tej czaszy, że stają przed świadectwem olbrzymiego tryumfu wiedzy i techniki, że wydarcie przyrodzie tajemnicy, wytworzenie na drodze syntetycznej nowego ciała organicznego pochłonęło bezmiar pracy ludzkiej, że jest to w rzeczy samej wynalazek, godnie wieńczący postępy chemii w wieku wynalazków. A jeszcze mniej może ludzi zdawało sobie sprawę ze społecznej doniosłości faktu, o którym głosi ta czasza, napełniona błyszczącymi kryształami. A przecież rzecz warta zastanowienia. Jak wiadomo, indygo naturalne jest produktem roślinnym, otrzymywanym z krzewów *indigofera*, rosnących w krajach podzwrotnikowych. Barwnik ten był znany już w starożytności, lecz użycie jego w Europie średniowiecznej jest nieznanem. Dopiero przy końcu XVI wieku zapoznają się z nim nanowo Europejczycy, a kiedy w wieku XVII kampania indyjsko-holenderska przywozi znaczne ilości indygo, plantatorzy urzetu, który wówczas dostarczał farbiarzom barwnika niebieskiego, podnoszą protest, i przywóz „szkodliwego produktu” zostaje za czasów Elżbiety zakazanym w Anglii, Francyi, Holandyi, Niemczech. Jeszcze pod koniec wieku XVII w Norymberdze majstrowie cechu farbierskiego przysięgać musieli na krzyż i ewangelię, że nie będą barwili tem zielem zamorskiem, a za naruszenie przysięgi karano na gardle. Pomimo to zalety barwnika zwyciężyły, w roku 1737 zniesiono ostatnie zakazy używania go, przywóz wzrastał, plantacye urzetu znikły. Około tegoż czasu nauczono się farbować indygiem spreparowanem wełnę (dotąd bowiem używano go tylko dla barwienia płótna i bawełny), co przyczyniło się do jeszcze szybszego wzrostu zapotrzebowania. Z zapotrzebowaniem wzrastała cena indygo i zyski przy produkcyi, lecz zyski te zagarniał nie wieśniak indyjski, tylko monopolista z kampanii indyjskiej: zmuszono pod karą Indusów zasiewać pola zamiast ryżem indygiem, gdyż mynheerom holenderskim i sirom angielskim uprawa ta zapewniała krociowe zyski przy handlu cennym barwnikiem. Dziś takie „środki barbarzyńskie” są zbyteczne. Indus musi uprawiać indygo i inne cenne produkty, inaczej nie będzie mógł opłacić podatku, i poborca zabierze mu ostatnią koszulę, przy uprawie bowiem ryżu lub zboża nie byłby w stanie wygospodarować tyle, ile potrzeba na te podatki. Dziś więc Indusi Bengalu dostarczają na rynek rocznie około 5 milionów kilogramów indygo, Jawajczycy do 1,5 miliona. Ponieważ zaś 100 kilogr. wysuszonych liści daje zale-

dwie 2 kilogramy barwnika, krzew zaś wymaga nader starannej uprawy, można sobie wyobrazić, jak wielkie obszary gruntów zajmują plantacye, ile pracy kosztuje indygo zużywane, ilu ludzi żyje z tej uprawy. I oto pojawia się produkt sztuczny, który można fabrykować w dowolnych ilościach przy niewielkich kosztach, produkt, dogodniejszy nawet dla farbiarza od indyga naturalnego. Indusom grozi nowa klęska. „Wynalazca maszyny przędzalniczej zrujnował Indye, co wszakże nie wzrusza nas", powiada sykofanta kapitału, A. Thiers w swojem dziele *De la Propriété*, (przyczem, jak powiada Marx „pomieszał maszynę przędzalniczą z krośnami mechanicznemi, co nas wszakże nie wzrusza"). Wobec czary kryształowej, napełnionej ciemnymi, metalowo-połyskującymi kryształikami fabryki badeńskiej, przypomniała nam się ta cytata, stanęli przed oczyma wieśniacy Bengalu o smagłej cerze i smutnych oczach, i nie potrafiliśmy tak bardzo cieszyć się tryumfem techniki, który ich skazuje na głód i nędzę...

Lecz mówmy dalej o zdobyczach Europy. Oto pawilon angielskich fabrykantów sody. To także kartka z ekonomiki społecznej. Jak wiadomo, w latach 1870—1880 zaczęła się walka zażarta pomiędzy fabrykantami, którzy produkowali starym systemem Leblanca, a nowatorami, korzystającymi ze zdobyczy technicznych Solvay'a. Lata trwał bój, w którym jedni dorabiali się fortun, inni ginęli; dziś w jednym wspólnym pawilonie popisują się zwycięzcy ogromem swojej produkcyi; to syndykat złączonych fabrykantów Anglii, syndykat, który decyduje o przemyśle chemicznym Anglii, od którego zależy los setek tysięcy robotników, który dyktuje warunki konsumentom najniezbędniejszych produktów chemicznych. Dalej, widzieliśmy w dziale angielskim nowy preparat chemiczny, który może zrewolucyonizować cały przemysł chemiczny, t. z. „viscosę". O nim powiada profesor N. Witt: „*Viscose* nazwali Cross i Bevan, wynalazcy tego preparatu, szluzowatą masę, jaką otrzymuje się z celulozy pod działaniem ługu potasowego i siarczanu węgla, a z której łatwo regenerować znów zużytą celulozę. Można przytem nadawać celulozie, podobnie jak to czyni roślina, dowolną formę; można otrzymać celulozę w masywnych bryłach, w przezroczystych tafelkach lub prząść ją w cienkie nici, łudząco podobne do jedwabiu, lecz cena ich będzie wynosiła zaledwie kilka franków. Można dalej dodawać to ciało w stanie ciekłym do masy papierowej, a potem regenerować celulozę; powstający w ten sposób papier nie potrzebuje wtedy ciał obcych, jak kleju lub żywicy, gdyż substancya włókien papierowych jakby zrasta się w jedną masę. Można też użyć jej

do malowania drzewa i żelaza zamiast farb olejnych; a z drugiej strony, nakładając rozczyn alkaliczny tej masy na stare farby olejne, można, jak skórę, zdzierać pokłady tej farby, co ma znaczenie np. w marynarce, gdzie zeskrobywanie malowania olejnego okrętów sprawia ciągle wiele pracy. Viscosa bez wątpienia jest wynalazkiem bardzo doniosłym, o którym usłyszymy wiele jeszcze. Jedynym jej niedostatkiem jest wielostronność, która zatrzymać może jej postęp".

W dziale francuskim urządzono małą wystawę retrospektywną. Jest tam przedewszystkiem mała gablotka z relikwiami po Antonim Lavoisier, „ojcu chemii nowożytnej", którego zbuntowani bourgeois posłali na gilotynę w roku 1794. Powiedzmy nawiasem: posłali nie dlatego, że był szlachcicem i genialnym—jak opowiadają w bajkach dla dorosłych dzieci, lecz dlatego, że, będąc dzierżawcą ceł, zdzierał po trzy skóry z braci mydlarzy i pigułkarzy. W gablotce znajdują się: waga prymitywna, która stała się w jego rękach najpotężniejszą dźwignią nauki, przyrządy, którymi wykonał swoje klasyczne doświadczenia nad paleniem ciał, flakonik z wodą, którą on pierwszy utworzył na drodze syntetycznej. Stąd począwszy, krok za krokiem możemy śledzić rozwój wiedzy chemicznej i zastosowanie zdobyczy tej wiedzy w praktyce. Postęp to szybki ile pracy, ile intuicyi genialnej!

Jak wiadomo, na polu chemii nader żywo występuje współzawodnictwo narodowościowe. Francuzi reklamują ją, jako „naukę francuską", Niemcy i Anglicy chełpią się rozwojem swojej techniki chemicznej i nie uznają pretensyi francuskich, powołując się na to, że wielkie odkrycia naukowe ostatnich czasów nie są dziełem Francuzów. Jest to spór zgoła jałowy, bo właśnie chemia w większym może stopniu, niż inne nauki, jest międzynarodową, ponieważ rozwojowi jej współdziała cały kompleks nauk przyrodniczych — fizyki, fizyologii, matematyki, a nawet filozofii. O ile wszakże chodzi o postępy techniczne, nikt nie odbiera dziś pierwszego miejsca Niemcom; wystawa paryska ponownie pouczyła o ogromnych postępach przemysłu chemicznego we Francyi: na polu fabrykacyi barwników fabryki francuskie mogły wystąpić z prawdziwie pięknymi okazami, przodują w fabrykacyi klejów, smarów i ekstraktów z barwników naturalnych, a przedewszystkiem dominowali ogromnie na polu zastosowania elektrochemii. Najnowsza ta gałąź techniczna obrała za siedlisko kraj górzysty południowo-wschodniej Francyi, Savoyę i departament Isère, gdzie korzysta z siły motorycznej rzek i strumieni. W roku 1889 przemysł ten zużywał siły motorycznej 3,800

koni parowych, dziś 109,425 koni parowych. Głównym przedmiotem produkcyi jest aluminium, chlorki alkaliczne i calciumcarbid. Wogóle zaś metody elektrochemiczne produkcyi mogą w przyszłości spowodować niejeden jeszcze przewrót w produkcyi chemicznej.

Środki komunikacyi z natury rzeczy zajęły pokaźne miejsce na wystawie. Inowacyi wszakże ważnych na tem polu nie było. Znany np. projekt poruszania wagonów po relsach, napełnionych wodą siłą ciśnienia tej wody, demonstrowany na przedostatniej wystawie paryskiej, okazał się snać niemożliwym do uskutecznienia, skoro na ostatniej wystawie nie pozostało po nim śladu. W parowozach odznaczyli się znów Amerykanie kilku okazami, a silą się dorównać im na tem polu Niemcy i Francuzi. Z wagonów kolejowych odznaczyły się przedewszystkiem wagony, przeznaczone dla kolei syberyjskiej, wystawione przez jedną z firm francuskich. Jest to szczyt komfortu i elegancyi, a przytem zgodnie z wymaganiami, jakie powstać muszą przy wielodniowej podróży, urządzono tu kąpiele, pokoje gimnastyczne, czytelnie; można zarzucić co najwyżej, że ściany, pokryte artystycznemi malowidłami, są trzymane w tonach zbyt jasnych, więc nadto ucierpią od czadu i kurzu. Równie piękne są wagony kampanii międzynarodowej, dostarczającej wagonów sypialnych. Wysilają się tam np. na urządzenie wentylacyi, zaopatrującej wagon w ochłodzone powietrze podczas podróży po krajach gorących.

Małe natomiast postępy zdołali wykazać technicy co do środków, zapobiegających nieszczęśliwym wypadkom na kolejach. Inowacyą poważną były na tem polu zwrotnice scentralizowane, przy których pomyłki w ustawieniu zwrotnic są niemal wykluczone. Lecz liczne katastrofy kolejowe wykazują, że jest to środek, bardzo jeszcze niewystarczający. Każdy wysiłek na tem polu, każdy pomysł, choćby jeszcze niezupełnie dojrzały, zasługuje na uwagę baczną, a właśnie niewielka ilość podobnych okazów musiała zastanowić bacznego obserwatora na wystawie. Lecz nasuwa się tu inna jeszcze myśl: istnieje już dziś wiele bardzo urządzeń, które bezwarunkowo ze względów na bezpieczeństwo powinny być stosowane. Tak np. katastrofa niedawna pod Oppenburgiem przypomniała ponownie, jak niebezpiecznym jest system oświetlania wagonów gazem. Nie ulega żadnej kwestyi, że oświetlenie elektryczne daje pod tym względem daleko większe rękojmie; system ten jest dziś wypróbowany i okazuje się zgoła zadawalniającym. Pomimo to jeździmy ciągle w wagonach, które z powodu katastrofy wspomnianej na-

zwał ktoś „ruchomemi krematoryami”. Powodem może być tylko oszczędność zarządów kolejowych; lecz oszczędność taka, gdzie chodzi o życie ludzkie, jest trudno zrozumiałą. Rok w rok setki pracowników kolejowych ponoszą śmierć i kalectwo przy spinaniu wagonów. Praca ta staje się z roku na rok niebezpieczniejszą wskutek wzrastającej szybkości ruchu, nagromadzenia pociągów na liniach. Najsurowsze przepisy nic tu nie pomogą. Przepis np. głosi, że niewolno spinać wagonów, dopóki są w ruchu, lecz robotnik wie doskonale, że stosowanie się do przepisu może pociągnąć spóźnienie pociągu, a wtedy czekają 'go wymówki i kary; wbrew więc przepisom śpieszy z robotą i naraża się na zmiażdżenie pomiędzy buforami wagonów. Przytem ciągłe narażanie się na niebezpieczeństwo przytępia baczność, co jest koniecznością psychologiczną, której przepis nie przełamie; często nawet bywa tak, że trzeba przekroczyć przepis dla uniknięcia katastrofy: wagony stają na linii, parowóz spóźnił się, a tu nadjeżdża pociąg; nie usunąć wagonów znaczy spowodować spotkanie, więc w ostatniej chwili zarzuca się rygle z narażeniem życia. I oto były przyrządy do automatycznego spinania wagonów, przy których wszelkie niebezpieczeństwo jest wykluczonem. A więc należy się spodziewać, że za rok wszystkie koleje będą zaopatrzone w te przyrządy, o zgniecionych klatkach piersiowych i odciętych nogach spinaczy nie będzie już mowy? Tylko nieuleczalny optymista odpowie tu twierdząco. Wynalazek bowiem nie jest nowym, jest tylko modyfikacyą systemu, znanego już od lat pięciu, a przecież nie wszedł w życie. Odpowiedzą na to: jeżeli nie wszedł w życie, to prawdopodobnie dlatego, że nie był jeszcze dostatecznie praktycznym. Przypuściwszy nawet, że tak jest, byłoby to niezmiernie charakterystycznem dla techniki współczesnej. Byłby to drugi przykład tej opieszałości, jaką wytknęliśmy, mówiąc o fabrykacyi zapałek.

Wielkie zajęcie budziła wystawa kolei elektrycznych. Jak wiadomo, technicznie kwestya kolei elektrycznych na wielkie przestrzenie jest dziś już rozwiązaną; ekonomicznie biorąc, kolej taka nie wypadnie również drożej, niż kolej parowa. Nie ulega też kwestyi, że pod względem udogodnienia ruchu, zwłaszcza pasażerskiego przewaga jest stanowczo po stronie nowego systemu, gdyż każdy wagon jest tu niezależną jednostką, możnaby zatem bez zwiększenia kosztów powiększać ruch w miarę potrzeby, możnaby na danej linii puszczać w ruch wagony w krótkich odstępach czasu. Kwestye, jakie jeszcze usuwać się mogą, zapewne usunęliby elektrotechnicy w nader krótkim czasie. Lecz na przeszkodzie do zastosowania tego

systemu na wielką skalę staje kwestya ekonomiczna z innych względów. Włączenie w ogólną sieć kolei parowych jednej linii elektrycznej jest oczywiście niemożliwem, i dlatego nowe linie muszą być parowemi, skoro mają być włączone do sieci ogólnej; z drugiej znów strony tabory i wszystkie urządzenia obecnych kolei przedstawiają wartości miliardowe w każdem państwie, i kapitały te byłyby stracone przy zmianie systemu. Okazuje się tu, że tak samo, jak w kwestyi oświetlenia miast, gdzie kapitał, ulokowany w gazowniach, nie pozwala na zaprowadzenie oświetlenia elektrycznego, „dobre jest wrogiem lepszego" i dziś jeszcze trudno przewidzieć, w jaki sposób ta trudność zostanie pokonaną.

Natomiast w dziedzinie lokomocyi miejskiej za pomocą elektryczności zapanował ruch ożywiony. Najwięcej rozpowszechniony system z przewodnikiem, umieszczonym w górze, pośrodku ulic nie czyni już dziś zadość wymaganiom, głównie z powodu szpecenia ulic. Pierwszem tedy jest tu zadanie ulepszenie akumulatorów, i na wystawie popisywano się nimi obficie. Dotąd wszakże rezultatów zadawalniających niema, gdyż, jakkolwiek niektóre z akumulatorów pod względem technicznym są najzupełniej sprawnymi, to przecież koszta są zbyt wygórowane. Lecz elektrotechnicy na innej jeszcze drodze szukają rozwiązania: systemy kolei podziemnych i napowietrznych zajmują dziś uwagę w stopniu najwyższym. W Londynie kolej miejska podziemna jest dziś wprawianą w ruch siłą elektryczną, przyczem tunel został przeprowadzony pod Tamizą. Kto kiedykolwiek jeździł dawniej koleją, wychodził po dwudziesto-minutowej jeździe z wagonu czarny, jak murzyn, a potem sapał i kichał przez dziesięć minut, nie mogąc pozbyć się sadzy, napełniających usta, nos i uszy: ten będzie umiał ocenić korzyści nowego systemu. Podobną kolej podziemną, jakkolwiek w szczupłych rozmiarach, otrzymuje obecnie Paryż, w Berlinie zaś wykończają kolej elektryczną, biegnącą po wysokich wiaduktach. Przedewszystkiem zaś system kolei elektrycznych miejskich wszelakich systemów znalazł ogromne zastosowanie w Ameryce, lecz niestety Amerykanie nie wystawili tym razem zgoła nic w tym dziale. Wielkie też zainteresowanie budziła kolej elektryczna „powietrzna", wystawiona przez jedną z firm niemieckich, polegająca na zawieszaniu wagonów na jednym relsie, umieszczonym kilka metrów nad poziomem. System ten pomiędzy innemi posiada tę zaletę, że łuki przy zwrotach mogą być bardzo ostre bez narażenia na niebezpieczeństwo wagonów.

Należy tu wspomnieć także o „schodach ruchomych", wprawianych w bieg motorem elektrycznym. Najprostszą formą jest pas bez końca szerokości metra, który biegnie od jednego do drugiego piętra po linii pochyłej; staje się na nim i wjeżdża się na piętro z umiarkowaną szybkością bez wstrząśnień najmniejszych, a komu bardzo już śpieszno, może chodzić po tym pasie, zdwajając w ten sposób szybkość ruchu. W porównaniu z „liftami", które wiecznie są narażone na czyhające zewsząd niebezpieczeństwo, jest to system bezwarunkowo nader dogodny. Takie urządzenie funkcyonowało na wystawie wzorowo, i zapewne wkrótce w hotelach i magazynach wielkich znajdzie obszerne zastosowanie. Jeszcze praktyczniejszym jest wszakże inny system, wystawiony przez jedną z firm amerykańskich, t. z. „Escalator"; są to schody drewniane nadzwyczajnie solidne, które są wprawiane w ruch tak samo, jak pas bez końca: staje się na dolnym stopniu i po kilku sekundach jest się wzniesionym na wysokość 10 metrów. Po zatrzymaniu maszyny schody mogą służyć po dawnemu, niema więc obawy, aby wskutek jakiegoś defektu maszyneryi nastąpiło przerwanie komunikacyi, a wszelkie niebezpieczeństwo jest absolutnie wykluczone. Na schodach takich o 50 stopniach może transportować się w godzinę 12,000 osób bez najmniejszego niebezpieczeństwa; zużyta w tym celu siła motoryczna równa się sile 35 koni parowych. Schody takie mogłyby znaleźć zastosowanie zwłaszcza przy dworcach kolejowych i stacyach kolei elektrycznych, położonych pod lub nad poziomem ziemi.

(dok. nast.) *J. B. Marchlewski.*



ŻYCIE I MARZENIE,

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA *).

III.

I sen ten był marą tylko, bo w całem tem towarzystwie nie miał on wcale wrogów. Anegdotka o „kuzynie dzierżawcy", nie najlepiej przystosowana do harmonii salonowej, była mu darowana, jako dziecku, a ta druga — jako „*enfant terrible*'owi. Tylko hrabia Multan, znany Mireckiemu, jako „jasnowłosy pan", z całą dobrodusznością, na jaką go stać było, powtórzył przy tej sposobności, że angielska metoda trzymania poza towarzystwem lub ignorowania w towarzystwie belfrów podoba mu się stokroć bardziej od „naszego" spoufalania tej kasty „dziecinnej" z dorosłymi historycznie ludźmi; ale Jesiołowski z miną wyższego rozumienia ducha czasu i społeczeństwa swego odparł z uśmiechem, którego pobłażliwość mogła się tyczeć zarówno „dziecinnego" powodu do rozmowy, jak interlokutora:

— Przedewszystkiem nie jesteśmy Anglią, a potem między naszymi nauczycielami domowymi można spotkać bardzo dystyngowanych, przynajmniej w przyszłości, ludzi.

— Wiem, wymieni wuj kilku literatów i uczonych... Ależ wtedy dopiero czas na przyjmowanie ich do towarzystwa mniej więcej

*) Ob. „Ateneum", styczeń 1901.

al pari, oczywiście, bez żon, ale taki, naprzykład, Litwin, mający kuzyna na Ukrainie i opowiadający przy nas o księciu „przesądnym”... Czy to przyjemnie słuchać, a przytem jeżeli on zechce Julka w duchu tych anegdotek?...

— Kiedy będziesz miał sam dzieci, dowiesz się, że dla nich rodzice muszą wiele znieść, a co do tego Mireckiego, to zapewniał mnie profesor Kosowski, że jego „czerwoność” nie jest niebezpieczną czy przewrotową...

Hrabianka zaś Marynia, synowica pana domu, której sylwetka tak groźnie wyglądała we śnie Mireckiego, nie pamiętała nawet sama, jak on wyglądał, i nie pomyślała o nim ani razu tego wieczora.

Towarzystwo rozeszło się jeszcze przed północą. Marynia cały czas była spokojnie ożywiona, a znalazłszy się w swoim pokoju, po wyprawieniu służącej otworzyła okienko i wychyliła głowę. Bzy najbliższe stały czarne, zlewając się niemal z czarnością drzew wyższych, których konary górne gdzieniegdzie można było odróżnić na tle oaz błękitu nieba, przez które ławicami przeciągały jeszcze obłoki i chmury. Kilka razy wciągnęła pełną piersią powiewu, który zdał się jej już rzetelnie wiosennym.

— Będzie pogoda — wymówiła półgłosem tak dziwnie, że w tem zabrzmiał cały niepokój pytania, którem pomimo wszelkich wysiłków dusza jej wzbierała: „czego on chce ode mnie?”

I nagle tłumione myśli się rozpętały — drżące z niepokoju, a przygnębione i upokorzone.

Czego on chce od niej? Nikt nie uważa, ale żona jakby coś czuła. Jeżeli on nie pali twarzy jej, Maryni, wzrokiem, to jego żona bada: wpatruje się, jakby spowiadać i malować chciała. Każde słowo jego — żart dla wszystkich, a wyznanie dla niej. Ile w niem prawdy? Jeśli wierzyć oczom — dużo, za dużo. Jego spojrzenia — to cyfrowane depesze miłosne, w których wszyscy mogą czytać tylko naturalną i żartobliwą żywość, ale jej klucz dają inne, niemożliwe do przejęcia. I czego on chce? Przecie sprzedał się tej wyblakłej, sztywnej lalce...

I Marynia przeżyła we wspomnieniu wieczór, w którym zeszłej jesieni przyszła karta, zapraszająca na ślub hrabiego Alfreda Multana z księżniczką Jarnutówną. Cała rodzina tak była tem zadziwiona, że nikt uwagi nie zwrócił na to, co się działo z Marynią.

— Mądra to i doświadczona panna — rzekł stryj Jesiołowski.

— Starsza od niego co najmniej o lat pięć — dodała stryjenka.

— Jeżeli nie da mu do rąk swoich milionów, a weźmie go w ręce sama, będzie jako tako.

— Słyszałam, że to suchotnica — wtrąciła Maniusia.

— Co do milionów, to papa chyba na franki rachuje — dorzucił Karol Turowicki, syn hrabiny Jesiołowskiej z pierwszego małżeństwa — co zaś do suchot, to tem lepiej dla niego.

— Patrz, Maryniu, jak cię zdradził — odezwała się nagle, niby żartobliwie, stryjenka.

— Stryjeneczko, ale pozwoli mi się stryjeneczka z tego nie utopić? — zawołała dziewczyna, zdążywszy już opanować wzruszenie.

— A czy wiesz, Maryniu, że on mnie kiedyś niby półżartem, to jest po swojemu, pytał, czybym mu cię dał? Odpowiedziałem, oczywiście, w tym samym tonie, że dla córek pragnąłbym mężów poważniejszych. „Czyli nie takich gołych, z przeproszeniem, jak ja?" zapytał, *en riant un tantinet jaune.* A przynajmniej nie takich utracyuszów, jak ty, — odpowiedziałem —i na tem się skończyło.

Zdawkowy wyraz „córek", którym w wypadkach uroczystych manifestował czasem Jesiołowski wspaniałomyślność swą opiekuńczą. walczył przez chwilę w duszy dziewczyny z żalem gwałtownym, ale, nim stryj skończył, mogła już odpowiedzieć ze śmiechem:

— Dziękuję stryjowi z całego serca, bo kuzynek Alfred jedyny jest do zabawy, ale małżeństwo — to coś poważniejszego.

— To szczęście i obowiązek — rzekła sentencyonalnie stryjenka.

— Wszystkie te rozumowania nie przeszkadzają jednak temu, że mi się aż płakać chce, żeśmy straciły takiego towarzysza zabaw, skoro bowiem księżniczka Jarnutówna kupiła sobie...

— Maryniu! — zawołała zgorszona stryjenka.

— ... takiego ślicznego męża, to pewno nie po to, żeby go do zabawy innym wypożyczać — dokończyła Marynia śpiesznie pomimo surowej miny stryjenki i roześmiała się, żeby się naprawdę nie rozpłakać.

Znalazłszy się wreszcie sama w swoim pokoju, otworzyła wtedy okienko, jak dziś: niebo było wyiskrzone, i chłodny powiew nocy tchnął na nią. I nagle — ot jak w tej chwili — uczuła wyraźnie na szyi tuż przy ramieniu to miejsce, w które niegdyś się wpił ustami Alfred.

Było to dwa lata temu. Miss Clark została w altanie z Jesiołowską, a oni we troje poszli tą odwieczną aleją lipową, co środek

parku opasuje. Zaledwo zeszli z oczu Angielki, rozbawiony podlotek, wiecznie wesoła Maniusia zawołała:

— A teraz bądźmy źle wychowanemi panienkami: ścigajmy się.

I pobiegła, a oni za nią. Wtem Maniusia się zatrzymała: bucik się jej rozsznurował, a Marynia, nie zauważywszy tego, biegła wciąż, myśląc, że jej sukienka jeszcze jest zakrótka, i więcej słysząc bicie własnego serca, niż kroki Alfreda. Niepewna, czy go dość daleko wyprzedziła, biegła wciąż, nie zważając na załamanie się alei, gdy nagle Alfred dopadł jej w kilku skokach i pochwycił... krzyknęła, wyrwała się i wróciła do Maniusi, której tak starannie, a tak niezręcznie pomagała przy uregulowaniu bucika, a wieczorem płakała bardzo i przyciskała ręką to miejsce, jakby gojąc ranę czy tuląc ptaka, żeby nie uciekł.

Potem długo czuła wielki i ciągły niepokój, prawie taki sam, jak jeszcze przed rokiem, kiedy to stryjenka po naradzie z doktorem powiedziała na zakończenie:

— Tylko masz być teraz poważna, bo przestałaś być dziewczynką, a stałaś się dorosłą panną.

Słowa te wryły się w pamięć tem lepiej, że ku wielkiemu żalowi jeszcze przeszło rok czekać wypadało na prawdziwie dlugą suknię.

Po owych wyścigach Marynia nie ruszyła się już od boku stryjenki, tak, że przy kolacyi, do której stryj siadł w wyjątkowo złym humorze, czytała wyraźnie, choć ukradkiem, na twarzy Alfreda niepokój: „czy się nie poskarżyła?”...

Dziewczyna jednak wiedziała dobrze, iż niema się komu poskarżyć bez upokorzenia dla siebie samej. Miss Clark wydałaby seryę głosów indyczych, skierowanych przedewszystkiem ku jej zgnębieniu i zawstydzeniu; stryjenka zaś po udzieleniu jej mnóstwa nauk moralnych wieczorem przed stryjem użalałaby się kłopotów z wychowaniem cudzych dzieci, i potem może skandal... Czuła się więc Marynia biedną sierotą, prześladowanem stworzeniem, które za każdym razem tylko w ucieczce mogło znaleźć ratunek od jakiegoś niewyraźnego, lecz mącącego zmysły przerażeniem, niebezpieczeństwa. Pomimo to jednak wieczorami przytrzymywała rączką ów pocałunek, żeby nie uciekł, jak ona sama uciekała odtąd przed Alfredem, a zamiast myśleć o ukaraniu go, marzyła, coby się było stało, gdyby nie była krzyknęła i odtrąciła go tak gwałtownie i uciekła i gdyby Maniusi za zakrętem alei nie było wcale?

I marzyło się jej chwilami, że drżąc stoi, a ten pocałunek dzi-

wnie i rozkosznie przepala jej ramię i, niby żywy węgiel, pełza... Albo widziała uroczne oczy szafirowe tuż przy swoich i na swoich ustach czuła usta...

Ale marzenia te rwały się, jak tlące się nici: porywał ją zawrót głowy. Otrząsała się, myła twarz zimną wodą, chwytała książkę, jeżeli zaś aż tak skakały litery, że nic zrozumieć nie było można, szła do fortepianu i grała preludya Szopena, dopóki własne łkania nie zaczęły wtórować dźwiękom łkającym, grać przeszkadzając.

W parę tygodni po owym pocałunku Alfred wyjechał na długo, i ona się niebawem zupełnie uspokoiła, ale zawiadomienie o jego ślubie zmąciło jej duszę nanowo. Gdyby stryj nie wspomniał o tem, że mu jej odmówił, miałaby dla Alfreda wzgardę bez domieszki, i byłoby jej lżej, ale tak, choć rozumiała, że owo pytanie mogło być prostym żartem, rozumiała jeszcze lepiej, że inaczej nie mogło być przez Alfreda zrobione nigdy, znając zaś stryja Jesiołowskiego, mógł on po jego żartobliwej odpowiedzi wiedzieć napewno jak brzmiałaby poważna.

Tak, ale mógł przecie iść przebojem — myślała, i brwi się jej ściągały gniewem i zaciętością, którаby się żadnych gromów stryjowskich nie ulękła. Ostatecznie mógł czekać do jej pełnoletności.

Zapewne, niedotraconą jeszcze ostatnią wioszczynę zabraliby mu przedtem wierzyciele, ale przecie niedługoby klepał biedę, bo na Runiskach, które jej stryj przeznacza...

Może bał się, że, gdyby chciała wyjść za niego wbrew woli stryja, ten cofnąłby dar. W takim razie onaby tembardziej za niego poszła. I czy toż dar? Przecie babunia Zahorska wytłómaczyła jej, że to właściwie tylko zwrot córce tego, co się należało ojcu. Ostatecznie nawet ta babunia Zahorska, choć sama niebogata, nie dałaby jej nędzy cierpieć. Zresztą choćby nawet do tego przyszło...

I wyobraźnia malowała jej ją samą w rolach bohaterek różnych powieściowych, co się pracą poświęcały dla miłości. Tylko Alfreda nie mogła sobie Marynia wyobrazić inaczej, jak z oczyma, w nią wpatrzonemi, i pocałunkami lub dowcipami na ustach.

I z bólem zdawała sobie sprawę z tego, że jemu narzucać bohaterstwo byłoby niepodobieństwem, że w gruncie rzeczy stryj miał słuszność najzupełniejszą co do niego. Ale najmozolniej budowaną o nim opinię sprawiedliwą burzyło w jednej chwili przypomnienie jego półszeptu żartobliwego, który przed owymi wyścigami był w jego ustach zwrotką, wstawianą do każdej rozmowy, gdy tylko

nikt nie mógł usłyszeć: „gdybyś wiedziała, kuzynko, jak ja cię kocham”.

I, zamiast zdecydować się ostatecznie na to, co ma o nim myśleć, szukała po albumach fotografii jego narzeczonej, by z goryczą i zazdrością jej się przyglądać lub ze wzgardą pychy porównywać swoją twarz z jej ostrymi i sztywnymi rysami.

Jednak spokój i tym razem wrócił jej po paru tygodniach, a zmąciła go znów wiadomość o „ich” wizycie. Udawała taką swobodną i wesołą w dzień, wyznaczony na przyjazd państwa Multanów, że aż Maniusia ją zapytała przy wszystkich, z czego się tak cieszy?

— Że zobaczę znów kuzynka Alfreda — rzuciła bez namysłu, znajdując instynktem jedyną odpowiedź, przy której mogła się nie oblać zdradzieckim rumieńcem.

Kiedy zobaczyła przez okno samą panią Multanową, wysiadającą z karety, strach i żal ścisnął jej serce, jakby przypuszczała, że Alfredowi się „coś stało”. Po chwili opanowała się, a usłyszawszy, że nagły i ważny interes zatrzymał go w Warszawie na dzień jeden, ucieszyła się nawet, jakby z tego, że ich nie zobaczyła odrazu razem.

Ten dzień minął, i oto znów czuła się ona bezradnem i prześladowanem stworzeniem.

Czego on chce od niej? Poco, niby przypominając dawne czasy, znów aż dwa razy powtórzył dawnym żartobliwym, a przenikliwym, szeptem: „gdybyś wiedziała, kuzynko, jak ja cię kocham!” Poco w alei lipowej, niby całkiem naiwnie, zaproponował wyścigi... jak dawniej... kiedy teraz jest przy nim ta...

I gniew zaciskał jej rączki i gnał falę krwi do głowy wraz z falą łez do oczu.

Zemścić się, pokazać mu, że ją nic nie obchodzi, i wyjść za księcia Płonińskiego, który się o nią tak wyraźnie stara ku przykrości stryjostwa, którzyby za niego chętnie Maniusię wydali!...

I ani wiedziała, jak bardzo ta zemsta wpada w myśl pięknego kuzyna. Odprowadziwszy żonę do przeznaczonego im apartamentu, poszedł on jeszcze „na cygaro” do Płonińskiego, z którym rozmowa prędko zeszła na panny Jesiołowskie. Chwalił Maniusię pobieżnie, choć mile, ale dla Maryni słów zachwytu nie żałował. Chciał szalenie mówić o jej szyi, twarzy, oczach, włosach, ruchach, kibici, więc, żeby dech palący o tem nic nie powiedział, zużywał go na rozwodzenie się nad jej inteligencyą, wykształceniem, bystrością, dobro-

cią. Wspomniał nawet z rozpędu jej dziecinną fantazyę — przed trzema laty — uczenia dzieci sług dworskich: musiała aż sama hrabina się w to wdać, najprzód wydalając nauczycielkę Polkę, która jej tę myśl podała, a następnie zabraniając służbie posyłać dzieci „do panienki".

— Oczywiście prędko to przeszło — dodał uspakajająco. Pyszne są te cygara: jutro ci się wywdzięczę, książę, papierosami, które mój szwagier sam przywiózł z Kairu... Właściwie tylko Maniusi jestem krewnym, tamta zaś jest mi tylko powinowatą, ale siostrze rodzonej lepiejbym nie życzył. Skromność bez przesady, wytworność bez pozy, żywość przy czystości duchowej, prawość męska przy wdzięku dziewiczym.

— Ale, ale, skąd książę masz tego prawego ogiera lejcowego?— zapytał nagle, czując, że go tamten temat naprawdę porywa.

— Sanguszkowski — odpowiedział książę, zasłuchany w mowę o swojem marzeniu i nagle jakby ze snu obudzony. — Co się zaś tycze panny Maryi... panny Maryni Jesiołowskiej...

Zaciął się i, schyliwszy twarz, zaczął z wielką uwagą, choć bez potrzeby, strząsać popiół z cygara.

— Kiedy bo ta dziewczyna ma taki czar...—dopomógł mu pan Alfred. Ale taka rozmowa może nie dla wszystich zdrowa jest na noc — przerwał sam sobie, a dostrzegłszy jakoby skrzywienie się i zmarszczenie lekkie Płonińskiego, ciągnął bez przerwy prawie:—bo białe anioły marzeń na jawie śpiewem rajskim łatwo sen odgonić mogą. W każdym razie, gdybym nie kochał swojej żony, możebym zazdrościł tobie, książę, tej powagi i... jakby to powiedzieć?... gruntowności, które tak imponują... nie, lepiej: budzą tyle ufności i życzliwości we wszystkich w tym domu... A czy książę stąd wraca do Płonin?

— Tak.

— Mówiłem o zazdrości, a właściwie mógłbym znaleźć naprawdę powody do niej: przecie moja żona ma kult dla ciebie, książę... Ale to mi przypomina, żem się zagadał. Dobranoc, książę.

— Dziękuję za miłą pogawędkę i dobranoc, hrabio.

U drzwi jeszcze pan Alfred się odwrócił i rzekł:

— A ten ogier jest o włos za mały do twojej czwórki, książę, i, gdybyś go kiedy miał do sprzedania, choćby za dziesięć lat, chciałbym o tem wiedzieć.

— Jeżeli ci się, hrabio, podoba, odstąpię go chętnie za to, co sam dałem.

— Oczywiście, z doliczeniem wszystkich kosztów sprowadze-

nia — żywo dorzucił pan Alfred. Ale ja za nic nie skorzystam z tej uprzejmości księcia, nie, nie! Jeżeliś go książę sprowadził, to przecie dlatego, że ci się samemu podobał. Jeszcze wiedząc, że jużeś się nim książę nabawił...

— Im dłużejbym się... bawił, tembardziejbym się... przyzwyczajał... a co do kosztów, to ktoby pamiętał o takich drobnostkach. Odeszlę ci go, hrabio, z Płonin nazajutrz po powrocie...

— Nie, ani słyszeć o tem nie chcę, dziękuję —nie— mówił pan Alfred, jeszcze raz ściskając dłoń Płonińskiego, uszczęśliwiony z nabytku i urwania godziny od nudów z żoną na rozmowę o Maryni, której imię samo zaczynało go drażnić po dawnemu. Cygaro było pretekstem, temat rozmowy przyszedł sam przez się, ale teraz pan Multan miał jakieś niewyraźne poczucie swego niby umyślnego machiawelstwa.

— Ten poczciwiec ślepo - głucho - i głupio - niemy ożeni się z nią i przywiezie do swego Płonina tuż pod mój Jarnutów, i... Aż mu tchu brakło na myśl o tem.

— *Est - ce vous, Alfred* — zawołała z sąsiedniego pokoju żona, usłyszawszy stuknięcie mimowolne cicho skradającego się męża.

— *Si cherie. Vous ne dormez pas encore?*

— *Non, cheri. Voulez - vous me dire bonsoir?*

— *Mais c'est ce que j'allais faire* — odpowiedział, zaciskając zęby z bezmyślnej wściekłości na tę arystokratyczno-anemiczną tyczkę, która gotowa jednak była w alkowie pozbyć się swej sztywności.

I tak długo się krzątał po swoim pokoju, że znalazł ledwo uchwytny wyraz zawodu na twarzy żony, kiedy go ujrzała w tym samym stroju salonowym. Z rozdrażnieniem dostrzegł, że trzymała ona ręce pod kołdrą: nie chciała się widocznie dać zbyć urzędowem pocałowaniem rączki. Mignęła mu myśl, że dla odwrócenia widocznych przeczuć żony należałoby może do ostatnich granic posunąć galanteryę małżeńską, ale w tej chwili łatwiejby mu było zelżyć...

— *Eh bien, Votre patte, cherie!*

I w tych niby grzecznie wesołych słowach brzmiała taka ostrość rozkazu, że zacięta, dumna i zła dla wszystkich kobieta wysunęła szybko rękę, której on ledwo dotknął wargami.

— *Je sens le cigarre à ne pas embrasser à qui je veux plaire*—dodał dla osłodzenia pigułki. — *Il était si fort, qu'il m'a fait mal à la tête.*

I, pocierając czoło, zawrócił się ku wyjściu.

— *Je crois, cheri, que tout le monde ici doit se douter, que vous ne m'aimez pas.*

Drżąca w tem „*se douter*" nieśmiała prośba o sprostowanie z jego strony choćby najkonwencyonalniejszym frazesem — zdała mu się wstrętnem natręctwem, z całą więc świadomością swego brutalstwa, jakby chcąc w niej dotknąć zarazem kobietę i dewotkę, rzucił, wpół odwróciwszy się ode drzwi:

— *Voulez vous que je vous baise devant tout ce monde, comme autrefois le faisaient devant le consistoire catholique les maris accusés de froideur?...*

I jakby się bojąc dodać co, wyszedł śpiesznie, rzucając już całkiem uprzejmym tonem:

— *Bonsoir, cherie!*

Usiadł na kanapie i usiłował wrócić do myśli o Maryni, lecz nastrój z przed kwadransa nie chciał wrócić, co jeszcze zwiększyło jego złość na żonę. Po kilku minutach zdawało mu się już, że ma ku niej taką nienawiść, taki wstręt, że aż go to przeraziło. Uprzytomnił sobie, że takie usposobienie mogłoby popsuć małżeństwo, z takim nakładem liryzmu z jego strony zawarte wbrew woli szwagra i całej rodziny jego.

Więc, jakby się chciał otrząsnąć z uczuć niedogodnych, zaczął się rozbierać, poruszając się szybko. Ruch i zimna woda orzeźwiły go, a gdy tylko stłumił rozdrażnienie na żonę, wróciła Marynia, o której zaczął myśleć, jak o czemś zupełnie swojem: przecie miała zostać księżną Płonińską. W rozpamiętywaniach tych nie bruździła mu już oczywiście ani jej dobroć, ani charakter lub rozum. Przypominał sobie za to dawne jej rumieńce i dreszcze pod wesołym płomieniem jego słów i spojrzeń i jej uciekanie po owym pocałunku w szyję.

„A jednak nie powiedziała nikomu... Nie powie tembardziej mężowi"? I snuł plany kampanii niewątpliwie zwycięskiej i marzył, jak znów uczuje pod ustami szyję, usta „księżny"...

Zasnął nad ranem, ale wnet znów się obudził. Wreszcie zasnął na dobre, i śniło mu się, że w jego objęciu płacze i szaleje z przerażenia, bólu i rozkoszy nie księżna, lecz ta dzisiejsza Marynia dziewicza i cudna.

Obudził się nazajutrz z lekkim bólem głowy, ale pomimo to myśl jego odrazu się zabrała do rozwijania wstępu do owej genialnej przyszłej kampanii. Przedewszystkiem trzeba, żeby Marynia wyszła za Płonińskiego. Tymczasem więc nie należy jej bałamucić, bo gotowaby przez jakieś fanaberye uczciwości czy bohaterstwa

odmówić temu biedakowi, który się widocznie kocha i stara. Nie trzeba mu przeszkadzać. Niech Marynia idzie za księcia i dla jego zalet, które ją znudzą skutecznie jeszcze przed ślubem, i na złość jemu, Alfredowi. Bądź co będzie, będzie się on zachowywał tak, żeby potem można było gadać o panowaniu nad swoją namiętnością, o poświęceniu się w imię obowiązku, o maskowanym bólu wobec podejrzewanej w niej sympatyi dla Płonińskiego i t. d... Trzeba, żeby się do jej kolekcyi wspomnień z dni następnych dostało parę dyskretnie smętnych spojrzeń... Owa rozmowa o Maryni z wujem Jesiołowskim zdawała się też panu Alfredowi wielkim atutem w przyszłej grze. Trzeba się trzymać!...

Gdyby jednak mała zaliczka!... Pocałować ją w usta, w same usta!... Ale nie, to popsułoby niechybnie całą sprawę.

Wzmianka Maniusi o Mireckim bardziejby go zdziwiła, niż pocieszyła.

Tego wieczora zwykłe sekrety pomiędzy hrabianką a jej panną służącą rozpoczęły się dopiero przy rozsznurowywaniu bucików od pytania:

— Więc przyjdzie dziś do ciebie Francuz?

— Co znowu, jaśnie panienko, coby miał przyjść! Przecieżem mu powiedziała, że nie puszczę. Taki stary: co mu tam po tem!

— Alboż to nie wszystko jedno? zapytała napół naiwnie Maniusia.

— Chi — chi — chi — zaśmiała się Karolka, aż odrywając się od bucika.

— I czegóż się śmiejesz?

— Bo to, widzi jaśnie panienka... E, kiedy mi wstyd!

— No, gadaj, nie marudź, tylko ciszej.

I z rozchylonemi z ciekawości usteczkami pochyliła się do Karolki, która, wciąż klęcząc, podniósłszy się tylko trochę, zaczęła szeptać.

— I jeszcze złapałaby mnie pani gospodyni, co tylko to robi, co chodzi za mną, a taki, jakby co do czego, to przez oknoby nie wyskoczył.

— A tego nowego nauczyciela puścisz?

— E, co też bo jaśnie panienka wymyśla? Zarazbym miała każdego...

— No, to do niego będziesz chodziła: przecie on sam stoi.

— Cóż znów, miałabym zaraz do każdego chodzić.

— Już ten ci przecie nie za stary, a przecieżeś do Żętyckiego..

— E, to był choć rządca, ale sam pan, i nie taki niezdarny, to, jak kazał, musiałam — mówiła, znów pochylając się do bucików, podczas gdy Maniusia, jakby lekcyę przepowiadając, przypominała sobie uśmiechnięta wszystkie szeregami pytań wydobyte ongi z Karolki szczegóły tego, jak tam było...

— Czy państwo Multanowie... stoją w jednym pokoju?

— E, nie, w dwu, po pańsku, osobno, odpowiedziała, podnosząc się, Karolka i, powiódłszy wzrokiem po Maniusi, zawołała: Oj, jaka też to jaśnie panienka śliczna! Już to jaśnie panienki mąż nie zechce tak po pańsku...

— Ciszej — wskazując drzwi do pokoju Maryni, wyszeptała z naciskiem Maniusia przez śmiech tłumiony, którego przyczyny samaby odgadnąć nie potrafiła, a zarazem spojrzała na wyłaniające się kształty swoje dziewicze i musnęła rączkami piersi.

— Ot, gdyby tak jaśnie panienka wybrała sobie księcia pana— ciągnęła dalej Karolka, układając porozrzucane rzeczy.

— Ciszej — już bez śmiechu, jakby z prawdziwym przestrachem czy rozdrażnieniem powtórzyła Maniusia i, spostrzegłszy, że właściwie mówić jeszcze ciszej znaczyłoby milczeć, dorzuciła:

— Idź już, chce mi się spać.

Karolka wyszła, obejrzawszy się wprzód na drzwi, za któremi miała rzetelnego wroga.

Marynia była istotnie zaciętym nieprzyjacielem karolczynej konfidencyi z Maniusią oraz działalności profesorskiej, która po zdyskredytowaniu bociana zagłębiała się coraz bardziej w tajemnice niektóre życia. Dla Maniusi zaś te rozmowy na sen były najzabawniejszą rekreacyą, a Karolka nie żałowała ani swej wiedzy, ani czasu, bo najprzód pochlebiała jej ta poufałość, a następnie przekonało doświadczenie, że, pominąwszy nawet częste prezenty, doskonałą służbę zawdzięcza ona tylko tym rozmowom wieczornym: tyle razy chciano ją wydalić, a zawsze Maniusia obroniła, wyprosiła. Na próbie zainicyowania Maryni wygrała ona tylko ostatecznie, bo choć na razie surowo została zgromiona, ale od tego właśnie czasu Marynia, z wyjątkiem najniezbędniejszej pomocy, sama się zaczęła rozbierać. Był strach, że „druga jaśnie panienka" naprawdę opowie wszystkim „jaśnie hrabini", jak groziła, ale Maniusia ją zapewnia, że Marynia nie powie nic, i tak się stało. Próbowała też sama Maniusia wciągnąć do tej rekracyi swoją stryjeczną, ale ta przy pierwszych słowach zatknęła uszy i uciekła, jakby jej dotknięto czemś zimnem i oślizgłem. Parę razy przyszło nawet z tego po-

wodu do gorącej sprzeczki pomiędzy siostrami, gorącej ze strony Maryni, bo pusta, ale dobra Maniusia obracała wszystko w żart. Tak Marynia, aczkolwiek obroniła się sama od zwierzeń, nie zdołała przemódz jej wesołej, choć chorobliwej ciekawości. Tylko Maniusia odtąd wystrzegała się, żeby do uszu Maryni nie doleciały te rozmowy, czekając, aż ta sama zwróci ku nim ciekawość. Przepowiedziała jej to nawet, używając przysłowia, zaczerpniętego z arcy niearystokratycznego źródła: „przyjdzie koza do woza"; strzegła się pomimo to, choć była pewna, że tylko upór „kozę" powstrzymuje tak długo.

Ostatnie jednak „ciszej" wywołała prócz tego wzmianka o księciu. „Książę kocha się w Maryni — myślała Maniusia po odejściu Karolki, kuląc się pod kołderką — tak wciąż wodzi za nią oczyma. Ta Marynia ma szczęście. Prawda, jest piękna i rozumna. Książę tak ślicznie siedzi na koniu: przyjemnie byłoby jeździć z nim razem. Taki cichy i łagodny, ale poważny, i wszyscy mówią, że rozumny i prawy, a papa ma go za doskonałego gospodarza. Byłoby dobrze, gdyby tak on chciał wziąć ją, Maniusię: kochałaby go. Ale cóż, kiedy on kocha Marynię. A może to tak sobie? Alfred też wodzi za nią oczyma, a przecie nie może się w niej kochać, bo ma żonę. Ach, gdyby tak naprawdę!...

Zaczęła sobie wyobrażać, jakby to było: podróż poślubna — mniejsza o nią! — ale urządziłaby sobie sypialnię tak...

I, nie stawiając siebie ani na chwilę w roli Karolki względem rządcy-pana, usnęła, myśląc o tem, czy w Płoninach są pawie, bo bez pawi i gołębi onaby żyć nie mogła: trzebaby z Jesiołowa...

Nie śniło się jej nic, a spała tak, że można ją było z łóżkiem wynieść bez obudzenia.

IV.

Droga Janko! Jest mi na nowem miejscu tak gorzko, takim zły i nastroszony, że bądź najzupełniej na to przygotowana, iż nie odezwę się wcale, dopóki przesilenie w usposobieniu mojem nie nastąpi, to jest, dopóki mnie stąd nie wyrzucą, do czego chlebodawców swych jaśnie oświeconych stale i gorliwie postępowaniem swojem zachęcać będę. Teraz piszę najprzód dlatego, że uczeń mnie trochę rozruszał i słońce przygrzało, a przedewszystkiem dlatego, żeby cię przygotować na cykl przyszłych „awantur jesiołowskich",

którym sądzono zgubić mnie do reszty w opinii wujostwa Warzyckich.

Zapytasz mnie może, czemu tego domu nie opuszczam natychmiast? Otóż dotychczas myślałem, że powstrzymuje mnie tylko mus odrobienia zaliczki, wydanej przeważnie na ubranie, za które teraz trzeciej częścibym nie dostał... Teraz jednak pamiętam prócz tego, że umowa wiąże mnie na rok. Tak więc, przewidując tysiące udręczeń, widzę zarazem, że długo może będę czekał na okoliczności, wobec których mógłbym, jako sędzia bezstronny, przyznać sobie prawo uczynienia chociażby hrabiom zawodu. Wolno mi więc, smażąc się na powolnym czyli dobrze wychowanym ogniu ich jasności, wołać tylko z głębi duszy: „pretekstu! pretekstu! królestwo za pretekst!" (Przepraszam, że ci nie posyłam dokładnej mapy swego królestwa, lecz z powodu obszerności granice jego nie zostały jeszcze ściśle określone, zarówno, jak, naprzykład, szóstej części świata).

A widzę, że spłatałbym im niesłychanego figla, nagle wyjeżdżając. Chłopiec, jak dyabeł. Nic sobie nie robi z nikogo, mnie nawet próbuje po hrabsku traktować, ale inteligentny i wrażliwy bardzo, więc też kłopotu z nim nie przeczuwam żadnego.

Muszę ci opowiedzieć pierwszą z nim lekcyę. Dyktando egzaminacyjne napisało hrabiątko dość marnie, nawet jak na swój wiek, że zaś analiza błędów też dość marnie wypadła, przyszła mi chęć podyktowania mu tegoż samego powtórnie. Zaledwo spostrzegł, zapytał z dąsem:

— To samo? drugi raz?

— To samo drugi raz — odpowiadam, i chcę dyktować, a ten położył, prawie rzucił pióro ze słowami:

— E, to nudno!

— Nie trać czasu, weź pióro i pisz — powiedziałem spokojnie, biorąc się znów do dyktowania.

— Kiedy mi się nie chce.

— Jeżeli tak, to nic mi nie pozostaje, jak odrazu powiedzieć twoim rodzicom..

— Niech się pan spróbuje poskarżyć — przerwał mi — Papeczka powie, że od tego trzyma aż dwu nauczycieli, żeby mieć spokój z dzieckiem, a mamusia obieca pomówić ze mną jutro, bo dziś ją zawsze głowa boli.

Ledwom się wstrzymał od śmiechu. Byłem już pewny swego: chłopiec bystry.

— Nie powiedziałem ci wcale, że chcę się skarżyć — odrze-

kłem. — Uprzedzę ich tylko, że nie mogę sobie dać z tobą rady — i wyjadę.

— Namyśli się pan. Pan Koliński, co był przed panem, przez półtora roku codzień powtarzał, że nie może sobie ze mną dać rady, że nie wytrzyma, a był dopóty, dopóki go papeczka nie odprawił.

— Teraz chwalisz się, żeś półtora roku nauczycielowi dokuczał, otóż na mnie zdobędziesz jeszcze większą chwałę: będziesz się mógł pysznić przed moim następcą, że nauczyciel od ciebie po pierwszej lekcyi uciekł.—Widząc, że słowa moje zrobiły wrażenie, zakończyłem:

— Dziś jeszcze wyjadę z Jesiołowa, jeżeli mi się nie uda zmusić ciebie...

— Jak pan mnie może zmusić, jeżeli ja nie chcę? — przerwał mi takim tonem, że na dorosłego byłbym się rzucił.

Ale zapanowałem nad sobą, jak... To wymaga nadętego porównania: jak król w bitwie, pomny na to, że najmniejsze zapamiętanie się pozbawić go może zwycięstwa, państw i czci!! Odparłem więc atak z zupełnym spokojem, czując, że muszę naprawić to niezręczne słowo „zmusić” lub naprawdę wynosić się z Jesiołowa. Rzekłem więc:

— Są dwa sposoby na tych, co nie chcą: albo zrobić, żeby chcieli, to jest, przekonać, albo też siłą czy strachem przynaglić. Pogromcą zwierząt nie jestem, więc staram się tylko przekonywać. Tobie też gotówem chętnie wytłómaczyć, dlaczego chcę ci to samo po raz drugi dyktować, jeżeli oczywiście nie powiesz mi, że racya innych nic nie znaczy dla twego kaprysu własnego tak samo, jak dziś twego kuca znarowionego nic nie obchodziło, czy ty masz słuszność, czy nie.

— Pan mnie z kucem równa?

— Przeciwnie, chciałbym właśnie, żebyś ty sam ani na chwilę z nim się nie równał, i dlatego też z tobą rozmawiam, kiedy ty z kuca bez żadnej rozmowy zeskoczyłeś. Otóż powiem ci swoje, ty powiesz mi swoje, jeżeli będziesz miał co do powiedzenia, a potem osądzisz sam, przy kim słuszność i jak ma być według sprawiedliwości. Słuchaj-że. Powiadasz: „nie chcę, bo to nudno”. Gdybyś przypuszczał, że wogóle z dyktanda niema żadnego pożytku, że nauczyciel urządza je nie po to, żeby cię czegoś nauczyć, lecz tak sobie, dla własnego kaprysu, byle urwać ci godzinkę od zabawy: czy nie powiedziałbyś tego samego od pierwszego razu?

— Naturalnie.

— Mówiłeś przed pół godziną, żeś sam ogródek swój skopał: pewno cię to bawiło?

— Naturalnie.

— A gdyby ci kazano przesypywać tylko ziemię z jednego miejsca na drugie i znów z powrotem bez żadnej myśli o tej rzodkiewce czy kwiatach, które tam wyrosną?

— Tobym nie chciał.

— Bo byłoby to nudno, prawda? Może więc teraz mówisz tak dlatego, że ci się też zdaje, że to niema sensu? Jest to tak, jak gdybyś sobie powiedział: „nie wiem, na co się powtórzenie dyktanda może przydać, więc myślę, że na nic". Tymczasem całkiem rozsądny człowiek, jakim ty chyba chcesz być, zapytałby poprostu w takim wypadku: „poco mam to robić?" — a odmówiłby wręcz dopiero, przekonawszy się, że to tylko głupie zabicie czasu. Gdybyś mnie zapytał, powiedziałbym ci, jakie korzyści z tego być mogą. Wytłómaczyłbym ci, że nauczyciel, żeby uczyć jaknajlepiej, musi wiedzieć nie tylko, co uczeń już umie, ale jeszcze, jak umie uważać i pamiętać. Skąd mogę wiedzieć, ile wyrazów napisałeś dobrze tylko przypadkiem: może za drugiem dyktowaniem znajdą się nowe błędy? A ile dawnych błędów powtórzysz? Cóżby to było za szczęście, gdyby ani jednego, a co za smutek, gdyby dużo! Rozumiejąc, poco się to robi, nudziłbyś się za drugim razem jeszcze mniej niż za pierwszym, bo wysilałbyś całą uwagę i pamięć, żeby sobie przypomnieć, co się mówiło przed chwilą o każdem słówku, i nauczyłbyś się napewno przytem raz na zawsze, dlaczego i jak piszą się niektóre wyrazy. Teraz powiedz, co jabym miał robić, gdybyś ty stanowczo nie chciał pisać drugi raz tego samego dyktanda? Może ustąpić tobie? W takim razie jutro powiedziałbyś, że nudne, o jakiemś zadaniu arytmetycznem, pojutrze o wierszach... Pomyśl, skądbyś ty, co się dopiero zaczynasz uczyć, mógł lepiej wiedzieć, jak uczyć należy, niż ja, który wielu już nauczyłem? Tymczasem wypadłoby, że musiałbym ciebie uczyć nie tak, jak myślę, że jest najlepiej, tylko tak, jak mi twój kaprys każe. Wtedy tylko darmobym tu chleb jadł.

W grze fizyognomii malca, w ciążeniu nadmiernem jego noska „dołu" widziałem swój tryumf, więc zakończyłem wesoło:

— A teraz niech pan sędzia wysłucha, co ma do powiedzenia na to mój uczeń, i niech obmyśli wyrok. Idę tymczasem do swego pokoju. Jeżeli mnie wcale nie zawołasz, będę się uważał za skazanego na wygnanie wieczne z Jesiołowa za to, żem nie chciał być wodzem żołnierza, co nie chciał mnie słuchać.

Po kilku minutach usłyszałem: „panie" bardzo zdławione; ledwo przeszło przez gardło. Nie chcąc przeciągać struny, nie czekałem na głośniejsze i wyraźniejsze wołanie i, stłumiwszy uśmiech, wszedłem do klasy: malec siedział, dotykając prawie nosem kajetu— z piórem w ręce. Zacząłem dyktować, jakby nigdy nic, ponieważ zaś znalazło się istotnie parę błędów nowych i parę starych, po przerwie napisał to samo po raz trzeci. Drgnął, skrzywił się na mgnienie oka, ale napisał. Po lekcyi zacząłem go pytać o ów ogródek; opowiadanie całej jego historyi przerwał dzwonek na obiad Wtedy nagle się odezwałem:

— Muszę cię jeszcze o coś prosić: na przyszłość, skoro się sam nie domyślisz, dlaczego żądam od ciebie zrobienia czegoś, pytaj mnie wprost, jeżeli jednak nie chcesz, żeby mi przy rozmowie z tobą na myśl przychodziły kuce i wogóle rozmaite wierzgające lub gryzące stworzenia, staraj się mówić nie tylko do mnie, lecz do wszystkich tak uprzejmie, jak ja mówię do ciebie... Ale czy ci nikt nie pomagał przy kopaniu tego ogródka? Pokażesz mi go po obiedzie — i cały park.

Przy obiedzie wszyscy zrobili oczy, jak koła młyńskie, kiedy mój Julek zawołał lokaja i, jakoby śpiesząc spełnić moją prośbę co do uprzejmości w mowie, prawie najgrubszym z głosów swych zapytał go, czy „oślepł", że panu Mireckiemu sosu nie podał? Czy moje przypomnienie — cichutkie — tej prośby, czy poprostu wstyd za nadmiar grzeczności względem swego nauczyciela zwarzył jego humor potem, nie wiem, dość, że rozruszał się dopiero na spacerze.

Ale wszystko, co napisałem, nie dowodzi założenia, otóż muszę wyznać, że źle jest nie dlatego, że jest źle, tylko dlatego, że mi się zdaje, że jest źle. Król-żołądek ma się dobrze, i wogóle skórze nie jest źle, tylko mi się chce z niej wyskoczyć. Jeżeli postawię założenie, że wszyscy tu są bardzo porządnymi ludźmi, nie mam go czem zbić, ale zęby mi się zaciskają na samą myśl o nich. Może, gdybym zrezygnował z własnych fanaberyi, cała ta etykieta feudalno-wielkopańska przestałaby mnie dręczyć, ale nie mogę... Ma słuszność co do mnie wujenka Warzycka: „honor pański, a dziadowska intrata". Każda chwila w towarzystwie tego arystokratycznego stadka jest dla mnie męką: przy stole sam nie wiem ze złości, co jem. Czy uwierzysz, że twój brat, o którego elokwencyi masz takie wysokie mniemanie, przy nich tylko się jąka? Do rozmowy ogólnej wtrącić się nie śmiem — oczywiście nie dlatego, że jej poziom jest ponad moją inteligencyę, tylko dlatego, że czuję, że każdy z tych frazesów, które tam padają, jak żetony na sukno,

wychodząc z moich ust, wywołałby ździwienie, może nawet zgorszenie.

Kończę list ten ołówkiem, bo złamałem jedyne pióro: nie tylko zęby, ale pięści mi się widocznie chciały zacisnąć. Bywaj więc zdrowa. Ściska cię serdecznie

brat Stefan.

P. S. Czytaj te dwie litery: „pod sekretem". Wiesz, co mi się marzy? Że mam talent poetycki. Może to tylko zmaltretowana nazewnątrz pycha nakształt odry zaziębionej pada na wnętrze? Dość, że do wszystkich innych pokus do drapnięcia z Jesiołowa przyłączyła się jeszcze szalona chęć wypróbowania swych skrzydeł na tym wietrze. Do widzenia! S. M.

(*d. c. n.*) *Józefat Nowiński.*



Nowe dzieło o Koperniku.

Mikołaj Kopernik. Część pierwsza. Studya nad pracami Kopernika oraz materyały biograficzne, zebrał *Ludwik Antoni Birkenmajer*. W Krakowie, 1900. 4-o, t. XIII, str. 711.

Niezwykła to książka w naszej ubogiej literaturze naukowej. Niezwykła najprzód objętością, bo część jej pierwsza, którą mamy przed sobą, jest wielką księgą in quarto o 711 stronicach ścisłego druku z licznymi na każdej prawie stronicy przypisami. Niezwykła — jako studyum w literaturze naszej badań historycznych nad nauką, bo jest pracą, opartą nie tylko na zbadaniu bardzo wielu źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, znanych i nieznanych, lecz przedewszystkiem na mozolnem odczytaniu i zgłębieniu okruchów myśli, kryjących się w niełatwych do odcyfrowania zapiskach, rozrzuconych już to jako glosy na marginesach starych książek, już to jako drobne notatki na skrawkach papieru, na okładkach i t. p. Niezwykła wreszcie przez to, że napisanie jej wymagało nie tylko gruntownej wiedzy specyalnej, lecz i biegłości w rozumieniu tekstów łacińskich i greckich, a więc wyjątkowego u nas przygotowania i uzdolnienia. A jest to dopiero część pierwsza dzieła, wprowadzająca nas niejako do pracowni autora, który roztacza przed nami cały

swój materyał konstrukcyjny, wtajemnicza nas w cierpliwe swoje poszukiwania, odsłania aparat swej drobiazgowej krytycznej roboty. słowem wspólnie z nami odbywa najeżoną wątpliwościami i trudnościami wyprawę naukową, aby potem w zapowiedzianej części II-iej przedstawić nam syntezę swych badań, a mianowicie obraz rzetelny życia i prac wielkiego męża.

Studya nad biografią i pracami Kopernika mają swoją bogatą historyę, która ciągnie się nieprzerwanie prawie od końca XVI-go wieku i zwłaszcza w wieku XIX najcenniejszemi wykazać się może badaniami. Nie może tu być naszem zadaniem pobieżne chociażby tej historyi przedstawienie, i pozwolimy sobie tylko dotknąć kilku jej punktów.

W zaraniu XIX-go stulecia zaczęto i u nas żywiej interesować się sprawą Kopernika. Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk rozpoczęło swoją niedługą, ale pamiętną w dziejach nauki i oświaty polskiej, działalność ogłoszeniem konkursu treści następującej: „Oddając hołd winnej pochwały Mikołajowi Kopernikowi, pokazać, jak wiele mu winne były nauki matematyczne, mianowicie astronomia, w wieku, w którym żył, z których poprzedników, jak wiele, jakim sposobem korzystał i jak wiele mu są winne w czasie teraźniejszym". Myśl konkursu była bardzo szczęśliwa, gdyż, ogłaszając go, kierownicy Towarzystwa mieli uzasadnioną nadzieję, że konkurs nie pozostanie bez skutku. Na Wszechnicy bowiem krakowskiej, tej samej, która pielęgnowała niegdyś umysł młodocianego Kopernika, zajmował w tym czasie katedrę astronomii i matematyki wyższej Jan Śniadecki, matematyk uczony, pisarz wytrawny, astronom wyborny i z obserwacyi swych światu naukowemu chlubnie znany. On to podjął opracowanie postawionego przez Towarzystwo tematu — i — jeżeli uwzględnimy krótkość czasu (o konkursie zawiadomiony został Śniadecki listem prezesa Towarzystwa dnia 15 maja 1801 roku; gotowy rękopis wysłał z Krakowa do Warszawy dnia 31 sierpnia 1802 r.), ubóstwo źródeł i stan ówczesny badań nad historyą nauk, wykonał je bardzo pomyślnie. Warto tu własnemi słowy Sniadeckiego[1]) powtórzyć, w jaki sposób pracę swoją przygotował: „Nimem zaczął o Koperniku pisać — powiada — przeczytałem z największą uwagą całe jego dzie-

---

[1]) Patrz przedmowę Jana Śniadeckiego do wydania wileńskiego, napisaną dnia 15 (27) sierpnia 1814 r.

ło, znalazłszy w bibliotece Akademi krakowskiej pierwszą najlepszą, a dziś bardzo rzadką, edycyę w Norymbergu 1543. Znalazłem jeszcze w tej bibliotece Trygonometryę płaską i kulistą Kopernika, wydaną w Wittenbergu 1542 r., którą przewertowałem, a o której nigdzie nie czytałem wzmianki w bibliografii astronomicznej. Ułożyłem krótką treść każdej księgi i moje nad nią postrzeżenia i uwagi. Przystąpiwszy potem do czytania autorów, piszących o Koperniku i wykładających jego naukę, znalazłem ważniejsze moje postrzeżenia i uwagi od nikogo niedotknięte, skąd się przekonałem, że Kopernik albo nie był w swem źródle od wielkich pisarzów i astronomów czytany, albo był czytany bez tej uwagi, jakiej wyciąga zgłębienie wielkich pierworodnych myśli". Za najważniejsze wyniki swej pracy uważa Śniadecki wykazanie, „że Kopernik nie był kopistą starożytnych filozofów, ale prawdziwym swego systematu twórcą; że najtrudniejsze trygonometryi kulistej zadania rozwiązał; że jego własne, a głębokie, myśli i przypuszczenia o porządku i podziale ciał niebieskich, o sile fizycznej ich biegu, a szczególniej o ruchu osi ziemskiej, w kilka potem wieków najdelikatniejszemi obserwacyami, prawami biegu i głębokim geometrycznym rachunkiem stwierdzone, prowadziły do nowych wielkich o budowie świata prawd i że się stały zasadą najwalniejszych w dzisiejszej astronomii wynalazków". Późniejsze badania historyczne potwierdziły te wnioski Śniadeckiego i uzupełniły szczupłe i bardzo niedostateczne jeszcze dane biograficzne, w jego pracy zawarte. Nie należały zresztą te dane wprost do programu zadania, a szukanie ich nie było pociągającem dla samego Sniadeckiego, który, „zamiast szperać za przykładem niektórych po rodzie i pokoleniu Kopernika", wolał raczej „wniść w genealogię wielkich w budowie świata myśli i wynalazków".

Rozprawa Śniadeckiego była pierwszą u nas wartościową pracą historyczną, dotyczącą systematu Kopernika. Po niej w ciągu stulecia pojawiły się zagranicą i w kraju ważne i drobniejsze przyczynki, tak do biografii Astronoma, jak i do dziejów jego nauki. Za najważniejszą u nas publikacyę uważać należy wydanie warszawskie dzieł Kopernika z roku 1854 z tekstem łacińskim i przekładem polskim, opracowane przez Jana Baranowskiego, z życiorysem Kopernika, napisanym przez Juliana Bartoszewicza. Zasługa tego wydania (czwartego z rzędu wydania dzieła „De revolutionibus"), pozostawiającego dość wiele do życzenia pod względem krytyki tekstu i nawet ścisłości przekładu, polega na przywróceniu po raz pierwszy oryginalnej przedmowy Kopernika, nie pomieszczonej w wydaniach dawniejszych, a zastąpionej, jak wiadomo, przedmową fałszywą,

sporządzoną przez Ossiandra, i na dodatkach, w których mieszczą się między innemi sławny list Kopernika do Wapowskiego oraz kilka nieznanych dotąd innych listów Kopernika.

Z powodu przypadającej w roku 1873 czterechsetnej rocznicy urodzin Kopernika, którą w całym świecie cywilizowanym uroczyście obchodzono, pojawiły się zagranicą i u nas nowe prace o Koperniku i o przedmiotach, związek z jego teoryą mających. Najważniejszem wydawnictwem tego czasu jest nowe krytyczne wydanie dzieła „De revolutionibus", zwane edycyą toruńską, ogłoszone przez Towarzystwo Kopernikańskie toruńskie (niemieckie), po porównawczem zbadaniu dotychczasowych wydań z tekstem autografu, przechowywanego w bibliotece hr. Nostiza w Pradze; kolacyonowania dokonał zasłużony historyk matematyki, uczony niemiecki Curtze. Edycya toruńska jest do tej pory najlepsza i najdokładniejsza ze wszystkich[1]). Uczeni niemieccy, a głównie Hipler, Prowe, Curtze i Günther położyli najwięcej zasług w wykryciu pamiątek po Koperniku; im to zawdzięczamy, pomiędzy innemi, zbadanie książek z biblioteki warmijskiej, obecnie w Upsali się znajdujących, a przedewszystkiem książek, niegdyś własnością samego Kopernika, będących, a tem dla historykow cenniejszych, że znaleziono w nich wiele notatek Mistrza, rzucających nowe światło na ważne fakty z jego życia i pracy. Curtzemu też w roku 1877, (a potem Lindhagenowi w roku 1881) udało się szczęśliwie odkryć kopię niewielkiego pisemka, znanego dziś powszechnie pod nazwą „Commentariolus", w którem Kopernik na długo przed oddaniem do druku dzieła „De revolutionibus" wykłada swój system heliocentryczny.

Schiaparelli w swem klasycznem dziełku o poprzednikach Kopernika w starożytności (Precursori di Copernico nell'Antichità, rok 1873, przekład niemiecki Curtzego, rok 1876) wykazał i dokumentami autentycznymi stwierdził, że już geniusz grecki wzniósł się był w niektórych jednostkach do całkowitego systematu heliocentrycznego, któremu nie danem było atoli zapanować w astronomii starożytnej. W wieku XVI te dokumenty nie były wcale znane, i tylko luźne wzmianki o ruchu ziemi u rozmaitych pisarzów starożytnych mogły być dla Kopernika bodźcem do pracy, zupełnie samodzielnie podjętej i szczęśliwem uwieńczonej powodzeniem. A w pracy tej miał on tem większe do zwalczenia trudności,

---

[1]) Edycya toruńska jest przeto piątą z kolei; za szóstą uważać należy przekład niemiecki Menzzera z objaśnieniami (Toruń, 1879). Pożądanym byłby powtórny przekład polski na podstawie edycyi toruńskiej i sprostowań Birkenmajera (p. niżej).

że trzeba było potęgą własnego ducha przebijać się przez wielki system geocentryczny, uświęcony powagą wieków i przez tradycyę za nieomylny uważany, by zbudować system nowy, przeciwstawić go dawnemu i poprzeć go argumentami, nie ustępującymi pod względem mocy przekonania argumentom Almagestu i jego wyznawców.

W latach 1883 — 1884 napisał Prowe największą dotąd biografię Kopernika (Nicolaus Coppernicus. Bd. I, Th. I. Das Leben, 1473 — 1512, Bd. I, Th. II. Das Leben, 1512 — 1543, Bd. II. Urkunden, 1884; zapowiedziany tom III nie ukazał się). Dzieło to, mające być niejako zamknięciem dotychczasowych badań nad osobą i nauką Kopernika, bardzo cenne pod względem zebranego i uporządkowanego materyału, nie jest nawet przez uczonych niemieckich poczytywane za doskonałe. To też i w literaturze niemieckiej pojawiają się od czasu do czasu nowe prace, uzupełniające i prostujące w rozmaitych punktach dzieło Prowego.

W literaturze polskiej pojawiły się w dobie obchodu czterechsetnej rocznicy różne cenne przyczynki do biografii Kopernika: Wołyńskiego, Karlińskiego i in.; najobszerniejsza z tych prac, a mianowicie ks. Polkowskiego „Żywot Kopernika” d. I, tom 1 prac „Kopernikiana” (w 3 tomach) jest przeważnie zestawieniem w całość rozmaitych źródeł obcych, a zwłaszcza polskich, dotyczących tego przedmiotu.

Biorąc to pod uwagę, dojdziemy do przekonania, że po pracy Prowego i innych pożądanem było ponowne podjęcie zadania na podstawie zbadania wszystkich danych, dotychczas zdobytych, oraz źródeł nowych, przeprowadzonego z całym aparatem krytycznym i w związku z wynikami ostatnich wyników historyi nauk ścisłych. Zaszczytne to zadanie przypadło w udziale Ludwikowi Birkenmajerowi, profesorowi uniwersytetu Jagiellońskiego, prawie w sto lat po analogicznej pracy, podjętej przez Jana Śniadeckiego. I tym razem inicyatywa wyszła z łona najwyższej instytucya naukowej polskiej, mianowicie Akademii umiejętności w Krakowie, powołanej podobnie, jak jej poprzedniczka warszawska, do pielęgnowania nauki czystej i dziejów tejże. Godzi się krótkiemi słowy opowiedzieć tu historyę tego projektu i jego wykonania.

Gdy przed czterema przeszło laty poczęto czynić przygotowania do należytego uczczenia przypadającej w roku 1900 pięćsetnej rocznicy odnowienia Wszechnicy Jagiellońskiej, postanowiła Akademia umiejętności upamiętnić tę wielką w dziejach oświaty i nauki polskiej chwilę przez wydanie monumentalne dzieł największego tej Wszechnicy ucznia, źródłowej jego biografii oraz bibliografii ko-

pernikańskiej. Obmyśleniem sposobów urzeczywistnienia tego projektu zajęła się osobna komisya Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii, a cały ciężar trudnego zadania, mianowicie przygotowanie prac zamierzonych, wziął na siebie członek komisyi Ludwik Birkenmajer, oddający się od lat wielu z zamiłowaniem studyom źródłowym nad historyą nauk matematycznych w Polsce. Przystępując do pracy, miał prof. Birkenmajer poprzedników, materyałów, i środków daleko więcej, niż przed wiekiem Śniadecki, ale miał też zadanie nierównie trudniejsze i bardziej złożone. Albowiem wymagania krytyki naukowej urosły niezmiernie, a opracowanie olbrzymiego materyału, jeżeli miało doprowadzić do nowych widoków w tej, przez tylu już uczonych uprawianej i na pozór wyczerpanej dziedzinie, wymagało nietylko olbrzymiego nakładu pracy, lecz i niezwykłej wytrwałości i przenikliwości.

W celu należytego przygotowania się do zamierzonej roboty wyjechał Birkenmajer w towarzystwie d-ra Czuczyńskiego, biegłego paleografa, do Pragi czeskiej, i tam w lipcu i wrześniu 1896 r. pracował najtroskliwiej nad skolacyonowaniem edycyi toruńskiej dzieła „De revolutionibus" z autografem Kopernika. Mozolna ta praca wykryła w edycyi toruńskiej dość znaczny poczet odstępstw od oryginału, a ten wynik usprawiedliwił już potrzebę podjęcia w przyszłości edycyi nowej. Komisya kopernikańska, której Birkenmajer w grudniu r. 1896 zdawał sprawę ze swej wycieczki, przyszła atoli do przeświadczenia, że wydanie dzieł Kopernika należy odroczyć aż do podobnego zbadania wszystkich pozostałych pism jego i że przedewszystkiem pożądanem jest przygotowanie nowej wyczerpującej monografii o Koperniku. Zapisawszy tedy skrzętnie rezultaty swych badań, rozpoczął Birkenmajer pracę nad gromadzeniem materyałów, do takiej monografii niezbędnych. Okazała się konieczną w tym celu wyprawa naukowa do archiwów i bibliotek zagranicznych. Odbył ją Birkenmajer w lecie r. 1897; bawił w Monachium, Norymberdze, Lipsku, Berlinie, Erlangen, Dreźnie, Kopenhadze, w Lund, Linköping, Sztokholmie, gdzie znalazł szereg ważniejszych i mniej ważnych dokumentów drukowanych i rękopiśmiennych, mających związek z Kopernikiem. Najdłużej bawił w Upsali, gdzie zbadał wszystkie rękopisy, pochodzące z biblioteki warmijskiej, razem 66, przeważnie pergaminowych; przewertował — jak powiada— karta za kartą wszystkie dotąd znane książki, będące niegdyś własnością Kopernika, i opatrzone, jak wiadomo, mniej lub więcej obfitemi notatkami własnoręcznemi na marginesach, co pozwoliło mu uzupełnić lub sprostować dawniejsze relacye Prowego i Curtzego;

znalazł siedem nieznanych dotąd druków kopernikańskich, nową kopię listu Kopernika do Wapowskiego, dość różną od tekstu, dotychczas znanego i t. p. Równocześnie na życzenie Birkenmajera czyniono kwerendy we Włoszech, Warszawie i Petersburgu.

Z takim to materyałem, pracowicie nagromadzonym, bogatym w szczegóły, jakkolwiek może nie tak jeszcze zupełnym, jak tego życzy sobie badacz historyczny w materyi tak trudnej, przystąpił autor do kompozycyi pracy, którą koniecznie na termin przepisany i niezbyt już daleki należało nie tylko całkowicie wykończyć, lecz i drukiem ogłosić. Jeżeli w pierwotnym planie komisyi ujawnił się był zamiar ogłoszenia nowej źródłowej monografii, przedstawiającej pełny obraz życia i prac Astronoma, do której, jako aneksy, dołączone być miały nowe zdobyte dokumenty, to obecnie krótkość czasu z jednej strony, ważność zaś samych zdobyczy archiwalnych z drugiej, nakazywała autorowi pójść inną drogą, a mianowicie, ogłosić najprzód „Studya”, a w nich wszystkie regesta, dotyczące osoby Kopernika i jego teoryi, jako materyał podstawowy, a potem dopiero przystąpić do skreślenia na tych danych opartego żywota Kopernika. Część tego postanowienia spełnił autor w wydanej książce, na spełnienie reszty czekamy z upragnieniem.

Ta część I jest tedy rozumowanym zbiorem dokumentów, już to nowych, już to dawnych, lecz nieraz odmiennie, jak dawniej, interpretowanych. Opisuje nam autor drobiazgowo wszystko, co znalazł; poddaje krytyce spostrzeżenia swych poprzedników; bada porównawczo różne miejsca Dzieła kopernikowego z odpowiedniemi miejscami innych pism, z notatkami Astronoma, ze świadectwami osób współczesnych i późniejszych, a czyni to z nieporównaną erudycyą i zarazem z należytą ostrożnością, trzymając na wodzy wyrywającą się nieraz do swobodniejszego lotu wyobraźnię. I mogłaby ta wielce zmudna i z powodu mnóstwa szczegółów bardzo złożona robota zniechęcić nawet tak wytrwałego badacza, gdyby nie kierowało nim — prócz miłości do przedmiotu — dążenie, jasno i wyraźnie wytknięte, do przygotowania nie zwykłego tylko opisu życia, ale do wydobycia z tych szczegółów samej historyi kopernikowego odkrycia, t. j. poznania dróg, któremi umysł Astronoma podążał ku wysokim celom, począwszy od zawiązku pomysłu aż do zupełnego wykończenia, jakie widzimy w wielkiem jego Dziele. Zdaje się, że przed Birkenmajerem żaden z poprzednich badaczy nie postawił tak wyraźnie podobnego zadania, jakkolwiek wszyscy wiedzieli dobrze, że zbudowanie nowego systemu heliocentycznego było nie tylko dziełem geniuszu, lecz i owocem długiej pracy myśli i mozol-

nych rachunków. Stawiając sobie zadanie takie, historyk musiał przedewszystkiem zapytać, czy w dziełach samego Kopernika, w pozostałej po nim spuściźnie notatek, w pracach i wskazówkach innych autorów, znaleźć dziś jeszcze można materyał, dostateczny do podjęcia próby genezy. Praca Birkenmajera zawiera — zdaje nam się — szczęśliwą na to pytanie odpowiedź; co więcej, zawiera nadto cenne wskazówki do odtworzenia prawdopodobnej genezy. Nie tyle tedy liczne i nieraz bardzo ważne wyniki szczegółowe, do nowych pobudzające poszukiwań bibliograficznych i historycznych, ile to szczęśliwe postawienie zadania i poważne przyczynki do jego rozwiązania, pobudzają wciąż uwagę i interes czytelnika, mimo że układ pracy, wynikający z tego nagromadzenia szczegółów, utrudnia poniekąd oryentowanie się w „Studyach". Książka składa się z trzydziestu czterech rozdziałów [1]), z których każdy jest niemal rozprawą; w każdym, prócz tekstu, są liczne przypisy, w których nieraz mieści się treść nie mniej ważna, niż w tekście, a częste bardzo odsyłacze do ustępów późniejszych lub wcześniejszych wymagają bardzo cierpliwej uwagi. By ułatwić czytelnikowi korzystanie z dzieła, dołączył autor w końcu wykaz nazwisk, cytowanych w książce z podaniem odpowiedniej stronicy tekstu, oraz

---

[1]) Oto ich tytuły: I Epitome Joannis de Monte regio in Almagestum Pholemaei. II. Tabulae Alphonsi i Tabulae directionum. III. Commentariolus. IV. Averroes. V. Studya helenistyczne Kopernika. VI. Pontanus, Bessarion, Aratos z komentarzem Theona. VII. Raptularzyk upsalski. VIII. Apianus, Geber, Vitellio. IX. Matematyka Kopernika. X. Almagest łaciński, wydanie weneckie z roku 1515. XI. Narzędzia astronomiczne i obserwacye Kopernika. XII. Mechanika, fizyka, geodezya, geografia. XIII. Almagest grecki, wydanie bazylejskie z roku 1538. XIV. Chronologia kompozycyi i spisywania poszczególnych ksiąg Revolutionum. XV. Dokumenta ze wzmianką o Koperniku, listy do niego lub o nim. XVI. Nieznany dokument, tyczący się pierwszej edycyi dzieła Kopernika. XVII. „Thema nativitatis", zawierające datę urodzenia Kopernika. XVIII. O niektórych członkach rodziny Kopernika. XIX. Dominik Maria Novara. XX. Zbiorek starych obserwacyi, wykonanych przez astronomów krakowskich. XXI. Solpha i Calcagnini. XXII. Nieznane dotąd stare odpisy listu do Wapowskiego. XXIII. Książki Hildebranda Ferbera. XXIV. Kopernik o komecie z roku 1533. XXV. Mikołaj Schomberg, Jan Albert Widmanstadt. XXVI. Calendarium Romanum magnum, Dziesięć nieznanych obserwacyi Kopernika. XXVII. Nieogłoszone dotąd zapiski Kopernika na kilku paleotypach upsalskich. XXVIII. Zapiski treści lekarskiej. XXIX. Wiadomości o Rhetyku. XXX. Zaginione pisma Reinholda. XXXI. Przyczynki do wiadomości o losach rękopisów Kopernika. XXXII. Zapiski uczonych na drukowanych egzemplarzach dzieła Kopernika. XXXIII. Słowo o wizerunkach Kopernika. Uzupełnienia i sprostowania. Przegląd główniejszych wyników pracy. Index personarum.

przegląd najważniejszych wyników swych badań, streszczony w 78 punktach. Tę pomoc dla czytelnika powiększyłoby—zdaniem naszem—dodanie jeszcze wykazu rzeczy, t. j. tych najważniejszych przedmiotów, o których szczegółowo mówi się w rozmaitych miejscach książki, zwłaszcza, że, jak już wyżej wspomniano, jeden i ten sam przedmiot jest z konieczności omawiany wielokrotnie w rozmaitych rozdziałach, i dopiero zestawienie treści, wziętej z różnych rozdziałów, doprowadza do właściwego poglądu ostatecznego.

Ale wypada nam zastanowić się nieco szczegółowiej nad zawartością dzieła, co uczynimy z możliwą krótkością, nie trzymając się porządku rozdziałów. Ze względu na wielką obszerność dzieła i niezmierną obfitość szczegółów nie możemy tu bowiem kusić się o podanie wyczerpującego sprawozdania; ze względu zaś na właściwą treść tych badań, należących przeważnie do dziedziny rozważań matematycznych i astronomicznych, nie możemy zaprzątać uwagi czytelników wywodami, interesującymi przedewszystkiem matematyków i astronomów. Uczyni to niezadługo zapewne w pismach specyalnych krytyka fachowa, która poddać winna ścisłemu rozbiorowi tak całość pracy omawianej, jak i pojedyńcze jej szczegóły; my zaś obecnie uważamy jedynie za zadanie nasze podać bardzo ogólny zarys wyników dzieła, którego przedmiotem jest tak doniosłe badanie oryginalne z dziedziny historyi nauki.

Za najważniejszy wynik tej pracy musimy poczytać ten, który dotyczy wyznaczenia prawdopodobnej epoki napisania „Commentariolusa", a właściwie określenia stanowiska tego pisemka w rozwoju postępowym pomysłów Kopernika. Jest to, że tak powiemy, centralne odkrycie autora, bo ono wyjaśnia wiele ważnych szczegółów i rzuca nowe zupełnie światło na drogi pracy myślowej Kopernika. W „Commentariolusie" jest już wprawdzie Kopernik u celu swych dążeń, bo jest w posiadaniu całkowicie opracowanego systemu heliocentrycznego, ale system ten nie przedstawia się tu jeszcze w tej postaci, w jakiej później ukazał się światu w dziele „De revolutionibus". Widzieli Curtze, Prowe i inni, że „Commentariolus" pod względem niektórych szczegółów, dat i poglądów różni się od Dzieła głównego, ale różnicom tym poważniejszego nie przypisywali znaczenia, datę zaś napisania tej pracy przyjmowali względnie dość późną, bo czas około r. 1530. Odkrycie „Commentariolusa" było uznane za fakt wielce interesujący, ale nie zmieniający zasadniczo dziejów powstawania teoryi Kopernika. Tymczasem autor nasz, szczęśliwem wiedziony natchnieniem, inaczej spojrzał na wzmiankowane wyżej różnice i, idąc za wątkiem swego domysłu, znalazł na-

stępnie dowody na to, że chwilę napisania „Commentariolusa” należy cofnąć o jakie dwa dziesiątki lat i że pisemko to w zupełnie odmiennym, jak poprzednio sądzono, zostaje stosunku do Dzieła głównego. W „Commentariolusie” wszystkie planety poruszają się po kołach spółśrodkowych, unoszących dwa epicykle, a słońce jest dokładnie w samym środku deferensa kołowego; w „Revolutiones” zaś koła te mają po jednym tylko epicyklu, ale za to słońce znajduje się poza środkiem deferensa, i w ten sposób wprowadzony został mimośród, którego tam niema. Pierwsza konstrukcya—powiada Birkenmajer—jest bardziej wytworna, ale jest niedostateczna, gdy idzie o miejsce wiekowych zmian mimośrodu i zmian absyd. W „Commentariolusie” Kopernik utrzymuje jeszcze, że mimośród jest niezmienny, w „Revolut.”, że jest zmienny; w pierwszej pracy apogeum jest „perpetuo invariabile”, w Dziele zaś jest ruchomem i t. d. Musi więc być „Commentariolus” pracą daleko wcześniejszą, niż przypuszczali poprzedni autorowie; według Birkenmajera mogła ona powstać nie później, a może i wcześniej, niż w r. 1512.

Ważne wnioski wyciągnąć się dają z tego faktu, stanowiącego niejako nić przewodnią dalszych poszukiwań. Jeżeli „Commentariolus” powstał w epoce znacznie wcześniejszej, jeżeli w Dziele głównem niema nigdzie wzmianki o tej pierwszej konstrukcyi, to powstaje naturalnie wielce ciekawe pytanie, na jakich to obserwacyach i rachunkach oparł Kopernik twierdzenie swoje w „Commentariolusie”. Otóż te obserwacye i rachunki znajdują się w notatkach, zapisanych na kartkach doszytych (w t. zw. przez Birkenmajera „Raptularzyku upsalskim”) do egzemplarza „Tablic alfonsyńskich” i „Tabulae directionum”, które były własnością Kopernika. Widział te notatki Curtze, ogłosił ich odpisy w „Reliquiae Copernicanae”, a nawet dostrzegł, że odpowiadają one danym, zawartym w „Commentariolusie”. Związek zatem tych zapisek z Commentariolusem był już dawniej uwidoczniony, ale nie był należycie wyzyskany. Birkenmajer gruntownie zbadał zawarte w tych cennych seksternach zapiski i niejedną rzecz, przez Curtzego przeoczoną, odczytał i zapisał. Autor szczegółowo przedstawia poszukiwania swe i uzyskuje w nich potwierdzenie ważnego swego spostrzeżenia. „Nie jedna więc, lecz dwie konstrukcye heliocentryczne — powiada — powstały kolejno we frauenburskiem zaciszu. Zapewne nic też innego, jak właśnie niedostateczna zgodność pierwszej konstrukcyi z obserwacyami, zrodziła postanowienie, spełnione w „Revolutiones”, wprowadzenia głęboko sięgających zmian w szczegółach pierwotnego mechanizmu, a zarazem oddania się intensywniejszej pracy obserwatorskiej. By-

ło to pomiędzy r. 1511 — 1515. Jednak widoczna, że i praca nad pierwszą konstrukcyą, lubo potem zarzuconą, tą mianowicie, której streszczenie daje nam „Commentariolus", nie była straconą. Jak u artysty, zanim wyrzeźbi swe dzieło i w najdrobniejszych wykończy szczegółach, i tu wpierw należało nieforemną bryłę z grubsza ociosać, model przyszłego dzieła sporządzić. Chodziło w tem niezawodnie także i o wyrobienie sobie przekonania, czy wogóle i w jakim stopniu heliocentryczny mechanizm zgadza się z obserwacyami nie tylko starożytnemi, ale i nowożytnemi".

Ustalenie naukowe tego faktu wprowadza nowy czynnik do poszukiwań nad genezą odkrycia Kopernika, a mianowicie podział pracy jego twórczej na dwa okresy: jeden przed wykończeniem pierwszej konstrukcyi heliocentrycznej, drugi po napisaniu „Commentariolusa". Pierwszy z nich jest okresem zasadniczym, rozpoczynającym się od momentu, w którym na widnokręgu umysłowym Kopernika objawił się — że tak powiemy — pierwszy zaród wątpienia o systemie geocentrycznym, aż do chwili, w której pierwsze próby krytyczne, pomnożone owocem rozmyślań, wsparte obserwacyami własnemi i obcemi, zamieniły się na gotowy system heliocentryczny pierwszej konstrukcyi; w okresie tym umysł Kopernika przeszedł niejako w skróceniu wszystkie te fazy rozwoju, które już w starożytności przebyła umysłowość ludzka, docierając do doktryny heliocentrycznej ruchów planetarnych. Okres drugi był okresem ciągłego doskonalenia pierwszej koncepcyi, póki nie przybrała ona tej formy ostatecznej, jaką widzimy w „Revolutiones". W pracy Birkenmajera znajdujemy poważne materyały do historycznej odbudowy każdego z tych dwu oresów.

Jeżeli zatrzymamy się na chwilę nad pierwszym okresem, to zapytać należy przedewszystkiem, co zaszczepiło w umyśle młodego scholara krakowskiego to niedowierzanie do nauki, wygłaszanej z katedr, wykładanej w Teorykach planet i komentarzach do nich. Szukając tych wpływów i odpowiadających im momentów czasu, korzysta autor z każdej niemal najdrobniejszej wzmianki czy to w Dziele, czy w Commentariolusie, i w notatkach piśmiennych Kopernika, idzie do autorów, u których czerpał wiedzę Astronom, przeprowadza porównania i rachunki matematyczne i wnosi, że pierwsze zarzewie wątpienia w umysł młodego Kopernika rzucić mogły dostrzeżone przezeń sprzeczności logiczne w Ptolemeuszowej teoryi księżyca, według której przyjęta w Almageście i po teorykach wartość parallaksy księżyca podczas kwadratury miała być tak wielką, iż przy niezmienionych rozmiarach księ-

życa musiałaby wzrastać w czwórnasób [1]). Czy tę sprzeczność logiczną teoryi wykrył po raz pierwszy Kopernik we Włoszech z Epitomatem Regiomontana w ręku, z tem prawdopodobnie pierwszem źródłem głównem swych informacyi astronomicznych, pierwszą swą książką podręczną, czy już do Włoch ze świadomością tą przybył, tego autor nie rozstrzyga. Na umysł młodego Kopernika mogły w tym czasie podziałać i pisma Averroesa, powstającego przeciwko ekscentrykom i epicyklom Ptolemeusza, lubo nie dającego żadnej natomiast pozytywnej budowli, pisma Mirandolusa, poznane podczas pierwszej italskiej podróży, dzieła Arystotelesa, w którym jest przecież wzmianka o obrocie ziemi i który mógł być znanym Kopernikowi jeszcze z czasów jego studyów krakowskich. Przejrzawszy jeszcze raz starannie niezupełnie wyczerpane przez Prowego, Hiplera i Curtzego zapiski Kopernika na dziełach Pontana, Bessariona i Aratosa z komentarzem Theona, odnajduje autor pośrednie stwierdzenie swych domysłów w śladach długiego mozolenia się astronoma nad ustaleniem nazw miesięcy egipskich, potrzebnych mu do skombinowania obserwacyi starożytnych, i nad skorygowaniem materyału, w tekstach ówczesnych dzieł astronomicznych przerażająco skażonego. W tym też to głównie celu — według zdania autora — wziął się Kopernik do nauki języka greckiego, którą rozpoczął prawdopodobnie podczas drugiego pobytu swego w Italii. Do dotychczasowych wiadomości o studyach hellenistycznych Kopernika dorzuca autor kilka nowych spostrzeżeń. Przejrzawszy starannie niedostatecznie przez poprzednich badaczy wyzyskane zapiski na egzemplarzach Apiana, Gebera i Vitelliona, zbija między innemi zdanie Curtzego, jakoby jedna z dłuższych zapisek Kopernika miała przeznaczenie astrologiczne. Zastanawiając się nad wykształceniem matematycznem Kopernika, uzupełnia znane już w tym przedmiocie wiadomości, między innemi, i nowym, a ważnym, szczegółem, który stwierdza następnie cytatami z rękopisów, przechowywanych w bibliotece Jagiellońskiej, mianowicie, że elementy trygonometryi, niezbędne w pierwszych rachunkach astronomicznych, Kopernik poznać już mógł w czasie studyów krakowskich. Ustala też Birkenmajer prawdopodobny porządek chronologiczny, w jakim studyował Kopernik dzieła naukowe, bibliotekę jego składające. To są mniej więcej główne fakty, bliżej wiążące się z okresem pierwszym twórczości Astronoma.

---

[1]) Spostrzeżenia te rozbiera już szczegółowo Magini w r. 1608 w dziele, o którem mówimy niżej.

Okres drugi odtworzyć się daje przeważnie na podstawie samego dzieła „De revolutionibus”, a mianowicie autografu i poszukiwań porównawczych z innemi źródłami. Na tej drodze udało się autorowi dorzucić kilka dość cennych spostrzeżeń, odnoszących się już to do matematyki, mechaniki i fizyki Kopernika, już to do narzędzi obserwacyjnych, przez niego używanych Żałujemy bardzo, że szczupłość miejsca nie pozwala nam tu wymienić ciekawych uwag autora. Ważną zdobyczą jest powiększenie liczby znanych dotąd obserwacyi Kopernika z wykazaniem związku niektórych z nich z obserwacyami astronomicznemi, prowadzonemi równocześnie w Krakowie. To poszukiwanie bardzo drobiazgowe pozwoliło autorowi ustalić chronologię obserwacyi astronomicznych Kopernika, znanych do r. 1900. W spisie (podanym na str. 317—318) jest tych obserwacyi 63 (ostatnia z dnia 24 sierpnia 1541 r.); obok numeru podane są: data, miejsce obserwacyi pewne lub domniemane, oraz wskazówka, gdzie o tej obserwacyi Kopernik mówi. Zasadniczem atoli dla historyi okresu drugiego jest poszukiwanie porządku chronologicznego wypracowywania i spisywania pojedyńczych ksiąg „Dzieła o obrotach”. Badanie to, wielce pracowite, oparł autor tak na wewnętrznej treści tekstu, jak i na znamionach zewnętrznych autografu, do których należą ductus pisma, jakość atramentu, filigrany papieru, przestawienie kart, dopiski, przekreślania i t. d. Sprawa to wielce zawiła, i, jak sam autor wyznaje, nie można było pomyśleć o wprowadzeniu wszystkich spostrzeżeń w jeden związek organiczny; podaje więc tylko „aforyzmy”, które pozwalają mu wszakże odtworzyć chronogię Dzieła, przynajmniej w głównych jej podstawach. Ze spostrzeżeń autora wymienimy tylko kilka następujących. Wbrew utartemu dotąd mniemaniu, jakoby „Revolutiones” — jak widzimy je w autografie praskim — były zupełnie wykończone przed przybyciem Rhetyka do Warmii, Birkenmajer utrzymuje, że brakło tam wtedy tego i owego ustępu, że istniały przedewszystkiem braki w trzynastu pierwszych rozdziałach dzisiejszej księgi II-giej. „W pierwszem stadyum mej pracy — powiada autor — nie mogłem przeczuwać tego zasadniczego, a dość niespodziewanego, faktu, że Kopernik, zanim przystąpił do spisywania Dzieła w postaci, którą znajdujemy w praskim rękopisie, wypracował je, a nawet spisał był na zasadach heliocentrycznego wprawdzie systemu, ale odmiennego od przyjętego ostatecznie w „Revolutiones”; że ten pierwszy dzieła koncept (starszy od roku 1512) oparł on na danych, zaczerpniętych co do liczb z Tablic Alfonsa (a wreszcie i tego, że Kopernik, zmieniając po czasie szczegóły pierwotnego mechanizmu, część jedną dawnego

rękopisu, dającą się pomimo tych zmian uratować, włączył do powstającego, że dopiero wśród spisywania Dzieła, pracy przeważnie stylistycznej, a całem niebem różnej od dokonanego już wpierw właściwego aktu twórczości—wprowadzał tam liczne dodatki i zmiany szczegółów, powiększał rękopisu objętość, wydoskonalał całość w miarę przybywających coraz to nowych spostrzeżeń".

Oto jest mniej więcej treść właściwych „Studyów", odnoszących się do prac Kopernika, z główem jego Dziełem związanych. Prawie cała druga połowa książki Birkenmajera zawiera szereg badań i rozpraw, w których autor zgromadził interesujące szczegóły nowe albo oświetlił dawne, dotyczące osoby Kopernika, rodziny jego, osób, z któremi pozostawał w stosunkach, autorów, którzy o nim pisali i t. p.

W rozdziale XV znajdujemy 19 dokumentów i listów, dotąd niewydanych, ze wzmiankami o Koperniku. Oryginały tych dokumentów znajdują się w bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie; są pomiędzy nimi listy Feliksa Reicha, kanonika warmijskiego, do Dantyszka, listy Tydemana Gizego do tegoż i t. d. W rozdziale XVI opowiada autor o znalezieniu w archiwum norymberskiem nowego dokumentu w sprawie zażalenia, wniesionego przez Gizego do senatu norymberskiego na drukarza, który usunął przedmowę Kopernika i zastąpił ją przedmową podrobioną. W jednym z następnych rozdziałów znajdujemy wiadomości o starych obserwacyach, wykonanych przez astronomów krakowskich; potem porównanie rozmaitych odpisów listu do Wapowskiego. Podanąw „Inedita Coppernicana" przez Curtzego wiadomość o obserwowaniu komety w r. 1533 przez Kopernika i o wszczętej wskutek tego polemice pomiędzy astronomami—uzupełnia Birkenmajer rozmaitemi uwagami, czerpanemi z pism późniejszych. Inne rozdziały zawierają pewną liczbę nowych szczegółów o obserwacyach Kopernika, o jego zapiskach treści lekarskiej, o Rhetyku, o pismach Reinholda (odnalezienie rękopisu, który uważano za zaginiony), o losach rękopisów Kopernika, o wizerunkach Kopernika i wiele innych. Taka w tych rozdziałach mieści się obfitość wiadomości i spostrzeżeń, że, chcąc zdać z nich sprawę, musielibyśmy nad miarę przedłużyć artykuł niniejszy. I dlatego ograniczymy się tu na przytoczeniu, prócz powyższego, niektórych jeszcze wyników według przeglądu, podanego na końcu dzieła.

I tak, Kopernik podczas swych studyów w Krakowie kopiował obszerną tablicę parallaks księżyca, obowiązującą tylko dla równoleżnika krakowskiego, grubo błędną w porównaniu z istotną wartością

parallaksy, a znacznie różną od własnej jego tablicy, znajdującej się w „Revolutiones".

Kopernik już we Włoszech wykonywał obserwacye słońca i gwiazd stałych celem wyznaczenia nachylenia ekliptyki do równika, ustalenia długości roku gwiazdowego i badania zjawisk precesyi.

Nieznany dotąd egzemplarz drugiego walnego źródła informacyjnego dla Kopernika, własny jego egzemplarz Almagestu Ptolemeusza, zawiera 155 zapisek astronoma, przeważnie króciutkich i dotąd nieznanych. Ich rozbiór doprowadza do wniosku, że „Revolutiones" powstały bez znajomości oryginalnego (greckiego) Almagestu i że Kopernik nie posiadał własnych obserwacyi księżyca, wcześniejszych od grudnia r. 1493.

Nieznana zapiska Kopernika, niezmiernie ciekawa, świadczy, że znał on gwiazdowy obieg apogeum księżyca z rzadką dokładnością (8 lat i 311 $\frac{14}{60}$ dnia), o czem w „Revolutiones" wzmianki niema.

Nieznane zapiski współczesne świadczą, że w maju roku 1504 Kopernik bawił chwilowo w Krakowie, zapewne w drodze powrotnej z Włoch do Warmii (wiadomość o tem znajduje się już u Śniadeckiego); że był też prawdopodobnie w Krakowie dnia 7 czerwca roku 1518, a z pewnością dnia 29 stycznia roku 1534. Daty te były nieznane dotąd biografom Kopernika [1]).

Dzieło Birkenmajera zdobią pięknie wykonane reprodukcye

---

[1]) Pozwolimy sobie w tem miejscu dodać uzupełnienia do niektórych wyników autora. I tak bezzasadność poglądu, że wzmianka autografu (przedrukowana w Revol. III. ed. tor.) o elipsach ma odnosić się do ruchu planet po elipsach (wynik 44) wykazał już w roku 1898 dowodnie *Th. Häbler.* (Ueber zwei Stellen in Platon Timaeus und im Hauptwerke von Coppernicus, Grimma, 1898). Do najwcześniejszych wzmianek d r u k o w a n y c h o dacie urodzenia Kopernika (obok wymienionych w wyniku 54 wzmianek rękopiśmiennych) należy zaliczyć wzmiankę w „Series astrologorum" (w Peucera „Elementa doctrinae de circulis", Wittenbergae, 1551, a n i e 1558), gdzie czytamy: „Nicolaus Copernicus Torunensis, Canonicus Varmiensis natus anno 1473, Februa. die 19 hora 4 scrup. 48". Co do wyniku 76, dotyczącego pisma Reinholda, pozwalamy sobie przytoczyć ustęp z dzieła Magini'ego: „Novae coelestium theoricae congruentes cum observationibus N. Copernici" (Moguntiaci MDCVIII), w którem na str. B 5 czytamy: Quindecim jam annos literatorum teritur masnibus liber quidam Coloniae primum aeditus (sic!) absque authoris nomine qui absolutissimas pollicetur orbium coelestium hypotyposes congruentes cum tabulis Alphonsinis et Copernici, seu etiam tabulis Prutenicis, cujus libri rationem alias non sequuti sumus in nostrarum tabularum canonibus, quos Romae non sine festinatione conscripsimus...

przedniej i tylnej okładki drukowanych tablic Alfonsa w oprawie krakowskiej z końca XV-go wieku, będących niegdyś własnością Kopernika; — karty tytułowej tych tablic; ostatniej stronicy Raptularzyka upsalskiego; autografu Kopernika z roku 1539 ze zbiorów ks. Czartoryskich w Krakowie; karty tytułowej dzieła „De Revolutionibus orbium coelestium”, ed. prin. 1543; zapiski Kopernika na własnym jego egzemplarzu Historyi Naturalnej Pliniusa, wyd. weneckiego roku 1487; pierwszej stronicy autografu dzieła Kopernikowego; przedniej i tylnej okładki Elementów Euklidesa, będących niegdyś własnością Kopernika.

W charakterystyce powyższej, zbyt pobieżnej i niedostatecznej — wyznajemy to szczerze — staraliśmy się przedstawić, wedle rozumienia naszego, znaczenie tych sumiennych badań autora. Co zamierzał i co wykonał, mówi zresztą sam, i lepiej od nas, w pięknie skreślonej przedmowie, z której pozwolimy sobie przytoczyć następujące, nacechowane rzetelną skromnością badacza, słowa: „O zupełności takiego przedsięwzięcia niema tutaj mowy: rzecz przekracza siły, a pewnie i wiadomości jednostki. Jak każda dywinacya, ma ona wszakże to do siebie, iż praca z postępem jej staje się wogóle coraz łatwiejszą. Dotychczasowe wyniki tych dochodzeń nagrodziły sowicie mozół, w to włożony, a mniemam, że dowiedzione tu szczegóły posłużą niejako za punkty wytyczne dla dalszych badaczy przyszłości”. Oby to życzenie zasłużonego pracownika najrychlej spełnić się mogło!

W naszej literaturze naukowej „Studya” Birkenmajera mają ważne znaczenie nie tylko jako hołd, oddany pamięci wielkiego wychowańca Wszechnicy krakowskiej, lecz i jako wielce sumienne badanie historyczno-krytyczne, które pobudzić winno do nowych prac w zaniedbanej dotąd, niestety, u nas, a uprawianej z wielkiem powodzeniem u obcych dziedzinie badań nad historyą nauk.

S. Dickstein.



Żywot Balduina Gallusa,

BISKUPA KRUSZWICKIEGO.

(1066 — 1145).

Wstęp.

W rozprawie o Balduinie Gallusie*) chodziło mi jedynie o wykrycie osobistości autora pierwszej kroniki polskiej, aby przez to uzyskać stanowisko, z któregoby opowiadania autora krytycznie rozważyć i wiarogodność jego ocenić można. W tym celu dość było wiedzieć, kim był a u t o r Kroniki, t. j. jakie zajmował stanowisko, pisząc ją, czy mógł być dobrze informowany, czy i jakie mógł mieć tendencye? Wystarczającem więc było zupełnie wykazanie, że autor, obcy w Polsce, należał tutaj do stanu duchownego, że był opatem klasztoru Benedyktynów i został tutaj w nagrodę za Kronikę, chwalącą czyny Bolesława Krzywoustego, przez tegoż zamianowany biskupem Kruszwickim. Do krytyki Kroniki najzupełniej daty te wystarczają.

Dlatego co do pochodzenia Balduina Gallusa mogłem się we wspomnianej rozprawie zadowolnić przypuszczeniem, że był to Benedyktyn, pochodzący z Flandryi, który w Polsce został opatem Lubińskim, a następnie biskupem Kruszwickim. Jaki był żywot jego, zanim przybył do Polski, i jakie losy jego po opuszczeniu Polski (bo tutaj nie zmarł!), to już nie wchodziło w ramy rozprawy, poświę-

---

*) W sprawozdaniach Akademii Wiedeńskiej z roku 1895.

conej głównie krytyce Kroniki jego, ani też, ściśle biorąc, ten żywot BalduinaGallusa poza Polską dla historyi polskiej ważności niema.

Nie mniej jednak żywot tego człowieka, który dla historyografii polskiej tak stał się ważnym i nieocenionym, nie może być obojętnym dla historyka; a jeśli już nie dla historyi polskiej, to dla dziejów kultury ówczesnej nie mogą być obojętnymi losy człowieka, tak w każdym razie wybitnego, i budzić musi ciekawość kwestya: jaki to był człowiek, który, przybywszy do Polski, zdołał tutaj się wybić na tak wysokie stanowisko, jak opata i biskupa?

Nie będzie więc od rzeczy, jeżeli nad tą kwestyą się zastanowimy.

Zważmy najprzód, czy takie przedsięwzięcie wykrycia dat bliższych żywota człowieka, który w Polsce naumyślnie imię swoje ukrył i o którym tutaj zaledwie wzmianka jedna nazwiska jego się zachowała, przedstawia jakieś szanse powodzenia? czy nie jest z góry beznadziejne?

Otóż zdaje mi się, że przedsięwzięcie takie ma szanse powodzenia i że można mieć nadzieję osiągnięcia celu poszukiwań, a to z następujących powodów. Jeżeli autor był Benedyktynem, wogóle mnichem i dostojnikiem Kościoła, to przecież wiemy, że zakony i kościół katolicki zawsze dbały bardzo o zachowanie pamięci braci zakonnych i dostojników swoich. Jeżeli zaś autor pochodził z Flandryi, to był to kraj w owym wieku już bardzo wysoko cywilizowany, w którym piśmiennictwo już bardzo kwitło, gdzie zatem nie tak, jak w „barbarzyńskiej" jeszcze Polsce ówczesnej, nie zbywało na pisarzach i kronikarzach, gdzie zatem o ludziach wybitniejszych — a takim, oczywista, musiał być nasz Balduin — łatwo mogła się zachować jakaś wzmianka kronikarska albo jakaś notatka klasztorna lub historyczno-kościelna.

Tem bardziej spodziewać się można znalezienia gdzieś w zachodnich źródłach historycznych takiej wzmianki, ile że, jak powiadam, nasz kronikarz oczywiście musiał należeć do ludzi umysłowo wybitniejszych, o czem świadczy dzieło jego. Bo, bądź jak bądź, Kronika jego zdradza nie tylko talent wybitny, ale i wykształcenie literackie niepospolite. Z takiem wykształceniem w owym wieku nie często się spotkać można, i nie pierwszy lepszy, z gminu pochodzący mnich mógł posiadać taką erudycyę. Takiego wykształcenia w owym wieku można tylko było nabyć w szkołach wyższych, biskupich, do których znowu przystęp nie każdemu był łatwy i do których przeważnie tylko młodzież z najwyższych sfer towarzyskich na nauki

oddawano. Już to więc wykształcenie literackie pozwala się domyślać, że nasz kronikarz nie pochodził z gminu, ale że musiał pochodzić z jakiejś rodziny znakomitszej.

Domysł ten poparty jest także imieniem kronikarza: bo i imię Balduin w XI wieku znajdujemy tylko w rodzinach książąt flandryjskich i lotaryńskich — poza temi rodzinami bardzo rzadko u niektórych dostojników kościoła (pochodzących prawdopodobnie z wyższych sfer społecznych); u ludu zaś i wśród mieszczan imienia tego wcale się nie spotyka, co zresztą i tem się tłómaczy, że między świętymi kościoła katolickiego, a zatem i w kalendarzu rzymsko-katolickim, nie było żadnego Balduina.

Wobec takiego położenia rzeczy droga, mogąca prowadzić do wykrycia bliższych szczegółów żywota naszego Balduina, sama się nastręcza. Nie pozostaje bowiem nic innego, jak zbadać dokładnie żywoty wszystkich Balduinów, którzy na schyłku XI i na początku XII wieku żyli we Flandryi lub w sąsiednich z Flandryą prowincyach, i rozważyć, czyby który z nich nie mógł był na początku XII stulecia, a szczególnie w latach 1106—1113, bawić w Polsce na dworze Bolesława Krzywoustego i zajmować stolicę biskupią w Kruszwicy.

Otóż źródła zachodu z tego czasu podają nam wiadomości o dość znacznej liczbie Balduinów. Jest tego imienia sporo hrabiów i książąt, są opaci i kilku biskupów. Ale, rozpatrując daty ich życia, nie mogłem u żadnego z nich znaleźć luki między latami mniej więcej 1106—1113, któraby się dała wypełnić pobytem w Polsce. Może kto inny będzie szczęśliwszy ode mnie, a może też nowe źródła, z archiwów Francyi lub Belgii zaczerpnięte, dostarczą obfitszego materyału. Ale jeżelim nie mógł znaleźć żadnego Balduina, którego życie wykazałoby taką lukę, to natomiast znalazłem w źródłach historycznych zachodu i Włoch jeszcze d w u innych Balduinów tajemniczych, z których jednego żywot kończy się t a j e m n i c z o w r. 1098, drugiego zaś, który na widownię dziejów wypływa koło r. 1130, a kończy żywot autentycznie w r. 1145, co do początków swych i całej przeszłości jest również t a j e m n i c z y, tak, że te d w i e tajemnice, te dwie nierozwiązane zagadki historyczne: gdzie się podział ów Balduin, który bez śladu ginie w r. 1098, i skąd się wziął i kim był ów Balduin, który autentycznie zmarł w r. 1145, — tylko w ten sposób dałyby się rozwiązać, gdyby w tę lukę między tajemniczem zniknięciem jednego a autentycznym końcem żywota drugiego

wsunąć naszego Balduina, kronikarza, którego przeszłość i koniec żywota stanowią również tajemnicę historyczną.

Tak więc mamy przed sobą dwie zagadki historyczne: gdzie się podział ów Balduin II, hr. Hennegawski, który w r. 1096 wybrał się do ziemi świętej, brał udział w oblężeniu Antyochii, a po zdobyciu miasta tego, jak zobaczymy, ginie bez śladu? A kim był, skąd się wziął w r. 1030 w Rzymie ów Balduin, kardynał, a następnie arcybiskup Pizański, który zmarł w Pizie w r. 1145, o którego pochodzeniu i narodowości do dziś dnia pomiędzy historykami kościoła rzymskiego i Włoch panuje spór nierozstrzygnięty?

Otóż te dwie zagadki historyczne dałyby się łatwo rozwiązać, gdyby można między tajemnicze zniknięcie hr. Balduina Hennegawskiego w r. 1098 i tajemnicze wypłynięcie kardynała Balduina w Rzymie w r. 1130 wsunąć naszego kronikarza, Balduina Gallusa, biskupa kruszwickiego, który między powyższymi dwoma Balduinami wydaje się, jakby epizod bez początku i bez zakończenia.

Gdybyśmy zatem przypuścić mogli, że te trzy tajemnicze postacie Balduinów były jedną i tą samą osobistością, tobyśmy jednym zamachem rozwiązali trzy zagadki historyczne i pokazałoby się, że ów hrabia Balduin Hennegawski, który w r. 1098 bez śladu znikł z małej Azyi, wstąpiwszy do zakonu Benedyktynów, wnet później, jako mnich i opat, wypływa w Polsce, a przysłużywszy się Bolesławowi Krzywoustemu, jako kronikarz, wybija się na stolicę biskupią w Kruszwicy, skąd następnie przenosi się do Rzymu, zostaje kardynałem, a w końcu arcybiskupem Pizańskim i, jako taki, żywot swój kończy r. 1145.

Tym sposobem z trzech tajemniczych Balduinów złożyłaby nam się jedna już nie tajemnicza, choć natomiast dosyć awanturnicza postać naszego Balduina Gallusa, którego żywot stanąłby przed nami w pełnem świetle historycznem od kolebki aż do grobu.

Oczywiście, że takie przypuszczenie tożsamości tych trzech tajemniczych Balduinów tylko pod pewnymi warunkami może uchodzić za usprawiedliwione. Mianowicie muszą być spełnione pewne negatywne i pewne pozytywne warunki, usprawiedliwiające takie przypuszczenie, jeżeli takowe z góry nie ma być uważane za lekkomyślne i bezpodstawne.

Pierwszym w tym kierunku negatywnym warunkiem jest, aby w żadnym z tych trzech życia ułamków nie znachodziły się takie stosunki, okoliczności, czyny, fakty, rysy charakteru czy wykształcenia umysłowego, któreby z okolicznościami, stosunkami, czynami,

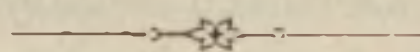
faktami i rysami w dwu innych tych życia ułamkach w takiej zostawały sprzeczności, że wszelkie przypuszczenie przynależności do siebie i związku z sobą tych ułamków byłoby z góry wykluczonem. Niech mi wolno będzie to zdanie objaśnić nieco rubasznym przykładem. Gdyby się np. pokazało, że hr. Balduin Hennegawski był jednookim, a biskup Kruszwicki albo arcybiskup Pizański nie był jednookim, to oczywiście o tożsamości tych Balduinów mowyby być nie mogło.

Następnie spełnionym być musi cały szereg pozytywnych warunków, jeżeli przypuszczenie takie, o jakiem mówimy, ma być usprawiedliwione. Mianowicie muszą w stosunkach, okolicznościach, czynach i rysach charakterystycznych w tych trzech życia ułamkach takie zachodzić zgodności, te trzy ułamki muszą tak do siebie przystawać, że o przynależności ich do siebie, o jedności tych trzech ułamków mimowolnie nasunie się domysł.

Oczywiście, im większa będzie ilość takich zgodności, tem większe będzie prawdopodobieństwo tego domysłu, a ilość tych zgodności może być tak wielką, że o prawdziwości tego domysłu trudno będzie wątpić. Te poszlaki jedności tych trzech Balduinów mogą się tak namnożyć, że możemy się znaleźć w podobnie szczęśliwej sytuacyi, jak archeolog, któremu się trafiło w trzech różnych miejscach wykopać trzy ułamki posągów, tam gdzieś głowę, tam znów tułów, a owdzie znów nogi, i który, zestawiając te ułamki, spostrzega, że do siebie zupełnie przystają i widzi przed sobą jednolitą figurę.

W naszym wypadku jednak przed rozglądaniem wspomnianych warunków negatywnych i pozytywnych, nasamprzód jeszcze na to baczyć wypada, czy od daty narodzenia się pierwszego z tych trzech Balduinów aż do śmierci ostatniego z nich nie upłynął większy okres czasu, aniżeli możliwy wiek życia ludzkiego.

Postaram się tedy w następujących wywodach wykazać, że we wspomnianych trzech życia ułamkach, które razem wypełniają okres czasu, nie przekraczający możliwego wieku życia ludzkiego (79 lat), zachodzą wspomniane powyżej warunki negatywne i pozytywne, które przypuszczenie moje choćby tylko do pewnego stopnia usprawiedliwią.



CZĘŚĆ I.

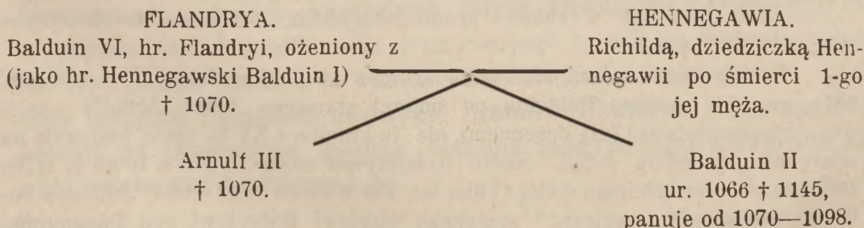
Balduin hrabia Hennegawski.

Balduin II, hrabia Hennegawii, był młodszym synem hrabiny Richildy z drugiego małżeństwa jej z Balduinem VI, hrabią Flandryi, który. połączywszy przez to małżeństwo Flandryę z Hennegawią, jako hrabia Hennegawski, nosi miano Balduina I-go [1]). Ten Balduin I Hennegawski zmarł r. 1070, zostawiwszy z małżeństwa z hr. Richildą dwoje dzieci, chłopców, pięcioletniego Arnulfa (III) starszego i co najwięcej czteroletniego Balduina (II) młodszego. Przed śmiercią zamianował brata swego Roberta Frizona opiekunem starszego swego syna Arnulfa (III), dziedzica Flandryi i Hennegawii, a młodszego Balduina (II) zostawił pod opieką żony swej Richildy. Ale Robert Fryzo, wiarołomny opiekun, sam dla siebie opanował Flandryę, pozbawiwszy bratanka i pupila swego należącego mu się według prawa primogenitury dziedzictwa. Przeciw tej uzurpacyi hr. Richildis wezwała pomocy króla francuskiego, Filipa. Ten wprawdzie posłał jej posiłki przeciw Robertowi Frizonowi, ale losy wojny sprzyjały temu ostatniemu. Został zwycięzcą w bitwie pod Casletum (1070), gdzie nadto młodziuchny Arnulf zabitym został przez najętego w tym celu przez Roberta Frizona mordercę Gerboda [2]).

Tak więc Richildzie i młodszemu jej synowi Balduinowi, liczącemu wtedy ledwie 4 lata, pozostała się tylko Hennegawia; z Flandryi młody Balduin był wydziedziczony. Richildis oddała się teraz zupełnie administracyi swego dziedzicznego państewka i wychowa-

---

[1]) Dla zoryentowania się niechaj posłuży następująca tablica genealogiczna:



[2]) Gisleberti Chronicon Hanoniense, ed Pertz Monum. Germ. Wydanie dokładniejsze z objaśnieniami i dodatkami wyszło staraniem margrabiego Menilglaise w Tournai 1874 r.

niu jedynaka swego z 2-go małżeństwa. Położenie jej finansowe jednak wskutek kosztownej wojny przeciw Robertowi Frizonowi i utraty Flandryi musiało być bardzo krytyczne, skoro zmuszoną była hrabstwo swoje oddać w lenno biskupowi leodyjskiemu za potrzebną jej do uporządkowania swoich interesów finansowych sumę pieniężną. Tak tedy przyszłe dziedzictwo młodego Balduina II stało się lennem arcybiskupstwa leodyjskiego.

Załatwijmyż się przedewszystkiem na tem miejscu z datą urodzenia Balduina II, której źródła nigdzie wyraźnie nie podają. Wiemy jednak, że w chwili śmierci Balduina I prawny następca jego, starszy syn, Arnulf, miał „zaledwie pięć lat" [1]). A zatem młodszy musiał mieć najmniej 4 lata, a więc urodzony w roku 1066. Od roku tego aż do roku śmierci Balduina, arcybiskupa pizańskiego, t. j. do r. 1145, upływa lat 79, t. j. okres czasu, który nie przekracza granic możliwości jednego żywota ludzkiego [2]).

Jeszcze druga okoliczność przemawia za tem, że Balduin II w chwili śmierci ojca swego (1070) miał nie więcej, jak lat 4. Jest to data ożenienia się jego, roku 1084. Nie może bowiem podlegać wątpliwości, że matka jego Richilda, kobieta bardzo energiczna i ambitna, jedynaka swego, a przynajmniej jedynego przyszłego dziedzica Hennegawii (bo syn jej z pierwszego małżeństwa za jej namową wstąpił do klasztoru), jak najprędzej pragnęła ożenić go dla utrzymania dynastyi. Zdaje się nadto, że starania te koło żeniaczki syna zbyt wcześnie zaczęła, kiedy Balduin ledwie był podrostkiem; wskazuje na to historyjka, którą nam opowiada Gislebert, że Richildis chciała syna swego zaręczyć z jakąś posażną panną, ale Balduin,

---

[1]) „...Ernoul, seu fil alant à paines V ans" pisze najstarsza kronika flandryjska: „Ancienne chronique de Flandre", wydana przez de Smeta w „Corpus chronicorum Flandriae" w zbiorze kronik belgijskich, Collection de chroniques Belges Tom II, p. 41.

[2]) Wprawdzie późniejsza jedna kronika „Chronicon Dynteri" (l. c. t. I, p. 537) nazywa naszego Balduina po śmierci starszego brata Arnulfa „zaledwie dziesięcioletnim" (vix decennem), ale ta kronika z XV w. mniej zasługuje na wiarę, niż poprzednia z XII. Nadto podejrzywać wolno Dyntera, że na to tylko Balduinowi czteroletniemu dodaje kilka lat, aby z niego mógł zrobić „chłopca bohatera", bo każe mu „walczyć" przeciwko stryjowi Robertowi pod Donengium. Późniejsi kronikarze nie wzdrygali się przed takimi dowolnymi dodatkami. Ale gdyby nawet przyjąć wiek, podany przez Dyntera, hypotezie naszej z tego powodu nie zagraża niebezpieczeństwo, bo i 85 lat bardzo dużo ludzi dochodzi dawnymi i dzisiejszymi czasy.

zobaczywszy ją, dał drapaka podobno z powodu jej brzydoty. Ale w każdym razie postępowanie takie zdradza niedorostka. Wnet potem ożenił się z inną, z Idą, hrabianką z Loewen. Można być pewnym, że nie miał wtedy więcej, jak 18 lat — bo dłużej w danych stosunkach pani matka pewnieby mu nie dała zostać kawalerem. Jeżeli więc przyjmiemy, że w roku 1084 miał lat 18, to w chwili śmierci ojca (1070) miał lat 4, coby się z podaniem kroniki, że starszy brat wtedy miał 5 lat, zupełnie zgadzało.

Zważywszy blizkie stosunki polityczne i sojusz między hrabiną Richildą a biskupstwem Leodyjskiem, któremu Hennegawię w lenno odała, wątpić nie można, że i młody Balduin, przyszły lennik biskupa leodyjskiego, wykształcenie swoje odebrał w słynnej już wówczas szkole biskupiej w Leodyum albo przynajmniej od nauczycieli tej szkoły. Ta okoliczność tłómaczyłaby nam uderzające podobieństwo stylu, które zachodzi z jednej strony między kroniką naszą Gallusa a kronikami flandryjskiemi, z drugiej strony między naszym Gallusem a czeskim Kosmasem, który również kształcił się w szkole leodyjskiej [1]).

Stan, w jakim Balduin II, doszedłszy do pełnoletności, odebrał od matki ojcowskie dziedzictwo, musiał być bardzo opłakany. Wojny przeciw Robertowi Fryzonowi i bezustanne a bezowocne zabiegi Richildy odzyskania dla syna swego Flandryi, sumy, których użyła na uzyskanie sobie łask króla francuskiego, zmusiły ją do obciążenia długami posiadłości swych, od których nie mogła się inaczej uwolnić, jak oddając się zupełnie w opiekę biskupstwa leodyjskiego, — któremu Hennegawię, jako lenno poddała. Warunki, pod którymi to się stało i które wyliczone są w dotyczącym akcie, rzucają światło na krytyczne położenie Richildy i jej syna. Albowiem prócz opieki, którą jej biskup obiecuje wzamian za oddanie mu w lenno Hennegawii i trzech kasztelanii (Mons, Beaumont i Valenciennes) wyprasza sobie Richildis dla syna swojego co rok na Boże Narodzenie trzy piękne ubrania w wartości sześciu grzywien srebra [2]). Tak więc potomek i dziedzic możnych hrabiów Flandryi i Hennegawii zeszedł na skromnego lennika biskupa leodyjskiego, który nim się miał opiekować i odziewać go.

---

[1]) Porów. rozprawę akad: „Balduin Gallus“, str. 7.
[2]) Gisleberti Chronica Hannoniae ed Menilglaise, 1874, I. 22.

Rządy własne Balduina II nie były pomyślne. Nie powiększał dziedzictwa swego, natomiast poniósł niektóre straty. Nie mogąc spłacić pewnej sumy, za którą w zastaw trzymał stryj jego Robert Fryzo kasztelanię Douai, należącą do Hennegawii, stracił tę kasztelanię na zawsze.

Nawet przeciwko drobnemu wasalowi swojemu Goswinowi d'Oisy, który bezprawnie jął się budowania twierdzy w Avesnes, Balduin nie mógł przeprowadzić praw swych zwierzchniczych i pomimo, że Goswina pobił i uwięził, musiał go wreszcie uwolnić i zezwolić na wystawienie twierdzy, „co później hrabiom Hennegawskim na szkodę wyszło."

Z faktów tych wszystkich wnosić można, że położenie finansowe Balduina coraz się pogarszało, co, jak wielu innych panów Francyi i Lotaryngii w owym czasie, tak i jego spowodowało do udziału w wyprawie krzyżowej. Na „bogatym" Wschodzie przywódcy wojen krzyżowych spodziewali się zyskać skarby i bogactwa [1]). Prawda, że nasz Balduin, nie mając na koszta wyprawy, ostatni może zamek swój Couvin sprzedać musiał biskupowi leodyjskiemu Otbertowi [2]).

W roku 1096 Balduin przypiął krzyż i przyłączył się do tego oddziału krzyżowców, który przez Węgry i Bałkany ciągnął ku Stambułowi, by stamtąd przeprawić się do Małej Azyi [3]). Nie zasłynął on tam żadnymi czynami bohaterskimi. Posiadamy o pierwszej krucyacie dwa współczesne obszerne i dokładne opowiadania dwu współczesnych i wiarogodnych świadków, którzy w wyprawie sami brali udział: Raimunda de Agiles: Historiae Francorum, qui ceperunt Jerusalem i Anonyma wspomniane już powyżej Gesta Francorum. Pierwszy wogóle nie wspomina nic o naszym Balduinie. Co prawda, Raimund de Agiles znajdował się w odziale hrabiego Tolozańskiego i Prowensalów, ale gdyby nasz Balduin jakimkolwiek

---

1) Najuczeńszy historyk wypraw krzyżowych, baron Reiffenberg w przedmowie do wydanego przez siebie „Chevalier au Cygne" (Collection de chroniques Belges 1848. I, str. XXXVI) pisze: On ne voit pas que l'incendie de la première croisade ait gagné aucun de grands feudataires du Nord du Pays Bas. Les comtes de Hollande et de Gueldre restèrent paisiblement dans leur Etats, laissant à leur sujets le soin d'acquitter la dette de la chretienté".

2) Baudouin comte de Hainant au moment de partir pour le voyage d'outre mer vend à l'eveque de Liège Obert le chateau de Cuovoin avec ses dependances. Reiffenberg l. c. T. V, p. 553.

3) Anonymi Gesta Francorum ed. Hagenmeyer, p. 107

czynem wojennym się był odznaczył, byłoby to z pewnością i w Rajmundzie zaznaczonem, a bez wątpienia byłaby o nim wzmianka, gdyby był na krucyacie tej zginął!

Drugi historyk krucyaty tej Anonym w Gestach Francorum zaznaczył wprawdzie wyraźnie przyłączenie się naszego Balduina do oddziału Gottfrieda z Bouillonu, ale potem w całej obszernej i detalicznej historyi tej wyprawy ani razu naszego Balduina nie wspomina, ani o żadnych jego czynach, ani o jego śmierci lub uwięzieniu. Milczenie dwu głównych współczesnych źródeł historyi pierwszej krucyaty jest arcywymowne. Dowodzi ono nie tylko, że Balduin w wyprawie niczem się nie odznaczył, ale także, że na niej nie zginął. Oczywista więc, że Balduin należał do wielkiej liczby tych, którzy, zrażeni mozołami i trudnościami wyprawy, cichaczem wrócili do Europy.

Wprawdzie, kiedy do kraju swego nie wrócił, a rodzina nie wiedziała, gdzie się podział, powstały tam różne pogłoski o nim. Jedni opowiadali, że zginął, drudzy, że dostał się do więzienia. Z tych pogłosek urosła legenda, która przeszła do późniejszych kronik, z których znowu czerpali późniejsi historycy.

Ale z tych opowiadań późniejszych jedne polegają na łatwo wykazać się dających pomyłkach, inne znowu widocznie przyczepione zostały do prawdziwych opowiadań współczesnych, jako później zmyślone dodatki. Do pierwszych należy wiadomość, podana przez kronikę Balduina de Ninowe [1]), że hr. Balduin Hennegawski zginął przy oblężeniu Nicei od strzały nieprzyjacielskiej. Jest to widoczna pomyłka, polegająca na zamianie naszego Balduina z Balduinem Gandejskim, którego pod Niceą los ten spotkał [2]). Opowiadanie zaś Alberta Acquensis, że Balduin nasz zginął po zdobyciu Antyochii r. 1098 w drodze do Konstantynopola, dokąd miał być wysłany w poselstwie do cesarza Aleksego w towarzystwie Hugona Wiel-

---

1) Balduini Ninoviensis Chronicon (wiek 13) w zbiorze de Smeta. T. II, p. 581.

2) O znakomitszych osobach, poległych pod Niceą, mamy dokładne wiadomości w listach hr. Stefana de Blois do żony swej i Anselma de Ripemont do arcybiskupa Manassego. Również Albert Acquensis donosi o nich. Poległo tam wprawdzie dwu Balduinów, ale nie nasz, tylko Gandejski i Balduin de Chalderun. O naszym pod Niceą niema mowy, co więcej Albert Acquensis wspomina go wyraźnie, jako dowodzącego oddziałem wojska pod Antyochią r. 1098, a zatem już kawał czasu po sprawie Nicejskiej. Porówn. Hagenmeyer w notach do Gestów, str. 193, nota 55.

kiego, brata króla francuskiego, jest bajką, przyczepioną do prawdziwego faktu, podanego dokładnie przez bezimiennego autora Gesta Francorum. Ten opowiada o tem poselstwie Hugona Wielkiego, ale nie wspomina nic o Balduinie. A przecież, jeżeli uważał Balduina (i słusznie) za dość znakomitą osobistość, zasługującą na wzmiankę między przywódcami pierwszej krucyaty, i tam go wyszczególnił, jako biorącego udział w wyprawie, to tem więcej byłby go wspomniał teraz, jako wysłanego w poselstwie, bo wkażdym razie poselstwo takie byłoby odznaczeniem, dowodem zaufania, a już z pewnością byłby zaznaczył śmierć lub uwięzienie jego podczas poselstwa. Nic o tem w Gestach niema: jest to oczywista bajka późniejsza. Co więcej, cała kompozycya tej bajki zdradza się sama, jako zmyślona. Albert Acquensis bowiem, który najrozmaitsze bajki spisywał, miał przed sobą dwie wiadomości, jedną (fałszywą), że Balduin poległ pod Niceą (podczas oblężenia); drugą, która, zdaje się, była prawdziwą, że dowodził oddziałem wojska pod Antyochią (a zatem później). Albert Acquensis zatem, chcąc pogodzić te dwie sprzeczne wiadomości, skomponował taką bajkę: po zdobyciu Antyochii wysłano Balduina wraz z Hugonem wielkim do cesarza Aleksego. W drodze koło Nicei (!) Balduin wpadł w zasadzkę i niewiadomo, czy zginął, czy został uwięziony. Hugo zaś nic o tem nie wiedział(!), bo został się nieco w tyle! Cała kompozycya bajki przezroczysta: udział w oblężeniu Antyochii miał być pogodzony ze śmiercią pod Niceą [1]).

Trzymając się tylko wiarogodnych współczesnych świadectw, możemy jedynie stwierdzić, że Balduin na wyprawie krzyżowej nie zginął, ale w czasie, mniej więcej, po zdobyciu Antyochii z widowni bez śladu znika.

Powstaje pytanie: gdzie się podział?

Jeżeli się dobrze przypatrzymy położeniu i stosunkom krzyżowców podczas oblężenia Antyochii, jeżeli przytem zważymy nie bardzo, jak się zdaje, bohaterskie usposobienie Balduina: nasunie się nam mimowolnie domysł, że musiał on należeć do wielkiej liczby tych, którzy, zrażeni przeciwnościami i niewygodami na wyprawie, nie chcąc się narażać na dalsze walki i niebezpieczeństwa, opuścili cichaczem Małą Azyę i wrócili do Europy.

---

[1]) O niewiarogodności Alberta Acquensis porówn. Sybel: Gesch. des ersten Kreuzzugs. str. 76.

Współczesne relacye o krucyatach pełne są skarg i narzekań na tych uciekinierów (desertores). Oczywista, że pobożni kronikarze stanu duchownego przestrzegają zasady „*nomina sunt odiosa*" i tylko w rzadkich wypadkach wymieniają nazwiska tych wiarołomnych i niegodnych rycerzy krzyża. Te zaś kroniki, które później są spisane, nazwiska takich uciekinierów wogóle przemilczają. Stąd prawdopodobnie pochodzi, że nie jeden późniejszy kronikarz o Balduinie Hennegawskim wcale nie wspomina [1]).

Z powyższego już poczęści tłómaczy się, dlaczego Balduin po powrocie z Małej Azyi nie wrócił do kraju swego. Nie mógł on bowiem narazić się na potępienie opinii publicznej, która np. takiego Stefana z Blois, który z pod Antyochii wrócił, zmusiła do powtórnej wyprawy na Wchód, gdzie nareszcie zginął. Nadto naszego Balduina nie czekał żaden świetny los w ojczyźnie: byłby tylko ciężarem rodziny, która przez niego zubożała. Cóż miał począć, wróciwszy bez majątku z ziemi świętej? Nie pozostało mu nic innego, jak za przykładem wielu innych krzyżaków wstąpić do klasztoru. Zwłaszcza zakon Benedyktynów był wtedy schronieniem zubożałych szlachciców. Z zakonem tym wiązały Balduina bliższe stosunki. Ojciec jego był fundatorem klasztoru Benedyktynów w Ostrowandyi [2]). Miał zatem, według zapatrywań owego czasu, Balduin, jako syn dobroczyńcy zakonu, pewne prawa szukania pomocy i schronienia u tego zakonu. Nie było też w owym czasie rzadkością, że ludzie żonaci, ojcowie rodzin wstępowali do klasztorów. Jeżeli Balduin nasz wrócił do Europy, nie mógł nigdzie indziej lepszego znaleźć przytułku, jak w jakimś klasztorze Benedyktynów.

W roku 1111 wypływa w Polsce jakiś Balduin Gallus, który

[1]) Jako charakterystyczny przykład takich skarg niechaj posłuży ustęp z Guiberta, opata nogentiiskiego: Gesta Dei per Francos. Wyliczywszy najprzód kilku takich uciekinierów imiennie (oczywiście takich, co do których nie krępował się żadnemi względami) dodaje: „Byli inni dezerterowie z tej świętej wyprawy, którzy po powrocie do ojczyzny wszędzie wzgardzeni zostali i napiętnowani, jako infamisy, z których liczby o jednych wolimy milczeć, innym zaś, których i tak świat zna, nie chcemy ujmy czynić". Guibert był współczesnym naszego Balduina. Nie wspomina o nim ani słowem nawet, że brał udział w wyprawie. To zupełne przemilczenie Balduina jest bardzo podejrzanem: łatwo być może, że należał on do tych, których Guibert „przemilcza" i „ujmy im czynić nie chce".

[2]) Jakób Meyer „Annales sive Historia rerum Belgicarum", Frankfurt, 1580, pod R. 1070.

z łaski Bolesława Krzywoustego zostaje biskupem kruszwickim. We wspomnianej rozprawie akademickiej starałem się udowodnić, że biskup ten był przedtem opatem klasztoru Benedyktynów w Lubinie i autorem kroniki „Gallusa". Tutaj postaram się wykazać, że ten biskup Balduin Gallus, pierwszy nasz kronikarz łaciński, nie jest nikim innym, jak tym Balduinem II Hennegawskim, który po powrocie z Małej Azyi prawdopodobnie znalazł schronienie w jakimś klasztorze Benedyktynów.

Że styl naszej „Chronica Polonorum" nosi piętno szkoły leodyjskiej, o tem już wspomnieliśmy. Że Balduin po powrocie z wyprawy krzyżowej, zmuszony okolicznościami szukać przytułku i schronienia w klasztorze benedyktyńskim, udał się do dalekiej Polski, nie byłoby wcale dziwnem. Miał on tam bowiem na stolicy biskupiej krakowskiej jakiegoś krewniaka, biskupa Balduina. Zdarzyła mu się więc dogodna sposobność schronienia się w dalekim kraju i znalezienia tam poparcia ze strony wysokiego dostojnika kościoła.

Nie świetna zresztą przeszłość uciekiniera z wyprawy krzyżowej tłómaczyłaby nam, dlaczego autor kroniki naszej tak stanowczo nazwisko swe ukrywa, chociaż, co zresztą jest zrozumiałem, inny podaje powód tej tajemniczości [1]).

Ale wszystkie wspomniane tutaj poszlaki nie wystarczają do uprawdopodobnienia tożsamości Balduina Hennegawskiego i autora naszej kroniki. Poszukajmy tedy innych dowodów.

Jeżeli Balduin krzyżowców wistocie był autorem naszej kroniki, musiałyby się w tejże dać wykazać pewne ślady wrażeń, odebranych na wyprawie krzyżowej. Odpowiada to pewnemu prawu psychologicznemu. Bo choćby autor dzieła jakiegoś jak najpilniej baczył na to, żeby w dziele swojem nie zdradzić osoby i przeszłości swej, to jednak nie sposób, żeby mimo jego woli, bezwiednie zupełnie, nie wkradły się w dzieło jego ślady pewnych wrażeń, które utkwiły w jego umyśle. Jeżeli takich śladów, pochodzących z wrażeń, odebranych na wyprawie krzyżowej, w kronice Balduina Gallusa nie odnajdziemy, przypuszczenie nasze nie będzie uprawnionem. Tymczasem ślady takie w znacznej ilości w kronice naszej dadzą się wykazać.

---

[1]) Galli Chronicon ed. Bandtkie p. 8. Powiada, że postanowił wydać książkę nie pod swojem nazwiskiem, żeby się nie wydawał próżnym. (Codicellum non nostro *decrevimus* sed vestris nominibus titulare... ne videamus vanitatis fimbrias dilatare...).

Kronikarz Balduin Gallus zna bardzo dokładnie Węgry i pograniczne Węgrom kraje z zachodu i z południa. Opisując bowiem położenie „ziemi słowiańskiej" (terra Slavonica) powiada, że „od Tracyi oddzieloną jest przez Węgry, zajęte niegdyś przez Hunów, których i Węgrami (Ungari) nazywają, skąd (od Węgrów) znowu rozciągając się przez Karyntyę, dotyka Bawaryi. Od południa zaś nad morzem Śródziemnem, zacząwszy od Epiru, ciągnąc się przez Dalmacyę, Kroacyę i Istryę, wszędzie aż do brzegów morza Adryatyckiego, gdzie Wenecya i Akwileja, dotyka Włoch". Taka dokładna znajomość tych krajów na południe od Węgier pochodzi, oczywista, z naocznego doświadczenia. Zgadzałby się z tem poświadczony przez kronikarzy fakt, że oddział Gottfrieda z Bouillonu, w którym był Balduin Hennegawski, ciągnął ku Stambułowi przez Bawaryę i Karyntyę do Węgier, a stąd przez Kroacyę i „Tracyę" do Konstantynopola. Powrót zaś z Małej Azyi Balduin uskutecznił, oczywista, na okręcie jakimś włoskim do jednego z portów nad morzem Adryatyckiem, w każdym razie zaś z Włoch do Polski musiał przebyć owe okolice, „gdzie Wenecya i Akwileja" przez „Istryę", którą dokładnie zna, i znowu przez Węgry, gdzie poznał tamtejsze kościoły i klasztory, a z duchowieństwem tamtejszem zabrał bliższe stosunki, z których, potem jako kapelan nadworny Bolesława III, korzystał [1]).

Co więcej. Tłómacząc we wstępie kroniki, dlaczego Polska tak mało w świecie jest znana, powiada wyraźnie, że „Polska leży z daleka od dróg pielgrzymów do ziemi świętej" [2]). To objaśnienie zaczerpnięte jest, oczywista, z własnego doświadczenia, bo krzyżowiec Balduin, ciągnąc z wojskiem przez Niemcy i Węgry ku Bałkanom, Polski nie widział, która od drogi krzyżowców była daleka na północ.

Ale idźmy dalej za krzyżowcem Balduinem do Małej Azyi. Wykształcony w szkole leodyjskiej znał on co najmniej z Wirgiliusza dzieje wyprawy trojańskiej. Mógłże ciągnąć przez Małą Azyę i nie oglądać pola słynnych walk trojańskich, ruiny zamku Pryama? Że je odwiedził, o tem świadczy dobitnie ustęp kroniki jego: „Choć w gruzach leży spustoszona Troja, poeci wiecznie sławę jej głosić będą. Mury powalone; w gruzach leżą baszty; rozkoszne obszary

---

[1]) Porówn. rozpr. akad. Balduin Gallus, str. 12.

[2]) Quia regio Polonorum ab itineribus *peregrinorum* est remota. Chron. Galli Proemium ed. Bandtkie, p. 16.

bezludne, pustkami świecą; w pałacach królów i wodzów dziś kryjówki dzikich zwierząt i tajne ich legowiska..." [1]).

W żywym tym opisie czuć wrażenie osobiste; tak tylko ten opisać potrafi, któremu obraz gruzów Troi głęboko w pamięci utkwił, który na miejscu samem, dumając wśród ruin, „przeszłości wspomnień przejęty był dreszczem".

Idźmy dalej. W tej samej „Epistola", zagajającej III księgę swej kroniki, przywodzi autor opiewanych bohaterów starożytności. Przywodzi Hektora, Pryama i Aleksandra W. Temu niema się co dziwić. W biskupiej szkole w Leodyum czytano co najmniej Wirgiliusza; Aleksander W. zaś był bohaterem licznych opowiadań poetycznych w średnich wiekach; postać Aleksandra W. w średnich wiekach była bardzo popularną, przeszła prawie do tradycyi ludowych w Europie. Ale skąd kronikarz nasz, obok Hektora i Pryama i Aleksandra W. wymienia — Antyocha? To zestawienie jest niezwykłe i bardzo dziwne. Antyoch nie należy wcale do opiewanych bohaterów starożytności. Ze studyów autorów klasycznych, czytywanych w szkole biskupiej w Leodyum, pewnie go nie znał. Ani też Antyoch nie był nigdy w Europie bohaterem żadnych tradycyi i opowiadań lub baśni ludowych. Skąd kronikarz nasz wziął tak dziwne zestawienie Antyocha ze znanemi ogólnie w Europie postaciami takiemi, jak Hektor, Pryam i Aleksander W.?

Jest to oczywista reminiscencya z pod Antyochii. Balduin Hennegawski brał udział w oblężeniu miasta tego; był dowódcą oddziału wojska, które pół roku prawie leżało tam obozem [2]). Oblegający wśród kilkomiesięcznych walk i szturmów mieli sposobność podziwiania wielkości i piękności tego miasta, założonego przez Antyocha [3]). Tam też w okolicach tego miasta, a później w mieście

---

[1]) Chron. Galli Lib. III epistola: „...Maxima quoque Troja quamvis destructa jacet et deserta... Muri coaequati, turres destructae jacent, loca spaciosa et amoena habitatore carent; in palaciis regum ac principum lustra ferarum et cubilia secreta latent..."

[2]) Dyzlokacyę wojska krzyżowego przed Antyochyą podaje Albert Acquensis Lib. III, cap. 38. Wymienia tam naszego Balduina: „Ante Tatinum Balduinus Comes Hamaicorum sedem posuit cum sua manu..." W tym punkcie można Alberta uważać za wiarogodnego — bo dyzlokacya wojsk nie mogła być przedmiotem legend i podań, ale, oczywista, wyjętą jest z jakiejś relacyi wojskowej.

[3]) Zachwyca się nim autor „Gesta Francorum": „Haec urbs Antiochia valde est pulchra et honorabilis" i t. d. (ed. Hagenmeyer, str. 397).

samem musieli dużo słyszeć o tym królu, którego pamięć t a m żywo się zachowała. Tym sposobem tylko wytłómaczyć sobie można, że Antyoch, król syryjski, o którym w Europie w średnich wiekach nikt nic nie wiedział, o którym głucho w europejskiej literaturze kronikarskiej średnich wieków, ni stąd ni zowąd przywiedziony jest w kronice naszej obok znanych i popularnych postaci Hektora, Pryama i Aleksandra W.

Przejdźmy od tych szczegółów do ogólniejszych znamion. Rozważmy, jakie zdarzenia opisuje kronikarz Balduin Gallus ze szczególnem zamiłowaniem, a zarazem tak żywo i obrazowo, jak człowiek, który miał sposobność zdarzenia takie obserwować osobiście przez dłuższy czas? Kto kronikę naszą uważnie czyta, bez wahania na pytanie to odpowie: o b l ę ż e n i a! W siedmiu miejscach kroniki naszej [1]) opisuje autor oblężenia, każdą razą z taką predylekcyą, z takim zapałem poetycznym, z taką szczegółowością, którą sobie tylko wytłómaczyć możemy przypuszczeniem, że autor przez dłuższy czas był naocznym świadkiem tych procederów oblężniczych, takich epizodów, jakie przy szturmowaniu i obronie miast się zawsze powtarzają. Posłuchajmy go tylko, opisującego takie sceny, i baczmy, jakie życie tętni w tych jego opisach:

„Pod cięciem szabel dzwonią hełmy, aż odgłos się rozlega przez doliny i lasy; od mieczów iskry się sypią, aż się lśni; dzidy o tarcze się łamią; rozdarte wojowników ciała, odcięte ramiona, głowy, tułowia drżą na pobojowisku; Marsowe pole to Fortuny igrzysko!" itd. [2]).

Albo znowu ustęp, w którym opisuje szturm do oblężonego miasta:

„Garstka walecznych rycerzy, sławę nad bogactwa ceniąc, porzuciwszy lance, z mieczami w ręku przez most pędząc, rzuca się do bramy; ale tłumy mieszczan naprzeciw nim się walą i do odwrotu zmuszają" [3]).

A jak dokładnie zna nasz kronikarz wszystkie fortele techniki oblężniczej owego czasu:

---

[1]) Lib. II cap. 25, 28, 44, 48, Lib. III cap. 1, 8 i 26.

[2]) „Tunc quidem tinnitus de galeis percussis per concava moncium condensaque silvarum resonant, ignis scintillae per aera micant, hastae clipeis collisae crepant, pectora scinduntur, manus et cervices, corporaque truncata per campum palpitant."

[3]) „Pauci tantum probi milites, gloriam diviciis preferentes, emissis lanceis pontem extractis gladiis transierunt, portamque civitatis intraverunt, sed a civium multitudine coarctati vix tandem retrocedere sunt coacti" (II, 28).

„Przygotowawszy różnego rodzaju machiny oblężnicze, wystawił wieże, przewyższające warownie zamku, poczem dopiero bronią i machinami miasta dobywał" [1]).

Nie mniej także zna on taktykę oblężonych, którzy oblegającym desperacki stawiają opór:

„Załoga, o życie nie dbając, jeno w orężu szukając zbawienia, wały podwyższa, zburzone naprawia, pale wzmacnia, górą kamieni obciąża, śpieszy bramy zabarykadować, machiny przysuwa i wszystkie uzbraja..." itd. [2]).

W opisach takich Balduin Gallus jest niestrudzony i niewyczerpany; oczywiście, że rozporządza na tem polu obfitością wspomnień; to też zmienia ciągle weduty oblężnicze. Oto np. taki obrazek:

„Zewsząd kusze bryły rzucają, pociski warczą, strzały przez powietrze świszczą, przebijają tarcze, dziurawią pancerze; lecą hełmy, trupy padają, ranni ustępują, na ich miejsce cali się tłoczą..." i t. d. [3]).

Na samym końcu jeszcze kroniki w ostatnim rożdziale autor szeroki roztacza nam obraz walki oblężniczej z licznymi epizodami.

Nie może podlegać kwestyi, autor nasz był świadkiem naocznym takich bojów, czynny w nich brał udział, w opisach tych czuć drganie namiętne wojownika na wspomnienie przebytych walk. Gdzie on je przebył? Nie w Polsce. Tutaj był mnichem, opatem, a choćby nawet kapelanem nadwornym, to jednak, jako taki, pewnie w bitwach nie brał udziału. Gdyby zaś miał poza sobą karyerę duchowną, skądżeby wziął te dokładne znajomości operacyi oblężniczych? W klasztornej celi ani w zakrystyi scen takich nie widział.

Natomiast wszystkie te opisy przypominają żywo cały przebieg ośmiomiesięcznego oblężenia Antyochii, którego opisy w Gesta Francorum i innych współczesnych źródłach pełne są takich scen i epizodów, jakie i Balduinowi Gallusowi głęboko utkwiły w pamięci. Co więcej, w opisach wojen polskich w Kronice Balduina Gallusa

---

[1]) Machinis diversi generis preparatis, turribus castellanam municionem preeminencioribus elevatis... (II, 44).

[2]) At contra castellani vitae diffidentes, solummodo in armis confidentes, propugnacula relevant, destructa preparant, sudes preocupatas et lapides sursum elevant, obstruere portas festinant (II, 48).

[3]) Undique tormenta moles emittunt, balistae crepant, jacula sagittae per aera volant, clipei perforantur, loricae penetrantur, galeae quassantur, mortui corruunt, vulnerati cedunt, eorum loco sani succedunt (Lib. III, 8).

natrafiamy na rysy, o których z wielką pewnością twierdzić możemy, że pomorskim wyprawom Bolesława III, które były czystymi najazdami, zupełnie były obce i pewnie tam nigdy nie występowały, o których jednak wiemy, że w wojskach krzyżowych istotnie często się powtarzały. Mamy na myśli opis, w którym kronikarz nasz wojsku Bolesława przed szturmem na Kołobrzeg każe przyjąć św. komunię: „communicati sunt eucharistia" (Lib. II, cap. 28). Nie! tak pobożną szlachta polska na początku XII wieku nie była, ani też pewnie na kilka wieków przed szkołami jezuickiemi tak obłudną, aby napadając dla łupu i zdobyczy obce miasta, jeszcze miała urządzać pobożne komedye. Ten rys opisu żywcem raczej jest wzięty z wypraw krzyżowych, które pod najwyższym dowództwem głowy kościoła, wiedzione przez fanatycznych ascetów, księży i mnichów w imię Boga (Deus lo volt!) szły zbawiać grób święty, a modląc się i rozgrzeszając bez końca, dopuszczały się łupiestw i grabieży na najrozmaitszych „niewiernych". Tam w Małej Azyi w wojsku krzyżowem autor nasz widywał te pobożne przygotowania się do mordów i rabunków!

A teraz wracajmy z naszym kronikarzem z pod Antyochii do Europy. Oczywista, że żaden z tych uciekinierów nie wracał drogą, którą przybył, to jest lądem przez całą Małą Azyę i Bałkany: to byłoby zbyt niebezpiecznem dla pojedyńczych lub małych garstek. Wszyscy ci „desertores sacrae militiae", będąc już pod Antyochią, skorzystali z blizkich portów, zwłaszcza z portu w Laodicei, gdzie bezustannie zawijały floty włoskie i francuskie, statki pizańskie, genewskie, marsyliańskie i liczne inne, i na tych okrętach wracali do Europy. Nie inaczej też zapewnie uczynił nasz Balduin.

Tu powstaje pytanie: miałażby ta, w owych czasach wcale nie bezpieczna podróż morska z Syryi do Włoch (bo przeważnie włoskie statki pośredniczyły w tej komunikacyi) w umyśle naszego Balduina nie pozostawić żadnych głębszych wrażeń? miałżeby autor nasz nie wspominać nigdy w kronice swej przygód tej pierwszej swojej długiej podróży morskiej, która pewnie nie obeszła się bez groźnych sytuacyi? Toby dziwnem było, ale tak nie jest.

Ta podróż, pełna grozy i niebezpieczeństw, nie mniej utkwiła w duszy Balduina, jak owe sceny walk oblężniczych. Ale w historyi polskiej, oczywista, nie miał on sposobności opisywania scen morskich. Nie mniej jednak reminiscencye podróży owej przebijają bezwiednie i mimowolnie w porównaniu, w którem podjęte przez siebie dzieło kronikarskie przyrównywa do długiej podróży morskiej.

„... na statku, łatwo rozbiciu ulegającym, wypłynąłem na bezmierne morze. Ale bezpiecznie podróżnik, w statku siedząc, przez huczącego morza fale płynie, jeżeli doświadczonego ma sternika, który zna dobrze wiatry i gwiazdy i według nich statkiem kieruje" [1]).

Jeżeli w tem porównaniu przebijają wrażenia podróży morskiej z Syryi do Włoch, to nie brak w końcu w kronice naszej także reminiscencyi z lądowej podróży z Włoch przez Węgry do Polski. Była to, oczywiście, do niepewnego, nieznanego celu uciążliwa podróż, wśród której nieświadom drogi podróżnik z miasta do miasta, z klasztoru do klasztoru o dalszą drogę w nieznany północny kraj dopytywać i informować się musiał: „tyle krajów przeszliśmy, podjętej drogi dobrze nie znając, powoli tylko dopytując się tych, którzy ją znali" [2]).

W celu udowodnienia tożsamości Balduina krzyżowca i Balduina mnicha - kronikarza, ważniejszem prawie, aniżeli dotychczasowe wywody, będzie wykazanie, że ten ostatni w karyerze duchownej był nowicyuszem; że pierwotnie nie był klerykiem z zawodu, ale że miał zawód duchownemu wprost przeciwny, a więc rycerski, którym nadto nie bardzo się mógł popisywać i że mu przeszłość tę, nie zbyt świetną wyrzucano, kiedy się w Polsce ubiegał o godność biskupią. Wszystko to wynika jasno ze słów samej kroniki i dziwnie popiera przypuszczenie nasze o przeszłości Balduina Gallusa. Przypatrzmy się więc odnośnym ustępom.

Że Balduin Gallus, ubiegając się o biskupstwo kruszwickie, miał w Polsce wielu przeciwników, o tem mówiliśmy już we wspomnianej rozprawie [3]). W kronice swej czyni on aluzyę wyraźną do tych „złośliwych oszczerstw". „Nie zważam na to, co sobie tam pomrukiwają złośliwi oszczercy" [4]).

[1]) „et cum fragili cymba periculose tantum equoris immensitatem introirem. Sed securus nauta poterit in navicula residens par undas sevientis freti navigare, qui nauclerum habet peritum, qui scit eam certam, ventorum et siderum moderamine gubernare" (Lib. I epistola).

[2]) „... tot terras transivimus, neque ceptum iter bene cognitum habuimus, sed per illos, qui noverunt, paulatin inquisimus". (Epilogus ed Lib. II).

[3]) Bischof Balduin Gallus str. 31: powołując się tam na słowa katalogu biskupów włocławskich: Anno 1111 Multi erant qui vacuam tum pastore ecclesiam obtinere sategerunt" (Mon. Pol. IV, 25).

[4]) „Floccipendam quidquid mussitando murmurarent invidiosi detractores" (Dedicatio).

Otóż powstaje pytanie: co takiego ci „złośliwi oszczercy" pomrukiwali na niekorzyść naszego kronikarza, ubiegającego się o biskupstwo kruszwickie? Chociaż, co jest rzeczą naturalną, kronikarz nasz o treści tych oszczerstw zachowuje milczenie, to jednak, czytając między wierszami jego kroniki, nietrudno o treści tych obmów jakie takie powziąć wyobrażenie.

We wstępie do 3-ciej księgi zwraca on się bowiem do swoich towarzyszów, do kapelanów nadwornych, żaląc się, że „z pewnej strony uważano go za niegodnego napisania dziejów królów i książąt polskich. Objawiano zdanie, jakoby on zbyt był suchym i trzeźwym, aby dzieło takie napisać do którego trzeba pewnego namaszczenia[1]). Przedmiot bowiem tak wzniosły wymaga pisarzy zawodowych, a więc oczywista, uczonych duchownych, mających w zawodzie kronikarskim doświadczenie i fachowe wykształcenie, którzyby potrafili rzecz tę traktować „głębiej i gruntowniej" [2]), że zatem człowiek taki i z taką przeszłością (metalem talisque vitae) niegodnym jest traktowania takiego wzniosłego przedmiotu (indignum esse talia praesumpsisse). Na zarzuty takie kronikarz odpowiada, że przecież on nie ma pisać ewangelii żadnej, ale o wojnach królów i książąt! (respondebo *bella* regum ac ducum non evangelium me scripsisse).

W słowach tych jasno występuje przeciwieństwo, w jakiem pozostaje nowicyusz-kleryk, niedawno dopiero rycerz-krzyżak do starszych kleryków z zawodu. Nie trzeba zapominać, że pisanie kronik uważanem było za rzemiosło kleryków, którzy do wykonywania tego należycie zaprawiani byli na piśmie świętem i ojcach kościoła; cytatami też z tej literatury kościelnej dla większego namaszczenia kroniki swe przeplatali. Nie podlega też kwestyi, że kronika nasza pisaną została z polecenia Bolesława III, który dla usprawiedliwienia postępowania swego (przeciw Zbigniewowi!) potrzebował „obrońcy" („defensor"!) [3]). Że przy tem wybór padł nie na jednego ze starszych kapelanów nadwornych, ale na nowicyusza w zawodzie duchownym, nie zaprawionego wcale na piśmie świętem i ojcach kościoła, to, oczywista, mogło wzbudzić pewne nieukonten-

---

[1]) „...et si forte proponitis: me talem *talisque vitae* indignum talia praesumpsisse, respondebo: *bella regum atque ducum non evangelium* me scripsisse" (Lib. III epistola).

[2]) „Et si forsan in hoc opere verborum nuditatem accusatis ex his saltem materiam tractandi *profundius et argumentosius* habeatis" (tamże).

[3]) „...sic *defensores* honorem patriae..." bronią p. 82.

towanie starszych współzawodników, i stąd pochodziły owe szepty niechętne i pomrukiwania („mussitando murmurarent"). Jeżeli więc na te szepty niechętne odpowiada nasz kronikarz, że przecież on nie „ewangelię" pisze, ale „bella regum ac ducum", to tem samem przecież przyznaje, że nie jest klerykiem z zawodu pierwotnego, ale że był t a k i m laikiem, który się na „bella regum ac ducum" zna, a zatem rzemiosła rycerskiego. Oczywista, że taką odpowiedzią kronikarz nasz pewnie nie zbił zarzutów i nie uśmierzył niechęci starszych kapelanów nadwornych, którzy przecież w dziejach narodu bynajmniej nie chcieli upatrywać szeregu „wojen królów i książąt", ale raczej woleli w nich widzieć wielką akcyę kościelną nawracania narodu na wiarę rzymską i skierowania go do posłuszeństwa i uległości wobec Rzymu. Nas tu jednak obchodzi tylko wykazanie, że autor kroniki naszej sam siebie uważa za człowieka, który na „wojnach" lepiej się zna, aniżeli na „ewangelii". W tem jest dowód rycerskiej przeszłości naszego Balduina [1]).

Zresztą najwyraźniej podnosi on tę okoliczność, że z polecenia królewskiego napisać miał kronikę, jako „defensor", i że, jako taki, inne zupełnie miał zadanie, jak duchowni kronikarze, opisujący żywoty świętych i cuda, przez nich sprawiane [2]). Nie pisze on też wcale dla kościołów lub klasztorów, ale dla przybytków świeckich, dla szkół i dla dworów [3]). Ani też kroniki tej nie pisze w charakterze duszpasterza, który dbać ma przedewszystkiem o zbawienie powierzonej mu owieczki: ale jako „obrońca", który broni honoru kraju i świecką tegoż sławę ma głosić [4]). Wszak i on sam jest także klerykiem i sługą Bożym, ale i ci powinni odróżniać między tem, co się należy Bogu, a co monarsze; w sprawach duchownych trzeba Boga słuchać, ale w świeckich trzeba hołd oddać monarchom [5]).

---

1) Nadto sam on powiada, że „copiosa bellorum materia ad praesumendum onus excitavit" (III praefatio), a zatem, że znawstwo fachowe wojen pociąga go do pisania dziejów.

2) Nam sicuti sancti viri bonis operibus et miraculis celebrantur, ita mundani reges et principes bellis triumphalibus et victoriis sublimantur. III epistola.

3) Et sicut vitas sanctorum et passiones *religiosum* est in ecclesiis praedicare, ita gloriosum est in scolis vel in palaciis regum ac ducum triumphos vel victorias recitare. ib.

4) Sicut enim *pastores* ecclesiæ fructum animarum querere debent spiritualem, sic *defensores* honorum patriae famamque dilatare student et gloriam temporalem.

5) Opportet enim Dei ministros in hiis *que Dei sunt* Deo spiritualiter obedire; et in hiis *que sunt cæsaris* honorum et servicium mundi principibus exhibere. ib.

Tym sposobem więc stara się Balduin Gallus uśmierzyć niechęci, wywołane w kołach kleru nadwornego tem, że wybór na historyografa urzędowego padł na najmłodszego w zawodzie duchownym, kładąc nacisk na to, że tutaj nie chodzi o żadne dzieło duchowne, ale o świeckie, że zatem w tym wypadku i kleryk monarsze swemu sposobem świeckim służyć powinien.

Tak tedy w kronice Balduina Gallusa wykazaliśmy ślady wrażeń, które Balduin Hennegawski odebrał na wyprawie krzyżowej, następnie wracając morzem do Włoch, a w końcu udając się z Włoch do Polski. Nie mniej niechęci, wywołane przeciwko niemu z powodu preferencyi, danej mu przy wyborze historyografa nadwornego, dadzą się wytłómaczyć świecką przeszłością jego, która w oczach kapelanów nadwornych mniej go czyniła godnym takiego zaszczytu. Wyraźnie zaś kronikarz nasz w odpowiedzi na owe zarzuty wskazuje na fachowość swoją w sprawach rycerskich.

Na innem miejscu wykazaliśmy nareszcie, jak świetne wywiązanie się z poruczonego mu zadania zjednało Balduinowi szczególne łaski Bolesława III, które wyraz znalazły w mianowaniu go biskupem kruszwickim [1]. Jak długo Balduin zajmował tę stolicę biskupią? na to pytanie trudno odpowiedzieć. Według Długosza objął on biskupstwo 1111 r. i rządził niem 17 lat aż do r. 1128.

Wiemy jednak, że Długosz dosyć dowolnie trwanie rządów biskupich skracał lub przedłużał według potrzeb chronologii, tak jak autorowie biblii życia patryarchów. Z równoczesnych źródeł kontrolować Długosza nie można, bo oba katalogi, wydane przez Kętrzyńskiego, pochodzą z XV wieku [2]. Zeissberg słusznie zarzuca Długoszowi, że bez najmniejszej podstawy „jednemu biskupowi każe zmierać na febrę, drugiemu na dżumę" i t. d. [3]).

Podanie zatem Długosza, że Balduin zmarł w roku 1128 „na febrę", nie zasługuje na żadną wiarę, zwłaszcza, że dwaj więcej wiarogodni pisarze inne podają daty „śmierci" Balduina. Mianowicie Paprocki w „Herbach" (1584), powołując się na „katalog", powiada, że Balduin tylko rok był biskupem i zmarł, ale podaje fałszywy rok śmierci 1128, coby się nie zgadzało z p e w n ą datą objęcia biskupstwa 1111, gdyby tylko rok miał być biskupem. Prawda, że data 1128 u Paprockiego może być pomyłką drukarską. Wreszcie Da-

---

1) Rozpr. akad. Bischof Balduin Gallus str. 31.
2) Mon. Pol. IV 16—30.
3) Zeissberg Geschichtsschreibung Polens str. 275.

malewicz w swoich „Żywotach biskupów włocławskich" (1642) podaje, że, według „Katalogu Wolborskiego", Balduin rządził biskupstwem 12 lat, t. j. aż do r. 1122. Z tych trzech podań usuniemy na bok podanie Długosza, jako zbyt o dowolność podejrzanego. Paprocki, jak wiadomo, wertował źródła rękopiśmienne po archiwach klasztornych i biskupich. Mógł zatem być dobrze poinformowany. Oczywista, gdzie się rozchodzi o rodowody szlachty, tam często bez skrupułów fałsze pisze; ale w naszym wypadku nie miał żadnego interesu schlebiania komukolwiek i fałszowania dziejów. Jeżeli zatem, znając Długosza Żywoty biskupów, rządy Balduina o 16 lat skraca, to musiał do tego mieć wiarogodną podstawę. Podobnie i Damalewicz, który zresztą wszędzie ślepo za Długoszem idzie, w tym wypadku uważał za potrzebne przeciw Długoszowi zacytować „Katalog Wolborski", podający trwanie rzadów Balduina na lat 12 [1]).

Jakkolwiek bądź, te różne daty śmierci i trwania rządów biskupich Balduina nie mogą obok siebie się ostać. Balduin nie mógł zemrzeć dwa ani trzy razy, różne daty trwania rządów jego nie mogą być prawdziwe. Pogodzić zaśby się tylko dały data Paprockiego jednorocznych rządów z datą Katalogu Wolborskiego 12-letnich rządów w ten sposób, gdybyśmy przyjęli, że Balduin po roku opuścił katedrę biskupią, a dopiero po 12 latach z biskupstwa zrezygnował. Bo podanie, że w Polsce zmarł, w żadnym razie nie zasługuje na wiarę; nie mamy bowiem co do tego żadnej wiarogodnej wiadomości ani też grobu jego, ani pomnika grobowego nigdzie w Polsce niema. Przypuszczenie zaś, że Balduin po krótkim pobycie na biskupstwie kruszwickiem Polskę opuścił i do Włoch wrócił, znajduje poparcie w fakcie, że w kilkanaście lat później w Rzymie wypływa znowu tajemniczy „kardynał-presbyter Balduin", któremu dobrze się przypatrzywszy, poznamy w nim naszego starego znajomego krzyżowca, mnicha, kronikarza i biskupa.

(dok. nast.) *Maksymilian Gumplowicz.*

---

[1]) Nie wdaję się tutaj w rozstrzyganie kwestyi spornej między Zeissbergem a Kętrzyńskim o katalog biskupów włocławskich, wydany przez tego ostatniego. Zeissberg uważa go za wyciąg z Długosza: Kętrzyński za „Katalog wolborski". Ale tyle jest pewnem, że ustęp o Balduinie w wydanym przez Kętrzyńskiego katalogu zgadza się dosłownie z Długoszem, a że jest pióra Długosza, to choćby ta floskuła czysto Długoszowska „febribus correptus" dowodzi. W tym punkcie katalog (II) Kętrzyńskiego nie odpowiada ustępowi katalogu wolborskiego, cytowanego przez Damalewicza.

ARYMAN MŚCI SIĘ.

Zbliżając się do szczytu wyniosłości życia, zwracał jeszcze spojrzenie w stronę krainy przebytej. Strudzone stopy ociężale dźwigały wiek jego nędzny i ciężki, jak bryłę ołowiu, do ziemi nieznajomej, co się daleko ukazać miała. Ostrymi łokciami wparła się w jego ramiona uporczywa zgryzota i plecy mu w pałąk wygięła. Zelżały już rzemienne popręgi życia wśród blasku, i wówczas widoczną była każda sina blizna, którą mocno i głęboko wypaliły. I serce, po tysiąc razy nasycone, już nie łaknęło.

Daleko w nizinach został ten czas, kiedy tak wszystko smakowało duszy, jak sama chciała. Skinienie ręki, na którego widok tłum rozstępuje się i ucieka, jakby go uderzał blask grotów włóczni schylonych i mieczów wydobytych; skinienie ręki, na którego widok czołga się do stóp nieznany człowiek, jakby go ciągnął powróz siepacza — znudziło się i obmierzło.

I w rzeczach wszystkich, które ujmuje posiadanie, widać było tylko zgryzotę.

O, gdyby można było wrócić się tą samą drogą, o, gdyby można iść wstecz i raz jeszcze ujrzeć, co się widziało, — ku dalekim dolinom, we mgłach tęsknicy roztopionym! Wrócić się do widzeń serca, zobaczyć znowu świat nieprawdziwy, odbity w oczach dziecka...

Zważać w milczeniu, jak pod sercem, pełnem zdrad i wybiegów, poczyna się tajemne, sobie tylko samemu wiadome westchnienie i przewodniczy orszakowi myśli nowonarodzonych, które za niem idą w stronę mądrości...

Raz jeszcze temu wzruszeniu zaufać!

Tam w tych dolinach zostało się szczęście, które nie trwało dłużej nad czas jednej jutrzenki, a zwiędło, podobne do kwiatu wiosny na niwie, gdy wysoko wzbije się skwarne słońce...

A kiedy na obraz ciosów dzwonu za umarłych, które rozbijają ciszę poranka, twarda świadomość roztrącała westchnienie, głosząc, że dni szczęścia już się nie wrócą, już się nie wrócą, jak śnieg, z chmur spadły, na dawne miejsce w przestworzu, — wzniósł ciężką rękę, aby zatrzasnąć drzwi miedziane. Na zawsze utracić opuszczone już życie, rozległe siedlisko żalu. Przestać uczuwać potrzebę rozkoszy, których liczba skąpa jest i wiecznie się powtarza, konieczność dziwactw ciągle odmiennych, a zawsze tych samych, świeżych, jak dopiero zerwane róże, skojarzeń myśli, za któremi nieodzowne wlecze się zdala poziewanie.

Rzucić na ziemię i stopą rozedrzeć ostatni kwiat, a duszę, niewolnicę zmysłów, wprowadzić do okręgu, gdzie inny leci czas, nie czekający nigdy, który śpieszy się wiecznie na wyścigi z dziką pianą fal, z polotem wiatru i z płomienną błyskawicą. Tam ją przeciwko samej sobie obrócić, aby się poczęła zżerać i trawić, jak w ogniu. Aby zaczęła wadzić się z sobą i ze wszystkiemi hasłami żywota. Zgromadzić dokoła niej jedynych sojuszników, jedynych przyjaciół i znajomych współbraci: własne jej siły. W mocną smycz ze skóry uchwycić namiętności, jak psy i suki. W ściśniętej dłoni sforę ich nikczemną i szczekającą zatrzymać.

A gdy to marzył, stanęła przed nim twarda mądrość maga, którą był ongi poznał i dla rozkoszy życia odtrącił. I widział wielmożną myśl Manesa, co się w irańskich przestworach, u jasnych ognisk dobrotliwego ojca Ahuramazdy zapaliła, co się kochała w Baranku Bożym i ku ognistej tarczy słonecznej leciała, wiecznie stęskniona. Wtedy własne jego uczucia wlały się w amfory mistrza, co się zwał Parakletem. Wtedy począł dumać o tajemnicy, o skrytym i niezbadanym duchu człowieka, o tym ogniu niebiańskim, pełgającym nad jaskinią.

I widział, jak gdyby w sennych marzeniach, pracę, walki i niedolę pierwszego człowieka, Adama, który poto przyszedł, aby się w nim dokonało wyzwolenie światłości. Duch jego miał zdobyć całkowitą wiedzę o sobie i rozwinięcie całej natury człowieczej. Ale

pan mroku, ten, co się z przedwiecznego wroga jasności, z Angramainiu wywodzi, zły duch z czołem, zranionem od pocisku boskich piorunów, umiał temu przeszkodzić. On to dał Adamowi kobietę za towarzyszkę. Nim nastąpiło wyzwolenie światła, Ewa wznieciła w duszy Adama straszliwą siłę, bezdenną, wszystko niszczącą władzę: miłość. Pod uciskiem tej potęgi Adam rozproszył, osłabił i utracił blask swego ducha. W miłości poczynał dzieci, które były spadkobiercami grzechu i niedoli. A jak było z Adamem, tak było z nim, Dioklesem, dalekim potomkiem.

Wtedy wydarł się z jego piersi głęboki jęk. Ujrzał raz na zawsze, że miłość dla kobiety i płodzenie z nią dzieci sprawuje zaplątanie się jasnego ducha w materyę. I po trzykroć za prawo nieodwołalne uznał wzgardę rozkoszy cielesnej: pieczęć piersi.

Powtóre w sennem westchnieniu oglądał drugie prawo wielkiego kacerza: oczyszczenie ducha przez wędrówkę z ciał ludzkich do ciał zwierzęcych i roślinnych. I głęboko uwierzył, że dusza zwierzęca jest cząstką Boga. Dlatego wyznał wobec siebie, że zabójstwo zwierząt, zżęcie kłosa i otrząsanie owocu równa się morderstwu, ponieważ przemocą wstrzymuje rozwój światłości, uwięzionej w zwierzęciu i w roślinie.

I po trzykroć za prawo nieodwołalne uznał swobodę trzód, pól, gajów, rzek i stepu: pieczęć ręki.

Odtąd utonął cały w nauce wielkiego maga.

I śnił o świętym aniele blasku, jak w postaci węża namawiał pierwszego człowieka, aby zakaz przestąpił — i jak w nim przywiódł rodzaj ludzki do wysokiej świadomości samego siebie;

o jasnym aniele, synu słońca, jak w postaci węża krążył pomiędzy ludźmi, ucząc ich prawdy o naturze człowieczej;

o walce syna słońca, wszczętej przeciw królestwu ciemności, i o zwycięstwie książąt mroku, którzy część słonecznej zbroi objęli w posiadanie;

o tem, jak Pan zesłał wówczas na ratunek człowiekowi ducha żywota, siłę, z siebie wynikającą, Eona, który do jarzma wprzężonemu prawicę podał.

I oto duch żywota, wsparty przez inne potęgi, zwyciężył wreszcie pana ciemności, z cielska jego utworzył nocne niebiosa, a z błysków światła, jakie w niem były, stworzył gwiazdy, w mroku lśniące.

Uwierzył Diokles, że, gdy zupełne oczyszczenie nastąpi, duch jego, jako światłość czysta, wzniesie się ku księżycowi, uleci ku słońcu i wejdzie do królestwa wiecznego blasku. Z nim razem oczy-

szczać się będą z materyi ludzie i wszystek świat, od źdźbła chwiejnej trawy aż do gwiazdy, żarzącej się wśród niebios, póki nie wyłączy się światło z mroku. A gdy materya blask utraci, zamieni się w bryłę martwą i przez ogień będzie pożarta. Dusza każda, która dobrowolnie odda się w niewolę ciemności, karę zasłużoną poniesie i w chwili ostatecznego roździelenia królestw będzie do trupiej masy przykuta, ażeby była jej stróżem. Dusza taka stanie się jedno z tem, co za życia kochała... Tak uczył Manes.

Gdy słońce, gdzie Bóg mieszka w wieczności, słońce, którego natura jest naturą Boga, szło na zachód i w czerwonych piaskach puszczy libijskiej tonęło, Diokles uczuwał w duszy swej tęsknotę, bardziej rozległą i nieobeszłą od pustyni. Gdy zmierzch spadał na rozkwitłe wąwozy Egiptu, zwracał oczy i wargi szepcące ku światłu nocnemu księżyca, co, jak namiestnik pilny i dbały dalekiego władcy, obchodził majestatycznie królestwo niebios.

Tak często spędzał bezsenną noc.

A gdy się rozpraszała i gdy brzask pasować się zaczynał z cieniami, brał z sobą mały poczet sług i na mule wyjeżdżał.

Mijał wówczas oazę Jowisza Ammona. Nie wabiły go szumiące jej strugi, przezroczyste jeziora ani cień, zmoczony rosą fig i granatów. Zagłębiał się w dzikie doliny i brnął wskroś nagich, płonnych, niepożytecznych płaskowzgórz, zasianych ostrymi głazami. Tam, w tej ziemi, gdzie każde źdźbło usycha, gdzie już nie może wytrwać cedr ani sosna, między skałami szukał tajemnicy żywota.

Wchodził do jaskiń zatarasowanych, które były mogiłami ludzi pustyni, —i długo patrzał na zwłoki leżące.

Wyschnięte ciała starców stuletnich, chrześcijan i kacerzy, były całe, nie dotknięte przez zgniliznę. Mocno zwarte, suche dłonie ich ściskały krzyże swe z drzewa. Palmowy liść, co im za płaszcz służył, skruszył się i rozsypał. Leżeli nadzy. Zdawało się, że śpią, uśmiechając się do widzeń ducha. Trwali tam setki lat w jamach skalnych ci nieśmiertelni ludzie. Pożywieniem ich był owoc palmowy, napojem woda. Tyle tylko zażywali pokarmu, żeby wydatek sił równy był przychodowi, a osiągali tę doskonałość, nie wprowadzając do swego ciała nic, co gnije, co jest już własnością śmierci. Nie jedli mięsa zabitych zwierząt, nie pili sfermentowanych napojów.

Wszelką zgniliznę wydobywali z żył swoich przez mozół nieustający. I wychodziła wraz z potem, który zlewał plecy, ręce i czoła. Siłę życia czerpali z żywiących promieni słonecznych, z jas-

ności powietrza, z woni ziół. Ciało ich było tak samo czyste, jak duch. Częste, długie, z dnia na dzień dłuższe posty uczyniły je niezależnem i nietykalnem. Dlatego śmierci się oparło. Diokles, opuszczając czerwony kraj pustyni, gdy wracał do pachnących sadów Egiptu, czuł, że jest pośród nich, jak przychodzień z ziemi cudzej...

A gdy jednego dnia sam szedł i miał przekroczyć próg domu, zastąpił mu drogę fellah, oracz ubogi, i rzekł:

— Córka, którąś mi z chaty wziął do łoża swego, powiła dziecię.

Diokles zatrzymał się u drzwi. W głębinie duszy swej mówił:

— Oto jest pokusa szatana...

A do chłopa rzekł:

— Nie chcę widzieć niemowlęcia. Chcę być sam, sam jeden. Ty z niem uczyń, co chcesz. Wychowaj, albo, gdy ci zawadza, rzuć w wodę Nilu.

Ale wewnętrzne drżące wzruszenie ścisnęło mu gardło, gdy miał powtórzyć słowa rozkazu. Zapytał:

— Syn?

— Tak jest, o panie.

Wtedy mówił:

— Chcę go zobaczyć.

I wszedł do nędznej, czarnej chaty nad wodą. Tam ujrzał leżące w łachmanach dziecko swoje. Miało zaledwie parę tygodni. Oczy jego były jeszcze nieruchome, zimne, wrażliwe tylko na światło i mrok. Spojrzał, jak bezradnemi rękoma przestwór chwytało, i dziwne myśli usłyszał w głowie swej, jakby mu je szeptały do ucha namiętne wargi:

— Może to jest ten, co będzie zastępował cały ród ludzki...

Zdeptaj go, zdeptaj!

— Może to jest ten, który z serca wyjmie iskrę prawdy i piorunem jej ziemię całą zapali...

Zdmuchnij ją, zdmuchnij!

— Może to jest ten, co mrok rozedrze, jak Samson lwa...

Złam jego ręce, złam!

A kiedy stał pochylony i patrzał w maleńkie ciało dziecięcia, płomienie radości z jego serca buchnęły. Znalazł już wszystko. Odszukał samego siebie. Nie przewidywał takiego uczucia podobnie, jak nikt nie wie pośród wesela o łzach, a dowiaduje się całej o nich prawdy wówczas dopiero, gdy je w nieszczęściu przyjdzie wylewać.

Szybkimi kroki udał się do swej siedziby i wrócił prędko, dźwigając wór pieniędzy. Obsypał złotem matkę niemowlęcia

i całą jej rodzinę. Wzamian za syna darował im grunta, na które wylewają się czarne wody. Kupił go na swoją, na niepodzielną własność. Łkając oddawała go matka, ale złote monety, których pełne garści jej rzucił, uciszyły jej boleść.

Diokles wrócił do swego domu z dziecięciem i drzwi zatarasował. Czarny niewolnik jeden jedyny miał prawo wstępu do komnaty, gdzie stała kołyska. Gotował mleko, rozcieńczone wodą, przyrządzał kąpiel i lniane chusty. Diokles sam dawał pożywienie synowi, sam go przewijał, kąpał i utulał w płaczu.

Spędzał z nim długie, szczęśliwe godziny.

Gdy dziecię ze snu otwierało oczy i wzrokiem przygasłym śledziło błyski słońca, ozłacające ściany, — leżąc na dywanie, głowę kładł przy niem i w małe ciałko przelewał swą wolę, swe myśli i marzenia. Do kruchej piąstki, stulonej, jak liść grabowy, co się w dniach wiosennych z pęka wydobywa, przyciskał wargi z błaganiem:

— Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś był panem, którego witają poddani, zginając grzbiety. Nie chcę, żebyś był panem, który może, gdy chce, łzy wycisnąć i uśmiech szczęścia darować stęsknionemu tłumowi. Nie chcę, żebyś był wodzem, którego na błoniu rozległem pozdrawiają grzmotem okrzyków legiony, okute w żelazo, uszykowane chorągwiami. Nie chcę, żebyś był wodzem, którego potęga łamie góry i w skiby urodzajne obraca. Nie chcę, żebyś był królem o prawicy, rozciągniętej nad krajem, gdzie lata kamsin, nad wszystkiemi falami Nilu i nad jego deltą, wiecznie kwitnącą. Nie chcę, żebyś był królem, który może wznosić lub zwalać Diospolis, Luksor i Karnak, a kładzie się spać na wieki sam jeden w czeluściach piramidy.

Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś posiadał mądrość, matkę niewidzialnej władzy nad ludźmi. Nie chcę, żebyś był twórcą potężnym, którego imię powtarzać będą ze czcią i zdumieniem dalekie, obce ludy.

Synu mój, synu...

Pragnę, żeby moje wzruszenia weszły w twe serce, jak iskra ognia. Pragnę, żeby moje męczarnie tobie serca nie zraniły, a innych żebyś nie poznał. Pragnę, żeby z ducha twojego wyrosło, jako czyn, moje serce zdławione rękoma nieszczęścia.

Synu mój!

Bądź czystym, który oburącz wynosi z mroków światło słońca. Bądź mężnym, który śmierć przekłada nad złamanie słów, zaprzysiężonych w obliczu swego ducha. Posiądź uśmiech szczęścia, który

warg nie odstępuje nigdy, nie odstępuje na krzyżu, gdy gwoździe katowskie ręce przybijają do drzewa.

Synu mój!

Dam ci potęgę samotności, której nie miał Adam, pierwszy pracownik. Dam ci potęgę najgłębszą: nie zaznasz miłości dla kobiety. Włożę w twe oczy wyniosły wzrok zwiastuna, który widzi wieczność i drogę, idącą ku słońcu za łańcuchami gór. Posiądź szczęście! Bądź nieśmiertelny sam w łonie swem, bądź wieczny tu za życia, i niechaj wieczne będzie twe ciało!

A gdy maleńką dziecinę opanował płacz i gdy krzykiem użalała się na ból czy nudę swoją, wyrywał ze strun lutni głęboką melodyę, pierwszy raz przez wzruszone palce w nich znalezioną. Pod wpływem jej dzieciątko się uciszało. W oczach jego ukazywała się zdumiona ciekawość, a na wargach zakwitał uśmieszek niewysłowiony. Uśmiech do dźwięków muzyki, do owych istnień, radosnych od blasku albo ponurych i strasznych, jak wnętrze trumny zbutwiałej, do rzeczy bezkształtnych, świetlistych, pachnących, gładkich, których byt wespół z dźwiękami się oznajmiał... Pierwszy uśmiech przychodnia do najmilszego, co ma ta ziemia...

Kiedyindziej, gdy wśród nocy głębokiej siedział schylony nad kołyską, a przed blaskiem płomienia kryły się po kątach nietoperze cieniów, niemowlę wpatrywało się w te ruchome czarne figury.

Diokles tonął w dociekaniu, jakie uczucia przejmują wówczas serce jego syna. Czy dlań człowiek nie jest tem samem, co cień jego postaci... Jak zwidza mu się świat i wszystko, czego nie zna... Co w duszy jego zapala... Pragnął iść za każdem z tych wrażeń, za każdem z westchnień, jak niewidzialny świadek i modlić się z oddali w ostrem zranieniu ducha, ażeby na wzór obłoków, wstających z ziemi, i wód o wczesnym poranku szły do słońca.

Innego dnia siedział na rozciągniętym dywanie, gdy dziecię spało. Zaczęła nad nim krążyć zła mucha. Siadała na małem czole, na licu, na ustach i na zamkniętych powiekach. Wolno rozwarły się oczy niemowlęcia. Brwi jego drgnęły i wejrzenie zgrozy pełne ścigało muchę. Ona krążyła dokoła małej głowy, jakby szukając miejsca, które ma zranić. I nagle zalęknienie spadło na senne oczy, a twarz przeszyło, niby strzała ognista.

Diokles stał zdala. Splecione dłonie przycisnął do piersi i z cicha szeptał:

— Oddal się zła mucho, zła mucho, straszny zwiastunie. Idą za tobą stada potworów, kryjąc się w cieniach. Przeciwko mnie zwróć żądło twoje. Spraw, niechaj serce me zarobi się i ustanie pod ciężarem boleści. Niech po każdej nocy poduszka moja mokrą będzie od łez, napróżno wylewanych. Niech każda jutrznia wschodząca w dyby smutku zawiera nogi moje, a zmierzch niech nie zdejmuje z mych rąk — żelaznych kajdan ucisku. Niech, jak badyl sitowia przed wiatrem, słania się dusza moja u twardych stóp niedoli, tylko od niego odejdź zła mucho, zła mucho...

Nastał ów dzień.

Diokles sprzedał dom i pola, które błogosławiony, czarny Kemi zalewa, ciche ogrody nadrzeczne, gdzie kwitły pomarańczowe i cytrynowe drzewa, gdzie lśniące laury zwiększały cień i nieruchoma brzoza babilońska śliczne gałęzie zginała nad wodą. Sprzedał za bezcen, a pieniądze rozdał garściami nędzarzom na wybrzeżu i u drzwi świątyń. Z niezliczonego dostatku zatrzymał trochę odzieży i parę jucznych mułów. Na wsze strony rozgłosił, że kraj opuszcza i dąży w stronę Arabii.

O wczesnym świcie uciekł z doliny, niosąc syna w zgrzebnej płachcie na plecach. Szedł w stronę przeciwną, w tę stronę, dokąd idzie słońce, na zachód, w puszczę libijską. Szedł długo, aż tam, dokąd już nikt nie chodzi, gdzie na słońcu wygrzewa się samotny lew, gdzie niekiedy przelatuje wskroś piachów cień sępa i gdzie puhacz chichoce w ciemną noc.

Miejsce to było zawalone skałami. W ich głębi taiły się suche jamy, na pół przez wydmy zasypane. Niegdyś w ciągu wieków zamierzchłych stada Etyopów wyłupywały tam kamień i olbrzymie jego bryły linami, na kołach skrzypiących ciągnęły, żeby z nich wznosić świątynie i piramidy. Stały tam jeszcze otworem głębokie pieczary, gdzie Izrael, kując porfir, łkał pod batem i w nieznanej mowie przeklinał Mizraim, ziemię egipską, dom niewoli.

Naokół piętrzyły się rude wzgórza i skalne urwiska, a dalej wędrowne kurhany i zaspy piasku, który przelatuje na skrzydłach wichrów po przestrzeni szerokiej. Dokąd oko pobiegło, leżała wszędzie pustynia czcza i ogołocona, morze piasków ciche, nieruchome, w promieniach słońca od soli połyskujące. W tem miejscu Diokles znalazł drzewa palmowe, trawnik i kwiaty, źródło wody krynicznej i suchą jaskinię. Tam rozesłał poduszkę z sitowia i na niej ułożył dziecię.

Gdy od tej chwili ćwierć wieku upłynęło, plecy starca zgarbiły się, długa broda do pasa sięgała, ręce wyschły, słuch i wzrok stępiał. Gasnącem okiem spoglądał Diokles na syna, który go przerósł o głowę. Oczy młodzieńca były czarne i głębokie, jak u matki, a długie, wzburzone włosy były, niby sen, który ją przypominał. Młody pustelnik prócz ojca nie widział przez cały swój żywot ani jednego człowieka. Żyli w skałach we dwu, jak szakale. Czasami, gdy w strumieniu dużo namoczyli liścia palmowego i upletli obfity stos koszów, Diokles brał towar na plecy i szedł w puszczę, nie mówiąc synowi, dokąd się udaje. Kiedy powracał, niósł zapasy i pisma święte.

Pewnego dnia, wstawszy rano, rzekł Jan do ojca:

— Miałem sen dziwny i piękny, jakgdybym w ciągu tej nocy gościł w niebiosach. Zamknąć oczy i raz jeszcze zobaczyć te same widzenia!... Gdy czuję, że się w głębi mego wzroku oddalają i gdy wstrzymać ich nie mogę, krzyk się z mych piersi wydziera.

Przychodziły do mego łoża i stawały nade mną dziwne istoty, do mnie ani do ciebie niepodobne, choć miały nasze ludzkie ciała. Nigdy ich nie widziałem w pustyni.

Włosy ich były długie... U jednej żółtawe, niby drzewo bukszpanowe, ale połyskujące, jak piaski dalekie o zachodzie słońca.

Druga miała włosy ciemne i wzburzone, jak dym, kiedy leniwie wzbija się kłębami nad mokrem drzewem ogniska.

Włosy trzeciej były czarne, bez blasku, tak długie, tak nieskończone i ciągnące do siebie, jak wielka jaskinia, na której dnie jeszcze nigdy nie byłem.

Szyje ich były okrągłe, cienkie, a tak się zginały, jak u ptaków. Stwory te odziane były w lśniące szaty, które, tańcząc dokoła mojej pościeli, rozpinały wstydliwymi palcami. Wtedy ukazywały się piersi ich okrągłe, śnieżyste, podobne do obłoczków rannych, które łagodny wiatr z nocnej głębiny wynosi. Usta ich były purpurowe, jak kwiat granatu, który jednego dnia przyniosłeś mi zdaleka, stamtąd, gdzie sam bywasz.

Lekkimi ruchy, na okrągłych biodrach kołysały się uroczo, jak się kołysze mirt u brzegu krynicy, gdy wicher zimowy nad siedzibą naszą czarne pióra otrząsa. Zbliżały się cicho i z lękiem, wznosiły ręce bielsze od mleka i posłanie me zaściełały szkarłatnemi chustami. Witały się ze mną łaskawem skinieniem brwi i wątłym dreszczem rzęs, a oczy zasłaniały liliowemi powiekami, które sieć małych żyłek przecina. Jeżeli kiedy odkryły się oczy ich błękitne albo czarne, to je ocieniała dziwna, mglista zasłona. Płonąca barwa

wypłynęła na ich policzki bez skazy... Wtedy słyszałem, jakgdyby liście, z cicha szumiące, i zdało mi się, że wymawiają pieszczotliwie me imię. Z ust mych, gdym na nie patrzał, wydzierało się senne, obumarłe łkanie. Patrzałem, czyli z ich ramion nie wyrastają skrzydła białe, jak to mówiłeś o aniołach...

Diokles siedział milczący, z głową, w dłoniach ukrytą. Rzekł nagle:

— To są szatany.

— Szatany... — konającym głosem powtórzył Jan. Zamilkł w zdumieniu i wzrokiem pełnym boleści przed siebie spoglądał.

Wtedy ojciec jął go zaklinać, ażeby precz wypędzał widzenia czarujące, błagał go cichemi słowy przez Pana, który jest zawistny miłośnik, przez Pana, który jest waleczny i w walecznym człowieku miłość swą składa.

Syn uwierzył. Częsty post nawet od daktylowego owocu czarty z jego oczu wypędzał. Lecz nie zawsze. Przychodziły doń ciemnemi nocami owe istoty tajemnicze. Stawały nad nim i wyciągały ręce...

I nieraz w ciągu dnia, gdy kuł grobowe łożnice dla ojca i dla siebie w twardych pokładach muszlowych, gdzie minione stulecia złożyły szczątki drzew i roślin skamieniałych, przychodziły te same widma zamglone w szelestach uroczych, w woniach kwiatowych, w ciszy nieruchomej i w łagodnych tchnieniach wiatru. Wtedy pracował w dwójnasób, wtedy dźwigał olbrzymie bryły zdaleka i otaczał niemi całą oazę. Czynił tak długo i z uporem, póki zemdlony nie padał.

Wysoko weszło słońce i zajrzało do groty. Diokles spał z rozwartemi oczyma i ustami. Spał na wieki.

Po upływie dni paru, gdy nie dał znaku życia, odniósł go syn do kamiennej trumny na szczycie skał, złożył tam pieszczotliwie i wielkim, ociosanym głazem przywalił. Teraz był sam w pustyni.

Serce jego pełne było świętego żalu, a dusza na wieki przyrosła do grobowca na skalnej wyżynie. Tajemna, głęboka, niewiadoma siła przyciągała go do tych kamieni na górze, jak bryła bursztynu przyciąga kruszynę źdźbła słomianego. Szedł tam co wieczór i o świcie, siedział w zadumaniu, pełen wzruszenia, które nigdy nie słabło. Lecz w ciągu dnia, gdy się imał pracy, ogarniały go podniety niespokojne i dzikie żądze w nim się burzyły. Tchnęło weń z obszaru, na który padał wzrok, pragnienie, żeby iść, iść daleko, w tę

stronę, gdzie chodził ojciec. Wtedy duch jego młody trząsł się i kipiał aż do dna, jak siwe, straszne, oszalałe morze, gdy w nie runą wichry z północy i wichry z południa.

A kiedy zasępiało się niebo, i słońce, blask utraciwszy, stało, jak krąg fioletowy; gdy szare powietrze napełniał kurz latający, który opaść nie może; gdy wicher buchać zaczynał z miejsc czarnych i pustych, — wtedy Jan pragnął z nim lecieć, lecieć na koniec świata i ulegał podmuchom, jak pajęczyna, wisząca u zrębu pieczary. A skoro wicher przedzierzgał się w samum, w straszliwe tchnienie nozdrzy Boga, a wzdęte piachy wydzierały się z pustyni, niby cienkie żagle, zaczepione o niewidzialną reję w chmurach, a drugą w głębi ziemi, —wówczas z mroku swojej pieczary widział cudaczne zjawiska. Skalne zręby, gdy w nie wicher uderzał, miotając się i dymiąc, ziewały, a z paszczy ich strzelał ogień. Ciemność parna i duszna latała nad ziemią, niby skrzydła szatańskie. Przestwór napełniał się cały żywicą gorejącą. Marmur, żelazo i woda parzyły rękę. Wtedy ogniowe, ze strony słońca lecące chmury splatały się z łonem piasków rozpalonych, jak ciało, którego piersi były okrągłe, ramiona słodko rozwarte, a włos falami rozwiewał się po nagiej szyi.

Jan upadał twarzą na ziemię i wzywał ducha ojcowskiego na pomoc. I święta miłość gasiła widma szatańskie. Budziła żądzę czynu, który kiedyś wypełniony zostanie. Czyn ten przed zaśnięciem nakazał mu Diokles, mówiąc:

— Gdy w cichej wodzie źródła zobaczysz, że włosy twe biały śnieg okrył, gdy nogi twe ustaną, ręce zgrabieją i głowy już schylać nie będziesz, przestępując próg jaskini, wtedy opuścisz to miejsce i pójdziesz dniami, nocami w stronę, gdzie słońce wschodzi.

Jan siedział o świcie obok trumny ojcowskiej na wierzchołku skały, gdy oczom jego ukazał się ów widok. Zdało mu się z początku, że to plama, wijąca się w źrenicy, że struś, że lew, że stado antylop...

Zbiegł szybko, stanął u drzwi swej groty i patrzał zdumionemi oczyma. Zbliżały się ku jego schronisku myszate wielbłądy z długiemi szyjami i pyskiem o wardze przeciętej, miamlącej strawę. Zgrzytał żwir pod ciężkiemi nogami ich o nagniotkowatej podeszwie. Między garbatymi grzbietami wznosiły się połyskujące siodła, a w nich leżeli wspaniali, znużeni ludzie. Obok dromaderów wlokły się leniwie ociężałe muły, dźwigając pakunki, szły piękne konie o skórze cienkiej, jak u człowieka. Migotała polerowana miedź pu-

klerzów, zwieszały się z ramion długie, białe tkaniny, i płonęła w słońcu od drogich kamieni zimna, cicha, błękitnawa broń.

Gdy karawana pod cieniem palm zatrzymała się na chwilę i gdy jeźdźcy na wyścigi rzucili się do źródła, nadciągnął jeszcze orszak inny. Sześciu olbrzymich murzynów niosło na ramionach palankin z bambusu. Szkarłatne chusty zasłaniały jego wnętrze, a złota frendzla wlokła się z szelestem po ziemi. Czarni niewolnicy wstrzymali się na chwilę. Zasłona rozsunęła się wolno i z poza niej wyjrzały senne, czarne, głębokie, a jakby blaskiem księżyca posrebrzone oczy. Oczy te wzniosły się na Jana...

Błękitna noc okryła pustynię.

Jan zawarł ciężkie drzwi swego schronienia i rzucił się na łoże. Gdy pierwszy sen zaczął kleić jego powieki, dało się słyszeć kołatanie. Wstał tedy i odsunął wrzeciądz drewniany. Na progu jego jaskini stał człowiek. Serce w pustelniku zadrżało, a tchnienie radości głos mu odjęło. W zachwycającem omamieniu sądził, że to ojciec umarły ciężkie wieko swej trumny odwalił i u drzwi stanął. Lecz ten, kto przybył, rzekł doń głosem cudzym, a głos jego szeptał dźwięcznie, jak szmer strumienia, co się po ostrych kamykach między kępami cyrenejskiego ziela przelewa. Palce Jana wpiły się w opokę groty, a wicher ognisty wionął przez jego głowę. Zapach cichych i bojaźliwych słów otoczył go, jak woń róż, deszczem zmoczonych, i jaśminów, które się tulą u boku zapomnianej cysterny.

Mówił ten głos:

— Przyszłam do ciebie... Przez puszczę daleką, przez oschłe piaski dzień i noc biegłam. A razem ze mną toczyło się pustyni ogniste koło i zamykało mię w sobie. Ale ja szłam do ciebie... Wierzyłam, że cię odnajdę, wierzyłam w to, nie wiem czemu. Raz tylko widziałam twe oczy i twoją czarną twarz, po której coś się przemyka, coś, lżejsze od połysku złota. Jakże mi się podoba rumieniec, który wtedy na nią wypłynął z głębiny twojego serca, podobnie jak ranna zorza wypływa ze słońca, które jeszcze za krawędziami ziemi się kryje! Jakże mi się podobały nozdrza twe, gdy prędko miotać zaczęły oddech gorący! Jakże mi się podobała cera twej szyi nagiej, spalonej, o barwie czarnych róż, które pod moje okna przywozi co dzień z tamtej strony Nilu przekupień grecki, poruszając ciche fale jodłowemi wiosłami, gdy budzą się senne pelikany nad wodą!

Raz cię ujrzałam i już odtąd nie mogłam spać przy matce, w wązkiem łóżku dziewiczem. Jak silny, mściwy bóg, coś ze mnie

wydarłeś jednem spojrzeniem czarnych oczu. Krzywy dziób sępa nie tak chciwie szarpie pisklę synogarlicy, jak błysk twych oczu, napadający w biały dzień i w ciemną, bezgwiezdną noc...

Jan o krok posunął się naprzód i wyciągnął rękę. Chciał zwalić szatana w piersi kamiennym krzykiem, ale tylko szept miękki, jak słaby motyl, sfrunął z warg jego:

— Odejdź...

Znowu ozwał się głos:

— Dziecię niewinne!.. Święty człowieku, który w puszczy mieszkasz i ani jednej zbrodni ludzkiej nie widziałeś! Trwożne westchnienia płynęły w żyłach mych, i sidło strachu ściskało mi serce... Drżałam w wahaniu się bezsennem, bo wielbię wszystko w tobie, nawet świętą dziewiczość twoją. W słodyczy zachwycenia paliłam się od westchnień i byłam wszystka, jak płomień nieujęty, co wiecznie przygasa i wiecznie się odradza. Znikałam tak, jak on. Serce, uciemiężone przez pragnienia tajemnicze, przymuszało mię do ciągłych łez niewiadomo za czem, a żadna uciecha osuszyć ich nie była w stanie. Karmiłam się łzami żywemi, co, jak woda z krynicy, nieprzebrane płynęły...

— Królu, z czarnego oddalenia nierychło wschodzący; tronie wieczysty, słońce, które miłujesz potężnych i niezdobytych, kiedyż się rozednieje i kiedyż przeminie władza nocy!...

— Ty, jak powabny, błękitnawy, zawstydzony obłok, zostałeś w dalekiem przestworzu. Nic już nie czułam z żalu. Topiłam się w tęsknocie i blada, bez tchu, przelękniona drżałam wobec niewiadomych uczynków, które w mem łonie drzemały, poczęte w tej chwili czasu, kiedym ciebie ujrzała. I oto jednej nocy kazał mi głos, bym szła do ciebie.

— Waleczny, skazany, przybity do krzyża, Ty, co z wieczności wyciągasz prawicę do duchów jasnych, wyciśnij pieczęć na piersi mej! Tyś jest mój Pan i skała moja!

— Słyszę twój głos żebrzący i widzę cień twej postaci. Czemuż nie zbliżasz się do mnie i nie wyciągasz stęsknionych rąk? Zimno mi. Nędzny mróz obejmuje ramiona moje i ściska piersi. Chłodna jest w nocy pustynia, tchnie lodem oddech jej wielki. Czyż mię nie weźmiesz do chaty swej, boży człowieku?

Jan szeroko drzwi otwarł, a sam się cofnął w głąb groty. Stamtąd słyszał, jak suchy, drobny piasek zgrzyta pod skórzanemi ciżmami i jak szeleszczą jedwabne szaty, które poprzedza rozkoszna woń, jakgdyby wątłych lilii. Głowa jego upadła na piersi, a ręce znalazły w ciemności krzesiwo, kamień i próchno drzewne. Błysnęła

iskra i zatliła lniany knot w misce z kamienia, napełnionej żywicą. I zapalił się duży płomień. Stojąc za nim z przymkniętemi oczyma, Jan słyszał pieszczący głos:

— Pragnę cię widzieć, raz jeszcze cię zobaczyć. Mienisz się w ogniu, jak puhar z kruchego kryształu. Pozwól mi zabrać i ukryć w sercu blask twoich źrenic, ogień uderzający, co, jak wino z wyspy greckiej, upaja. Czemuż zamknięte są powieki twe...

Wtedy wzniósł zwolna oczy. Usta jego były drżące i wypełzło z nich słowo leniwe, jak wąż, któremu głowę zmiażdżyły kamienie:

— Ojcze, przyjdź mi na pomoc!..

— Czemuż nie mnie pieszczotliwie przyzywasz? Spojrzenie twe wytężone jest przeciwko głowie mej, niby cięciwa krzywego łuku. Ostra strzała, która z niego wyleci, zepchnie mnie w wieczny grób! Czemuż mię przerażeniem zdejmujesz i czemu straszny jesteś, jak ryk leopardowy, gdy go w głębokiej nocy słychać w pobliżu?...

— „Serce czyste stwórz we mnie, Boże, a ducha prawego odnów we wnętrznościach mych"!

— Kochanku!

— Tyś to jest szatan?

— Ja jestem tobą samym. Ja i ty tosamo jesteśmy. W sercu twem mieszkać pragnę i płynąć w twojej krwi. W czarne oczy twe wcielić się i na wieki pozostać. Czemuż mię szatanem zowiesz? Czyżem nie piękna?

— Piękne są oczy twoje płomienne, które z góry powiekam nakrywasz.

I usta, uchylające się na obraz róży młodocianej. Piękne są ręce, które w tyle głowy splotłaś palcami. I długie włosy. Płyną, jakby dwie fale, jak czarne wody, z białych ramion na piersi. Piękniejsze jest czoło twe, niż blask księżyca między drzewami w nocnem milczeniu. I czarne brwi...

Szyja twa chowa się między piersi śnieżyste, jak wiosenne niebo między dwa białe obłoki. Pachnie szata połyskliwa, którą biodra swe opasałaś. Uśmiech twój we snach widziałem. Zaklinam cię na imię, które nie może być wymówione, opuść mię...

— Upadł na twoją twarz czerwony ognia blask. Lśni się nad czołem kędzierzawych włosów puszcza. Zabłysły oczy twe. Jesteś przeraźliwy i zimny, jako oblicze Anubisa, wodza umarłych. O, gdyby mógł rozpalić się w tobie swobodny ogień i gdybyś stał się tak,

jak ja, pijany od krwi kipiącej! Lwie pustyni!... Pragnę, żebyś mię słabą pochwycił i dusił barkami, w których się prężą żyły pełne gęstej krwi!

Chciałabym czuć ramiona twoje wokoło piersi, wokoło żeber, olbrzymie, jak las dziewiczy, skąd widać jedwabne fale morza, co się pieszczą nad burzliwemi głębiami. Na wargach twych parzących, jak węgiel rozdmuchany, zakwitłby cichy, zły, straszliwy, ukochany półuśmiech. Nie wiesz, jak pachnie rozchylająca się róża mych ust. Nagle przyszłoby szczęście, jak niespodziewany z cichego horyzontu powiew kamsinu. Ponure oczy twoje, żelazne oczy tygrysa, co pierwszy raz ujrzały młode jagnięta w dolinie, omdlałyby nade mną. Wzrok twój stałby się długi i przykuwający, jak zapach tuberoz, który nocna rosa wypielęgnowała. Czoło twoje wzniosłoby się nade mną radośniej, niż wietrzyk, przelatujący nad ziemią egipską, gdy zimowy deszcz ustanie. Wielbiłabym straszliwe czyny twoje i wiłabym się pod ramieniem twem, kiedybyś stękał i drżał, jak dąb na szczycie szumnych gór wśród huku burzy. Wielbiłabym zapalający ogień w tobie słowem bezwstydnem, co przeszywa serce soplami lodu...

— Słowa twe przeszywają serce soplami lodu...

— Pójdź do mnie! Tyś jest, jak kwiat akacyowy, co z twardej łuski drzewa wyszedł i otworem stoi, spoglądając w ciemną noc. Ja jestem kropla rosy, dla ciebie jedynego stworzona. Posłuchaj, jak leci w żyłach wzdętych rozdzierająca krew. Będziesz umierał na sercu mem i w każdej chwili odradzać się będziesz, gdy usta twe odetchną w moich, a dusza twa w moją wejdzie, jak płomień wchodzi w płomień!

Jan usłyszał w głębi swej duszy słowo:

— Płomień.

To był głos ojca.

I jeszcze raz powtórzył ten sam głos:

— Płomień, płomień!

Wtedy, podniósłszy na nią oczy, Jan rzekł:

— Świętego apostoła są słowa: „którzy takie sprawy czynią, na męki idą". Patrzże, jak płonie ogień wieczny i jak się pali grzeszne ciało, które rozkosz nawiedziła.

A gdy te słowa wymówił, podniósł rękę prawą i wskazujący palec włożył w płomień ognia, co na misie kamiennej pełgał. I stał tak dotąd nieruchomy, aż się palec zatlił, rozpalił i gorzał.

Wtedy dla wielkiego cierpienia przestał pustelnik czuć rozkosz miłości.

A ona, widząc, co czynił, z przestrachu jak kamień się stała. Oniemiały jej usta, upadły bezwładne ręce i z oczu lazurowych życie uciekało. Z jękiem upadła na ziemię. Włosy jej długie, włosy czarujące, włosy pełne zapachu rozwiały się po ziemi, a łono, siedlisko rozkoszy, druzgotał młot boleści. Blask płomienia padał na jej cudowne ciało. Tak aż do rana w prochu nieruchomo leżała. I aż do rana w milczeniu to samo czynił, aż u prawicy poupalał wszystkie palce.

Wtedy nad nią stanął i mgłami zakryty wzrok schylił ku ziemi, a wyciągniętą ręką uczynić chciał nad leżącą znak krzyża.

Zbielałe usta jego szepnęły:

— Odejdź w pokoju.

Kiedy i wówczas nie powstawała, schylił się, żeby ją dźwignąć. A dotknąwszy ramienia, poznał, że umarła.

Wyniósł się tron słoneczny nad brzeg daleki piachów pustyni i roztrącił wszechmocnem skinieniem noc zielonawą. Rosy nalistnice szukały przed niem ukrycia w głębinie ziemi i w komorach pachnących kwiatów. Zwolna posuwał się cień wielkiej skały, który, jak płaszcz szeroki, okrywał leżące przede drzwiami groty ciało Jana.

Pustelnik spał. Gorączka krew jego zamieniła w płomienie, huczące w żyłach, niby kupa rozżarzonych węgli, obległa czaszkę. W stawy jego kołatały młoty wstrząśnień bolesnych. Spał twardo. Pięść upaloną, rozpuchłą i drgającą tulił do piersi.

Łkał we śnie.

Aż oto tron Pana wstąpił wyżej i cień skały zwinął, jak połę opończy. Promienista prawica słońca spoczęła na czole śpiącego.

Wtedy Jan oczy otworzył, ale wnet zawarł powieki i patrzał w głębinę swego ducha, gdzie wrzała straszliwa burza, jak gdyby samum, rozszarpujący ziemię.

Krwawa pięść Jana wzniosła się w górę, w tę stronę, gdzie na skalnej wyżynie była trumna jego ojca. Spalone usta wołały z krzykiem:

— Straszny i okrutny dla mnie był duch twój, jak struś, co jaja zniesie, w piasku pustyni zakopie, a sam ucieka.

Przeklęta niech będzie miłość twa dla mnie, z której poczęła się twoja siła, a moja słabość.

Łakomy zżeraczu i zawistny tępicielu szczęścia, czemuż nie poszedłeś do szatana uczyć się dobroci?...

Dobry jest szatan i państwo jego rozkoszy: noc.

Niech będzie błogosławiony szept jego cichy i niech zagaśnie w piersi mej płomień twój.

Usta spieczone położył w piasku wilgotnym, gdzie w wyciśniętych śladach małych sandałów stała jeszcze rosa nocna...

Stefan Żeromski.



DROGA SZTUKI.

(UWAGI I WRAŻENIA).

Pan Matuszewski w referacie swoim o powieści egzotycznej potrącił mimochodem o jedną ciekawą bardzo kwestyę. Według niego, powieść egzotyczna, jak i cały zresztą romans, drogą ewolucyi doszła wreszcie do punktu, z którego się wychodzi na „poszukiwania człowieka", na badania tajników i głębi jego ducha. Otóż, zdaje mi się, że nie tylko powieść, lecz każdy bez wyjątku rodzaj sztuki, a tem samem i cała ona, przechodzi w rozwoju swoim te same koleje, tę samą drogę. W szkicu niniejszym pragnąłbym myśl tę szerzej rozwinąć i uzasadnić.

Jest faktem, że naród, plemię, rasa posiada te same fazy ewolucyi, co pojedyńczy osobnik: miały one dzieciństwo swoje, miały niektóre z nich młodość swoją, wiek dojrzały i starość. Analogie tu są bardzo znaczne i ciekawe. Dzikiego, jak dziecko, zachwyca dany przedmiot tem, co ma w sobie najbardziej uderzającego, co najsilniej drażni jego wzrok, słuch lub powonienie: Hotentot lub Kafr z ochotą oddaje stosy cennej kości słoniowej wzamian za bezwartościowe blaszane lub szklane świecidła. Niemowlę wyciąga szybko ręce do przedmiotów jaskrawych, świecących, o dziwacznych, niecodziennych kształtach. Forma zewnętrzna, barwa, dźwięk

głośny — oto co ono przedewszystkiem postrzega. Źródłem sztuki jest naśladownictwo; przedmiotem sztuki niemowlęcej będą przeto przedewszystkiem wyżej określone formy zewnętrzne, a celem jej— możliwie niewolnicze ich odtworzenie. Taką jest cała sztuka epoki mamuta, a nawet asyryjska, egipska i babilońska, taką jest ona i dziś u Papuasów lub Aszantów. Wzory egipskie wprost uderzają swoją dokładnością w naśladowaniu; stanowiły one, dzięki temu, bardzo cenny i ciekawy dokument dla dziejopisów państwa Faraonów. Z biegiem czasu jednak, wraz z rozwojem władz umysłowych uszlachetnia się smak estetyczny człowieka i doskonalą środki techniczne. Śród błękitów piękna rozpala się powoli promienne słońce sztuki greckiej. Już Apollo z Tenei jest olbrzymim krokiem naprzód w porównaniu z posągiem Ramzesa: kształt szlachetnieje, lecz forma pozostaje nadal celem głównym. Bezimienni twórcy rzeźb w doryckiej świątyni Ateny w Eginie, za nimi Fidyasz i Poliklet, Praksytel, Skopas i Lizyp czynią z sztuki greckiej cud. Forma dochodzi do szczytów doskonałości. Tą samą drogą, co rzeźba, idzie— rzecz dziwna — poezya i nawet filozofia grecka. Homer nie widzi prawie nic prócz kształtów, poświęca rapsody całe opisowi tarczy Achillesa, odczuwa piękno tylko zewnętrzne, wstrętny mu jest Terzyt, bo jego dziwaczne rysy zbyt silnie się odcinają od tła posągowych bohaterów, do których przywykło oko pieśniarza. Nawet gdy mówi o umyśle lub duszy, widzi w nich — że tak powiem — formę zewnętrzną, pozy i ruchy, słyszy tylko ładnie brzmiące słowa; żadna analiza psychologiczna dla niego nie istnieje. Pindar opiewa tylko piękne ciała, silne muskuły, szybki ruch. I w filozofii greckiej daleko więcej jest jakiegoś jasnego, prostego piękna, niż głębi. Jedyny może Arystoteles mniej dba o formę, a więcej sięga pod nią, w głąb ducha. Największym greckim duszoznawcą jest bezwątpienia Sofokles, przedstawiciel złotej epoki sztuki greckiej, lecz i ten maluje tylko takie stany duchowe, które się najwyraźniej i najjaskrawiej rzucają nazewnątrz. Klasycy estetyki zaliczają grupę Laokoona do okresu upadku sztuki greckiej, bo jest ona podług nich pozbawiona spokoju klasycznego; pogląd ten dawno został obalony, możemy przeto śmiało powiedzieć, że słynna ta grupa, wprost przeciwnie, stoi na wyższym szczeblu rozwoju. I rzecz ciekawa: artyście w dziele tem chodziło nie tylko o możliwie doskonałe piękno kształtu zewnętrznego, lecz i o ducha — o wyraz. Nie mogę w tym krótkim szkicu śledzić stopniowego rozwoju sztuki. Będę więc brał tylko momenty wytyczne, aby wykazać na nich, jak sztuka, nie

lekceważąc bynajmniej formy, ztsępuje coraz bardziej w głębie ducha i głębie życia.

W epoce renesansu z pod gruzów stuleci zmartwychwstaje antyczne piękno, lecz budzą je ze snu dusze chrześcijańskie, przez które przeszło kilkanaście wieków cywilizacyi i kultury, dusze, zrodzone z tych, które w okresie „nowej jutrzenki” drogą naturalnej reakcyi wzgardziły ubóstwianą dotąd formą, aby pokłonić się duchowi. Artyści i esteci epoki Odrodzenia uczcili nowe dla nich piękno, lecz już przepoili je swoim duchem. I dlatego wszystkie prawie arcydzieła renesansu mają treść religijną i mistyczną. Nawet taki poganin, jak Michał Anioł, maluje „sąd ostateczny” i wznosi kopułę bazyliki św. Piotra, która ma służyć Bogu. Forma ustępuje coś ze znaczenia swojego na korzyść uczucia, lecz uczucia tak elementarnego, tak żywiołowego, jakiem jest uczucie religijne.

Okres późniejszego renesansu jest dalszym szczeblem rozwoju ducha w sztuce na niekorzyść, a nawet kosztem formy. Caravaggio, Ribeira i Murillo, Rubens, Van Dyck i Rembrandt w płótnach swoich coraz bardziej wysuwają na pierwszy plan charakter, wyraz, znacznie mniej dbając o formę. Z Rubensowskiego „Zdjęcia z krzyża”, z portretów Van Dycka, z „Hundertguldenblatt'u” Rembrandta coraz silniej, coraz potężniej promieniuje na zewnątrz dusza ludzka. Pominę milczeniem epokę starości i dziecinnienia renesansu, której owocem jest kokieteryjny i bezmyślny barok i rokoko. Jest to chwila snu sztuk plastycznych; miejsce ich zastępuje powoli poezya, a w szczególności tragedya. Corneille i Racine wygrzebują ją z popiołów przeszłości, Boileau stwarza dla niej formułkę — i oto na scenie zjawiają się dworacy Ludwika XIV w togach bohaterów starożytnych. Duch epoki rozsadza klasyczną formę i urabia ją podług wymagań czasu. Obłuda w obsłonkach pięknych słów, wzniosłość, wyrażona w patetycznych tyradach, poczucie honoru, oparte na ostrzu szpady, cześć dla kobiet, polegająca na grzecznych ukłonach i madrygałach w salonach, buduarach i sypialniach, lecz wyszydzana na ulicy — oto ten ówczesny modernizm, oto ten płytki duch, który wszedł w grecką formę, potwornie ją wynaturzając. Pseudoklasycyzm ośmieszył ją i, zdawało się, pogrzebał na wieki.

Nadchodzi okres pierwszych dreszczów rewolucyjnych, które miały wstrząsnąć tak potężnie ludami Europy. Filozofia myślicieli XVIII stulecia przygotowała grunt ideowy, na którym miała wykiełkować myśl rewolucyjna. Bezwstydny wyzysk stanu trzeciego, presya moralna i materyalna rządów Ludwika XIV i XV zbudziła płomienie uczuć ludowych; gromy rewolucyi, huczące nad

Francyą, rozpaliły łunę piorunową na całem niebie Europy. Śród tego ognia walk i wichru nadziei niema czasu na sztukę. Orły napoleońskie przelatują nad Europą, niosąc na skrzydłach swych błyski idei i potężnie brzmiące hasła, wobec których milkła sztuka. Potrzebny tu jest co najwyżej klasycznie beznamiętny pędzel Dawida dla upamiętnienia na płótnie wybitniejszych momentów i typów.

Narody, jak pojedyńczy osobnik, przeszły swe lata niemowlęctwa, przeszły lata pierwszego rozwoju duchowego, lata, w których żył u nich jedynie podziw dla formy zewnętrznej, lata, w których się poczęły kształtować ich pierwsze myśli, budzić ich pierwsze, elementarne, żywiołowe uczucia. Nastąpił „Sturm und Drang-Periode", okres młodzieńczych burz, walk i porywów, rozbudzonych pragnień i nadziei. Niestety, te ostatnie zawodzą: król orłów na dalekiej skale kona śród ciszy i samotności, orły stuliły skrzydła i poszły do służby, jak kury potulne, na dwór reakcyi. Ileż to bolesnych zawodów i ile cierpienia! Aż dusza płacze nad zmarnowanym skarbem młodzieńczych porywów i zapału. Sztuka się budzi z uśpienia i odpowiada jękiem żalu lub krzykiem protestu. Romantyzm niepodzielnie panuje w krainie ideału. Próżno genialny Olimpijczyk, Goethe, dźwiękiem strun pragnie wywołać z przeszłości klasyczne mary. Manfred i Kain, Gustaw i Konrad — oto ideały romantyzmu. Nawet Heine, genialny szyderca Heine, jest w gruncie rzeczy romantykiem.

Zbliża się jednak powoli dla ludu, jak i dla osobnika, chwila dojrzewania. Sztuka, odpowiadająca temu okresowi, poczyna rozglądać się w życiu; Millet, Courbet, Bastien-Lepage, Menzel, Turgeniew, Zola coraz głębiej sięgają w życie i coraz realniej je odtwarzają. Realizm, ten realizm, który postawił sobie za zadanie odkrywać czynniki, rządzące życiem ludzkiem i coraz wierniej i drobiazgowiej je odtwarzać, kładzie na całej sztuce swoje niestarte i znamienne piętno. W tej pogoni za prawdą, za dokumentem zdaje się wyczerpywać powoli wszystkie objawy, wszystkie pierwiastki, z którego składa się zewnętrzne życie ludzkie. Aż powoli wynaturza się, przechodzi w naturalizm i weryzm, stając w ten sposób na krańcu swego naturalnego rozwoju, poza którym czyhać nań może tylko śmierć. A tymczasem powierzchnia morza życiowego powoli się wygładza: nikną wiry, rozpływają się w tafli szklanej rozszalałe bałwany, życie szarzeje, staje się jakieś coraz bardziej bezbarwne i ciche. Tylko od czasu do czasu biją w głębi pod tonią gromy podziemne, budząc dobrze znane

oceanografom niezmiernie długie, bardzo potężne, a jednocześnie trudno dostrzegalne fale, gdyż grzbiety ich są oddalone od siebie o setki i tysiące mil. Te fale — to powoli budzące się ruchy społeczne. Potrzeba orlego wzroku, aby je dostrzedz i odczuć.

Szarość i bezbarwność codziennego życia poczyna wreszcie ciężyć i przytłaczać wyobraźnię artystów. Pragną oni uciec od tego świata drobnych dążeń i drobnych podłości, uciec i zamknąć się w jakimś nowym kraju, niezbadanym, dziewiczym i dostarczającym nowych wrażeń. Taki kraj, taki zakątek, bardzo blizki i bardzo wielki, jest jeden tylko, a jest nim —dusza ludzka. Rozpoczyna się więc dla sztuki okres nowy, trwający aż po dzień dzisiejszy, który nazwaćby można okresem sztuki psychologicznej albo duszoznawczej. Początków jego należałoby szukać chyba w Rosyi, gdzie specyalnie psychologiczne zabarwienie silnie występuje po raz pierwszy w dziełach Dostojewskiego („Zbrodnia i kara", „Idyota", „Biedni ludzie", „Bracia Karamazowy" i inne) oraz poniekąd w pracach Leona Tołstoja. Z Rosyi romans psychologiczny przechodzi do Francyi, w formie znacznie zmienionej, z bardziej uwydatnionym pierwiastkiem erotycznym, mając najgłośniejszego przedstawiciela w osobie Pawła Bourgeta („Uczeń", „Kłamstwa" i inne). Knut Hamsun („Głód") i Arne Garborg („Znużone dusze") tworzą powieść duszoznawczą w Skandynawii. Pomimo wielkich różnic, jakie istnieją pomiędzy wszystkimi tymi pisarzami, w których analizowanie nie będę wchodził, bo nie to jest celem tego szkicu, łączy ich wspólne pokrewieństwo: wszystkim im chodzi o możliwie szerokie, możliwie wyraźne scharakteryzowanie duszy ludzkiej lub wybitnego, jak naprzykład głód, miłość, znużenie, stanu psychicznego. Tworzą oni wielkie obrazy, wielkie tło i podstawę całej obecnej sztuki duszoznawczej, nie wykończając oddzielnych, drobniejszych szczegółów. Ta ostatnia robota, polegająca na analizie drobiazgowej już nie całej duszy, lecz tylko drobnych jej kawałków, na malowaniu nie długotrwałego stanu psychicznego, lecz momentalnych nastrojów, przypada w udziale całej falandze pisarzów ostatniej doby, jak Verlaine, Maeterlinck, Przybyszewski, d'Annunzio, poniekąd--Tetmajer, Strindberg, Żeromski i inni. Na pozór wydaje się dziwnem lub przypadkowem takie zestawienie nazwisk, w rzeczywistości nie jest to tak sztucznem, gdyż wszystkich tych artystów ączy wyżej wymieniona cecha wspólna. Zespala się w pr acy wszystkich pisarzów-duszoznawców i nastrojowców dwojakiego rodzaju dążenie: możliwie subtelna analiza nastroju i pragnienie wy-

wołania odpowiedniego oddźwięku w duszy widza, słuchacza lub czytelnika. Bardzo łatwo poznamy tę różnicę na przykładzie. W takiej np. „Zbrodni i karze" Dostojewski w subtelny bardzo sposób fotografuje — jeśli tak powiedzieć można — duszę Raskolnikowa, ostatecznie mało dbając o to, czy jego bohater wzbudzi w czytelniku współczucie, odrazę czy sympatyę. „Sfinks" Tetmajera jest w rzeczywistości też niczem innem, tylko analizą psychologiczną, co prawda już nie oddzielnej duszy, lecz nastroju. Jednocześnie jednak ma poeta na celu dostrojenie duszy widza do unisona z tym samym dreszczem, który przejmuje bohaterów jego dzieła.

To samo, co o powieści, dramacie lub poezyi można powiedzieć i o całej dziedzinie sztuk plastycznych. Oddanie jakiegokolwiek stanu psychicznego i wywołanie go, oddanie jakiegoś nastroju i wytworzenie go — oto cele i dążenia współczesnego pendzla i dłuta. Böcklin, który oczyma swej naiwnie dziecinnej, pogańskiej duszy zapatrzył się w błękitnie uśmiechnięty świat grecki, jest w rzeczywistości niczem innem, tylko nastrojowcem. Ze sztuki greckiej wziął on właściwie nie to, co stanowi jej najcharakterystyczniejszą cechę, nie kształt i linię, bo w obrazach jego jest w rzeczywistości bardzo mało prawdziwie pięknych kształtów, lecz ten jej naiwny, dziecinny nastrój ogólny. Wystarczy, gdy przypomnimy jego „Centaura u kowala", „Pana, przestraszającego pasterza" lub „Lato" (z galeryi drezdeńskiej). O nastrój i tylko o nastrój chodzi mu również w tych przepięknych, tchnieniem nowej duszy owianych dziełach, jak: dwie „Wille nad morzem", „Wyspa umarłych" i „Jazda śmierci". U nas do takich typowych nastrojowców należą: Józef Chełmoński, Laszczka, Edward Okuń i Wojciech Weiss, artyści różni w środkach i różni w motywach, mający jednakże ten sam cel. Wspólny wszystkim kierunkom sztuki los, polegający na wynaturzaniu się przez jakiś uwiąd starczy, los renesansu, konającego w odmętach dziwacznego baroku i rokoko, los odrodzonej sztuki greckiej, zduszonej powijakami pseudo - klasycyzmu, nie ominie, jak się zdaje, i najnowszego kierunku. Namiętność do analizy duszoznawczej doprowadziła do jakiejś małostkowości, *mesquinerie* psychologicznej, polegającej np. na badaniu stanu duszy człowieka, słyszącego podejrzany szmer w ciemnościach lub rozdrażnionego monotonnym pluskiem deszczu; namiętność ta popchnęła sztukę do zakładów dla obłąkanych, do celi waryata, do przytulku dla alkoholików. Śród wizyi erotomona i w dreszczach obłąkańca, cierpiącego na paranoję, kona sztuka duszoznawcza. Gdzież jej wybawienie i gdzie jej

przyszłość? Nim pozwolę sobie w tą dal tajemniczą spojrzeć, streszczę pokrótce moje wywody.

Pierwszem dążeniem sztuki jest odtwarzanie widomych zewnętrznych barw, kształtów i dźwięków oraz doprowadzenie ich do możliwie większej doskonałości. Powoli sztuka zagłębia się pod formę, ożywiając ją duchem. Poczyna ona od oddania najprostszych, najelementarniejszych przejawów myśli i uczuć ludzkich, t. j. takich, które się najwyraźniej i najdobitniej wyrażają na zewnątrz. W ten sposób powstaje renesans, w ten sposób rodzi się tragedya Corneille'a i Racine'a i komedya Molière'a. Wypadki dziejowe, szerzej rozwinięta myśl i pogłębiona wrażliwość przepaja sztukę coraz gorętszą falą uczucia. „Miej serce i patrzaj w serce"— oto przykazanie, które na kamiennych tablicach sztuki ryje złotemi głoskami romantyzm. Z pod powoli uciekającej fali życia, z pod wygładzającej się powierzchni życiowego oceanu wygłębia się pragnienie poznania otaczającego nas świata, pragnienie poznania tej fali i tej toni, wygłębia się realizm. Wreszcie — jak widzieliśmy — znudzona dniem powszednim dusza wchodzi w głąb samej siebie, bada ją i poznaje, a w tej zaciekłości badania zapomina o potężnych, długich, trudno dostrzegalnych falach życia, przekuwając każdy swój mizerny ból na cierpienie milionów, każdy swój drobny ruch — na życie całej ludzkości; stąd się rodzą wszelkie masowe „pęknięcia serc", ten „ocean smutku" i ten potok łez. Dwa są kierunki, które może sobie w przyszłości obrać sztuka: albo powrót do dawnych ideałów, przekuwanie starych myśli w nowe formy lub przepajanie starych form nową myślą, albo też stworzenie nowego kształtu i nowego ducha. Pomińmy ten pierwszy kierunek; nie wiele wniósłby on do sztuki nowego, byłby tylko chwilowem bezkrólewiem, nie — wstąpieniem na tron nowego ideału. Zatrzymajmy się tylko na drugim.

Sztuka dotąd była przeważnie analityczną: rozkawałkowała cały bezmiar życia i badała, a jednocześnie odtwarzała tylko poszczególne części: formę, myśli, stany psychiczne, czynniki życiowe i t. d. Nie wydała na świat ani jednego dzieła, któreby zamknęło w sobie całokształt życia, ani jednego geniusza, który orlim wzrokiem mógłby je w pełnej rozciągłości objąć. Celem jej, kresem i ideałem winno być objęcie całokształtu życia. Dzieło, które zamknie w sobie wszelkie waryacye formy i kształtu, barwy i dźwięku, każdy pęd myśli, każde drgnienie serca, każdy objaw życia, będzie arcytworem sztuki, a ten mistrz, który takie dzieło stworzy, będzie tym wymarzonym geniuszem świata. Oczy-

wiście są to tylko mrzonki, które prawdopodobnie nie urzeczywistnią się nigdy. Dążeniem jednak sztuki, dążeniem, którego pierwsze objawy dają się już dostrzedz w chwili obecnej (Wagner?), jest to zniesienie granic, oddzielających poszczególne jej kierunki, a nawet oddzielne jej gałęzie. Precz z dogmatami, precz z kierunkami, niech żyje życie! — oto hasło, — jak najwięcej życia w jaknajpiękniejszej formie — oto cel i dążenie sztuki przyszłości.

Michał Mutermilch.



KRONIKA EKONOMICZNA.

Budżety państwa na rok 1801, 1850 i 1901. — Ostatni raport ministra finansów. — Czy jesteśmy jeszcze spichlerzem Europy i krajem rolniczym? — Taryfy dróg żelaznych i traktat handlowy z Niemcami.

Świeżo ogłoszony budżet na rok 1901 — pierwszy budżet państwa w XX wieku—mimowoli nasuwa porównanie z pierwszymi latami XIX wieku.

Podług danych, które mamy pod ręką, wydatki państwa rosyjskiego w 1801 roku wynosiły 64,2 milionów rubli. Połowę tej sumy: 32,35 mil. rub. pochłaniały armia i flota; procenty od długu państwowego wynosiły 6,74 mil. rub., utrzymanie dworu 5,53 miliony. Na administracyę kraju i sądownictwo wydawano 6,11 mil. rb., na oświatę 0,74 mil.; reszta około —12 mil. — szła na administracyę skarbu i dóbr skarbowych (Milukow).

Budżet na r. 1901 zamyka się sumą 1,788,482,006 rubli wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych. Suma ta jest 28 razy większą od sumy wydatków 1801 r. Wzrost budżetu rosyjskiego w XIX w. należy do najszybszych i zasługujących na zbadanie szczegółowe. Różnica między rokiem 1801 a 1901 jest jednak tak wielką, że potrzebujemy koniecznie jakiegoś „tertium comparationis" i za takie weźmiemy jeden z budżetów środka wieku, mianowicie budżet na 1850 rok. (Bloch: Finanse Rosyi w XIX w.).

Wydatki 1850 r. preliminowano na 262,8 mil. rubli. W sumie tej jednak mieściły się wydatki na możliwe uruchomnienie wojsk— 33,2 mil.; na nowe budowle (cesarz Mikołaj lubił budować) 17,7 mil.; na pokrycie niedoborów podatkowych 6,1 mil. rb., wydatki na drogi i sądy ziemskie ze specyalnych funduszów 4,9 mil. rub., i w końcu na zakup spirytusu monopolowego 12,2 miliona rub. Po potrąceniu tych sum suma wydatków zwyczajnych państwa w 1850 r. wynosi 188,5 milionów rubli.

W budżecie 1901 r. wydatki zwyczajne wynoszą 1642,85 milionów rubli. I tej jednak sumy do porównania użyć nie możemy. Zawierają się w niej bowiem: wydatki. wywołane eksploatacyą dróg żelaznych (koszta eksploatacyi, nabycie taboru i nowe roboty na istniejących już liniach): 348,61 mil. rub., oraz wydatki na prowadzenie i zaprowadzenie monopolu napojów spirytusowych 149,31 mil. rub., razem 497,92 mil. rb., po których potrąceniu suma wydatków zwyczajnych skarbu państwa na rok 1901 wynosi 1144,93 mil. rub.

Jeśli te trzy sumy 64,2 (1801), 188,5 (1850) i 1144,93 (1901) roździelimy na te grupy, na które mamy podzielone wydatki 1801 r., i obliczymy stosunkową ich wartość procentową do ogółu sumy wydatków danego roku, to otrzymamy następujący obraz historycznego rozwoju wydatków państwa w XIX wieku.

		1801		1850		1901	
		Suma wydatków	%	Suma wydatków	%	Suma wydatków	%
		w milionach rubli					
I.	Dług państwa . .	6,74	10,5	37	19.5	274,9	24
II.	Armia i flota . .	32,35	50	84	44,5	417.6	36,5
III.	Utrzymanie dworu	5,53	9	9	5	12.7	1
IV.	Administracya i sądownictwo .	6,11	9,5	25,5	13,5	200,5	17,5
V.	Oświata	0,74	1	2,8	1,5	33	3
VI.	Skarb i dobra państwa	12,73	20	30,2	16	205,9	18
		64,20	100	188,5	100	1144.5	100

Rozpatrzmy bliżej te cyfry. W ciągu pierwszej połowy XIX w., od 1801 do 1850, wydatki zwyczajne państwa rosną z 64,2 do 188,5 mil. rb., t. j. powiększyły się prawie 3 razy; w ciągu drugiej połowy— od 1850 do 1901 — wzrosły z 188,5 do 1144,5 mil. rub., to jest powiększyły się prawie 6 razy, a w ciągu całego XIX wieku powiększyły się prawie 18 razy.

We wzroście tym przodują cyfry wydatków na armię i flotę:

rosną one z 32,35 na 84, i 417,6 mil. rub.; procentowo jednak wydatek ten zmniejsza się. W 1801 pochłania on połowę budżetu—50%, w 1850 niecałe 45%, w 1901 tylko 36,5 setnych wydatków. Najsilniejszym stosunkowo jest wzrost wydatków na procenty od długu państwowego; w sumie jednak ogólnej 274,7 mil. rub. procentów 1901 r. mieszczą się procenty od kapitału zakładowego państwowych dróg żelaznych, które już dwa lata temu wynosiły przeszło 100 milionów rubli i które w budżetach poprzednich, rozumie się, nie istniały. Gdybyśmy i tę sumę usunęli z budżetu 1901 r. procenty od długu państwowego wynosiłyby około 174 mil. rub., t. j. 16% sumy ogólnej wydatków (1004 mil. rub.), a sumy procentowe pozostałych pozycyi wydatkowych budżetu należałoby powiększyć o 1/10. Przy takiem obliczeniu wydatki na obronę kraju i dług państwowy, który w tym wypadku cały już byłby czysto wojennego pochodzenia, wynosiłyby:

w 1801 r.	39	milionów rubli i		60,5%
w 1850 r.	121	„	„	64 %
w 1901 r.	592,5	„	„	56 %

Zmniejszenie się stosunkowe ciężarów, wywołanych wojną, jest w ciągu ostatnich lat 50 bardzo znamienne. Rosya jest w 1901 r. państwem mniej militarnem, niż była w 1801 i w 1850 r.; wydatki, które wojna wkłada na poddanych, są dziś stosunkowo mniejsze, niż były na początku i w połowie stulecia.

Najsłabszym w ciągu stulecia jest wzrost wydatków na utrzymanie dworu: z 5,53 mil. rub. w 1801 r. wydatki te wzrosły w 1850 do 9, w 1901 do 12,7 mil. rub. Procentowo zmniejszyły się nawet silnie: stanowiły one w 1801—9%, w 1850—5%; obecnie stanowią tylko 1% ogólnej sumy wydatków zwyczajnych. Stosunkowemu zmniejszeniu, w porównaniu z 1801 r., uległy jeszcze wydatki na administracyę skarbu; w porównaniu z 1850 r. wartość ich jednak procentowa wzrosła. Stanowią one: w sumach 12,73—30,2—205,9 m. rub. w procentach 20%, 16% i 18%.

Wydatki na administracyę, sądownictwo i oświatę wzrastały stale i w sumach ogólnych i w cyfrach procentowych. Administracya i sądownictwo kosztują skarb w 1801 r.—6,11 mil. rub.; w 1850 r. — 25,5 mil. rub.; w 1901 r. — 200,5 mil. rub.; w procentach 9,5%, 13,5% i 17,5%. Na oświatę przeznaczono w 1801 r. — 0,74 mil. rub.; w 1850 r. — 2,8 mil, rub., w 1901 r. — 33 mil. rub.; w cyfrach procentowych 1%, 1,5% i 3%. Nie należy przytem zapominać, że w osta-

tnią sumę nie wchodzą wydatki ziemstw i miast na oświatę ludową.

Poświęciwszy te kilka uwag pamięci zgasłego wieku, przechodzimy do szczegółów budżetu na 1901 rok.

* * *

Przedtem jednak jedna uwaga ogólna.

W jednym z ostatnich numerów półurzędowego wydawnictwa ministeryum finansów [1]) spotykamy następującą charakterystykę skarbu państwa rosyjskiego. „Państwo rosyjskie jest najpotężniejszą jednostką ekonomiczną na całej kuli ziemskiej. Dług państwa należy do największych, choć ustępuje długowi Francyi i Anglii. Za to ze względu na swe aktywa skarb rosyjski zajmuje wyjątkowe zupełnie stanowisko. Jako właściciel ziemski, pobiera on z lasów, kopalni i dóbr ziemskich 40 milionów rubli czystego dochodu; grunta, które oddał gminom byłych poddanych lub kupił dla nich, przynoszą mu przeszło 80 mil. r.; jako przedsiębiorca budowy i nabywca dróg żelaznych, wkrótce ukończy on budowę jednego z najdłuższych torów kolejowych i posiada sieć dróg żelaznych, mającą 33 tysiące kilometrów długości; dochód czysty z tych dróg wynosi przeszło 350 milionów franków, mniej więcej $^1/_7$ ogólnej sumy czystego dochodu z dróg żelaznych Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. Jako kapitalista i bankier, skarb rosyjski jest przedsiębiorcą w przemyśle metalurgicznym i prowadzi handel alkoholem. Nie licząc obrotów banku państwa, skarb miał w 1898 r. wpływu do kas swoich przeszło $4\frac{1}{2}$ miliarda franków, z których dwa miliardy wpłynęły poza pozycyami podatkowemi". „Państwo rosyjskie", kończy nasze źródło, „jest największym właścicielem ziemskim, największym kapitalistą, „największym przedsiębiorcą dróg żelaznych i największym przemy- „słowcem na świecie".

Eksploatacya dróg żelaznych i monopol spirytusu zwiększa budżet państwa prawie o pół miliarda rubli. Obecnie budżet ten w ogólnej swej sumie przerasta wszelkie inne budżety. Już w 1898 roku wynosił on 1,474 milionów rubli, kiedy budżet W. Brytanii wynosił 140 mil. Ł. stg., a budżet francuski 3,558 mil. frs.

Dwa lata temu, pisząc na tem miejscu [2]) o budżecie na 1899 r., wykazywaliśmy szczegółowy wzrost dochodów zwyczajnych pań-

---

[1]) Bulletin Russe de Statistique financière et de legislation. 1899. III. 460.

[2]) Ateneum r. 1899 t. I str. 373.

stwa; od roku 1888 wzrost ten wynosił około 5% rocznie, wahając się od — 4,6% (1891 r.) do +11% (1894 r.) Ostatnie lata przewidują dochodów zwyczajnych:

1898	1,364,458,217 rub.
1899	1,469,128,203 „
1900	1,593,745,680 „
1891	1,730,096,006 „

Wzrost dochodów zwyczajnych w tych ostatnich latach wynosi 7,6%,—8,4%,—8,5% dochodów każdego roku poprzedniego. W ciągu zaś ostatnich lat 10 — od 1891 do 1901 r.—dochody zwyczajne wzrosły z 890,545,476 rub. na 1,730,096,006 rubli t. j. o 94%. Zauważyć tu jednak musimy, że rok 1891 był rokiem wyjątkowo złym, rokiem nieurodzaju, rokiem bez monopolu i z małym stosunkowo dochodem z eksploatacyi dróg żelaznych skarbowych. Ten ostatni dochód wynosił w 1891 r. tylko 49 mil. rub. Dlatego też przy dalszych porównaniach weźmiemy za punkt wyjścia ten rok, który braliśmy za punkt wyjścia dwa lata temu — rok 1888.

W głównych pozycyach wzrost dochodów zwyczajnych wyraża się w następujących cyfrach (w tysiącach rubli):

		1888	1900	1901
I.	Podatki bezpośrednie	84,087,7	120,365,5	127.172.9
II,	Podatki pośrednie	438,019,0	641.142.3	652,310.8
III.	Opłaty	57,094,2	84,802,8	88,916,7
IV.	Monopole	31,230,5	173,687,8	227,999,9
V.	Dobra i przedsiębiorstwa	86.238,3	422,748,4	465,335,3
VI.	Sprzedaż dóbr państwa	919.9	578,1	573,3
VII.	Wykup gruntów włościańskich	95,124,6	77,717	88,906.5
VIII.	Zwrot wydatków	68,077,9	66,941	72,917,2
IX.	Różne dochody	12,768,5	5.762,6	5,963,3
	Razem (w tysiącach rubli)	873,560,7	1.593,745,5	1,730,096

Nim przejdziemy do szczegółowego rozbioru pojedyńczych pozycyi budżetu i obliczenia ich wzrostu w ostatnich latach, musimy zrobić poprawkę konieczną, wskutek pomieszczenia w budżecie wpływów z eksploatacyi dróg żelaznych i z monopolu spirytusowego. W r. 1888 dochód z eksploatacyi dróg skarbowych wraz z sumami, płaconemi przez drogi prywatne na pokrycie gwarantowanych przez skarb procentów, wynosił 56,659,436, tak, że po potrąceniu tej sumy dochody zwyczajne skarbu stanowiły 816,901,312 rubli.

W roku 1900 dochód z eksploatacyi dróg skarbowych obliczo-

ny był na 330,944,420 rub., dochód z monopolu na 118,102,000 rub., dochody więc zwyczajne państwa bez obu tych pozycyi wpływu stanowią 1,141,699,260.

W roku zaś 1901 przewidziano w budżecie: wpływ z eksploatacyi dróg żelaznych 360,707,400 r., wpływ z monopolu 169,143,000 rub., tak, że dochody zwyczajne, bez obu tych pozycyi, stanowią 1,200,245,606 rub.

Przy obliczaniu udziału procentowego różnych źródeł dochodu w ogólnej sumie dochodów zwyczajnych skarbu te trzy ostatnie sumy: 816,9, — 1144,7 — i 1200,2 będziemy brali za podstawę.

Pierwszy tytuł dochodów: podatki bezpośrednie, składa się z trzech pozycyi, które stanowią (w tysiącach rubli):

	w dochodach lat	1888	1900	1901
I.	Podatki gruntowe i osobiste	40,433,4	45,123,3	47,155
II.	Podatek od handlu i przemysłu	32,079,6	59,062,5	62,701,5
III.	Podatek od kapitałów ruchomych	11,574,7	16,179,7	17,316,4
	Razem (w tys. rub.)	84,087,7	120,365,5	127,172,9

Tytuł ten stanowi zatem w 1888 r. — 10,2%, w 1900 r. 10,5%, w 1901 r. — 10,7% ogólnej sumy dochodów zwyczajnych. W 1888 r. podatki gruntowe i osobiste stanowiły 48%, podatek przemysłowy 38%, podatki od kapitału ruchomego 14% ogólnej sumy tego tytułu dochodów; w roku zaś 1901 pierwszy z tych podatków stanowi 37,1%, drugi 49,3%, trzeci 13,6% tejże sumy. Przesuwanie powolne ciężaru podatkowego z rolnictwa na handel i przemysł jest tu bardzo wyraźne. Podatki gruntowe w budżecie na 1901 r. w porównaniu z budżetem poprzedniego roku zwiększyły się tylko o 2 mil. rubli, podatek przemysłowo-handlowy o 3,7 milionów rub., podatek od kapitałów ruchomych o 1,1 mil. rubli. Ogół tego podniesienia wynosi niecałe 7 mil. rubli.

Tytuł drugi: podatki pośrednie, zawiera najpoważniejsze źródła dochodu. Stanowią one (w tysiącach rubli):

w dochodach:	1888	1900	1901
Napoje	265,115,7	292,951,6	318,797
Tytuń	28,130,3	37,640,	41,409
Cukier	17,072,6	61,322	62,368
Nafta	6,607,8	24,541	26,050,5
Zapałki	2,712,4	6,812,7	6,812,3
Cła	118,380,1	217,875	196,874
Razem (w tys. r.)	438,019,0	641,142,3	652,310,8

W ogólnej sumie dochodów zwyczajnych podatki pośrednie stanowiły: w r. 1888 — 53,6%, w 1900 r. — 56%, w 1901 r. — 54,3%. Obniżenie się znaczenia procentowego tego tytułu w ogólnej sumie dochodów jest wynikiem obniżenia w budżecie 1901 r. dochodu, przewidzianego z ceł, o 21 milionów rubli. Dlatego to mimo powiększenia dochodów: z akcyzy od napojów o 25,8 mil., od tytuniu o 3,8 mil., z cukru o 1 mil., i od nafty o 1,5 mil. rub., razem na 32,3 mil. rubli na całym tym tytule w porównaniu z budżetem 1900 r. przewiduje się wzrost dochodów tylko na 11 milionów rubli, to jest o niecałe 1,8%. Największe zwiększenie przewiduje się w dochodach z akcyzy, a to w związku z zamierzonem podniesieniem cen wódki i spirytusu; nie jest ono jednak obliczone proporcyonalnie do zamierzonego podniesienia ceny, ale uwzględnia możliwe zmniejszenie się spożycia.

Trzeci tytuł dochodów zawiera t. zw. opłaty. Składa się on z następujących pozycyi (w tys. rub.):

w dochodach:	1888	1900	1901
Opłaty stemplowe	23,065,5	35,366	38,871,5
Stempel od nieruchomości	14,028,2	25,600	23,900
Paszporty	3,800,6	73	50
Podatek od przewozów na drogach żelazn.	8,708,9	11,500	13,000
Podatek od asekuracyi	3,556	3,500	3,700
Różne opłaty	3,935,1	8,763,8	9,395,2
Razem (w tys rub.)	57,094,3	84,802,8	88,916,7

W ogólnych dochodach tytuł ten w 1888 r. stanowił 7%; w 1901 stanowi 7,4% sumy ogólnej; od r, 1888 wzrósł on o 55,6%; w porównaniu z r. 1900 przewiduje się powiększenie: opłat stemplowych o 3,5 mil. rub., podatku od przewozów na drogach żelaznych o 1,5 mil. rb. i zmniejszenie się opłat przy sprzedaży nieruchomości o 1,7 mil. rub. Przy uwzględnieniu drobnych zmian w pozostałych pozycyach powiększenie dochodów na całym tym tytule stanowi 4,1 mil. rubli.

Tytuł IV — regalia i monopole, obejmuje następuje pozycye (w tys. rub.):

	1888	1900	1901
Podatek górniczy	2,227	4,425	4,440
Bicie monety	163,5	3,150	4,018
Poczta	18,368,9	29,360,8	30,628,9
Telegrafy i telefony	10,471	18,650	19,770
Razem	31,230,4	55,585,8	58,856,9
Monopol spirytusu	—	118,102	169,143
Razem (w tysiącach rubli)	31,230,4	173,687,8	227,999,9

W ciągu lat 13 tytuł ten zwiększył się brutto o siedem razy, w ogólnej sumie brutto dochodów państwa stanowił on: w 1888 r. 3,6%, w 1901 r. 13,2%; nowe źródło dochodów, monopol spirytusu, daje brutto trzy razy tyle dochodu, ile wszystkie pozostałe pozycye.

Ażeby jednak należycie ocenić doniosłość finansową tego nowego źródła, należy od cyfry dochodu potrącić odpowiednie wydatki i ten dochód zestawić z dochodem z akcyzy od spirytusu. W budżecie ministeryum finansów spotykamy pozycye wydatkowe na prowadzenie sprzedaży monopolowej: w r. 1900 — 94,422,839 rub., w r. 1901—131,122,795 r.; 2, na zorganizowanie sprzedaży monopolowej: w r. 1900 — 21,648,850 mil. rub., w 1901 — 17,190,369 mil. rub. razem wydatków, wywołanych monopolem: w 1900 r. — 116,071,689 w r. 1901 — 148,313,16. Dochód zatem czysty z monopolu wynosi: w budżecie na r. 1900 – 2,578,311 rub., w 1901 — 20,829,836 r.; gdybyśmy zaś potrącili z dochodu brutto tylko rozchody na prowadzenie sprzedaży (bez wydatków na organizacyę monopolu), dochód czysty stanowiłby: w roku 1900 — 24,227,161, w r. 1901—38,020,205 rubli. Finansowe zatem znaczenie monopolu jest o wiele mniejsze, niż to z pierwszego rzutu oka na tytuł IV budżetu wypada. W rzeczywistości cały tytuł ten ma dać dochodu: w 1900 r.—79,8, w 1901 — 96,0 milionów rubli, co w ogólnej sumie dochodów zwyczajnych skarbu (1,144 i 1,200,2) stanowi na 1900 r. niecałe 7%, na 1901 r. — 8% ogólnej sumy.

W porównaniu z r. 1900 przewidywania budżetowe pierwszych 4 pozycyi — (górnictwo, mennica, poczta, telegraf) niewielkim uległy podniesieniom: o 3,3 mil. rub. Dochód z brutto monopolu przewiduje się wyższy o 51,021 tys. rubli, a to w skutek zamierzonego rozszerzenia jego od d. 1 lipca 1900 r. na całe terytoryum państwa (34,5 mil.) i w skutek zaprowadzenia jednakowych cen w sprzedaży (16,5 mil. rub.). Po potrąceniu zwiększonych na 1901 r. wydatków powiększenie czystego dochodu z monopolu wynosi właściwie 17 milionów rubli.

Wpływy (nie dochody) ze sprzedaży spirytusu i wódki stanowią dla skarbu państwa: w tytule II (akcyza) 318,797,000 rub., w tytule IV (monopol) 169,143,000 — razem 487,940,000, co w odniesieniu do sumy dochodów zwyczajnych budżetowych brutto (1,730 tys. rub.) stanowi 28,2%; dochód czysty wynosi (318,8 mil. rub. + 20,8), w 19001 r. — 339,626,836 r. co stanowi 28,6% dochodów zwyczajnych netto (1,200,2 tys. rub.)

W V tytule dochodów—dochody z majątków ruchomych i nieruchomych państwa — najważniejszą pozycyę zajmują wpływy

z eksploatacyi dróg żelaznych skarbowych. W szczególności dochody z tytułu tego wynoszą (w tys. rub.):

	1888	1900	1901
Dzierżawa dóbr i zakładów	12,363,3	16,923,5	18,586,9
Lasy	15,405,9	46,709,3	54,813,3
Fabryki i składy	8,646,9	13,095,7	13,195,5
Dochód z kapitałów i banków	8,710	13,227,5	13,822,3
Razem	45,126,1	89,956	100,418
Dochód z dróg żel. skarbowych	22,330,3	330,944,4	360,707
Udział w dochodach dróg żel. prywatnych	18,781,6	1,848	4,210
Razem (w tys. rub.)	86,238	422,748,4	465,335,4

Ogólny wpływ z tego tytułu wzrósł w ciągu lat 13 o pięć razy wskutek włączenia do budżetu państwa ogólnej sumy wpływów z dróg żelaznych skarbowych. W wydatkach w budżecie ministeryum komunikacyi mieszczą się wydatki, wywołane eksploatacyą dróg żelaznych skarbowych, przyczem w budżecie na r. 1901 po raz pierwszy przeniesiono z wydatków nadzwyczajnych do wydatków zwyczajnych sumy, przeznaczone na zakup nowego taboru (wagonów i lokomotyw). Odpowiednie pozycye w budżecie ministeryum komunikacyi stanowią (w tys. rub.):

	1888	1900	1901
Wydatki eksploatacyi	15,572,4	237,169,6	263,516,9
Nowe roboty na liniach istniejących	13,821,7	46,410	40,093
Nabycie nowego taboru	—	43,758	45,000
Razem (w tys. rub.)	29,394,1	327,337,7	348,610,8

Dochód zatem czysty z dróg żelaznych skarbowych wynosi, potrącając wydatki na nabycie taboru:

w 1888 r. — 10,612,4
w 1900 „ + 3,606,7
w 1901 „ + 12,096,5

a nie potrącając tych wydatków:

w 1888 r. — 10,612,4
w 1900 „ + 47,364,7
w 1901 „ + 57,096,5

Zauważymy przytem jeszcze, że dochód z dróg skarbowych na 1899 r. bez wydatków na tabor w budżecie przewidywany był na 60,662,9 tys. rubli i że suma kapitału, włożonego w budowę dróg żelaznych, będących własnością skarbu wynosi dziś przeszło 3 miliardy rubli, a procent, płacony przez skarb na oprocentowanie tego kapitału, już w 1899 r. obliczaliśmy na 101 milionów rubli rocznie.

Zmniejszenie się dochodu czystego z dróg żelaznych skarbowych objaśnia się budową nowych linii, głównie na Syberyi, nie da-

jących żadnego narazie czystego dochodu, a powiększających wydatki eksploatacyi.

Tytuł VI: sprzedaż dóbr państwowych, w ogólnej sumie 573,2 tys. rb. (w 1900 r.—578 tys. rb.) mało wzbudza zainteresowania. Tytuł VII zawiera t. zw. sumy wykupowe od włościan. Dwa lata temu podawaliśmy szczegółowy wykaz wpływów z tego tytułu od r. 1888 dziś zaznaczymy tylko, że w tytule tym przewidziano wpływ 88,9 mil. rub., większy od przewidywanego w r. 1900 (77,7 mil. rub.) o 11,1 mil. rub. Wpływ ten stanowi w dochodach państwa 7 — 8%, i zależy w wysokim stopniu od urodzaju każdego roku.

Pozostałe dwa tytuły VIII (zwrot sum wydanych) i IX (różne dochody) możemy też pozostawić bez bliższego rozbioru, zaznaczazając tylko, że w tytule VIII: w pozycyi: zwrot awansów przewidziano zwiększenie wpływów o 5 milionów rubli—39,3 mil. rub. zamiast przewidzianych w 1900 r. — 34,3 mil. rub.

W dochodach nadzwyczajnych przewidziano wpływy sum, wnoszonych na wieczne czasy do Banku Państwa, w sumie 1,5 m. r.

Przechodząc do pozycyi wydatkowych budżetu podajemy poniżej zestawienie ich za lata 1888, 1900, 1901 w sumach ogólnych i procentach, zaznaczając przytem, że z pozycyi wydatków na ministeryum finansów i ministeryum komunikacyi potrącamy wszystkie wydatki, związane z eksploatacyą dróg żelaznych i monopolem spirytusu, sumy zaś ogólne podajemy w tysiącach rubli.

	1888		1900		1901	
Dlug publiczny	259,435.6	32,1	274,726,2	23.6	274,009.7	23,7
Rada Państwa, Komitet Ministrów, etc. . . .	2,147.0	0.3	3,008	0.3	3,155.4	0.3
Najśw. Synod	11,012,2	1.3	23,566.6	2	28,783.8	2
Minist. Dworu	10,560	1,3	12,899.5	1,1	12,715,2	1,1
„ Spraw Zagranicz.	4,631.7	0,5	5,267.9	0.5	5,289.1	0,5
„ Wojny	212,885.0	26.3	323,343,7	27.9	324,024.6	28
„ Marynarki . . .	40,914,9	5.6	86,628.0	7.4	93,597,7	8
„ Finansów . . .	107,205,4	13,2	165,416.6	14.2	157,520.7	13.6
„ Rol. i Dóbr Państw.	22, 24,2	2,7	40,982,2	3.5	40,728,8	3,5
„ Spraw wewnętrz.	71,908.3	8.9	85,938.3	7.5	87,650,2	7.5
„ Oświaty	21,539.3	2.6	33.189.0	3	33 076.5	3
„ Dróg komunikacyi	17,572.3	2,1	38,708.4	3	34,532,6	3
„ Sprawiedliwości .	21,235,6	2.6	46,516.7	4	46,227.5	4
Kontrola Państwa . . .	3,330.8	0,4	7.721.6	0,7	7,116,7	0,6
Zarząd stadnin	1,095.9	0,1	1,877.8	0.1	1,599.8	0.1
	807,598.3	100	1,150,790,3		1,145,928.6	
Wydatki na wypadek podrożenia żywności i furażów			2,000	0.2	1,800	0,1
Wydatki nieprzewidziane			12,000	1	12,000	1
Razem wydatków zwyczajnych (w tys. r.)			1,164,790,3	100	1,159,728.6	100

Dodając do tych sum:			
wydatki, wywołane monopolem	116,071,7		148,313,1
i wydatki, związane z eksploatacyą dróg żelaznych	327,337,7		348,610,8
Otrzymujemy ogólną sumę wydatków zwyczajnych	1,608,199,7	i	1,656,652,5
W tych ostatnich cyfrach wydatki:			
Ministeryum finansów wraz z monopolem wynoszą	281,488,3		305,833,8
Ministeryum komunikacyi z wydatkami dróg żelaz.	327,337,7		348,610,8
Do sumy wydatków zwyczajnych, wynoszącej, jak wyżej, wogóle			1,656,652,556
w budżecie dopisano jako wydatki nadzwyczajne:			
na budowę drogi żel. Syberyjskiej			7,277,269
(w r. 1900 przewidziany był wydatek 25,195,258 r.)			
na przedsiębiorstwa, z tą budową związane			3,078,131
na budowę innych dróg żelaznych			31,974,050
na awanse towarzystwom (dróg żelaznych pod zastaw ich obligacyj (dr. żel. w Mandżuryi)			82,000,000
(w r. 1900 było 85,000,000 r.)			
na wynagrodzenie za „propinacyę“			7,500,000
Razem wydatków nadzwyczajnych			131,829,450
a wszystkich wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych rubli			1,788,482,006

Z powyższych cyfr widzimy, że w powiększeniu sumy wydatków zwyczajnych w porównaniu z rokiem 1900, z $1608_{,2}$ na $1656_{,8}$ mil. r., t. j. o $48_{,6}$ milionów, najgłówniejszą rolę grają: powiększenie wydatków na monopol (o $31_{,7}$ milionów) i na wydatki dróg żelaznych (o $21_{,3}$ mil. rb.), razem o 53 mil. rbl., wywołane rozszerzeniem monopolu i sieci dróg żelaznych rządowych. Zwykłe wydatki skarbu uległy zmniejszeniu prawie o 5 milionów rubli. Wydatki pojedyńczych ministeryów w przeważnej liczbie pozycyi uległy albo zupełnie nieznacznemu podniesieniu, albo nawet zmniejszeniu (wojna — dwór, etc.); znaczniejsze różnice przewidziano tylko w wydatkach ministeryów marynarki, finansów i komunikacyi. Powiększenie wydatków na flotę stoi w ścisłym związku z dokonywającem się jej powiększeniem na rachunek asygnowanych na ten cel w roku 1898 — 90 milionów rb. W budżecie ministeryum finansów obniżono pozycye: na nowe budynki o 4,4 mil. rb., na zwrot sum, niesłusznie pobranych, o 1 mil., subwencyę na przytułki szlacheckie o 1 mil., awanse na gwarancyę procentów od obligacyi dróg żelaznych o $3_{,7}$ mil. rb. i usunięto całkiem pozycyę awansów na budowę dróg żelaznych 5 mil. rb. W ten sposób mimo powiększenia wydatków na władze prowincyonalne (1.6 mil. rb.), na szkoły (0.8) i na subwencye

różnym instytucyom publicznym (o 3.5 mil. rb.) — osiągnięto prawie 8 mil. rb. oszczędności na budżecie całego ministeryum (bez monopolu).

W budżecie ministeryum komunikacyi zmniejszono wydatki o 4 mil. rb., obniżając sumy, asygnowane na utrzymanie i budowę komunikacyi wodnych (1.8 mil.), lądowych (1 mil.) i portów (1 mil.).

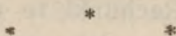
Ogólna suma dochodów zwyczajnych i nadzwyczajnych wynosi, jak to podaliśmy wyżej	rubli	1,731,596,008
a po potrąceniu wydatków zwyczajnych . . .	„	1,656,652,556
pozostaje przewyżki dochodów	rubli	74,943,450
ponieważ zaś wydatki nadzwyczajne wynoszą .	„	131,829,450
pozostaje się więc brak	rubli	56,886,000

który pokryty zostanie z „sum rozporządzalnych skarbu".

Nim przejdziemy do najpoddańszego raportu, w którym kwestya sum rozporządzalnych bliżej wyjaśnioną została — musimy zrobić jeszcze jedną uwagę, dotyczącą wydatków państwa.

W budżecie ministeryum komunikacyi pomieszczono na r. 1901 różnych wydatków, związanych z eksploatacyą dróg żelaznych	rubli	348,610,843
W budżecie ministeryum finansów znajdujemy sumę na zapłatę gwarantowanych przez skarb procentów od dróg żelaznych prywatnych	„	2,100,000
W wydatkach zaś nadzwyczajnych pomieszczono pod różnemi pozycyami na budowę dróg żelaznych.	„	124,329,450
tak, że razem w budżecie 1901 roku na budowę i eksploatacyę dróg żelaznych asygnowano	rubli	475,040,293

t. j. 27% ogólnej sumy wszystkich wydatków państwa.



Załączony do budżetu najpoddańszy raport ministra finansów zawiera, jak zwykle, kilka cennych poglądów na obecne stosunki finansowo - ekonomiczne, które postaramy się tu jaknajtreściwiej podać.

Wskazawszy główne różnice, zachodzące między przewidywaniami budżetowemi lat 1900 i 1901, raport zastanawia się najprzód nad szybkim wzrostem budżetu i oblicza średni roczny wzrost jego od r. 1881, t. j. od roku, w którym budżet uwolnił się ostatecznie od wydatków bezpośrednich, wywołanych ostatnią wojną turecką.

W ciągu lat 20 wydatki zwyczajne i nadzwyczajne wzrosły z 867,5 mil. rb. do 1897,8 mil. rb. (w r. 1900). Wzrost ten średnio wynosił:

w latach	włączając wydatki na monopol i drogi żelazne	po wyłączeniu tych wydatków
1881 — 1886	15,5 mil. rb.	13,1 mil. rb.
1887 — 1892	29 „	22,8 „
1893 — 1900	97,3 „	59,3 „

w ciągu zaś 6-ciu lat ostatnich:

1895 — 1900	125,1 „	80 „

Przy takim wzroście wydatków przewidywania budżetowe co do dochodów charakteryzowały się stale nadzwyczajną oględnością; wskutek czego rachunki roczne zamykały się stale dużemi przewyżkami dochodów rzeczywistych nad dochodami przewidzianymi. Z szeregu tych przewyżek utworzyły się „sumy rozporządzalne” skarbu, któremi dziś państwo pokrywa stale wszystkie wydatki nadzwyczajne, nie uciekając się do pożyczek. Raport podkreśla znaczenie „sum rozporządzalnych” w finansach zarówno jednostek, jak i państw, i wyjaśnia sposób, w jaki robi się obrachunek tych sum w skarbie rosyjskim: jest to suma gotówki w kasach państwa na 1 stycznia każdego roku z dodaniem niewątpliwych należności i po potrąceniu wydatków do zapłacenia; jednocześnie zaś jest to cyfra sum rozporządzalnych roku poprzedniego, z dodaniem do niej przewyżki dochodów rzeczywistych roku ubiegłego nad dochodami, przewidzianymi w budżecie, i oszczędności na kredytach wydatków budżetowych tegoż roku, a po potrąceniu sum, jakie rozkazano Najwyżej użyć z tego funduszu w ciągu roku ubiegłego na pokrycie wydatków nadzwyczajnych. Rachunki te oba — przy prawidłowem prowadzeniu rachunkowości — dają zgodny z sobą rezultat: remanentu sum rozporządzalnych przy końcu każdego roku rachunkowego — i rezultat ten sprawdzanym jest przez Kontrolę Państwa.

Raport zaznacza, że rządy najczęściej i najgwałtowniej potrzebują pieniędzy w chwilach niepokojów politycznych, a więc w czasach, najmniej stosownych do zaciągania pożyczek, — w epokach, w których pożyczki te otrzymać można pod najcięższymi stosunkowo warunkami.

Dla państwa rosyjskiego, pożyczającego przeważnie zagranicą, polityka pokrywania wydatków nadzwyczajnych pożyczkami byłaby wprost nieostrożną i niebezpieczną; tak, jak i prywatny

człowiek, państwo, posiadające rozporządzalne zapasy gotówki, może czekać, póki kapitaliści nie zgłoszą się do niego z zaofiarowaniem pożyczki i nie jest zmuszonem szukać jej i przyjmować wszelkie warunki, jakie kapitaliści mu podyktują. Już przy budżecie roku 1889 —ówczesny minister skarbu, Wyszniegradzkij—wypowiedział zdanie: „że kwestye finansowe państwa dopóty nie będą mogły być rozwiązane zadawalniająco, dopóki budżet zwyczajny skarbu nie da takiej przewyżki dochodów, iżby ona w połączeniu z wpływami nadzwyczajnymi—i bez operacyi kredytowych—pokrywała całkowicie wszystkie wydatki nadzwyczajne". Polityka taka skarbu jest konieczną jeszcze i z tego względu, że przy olbrzymim obszarze Rosyi i przy rozmaitości klimatu w różnych jej okolicach nieurodzaje miejscowe, epizootye i inne klęski żywiołowe wydarzają się często, a tem samem częstą jest i konieczność przyjścia z pomocą okolicom, niemi dotkniętym, a skarb, żyjący z dnia na dzień—wiążący z trudnością koniec z końcem—byłby zawsze, prawie co roku, w kłopocie. Nadmiar podatków, jaki ludność wnosi co roku na utworzenie sum rozporządzalnych, jest z tego punktu widzenia rodzajem opłaty asekuracyjnej od klęsk żywiołowych. Nieurodzaj r. 1891/2 pochłonął 192 mil. rb., nieurodzaj r. 1897/8 — 35 mil. rb. Nakoniec raport zwraca uwagę i na to, że obecność lub nieobecność gotówki w kasach skarbu wpływa często na postawę państw w sprawach polityki zagranicznej; że w epokach niepokojów politycznych brak zapasów rozporządzalnych może przynieść państwu polityczne straty. Tylko dzięki przyjętemu obecnie i ściśle stosowanemu od lat 10 systemowi oszczędności i gromadzenia zapasów mógł skarb państwa wybudować drogę żelazną syberyjską, przeznaczyć poważną snmę na powiększenie floty wojennej, podać pomoc ludności w latach nieurodzaju (1891/2 i 1897/8), zwrócić Bankowi Państwa dług, powstały w czasie ostatniej wojny (1877/8), zreformować system monetarny, — a w końcu, w roku bieżącym — dostarczyć środków na wydatki, wywołane kwestyą chińską, — bez zaciągania na ten cel pożyczki, która w obecnych czasach tylko pod ciężkimi bardzo warunkami mogłaby być otrzymaną.

Ta ostatnia kwestya łączy się z kwestyą obecnego stanu rynku pieniężnego w Europie i w Rosyi.

Raport wychodzi z tej niewątpliwej — a jednak często zapominanej zasady, — że wszystkie ważne fakty życia ekonomicznego mają przyczyny liczne i zawiłe (complexes). Przesilenie pieniężne, które obecnie przechodzi Europa, zdaniem raportu, przygotowywało się oddawna: zbyt wiele kapitałów europejskich szukało fruktyfi-

kacyi w przedsiębiorstwach egzotycznych: w Ameryce, Azyi i Afryce; w samej też Europie rozwój przemysłu był bardzo gwałtowny. Kapitały ruchome zbyt szybko przechodziły w kapitały zakładowe, w końcu zabrakło kapitałów obrotowych, a gdy wojna południowo-afrykańska i wypadki chińskie wywołały gwałtowne zapotrzebowanie kapitałów ze strony rządów — brak gotówki nabrał charakteru niebezpiecznego. W końcu nie bez wpływu na stan rynku pieniężnego w Europie był stały w ostatnich latach odpływ złota do Ameryki, wywołany korzystnymi dla Stanów Zjednoczonych bilansami handlowymi od r. 1897.

Wskutek takich okoliczności kapitał musiał podrożeć. W Rosyi zaś nie tylko ustał przypływ świeżych kapitałów zagranicznych, ale nawet wycofano z niej te zagraniczne kapitały, które były powierzone na krótkie terminy. Jednocześnie budowa dróg żelaznych w Chinach, wydatki na flotę i fortyfikacye w Kuan-Tun, pożyczka perska, a w końcu operacye wojskowe w Chinach—wymagały kolosalnych środków pieniężnych i w znacznej części przyczyniły się do zmniejszenia zapasów złota w państwie. Zmniejszenie to jednak, zdaniem raportu, nie daje żadnych powodów do obaw na przyszłość: wynosi 74,1 milionów. W ciągu roku 1900 ubyło złota z Banku Państwa i skarbu 119,2 mil. rb.; za to ilość złota w obiegu powiększyła się o 45,1 mil. rb.; ilość biletów bankowych w obiegu zwiększyła się o 35 mil. rb.—srebro w Banku Państwa i Kasach Państwa wzrosło o 2,2 mil., w obiegu o 0,2 mil. rb. Środki obiegowe powiększyły się zatem w ogóle o (45,1+35+0,2) = 80,3 mil. rb. Ilość złota w państwie zmniejszyła się (119,2 — 45,1)=74,1 mil. rb. Obieg kredytowy (ilość biletów bankowych w obiegu) w końcu roku 1900 wyniósł 552,3 mil. rb., na których pokrycie—wedle brzmienia prawa z 29 sierpnia r. 1897 winno być złożone w Banku Państwa 276,2 mil. rb. Bank Państwa posiadał z końcem tegoż roku złota za 807,8 mil. rb., tak, że rezerwa złota stanowiła 146,3% obiegu metalicznego — i była prawie trzy razy większą od przepisanej prawem rezerwy [1]).

Raport sądzi, że w rozwiązaniu kwestyi chińskiej, po ukończeniu budowi drogi żel. Mandżurskiej — bilans handlowy państwa poprawi się, odpływ złota ustanie, a rynek pieniężny w nieda-

[1]) W końcu listopada roku 1900 rezerwy złota w wielkich bankach europejskich (stosunek złota do emitowanych biletów) wynosiły: Niemiecki Bank Państwa 72,9, Bank Francuski 84,5, Bank Angielski 109,4, Bank Austro-Węgierski 90,3, Bank Rosyjski 142,8% emitowanych biletów bankowych.

lekiej przyszłości powróci do normalnego położenia. Od czasów, w których dzisiejszy minister objął kierownictwo sprawami skarbu (jesień r. 1892), zapas złota w państwie zwiększył się z 905,5 na 1492,3 mil. rb., ilość biletów kredytowych zmiejszyła się z 1100 mil. rb. do 552,3 mil. rb. Wobec tych cyfr odpływ 74,1 mil. rb. złota nie może mieć poważnego znaczenia, — a to tylko zdaniem raportu nie ulega wątpliwości, że obecne przesilenie pieniężne wydałoby daleko gorsze rezultaty, gdyby Rosya pozostała dotąd przy dawnej, papierowej walucie.

Raport kończy się zaznaczeniem ciężkich ofiar, jakie państwo ponosi w sprawie chińskiej, i wysoko pokojowego stanowiska, jakie kierowało jego polityką na dalekim Wschodzie.

* * *

Sto lat temu — koniec wieku tłómaczy tę „idée fixe" dzisiejszej kroniki — byliśmy „śpichlerzem Europy". Wywóz ziarna był najważniejszą pozycyą naszego bilansu handlowego; ziarnem naszem żywił się Anglik i Holender,—a król pruski„ robił interes", pobierając cło od naszego ziarna, spławianego Wisłą.

Dziś... wywóz ziarna z kraju jest już tylko wspomnieniem. Produkujemy ziarna mniej, niż go sami spożywamy, i trudno jest nawet zrozumieć, dlaczegoby stwierdzenie tego faktu miało wywoływać w nas melancholię. Przedewszystkiem jednak zajmiemy się stwierdzeniem samego faktu—rachunkiem, który, słusznie czy niesłusznie, w szeregu kwestyi bieżących zwie się zwykle: kwestyą „bilansu handlowego Królestwa".

Kwestya ta nie od wczoraj zajmuje naszych ekonomistów. Już w 1880 r. nie żyjący dziś Józef Poznański wydał w Petersburgu pracę p. t. „Siły wytwórcze Królestwa Polskiego", w której obliczał, że wartość wywozu ziarna z Królestwa zagranicę

w r. 1874	wynosiła	28 milj. r.	średnio około 21.5 milj. r.
„ 1875	„	16 „ „	
„ 1876	„	24 „ „	

wartość zaś przywozu ziarna z Cesarstwa do Królestwa:

w r. 1874	wynosiła	1.1 milj. r.	średnio około 2,5 milj. r.
„ 1875	„	3.3 „ „	
„ 1876	„	4.1 „ „	

Przewyżka więc wartości wywozu nad przywozem — czysty, że tak powiemy, wpływ Królestwa z produkcyi ziarna, mógł dochodzić do 20,000,000 rubli.

W początkach lat 90-tych, kiedy po raz pierwszy kwestya taryf zbożowych weszła u nas na porządek dzienny i zrozumiano jej doniosłość dla ekonomicznego rozwoju Królestwa, komitet giełdowy warszawski złożył w ministeryum finansów memoryał w tej sprawie, w którym w przybliżeniu zestawiono ilości przywożonych do Królestwa i wywożonych z Królestwa ziarna i mąki.

Odnośne dane wyrażają się w następujących cyfrach, przy których + znaczy wywóz, — przywóz.

	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Groch	Mąka i kasza	Razem bez owsa	Owies	Razem z owsem
	w tysiącach pudów:							
1888	+ 5883	— 335	+ 1001	+ 981	— 2124	+ 5406	— 942	+ 4464
1889	+ 3086	— 2452	— 362	+ 306	— 3085	— 2507	— 4743	— 2236
1890	+ 1888	— 3003	+ 146	+ 307	— 1716	— 2378	— 5306	— 2928
Średnio	+ 3619	— 1930	+ 262	+ 530	— 2308	+ 173	— 3529	— 3356

Cyfry te dowodzą, że w końcu lat 80-tych Królestwo przechodziło lata przełomowe, w których ziarno, wyprodukowane w Królestwie, wystarczało jeszcze wprawdzie na wyżywienie ludności— owies jednak już musiał być sprowadzanym z Cesarstwa. Widoczne też było, że rolnicy przechodzą do uprawy zbóż droższych (pszenicy i jęczmienia) i że stanowczo nie mogą już zaspakajać potrzeb miejscowych co do gatunków pośledniejszych — żyta i owsa.

Zapotrzebowanie i zaofiarowanie w kraju pszenicy prawie wyrównywało się zupełnie, a pozorna przewaga wywozu pszenicy nad przywozem niknęła w obec faktu, że przywożona do kraju w formie mąki i kaszy pszenica, przeliczona na ziarno, dałaby wagę o 30 do 40% większą.

Zestawienie powyższe, znane w swoim czasie nielicznej garstce specyalistów, wywołało zdziwienie, niedowierzanie, a nawet niezadowolenie. Podejrzewano, że cyfry te są nie tylko przybliżone, ale wprost niedokładne, i że przedstawiają stan rzeczy w daleko gorszem świetle, niż jest w rzeczywistości.

W maju 1899 zorganizowano przy Towarzystwie Popierania Handlu i Przemysłu specyalną „Komisyę Statystyczną" celem opra-

cowania bilansu rolnego Królestwa za rok 1898. W grudniu roku ubiegłego częściowy rezultat prac tej Komisyi podany został do wiadomości członków towarzystwa na jednem z posiedzeń sekcyi handlowej, — przedtem jednak ukazał się I zeszyt pracy p.p. Żukowskiego, Chruszczyńskiego i Czarniawskiego p. t. „Bilans Handlowy gubernii Królestwa Polskiego", w którym obrobione zostały szczegółowo cyfry wywozu i przywozu ziarna, mąki i niektórych innych płodów rolnictwa za lata 1894, 1895, 1896 i 1897 [1]).

W załączonej tablicy zebraliśmy ostateczne wyniki prac p. Żukowskiego i Komisyi Statystycznej. Podajemy je w tysiącach pudów zaznaczając, że: + znaczy wywóz, a — przywóz do granic Królestwa.

	Dane pracy p. Żukowskiego					Dane komisyi statystycznej
	1894	1895	1896	1897	Srednia za 1894/7	1898
	w tysiącach pudów					
Żyto	+ 885	—2526	—4056	—6676	—3093	—7190
Pszenica	— 469	+ 161	+1564	+1613	+ 716	+1013
Owies	—1594	—6435	—7837	—7368	—5808	—6808
Proso	+ 19	+ 32	+ 8	+ 95	+ 31	—
Gryka	— 182	— 245	— 503	— 323	— 413	— 385
Jęczmień	+2341	+1526	+1794	+ 653	+1578	+ 419
Kukurydza . . .	— 76	— 3	— 75	— 361	— 129	— 681
Groch, fasola, bób	+ 820	+1156	+ 82	+1260	+ 829	+ 5
Mąka pszenna . .	—2947	—5040	—5556	—4685	—4557	—5605
„ żytnia . . .	— 24	— 114	— 953	—1996	—1022	—1159
„ innych gatun.	— 18	— 88	— 166	— 291	— 141	— 367
Kasza jaglana . .	—1688	—1452	—1644	—2326	—1777	—2875
„ innych gatun.	— 345	— 651	— 699	— 693	— 597	— 702
Słód	+ 125	+ 188	+ 106	+ 278	+ 174	+ 146
Otręby	+4966	+2800	+2090	+4849	+3676	+2789
Makuchy	+ 756	+ 543	+ 345	— 6	— 409	+ 328
Kartofle	+2008	+2127	+2931	+3021	+2522	—
Nasiona oleiste .	+486,5	+ 425	+ 300	+448,5	+ 415	+ 260
„ postawne	+844,1	+ 693,9	+511,9	+552,8	+ 651	—
Siano i słoma . .	+124,4	—1995	—700,7	— 95,6	— 667	—

Zestawmy teraz razem dane za lata: 1888/90, 1894/7 i za 1898 r. co do głównych pozycyi pojedyńczymi latami.

---

[1]) „Ateneum" r. b. Zeszyt I, str. 160.

	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Groch	Mąka i kasza	Razem	Owies	Razem
1888	+ 5883	— 335	+ 1001	+ 981	— 2124	+ 5406	— 942	+ 4464
1889	+ 3086	— 2452	— 362	+ 306	— 3085	— 2507	— 4743	— 2236
1890	+ 1888	— 3003	+ 146	+ 307	— 1716	— 2378	— 5306	— 2928
.....	......	......	......	......	......	......	......	......
1894	— 469	+ 885	+ 2341	+ 820	— 5022	— 1445	— 1594	— 3039
1895	+ 161	— 2526	+ 1526	+ 1156	— 7345	— 7028	— 6435	—13463
1896	+ 1564	— 4056	+ 1794	+ 82	— 9018	— 8634	— 7837	—16471
1897	+ 1613	— 6676	+ 653	+ 1260	— 9991	—13141	— 7368	—20509
1898	+ 1013	— 7190	+ 419	+ 5	—10701	—16454	— 6808	—23262
albo też w średnich za lata $18^{88}/_{90}$, $189^{4}/_{7}$ i za 1898 rok								
$18^{88}/_{90}$	+ 3619	— 1930	+ 262	+ 530	— 2308	+ 173	— 529	— 3356
$189^{4}/_{7}$	+ 719	— 3093	+ 1578	+ 829	— 8094	— 8061	— 5808	—13869
1898	+ 1013	— 7190	+ 419	+ 5	—10701	—16454	— 6808	—23262

a z łatwością spostrzeżemy, jak przywóz produktów zbożowych wzrasta stale co roku, jak z wyjątkiem lat anormalnych stosunków handlowych (rok 1894 — wojna celna z Niemcami) cyfry przywozu żyta, owsa, mąki i kaszy rosną stale i prawie bezwahań.

Biorąc nawet pud mąki i kaszy za równoznaczny z pudem ziarna mamy za lata 1894/7 deficyt 13,869 — prawie 14 milionów, za rok 1898 — 23,2 milionów pudów ziarna.

Jeszcze w latach 1874/6 (Poznański) Królestwo wywoziło około 8 mil. pudów żyta do Niemiec, — już w roku 1888 przywóz żyta większym jest od wywozu o 335 tys. pudów, a odtąd deficyt żyta wzrasta stale i wynosi w roku 1898 — 7,190 tys. pudów.

Pszenicę do tej pory wywozimy,—lecz i ten wywóz ma wobec dowozu mąki pszennej zupełnie względne znaczenie. Z 3 do 5 mil. pudów w r. 1897/8 zmalał on w r. 1897/8 do 1 lub 1,5 mil. pudów Groch i jęczmień stale produkujemy w nadmiarze; stały deficyt owsa przewyższa czasami 7 milionów pudów. W latach 1874/6 już owies sprowadzano z Cesarstwa, — dowóz jego jednak nie dochodził nawet 1 mil. pudów. Zasługują jeszcze na uwagę w cyfrach p. Żukowskiego za lata 1894/7 dwie cyfry: jedna bardzo smutna — wywóz otrąb, dochodzący w niektórych latach do 5 mil. pud.; druga bardzo pocieszająca—wywóz nasion pastewnych w ilości przeszło ½ mil. pud. rocznie. Cyfra wywozu otrąb stoi w ścisłym związku z cyframi wzrastającego stale dowozu mąki i kaszy, które z 2 mil. pud. w roku 1888 wzrosły w roku 1898 do 10,7 mil. pud.

Do cyfr tych obiecujemy sobie powrócić w jednej z najbliższych naszych kronik. Tymczasem zajmiemy się jeszcze cyframi ogólnemi.

Według obliczeń p. Żukowskiego wartość przywozu i wywozu, objętych jego wykazami płodów rolnictwa, wynosiła:

		Przywóz	Wywóz	Różnica
1894	milionów	11,4	10,2	1,2
1895	„	17,1	8,7	10,4
1896	„	21	8,8	12,2
1897	„	25,5	11,3	14,2

Królestwo więc zapłaciło za sprowadzone ziarno, mąkę etc. w r. 1894 1,2 mil., w r. 1895 10,4, w r. 1896 12,2, w r. 1897 14,2 mil. rubli.

Nie jesteśmy więc już śpichlerzem Europy. Rezultaty trzech prac statystycznych, podjętych przez różne osoby co do trzech różnych epok, stwierdzają ten fakt nieodwołalnie. Jest to rezultat (zgadzamy się z tem z p. Żukowskim) naturalnego rozwoju stosunków ekonomicznych. P. Żukowski opiera na tym fakcie praktyczny wniosek, że dla dalszego rozwoju ekonomicznego Królestwa daleko ważniejszą jest kwestya taryf zbożowych na ziarno i mąkę wewnątrz państwa, aniżeli kwestya cła na zboże w Niemczech. W gruncie rzeczy pruskie cła zbożowe nie mają dla Królestwa Polskiego doniosłego znaczenia, — gdyż twierdzi on — „chociaż Królestwo „utraciło swoje stanowisko w międzynarodowym handlu zbożowym— „nie przestało być przez to krajem rolniczym, i naturalne interesy „rolnictwa krajowego powinny być u nas podawnemu podstawą „wszelkich programów ekonomicznych, kreślonych w widokach po„wszechnego dobra".

Twierdzenie to dotyka jednej z najważniejszych kwestyi bieżących, warto się też nad niem zastanowić bliżej.

Przestaliśmy być śpichlerzem Europy — czy jesteśmy jeszcze jednak wogóle krajem rolniczym?

Ludność miast — czytamy w jednym z najnowszych dzieł statystycznych, dotyczących rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem — wynosiła w roku 1897 — 31,5%; ludność wsi 68,5% całej udności kraju. Jesteśmy więc niewątpliwie krajem rolniczym. — Ale to samo źródło podaje nam, że wartość produkcyi rolnej Królestwa wynosiła w latach 1881/92 rocznie przecięciowo 300 mil rubli, a jednocześnie wartość produkcyi wielkiego przemysłu wynosiła 350 mil., produkcyi zaś rzemieślniczej 83 mil. rb. Rolnictwo zatem produkuje rocznie wartość 300 mil. rb., przemysł i rzemiosła — wartość 433 mil. rb. Dlatego też w powołanem dziele statystycznem wyrażono opinię, „że przemysł wielki zajął u nas dominujące stanowisko,

„a Królestwo Polskie nie tylko dawno przestało być krajem wyłącz-
„nie rolniczym, lecz wartością swej produkcyi nosi cechę kraju wy-
„łącznie przemysłowego".

Czyż istotnie przestaliśmy być krajem rolniczym?

Nim odpowiemy na to pytanie, pozwolimy sobie przytoczyć jeszcze parę cyfr statystycznych.

Podług statystyków naszych, całą wartość produkcyi fabrycznej, obliczonej na 350 mil. r., rocznie, wytwarza 250,000 robotników. Ludność rolna Królestwa wynosi 6,478,000 głów — i połowa jej, a więc więcej, niż 3,000,000 ludzi obojej płci, wytwarza za 300 rb. płodów rolnych. Gdybyśmy nawet bez żadnej krytyki zgodzili się na podane wyżej cyfry wartości produkcyi, to jeszcze — za „dominujące" uważać musimy zajęcie, dające pracę 3 mil. ludności rolnej, a nie 250,000 robotnikóm fabrycznych — i sądzimy, że Królestwo Polskie przestanie być krajem rolniczym dopiero wtedy, kiedy w niem, tak, jak to już stwierdzono w Niemczech (przy ostatnim spisie ludności w r. 1897) okaże się, że mniej, niż połowa ludności żyje z rolnictwa — a połowa większa żyje z przemysłu, rzemiosł, handlu, zajęć swobodnych i dochodów od kapitału. Nam do tego stanu — (nie wiem: czy Bogu dzięki, czy na nieszczęście) — jeszcze daleko.

Przytem przytoczone wyżej obliczenie wartości produkcyi przemysłu wielkiego na 350 mil. rb., oparte na prostem zsumowaniu produkcyi wszystkich zakładów przemysłowych w kraju, ma bardzo poważne wady, a w każdym razie nie ma tego ekonomicznego znaczenia, jakie ma zsumowanie wartości produkcyi rolniczej. Kwestyą tą w ostatnich czasach zajmowała się bardzo żywo publicystyka ekonomiczna rosyjska, i każdemu, kto się tą kwestyą zajmuje, radzilibyśmy koniecznie i przedewszystkiem przeczytać ostrzeżenie, w formie anegdoty historycznej, umieszczone w półurzędowym organie Ministeryum Finansów „Bulletin Russe de Statistique financière de legislation" za rok 1899, zeszyt 10/12, str. 874 i artykuł A. Radcyga, pomieszczony w miesięczniku rosyjskim „Bogactwo Narodowe" — r. 1900, zeszyt II, str. 70.

Gospodarstwo rolne jest z natury swej dziś jeszcze w wysokim stopniu gospodarstwem naturalnem — gospodarstwo fabryczne jest prawie wyłącznie gospodarstwem wymiennem. Stara to kwestya, znana od czasów fizyokratów, których błąd zasadniczy „produit net," powstający tylko w rolnictwie, nie urodził się bez pewnej przyczyny. W produkcyi rolnej wartość materyałów zużytych produkcyi, a nabytych drogą wymiany od innych ekonomicznych jednostek, jest minimalna. Znaczna część produkcyi zużywa się na miejscu — tylko

część jej idzie na rynek. W przemyśle fabrycznym w zasadzie cała wartość produkcyi idzie na rynek, a wszystkie materyały nabywają się drogą wymiany — i wartość tych materyałów czasami jest tak wielka, że w obec niej wartość zarobków i procentów od kapitału włożonego w fabrykę w ogólnej wartości produkcyi, na drugi plan schodzi (fabryki wyrobów jedwabnych — rafinerye cukru). Przytem nie należy też zapominać, że w miarę specyalizowania się produkcyi fabrycznej surowe produkty, półprodukty i produkty gotowe zapisywane są na ciężar fabrykacyi parę i kilka razy z rzędu — powiększając za każdym razem sumę ogólną wartości produkcyi fabrycznej.

Sam fakt rozpadnięcia się pewnych jednostek przemysłowo-ekonomicznych na kilka jednostek niezależnych może zwiększyć sumę wartości produkcyi w wykazach statystycznych, chociaż w rzeczywistości suma ta żadnej nie uległa zmianie. Przypuśćmy, że wielkie zakłady bawełniane, będące własnością jednej dotąd osoby, zorganizowane zostają w trzy towarzystwa akcyjne, z których jedno zajmuje się przędzeniem, drugie tkaniem, a trzecie apreturą wyrobów bawełnianych. Rozmiar produkcyi pozostał ten sam, wartość ogólna produktu nie uległa zmianie, wynosi ona, jak przedtem, 1,000,000 rubli, ale w wykazach statystycznych wartość ta od chwili podziału przedsiębiorstwa na 3 oddzielne przemysłowe jednostki obliczona będzie w trzech pozycyach jako:

produkcya	przędzalni — dajmy na to	800,000
„	tkalni	900,000
„	apretury	1,000,000
	razem rubli	2,700,000

i to bez potrącenia wartości bawełny, która policzoną zostaje w tym rachunku trzy razy, a właściwie całkowicie z niego wyłącząną być powinna. Oddzielanie się rafineryi cukru od fabryk cukru surowego (kryształu) podwaja prawie statystyczne cyfry produkcyi przemysłowej czysto formalnie. Aby należycie ocenić, jaką wartość wytwarza przemysł fabryczny — przemysł przetwórczy — należałoby przedewszystkiem usunąć z wartości jego produkcyi całą wartość tych materyałów, które przemysł krajowy sprowadził z zagranicy, za które zatem kraj zapłacił, dalej potrącić wartość materyałów surowych, które dostarczyły krajowi rolnictwo i górnictwo. A więc między innemi całą wartość węgla kamiennego, którego cenę zapisano raz w produkcyi górnictwa, drugi raz w wartości zuży-

tego przez fabryki opału, — a nieraz po raz trzeci i czwarty przy wymianie półproduktów pomiędzy fabrykami. Należy dalej usunąć wszystkie wartości, podwójnie liczone przy wymianie produktów między fabrykami, jednem słowem przeprowadzić rachunek niemożliwy do przeprowadzenia.

Nie idzie zatem, aby dane statystyczne o wartości produkcyi przemysłu przetwórczego były zupełnie bez wartości dla ekonomisty; owszem mają one wartość, ale ograniczoną: uszykowane szeregiem lat są wskazówką historycznego rozwoju przemysłu w kraju, albo też, zebrane podług jednej metody w różnych krajach, mogą być wskazówką stosunkowego stanu przemysłu w tych krajach. Z chwilą jednak, gdy wychodzimy poza sferę właściwego przemysłu i porównywamy z danemi statystycznemi, zebranemi inną drogą i innemi metodami — naukowa ich doniosłość musi uledz ograniczeniu, a jeśli idzie o porównanie ich z cyframi wartości produkcyi innych gałęzi pracy społecznej, to nie można zapominać o zasadniczych różnicach, jakie tkwią w przemyśle rolnym i przemyśle przetwórczym, i porównywać cyfr ogólnych wartości ich produkcyi tak, jak gdyby były one wartościami jednego ekonomicznego znaczenia.

Fakt, żeśmy przestali być śpichlerzem Europy, nie prowadzi za sobą z konieczności wniosku, żeśmy przestali być krajem rolniczym. Najlepszym objaśnieniem tego rodzaju położenia kraju jest Dania.

Dania sprowadza ziarno, i to w niemałych ilościach z zagranicy. Wartość przywiezionych do kraju: ziarna, mąki, słodu, grochu etc. wynosiła:

w roku	1894	rubli	21,926,583	
„	1895	„	22,767,280	
„	1896	„	20,811.639	
średnio za 3 lata.				Rubli 21,801,834

Wartość wywiezionych tychże płodów

w roku	1894	rubli	5,422,926	
„	1894	„	2,718,556	
„	1896	„	4,317,597	
średnio za 3 lata.				Rubli 4,153,026

W ogólnej sumie wywozu Dania za r. 1896 obliczonej na 147,6 mil. rb. wartość żywych zwierząt stanowiła 12,7 mil. rb., mięsa 25 mil. rb., masła 57,3 mil. rb., jaj 5 mil. rb.; razem wartość ogólna płodów rolnictwa, wywożonych zagranicę, 116 mil. rb.

Dania więc mimo znacznego przywozu zboża jest krajem prawie wyłącznie rolniczym, i Królestwo Polskie mimo deficytu ziarna w kraju nie przestało być krajem, którego 68,5% ludności żyje z roli.

Charakter tylko wywozu, tak jak w Danii, uległ przeobrażeniu. Wywozilibyśmy mięso, gdyby nie przepisy policyjno-weterynaryjne niemieckie. Wywozimy masło, jaja i drób, wywozimy w formie cukru i spirytusu — buraki i kartofle. Kraj pod naciskiem zwiększającej się ludności, wymagań kultury rolnej, przesilenia rolnego i nacisku ziarna z gubernii Cesarstwa, zwolna, mimo braku kapitałów obrotowych przechodzi od uprawy roślin zbożowych do uprawy roślin przemysłowych, i produkcyi nabiałowo-mięsnej — a w tym ostatnim kierunku przepisy celne niemieckie stanowią dlań ciężką krzywdę.

Nie wątpimy ani na chwilę, że taryfy dróg żelaznych wewnątrz państwa mają dla nas kardynalną wartość, ale sądzimy, że i traktat handlowy z Niemcami ma dla nas niemałe znaczenie. Sądzimy, że traktat ten jest sprawą pierwszorzędnej doniosłości, tylko środkiem jego ciężkości dla nas nie są już dziś cła zbożowe, ale przepisy weterynaryjno-policyjne, dotyczące mięsa i zwierząt żywych — bo w najbliższej przyszłości kraj nasz musi z konieczności iść dalej po tej drodze, na którą wszedł już koło r. 1880, rozwijając i przemysł rolniczy, i produkcyę mięsno-nabiałową, a dla tej ostatniej produkcyi przepisy niemieckie są bardzo poważnym hamulcem.

W niedalekiej zapewne przyszłości Komitet Statystyczny przy Warsz. Oddz. Tow. Popier. Handlu i Przemysłu ogłosi rezultat prac swoich nad bilansem handlowym Królestwa, a p. Żukowski obdarzy nas dalszym ciągiem swej cennej pracy; wtedy przekonamy się, co i dokąd wywozimy, ale sądzimy już teraz, że „interesem dominującym" u nas będzie długo jeszcze ta gałęź przemysłu, która karmi większą połowę ludności kraju,—uzasadnienie zaś twierdzenia przeciwnego na podstawie cyfr wartości produkcyi naszych gałęzi przemysłu uważamy za naukowo nieuzasadnione. Przestaliśmy być śpichlerzem Europy, ale jesteśmy jeszcze krajem przeważnie — w 68,5% — rolniczym.

Pst.



Z najnowszych powieści.*)

I.

Na niwie produkcyi beletrystycznej ostatnich miesięcy—jak na niwie: obok schylonych ku ziemi pod ciężarem pełnych ziaren kłosów rodzajnych sterczą dumnie ku niebu puste i płonne; w jednych ziarna, śniecią strawione, sczerniałe, kruszą się w ręku na popiół, inne, zarazą sporysza dotknięte, rozrastają się w potworne, wynaturzone kształty. „Złe" zioła — osty, kąkole, kanianki—pomimo wszelkich środków zaradczych są również nieuchronne. I jak tu wobec tego uchwycić rysy wybitne chwili bieżącej i dać jej obraz dokładny? jakże skomplikowanego systematu kos, sierpów, cepów, kół zębatych, transmisyi, młynków, wialni użyć należy, aby oddzielić złe od

---

*) *Sienkiewicz:* „Pisma, nieobjęte wydaniem zbiorowem", tom II, III i IV, i „Krzyżacy". — *Krechowiecki:* „O tron", część III: „Sława". — *Gruszecki:* „Nawrócony", „Zwyciężeni" i „Nowy obywatel". — *Gomulicki:* „Wyzwolona". — *Reymont:* „W jesienną noc". — *Orkan:* „Komornicy". — *Laskowski:* „Surdutowiec", „W ojców ślady" i „Zrośli z ziemią". — *Junosza:* „Dworek przy cmentarzu".—*Barszczewski*: „W Kastelu". — *Rodziewiczówna:* „Magnat", „Na wyżynach" i „Nieoswojone ptaki". — *Kowerska:* „Z pamiętników ornitologa". — *Neumanowa*: „Ze świata". — *Domańska:* „Brzydka". — *Hahdank:* „Azaryasz". — *Krzywoszewski:* „Zmierzch".

dobrego, gorsze od lepszego i na każdem pieczęć szacunku położyć! Chciałoby się doprowadzić do ładu i harmonii głosy zmieszane, ale po krótkich wysiłkach dochodzimy do przekonania, że z tego zamętu słowiczych treli, pawich wrzasków, wronich krakań, kukułczych przedrzeźniań, swojsko-domowych gdakań, makolągwich gruchań, sowich płaczów najgenialniejszy kapelmistrz porządnego chóru nie ułoży.

Zrezygnowawszy więc z syntetycznych zachcianek, poprzestać musimy na mozaikowem z segregowaniu ludzi i dzieł, co jest tem przykrzejsze, iż niejednokrotnie zdarzyć się może obok dyamentu najczystszej wody brudny okruch zwyczajnego brukowca. Lecz na to niema rady.

Zbłądzilibyśmy już nie przeciw estetyce, lecz prostej logice, gdybyśmy wśród autorów, którzy w ostatnich miesiącach zasilali naszą beletrystykę, pierwszego, honorowego miejsca nie zachowali dla Sienkiewicza; z wieku mu i urzędu ten zaszczyt należy. Zdarzyło się tak, iż podczas uroczystości jubileuszowych mieliśmy możność przyjrzeć się zblizka pierwocinom twórczości autora „Trylogii" i jej ostatecznym, jak dotychczas, rezultatom: z jednej strony bowiem firma S. Dembego zaczęła wypuszczać w świat tomiki „Pism, nieobjętych wydaniem zbiorowem", w których przedrukowano pisma młodociane Sienkiewicza, z drugiej zaś —ukazało się wydanie książkowe „Krzyżaków" (w 4 tomach — u Gebethnera i Wolffa), wywołując niezwykłe ożywienie w naszym światku inteligentnym, tysiączne debaty, spory, mniej lub więcej uzasadnione zarzuty, lub też wyrozumowane, częściej bezkrytyczne pochwały i zachwyty.

Przypadkowe to zestawienie budzi dziwne uczucia. Spójrzmy na te „Pisma młodociane, zwłaszcza na ich tom II, zawierający „Na marne", oraz III z „Humoreskami z teki Worszyłły". Doznajemy wrażenia, jakgdyby gdzieś w starym albumie wpadła nam w oko fotografia człowieka, dziś w sile wieku, — z przed lat 25. Ta sama twarz, te same rysy, a jednak ileż zmian! Spójrzmy na te oczy, skrami błyszczące, a żądzy walki pełne, na usta, zaciśnięte z wyrazem gniewu i dumy, na czoło, sfałdowane troską o dobro współbraci i namiętnem pragnieniem ich podniesienia duchowego — czuj duch! z tej twarzy za chwilę błyskawica błyśnie, a piorun uderzy we wszystko, co nędzne, brudne, w suterynach i poddaszach wspaniałego napozór pałacu przemożnej pani, Opinii publicznej, w bezpiecznych kątach ukryte! Światła więcej i powietrza! wypędzić ohydne, przejmujące wstrętem nietoperze, okna i drzwi pootwierać naoścież z trzaskiem, pleśń, kurz, pajęczyny precz wyrzucić! Oto

program, a wykonanie jego, jak na dwudziestopięcioletniego młodzieńca, — znakomite.

Oto pierwszy utwór powieściowy „Na marne”. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że to potępienie bezwzględne i surowe miłości płciowej. Jakże ponuro dźwięczą ostatnie wyrazy tej powieści, niby śpiew pogrzebowy: „nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety, potem miłość gdzieś, jak ptak, odleci, a siły idą n a m a r n e”; porównajmy z tem chociażby opinię, wyrażoną w przedziwnej apoteozie miłości „U źródła”: „takie życie, którego miłość, nawet jako sen, nie nawiedzi, — jest jeszcze gorsze”. Zdawałoby się, że ten człowiek przeżył jakiś straszny przełom, jakgdyby ze średniowiecznego ascety przedzierzgnął się w dyszącego pełnią sił ciała i ducha człowieka Odrodzenia. Tak nie jest wszelako: Sienkiewiczowi nie śniło się o ascezie. Porwany prądem pozytywistycznym potępiał on wówczas to wszystko, co z hasłami tego prądu było niezgodne. Całe życie poświęcić miłości jednej kobiety, strawić w pogoni wszystkie bogactwa duszy, w ogniu namiętnym spopielić skrzydła, które do innych miały służyć celów — to grzech, to wielka zbrodnia wobec potrzeb chwili bieżącej, to czyn, którego żadna logika ani arytmetyka społeczna uzasadnić naukowo, narodowo-praktycznie nie może. Taką miłość schłostać należy, tego wampira precz odpędzić, by krwi nam ssał; czyż mało krwi jeszcze?

Tak powstało „Na marne”, a niezwykle ciekawa korespondencya Sienkiewicza w tym przedmiocie, wydana w Nr. Nr. 1 i 2 „Tygodnika Illustrowanego” r. b. przez Ign. Chrzanowskiego, zdaje się to potwierdzać.

„Na nieśmiertelność mam jeszcze czas”, pisze tam Sienkiewicz w jednym z listów — i szybko do niej dąży. W rok potem pisze „Humoreski z teki Worszyłły”. Tu wypowiada się jeszcze jaśniej, tak śmiało i dobitnie, że nazwalibyśmy go doktrynerem, gdyby nie był zarazem prawdziwym artystą, a jak tutaj, niezrównanym satyrykiem zarazem.

Hasło wydane, walka rozgorzała na dobre; jak Cyrano de Bergerac w chwili zgonu, tak Sienkiewicz na zaraniu swego zawodu literackiego krzywym mieczem rycerskich przodków zwala w proch i płoszy kłamstwo, obłudę, bezmyślność, ciemnotę i sobkostwo; a rębacz z niego, niczem Wołodyjowski! od Karpat aż do Bałtyku słychać szczęk oręża. Oto w pierwszej z „Humoresek” — „Nikt nie jest prorokiem między swemi” młody bojownik haseł nowożytnych, Wilk Garbowiecki w nagrodę za swe szlachetne usiłowania dostaje kulą w serce od pierwszego lepszego komparsa, a po

śmierci — opinię waryata; stwierdza to cyrograf, spisany przez świadków jego śmierci—prawdziwe *testimonium paupertatis* dla tych, którzy śmierć tę spowodowali; opiewa on, że, ponieważ nieboszczyk odznaczał się niezwykłą oryginalnością i dziwactwem zasad, ponieważ zakładał jakieś czytelnie i sprowadzał książki, których nikt nie chciał czytać, ponieważ zachęcał ludzi mimo najusilniejszego ich oporu do nauki, ponieważ uczył czytać swoich parobków i t. d. i t. d. — przeto możliwą jest rzeczą, iż „cierpiał pewnego rodzaju manię", która go do samobójstwa doprowadziła.

Druga z „Humoresek" z podobnąż zjadliwą ironią opowiada, jak bogaty panicz sprzedaje ojcowiznę Niemcom-kolonistom, by zyskać grosz gotowy — na hulanki. Tak postępują ci, którzy sami siebie nazywają czołem narodu, „końmi folblut, baranami z rasy merynos"; niewiele więcej czynią dla społeczeństwa ci księża wiejscy, co przed oczami parafian roztaczają dantejski obraz piekła z Darwinem, Voltaire'em, Renanem, prażącymi się w smole po uszy; Darwin „wije się z boleści i ryczy wściekle" według zapewnień krasomówczego kaznodziei, a chłopi — w kościele drzemią, poza jego ogrodzeniem — kradną po dawnemu.

Mieszczanie zaś, pogardzani, jak łyki za dobrych czasów, wznoszą fabryki, dają pracę tysiącom robotników miejscowych, starannie unikając obcego żywiołu.

Tak było w R. P. 1873.

Dodajmy jeszcze, iż w t. IV „Pism, nieobjętych wydaniem zbiorowem" znajdziemy obok „Selima Mirzy", pełnego siły epizodu z wojny francusko-pruskiej, gdzie występują znani nam bohaterowie „Hani", Selim i Henryk, jeszcze „Sabałową bajkę". Jest to przepyszna legenda góralska, w gwarze zakopiańskiej, spisana z zachowaniem wszelkich cech charakterystycznych mowy ludu; wyraża się w niej bezgraniczna, niczem niezmącona i niezachwiana ufność w Opatrzność Bożą, czuwającą pilnie i z miłością nad tymi, którzy według wszelkiej ludzkiej rachuby najbardziej są opuszczeni i zapomniani, jak ów robaczek drobny, w skałce twardej na dnie morza zamknięty — Bóg go strzeże... i żyje.

A teraz przeskok gwałtowny: od „Pism młodocianych" do „Krzyżaków". Nie myślimy tu rozstrząsać krytycznie ostatniego utworu Sienkiewicza — przekroczyłoby to znacznie ramy niniejszego przeglądu, a zresztą uczyni to za nas kto inny w oddzielnem studyum — chodzi nam tylko o wyniki powyżej wyłuszczonego zestawienia.

Tym razem nie szło już o wyszydzenie tych lub innych klas

własnego społeczeństwa, nie spełniających uczciwie i sumiennie swych obowiązków. Teraz wchodzą w grę czynniki o wiele donioślejsze, ważą się losy narodów: należy scharakteryzować krwiożerczy zakon, odwiecznego wroga Rzeczypospolitej, zagrażającego jej bytowi. Gdyby tu Sienkiewicz poczynał sobie z podobną, jak w pismach młodocianych, krewkością, musiałby wylać całe morze ognia, żółci i jadu. Lecz z biegiem czasu młodzieniec wyrósł na męża, który nauczył się panować nad namiętnościami lub przynajmniej nie uzewnętrzniać ich niebacznie i lekkomyślnie. Nienawiść ku zakonowi i jego pomiotowi — Prusakom — jest w „Krzyżakach" straszna, żywiołowa, drgająca w krwi i nerwach; słychać w niej nie tylko okrzyk bojowy zwycięzcy z pod Grunwaldu, ale także jęk bólu człowieka, współczesnego „kulturkampfowi", rugom i hakacie. Ale tu już umiar artysty zapanował nad porywczością działacza społecznego. Zakon krzyżacki jest scharakteryzowany nie tem, co autor o nim mówi, lecz własnymi czynami, a że czyny te nie są budujące, a wizerunek zakonu niezbyt pochlebny... na to zgodzą się i niemieccy historycy, jak mówi oględnie p. Flach w recenzyi „Krzyżaków", umieszczonej w jednem z czasopism — niemieckich (Das litterarische, Echo Nr. 9 r. b.).

Nie będziemy waśnili p. Flacha z historykami Prus; chodzi nam jedynie o ów klasyczny spokój, powagę i — rzekłbyś — beznamiętność, z jaką Sienkiewicz traktuje przedmiot, tak dla serca jego drażliwy. I tam, gdzie mógłby całą grozę rozwinąć i nikczemność wrogów wykazać, ma jakby usta związane; Danusi np. w więzieniu nie widzimy ani razu, Juranda raz tylko, przyczem scena ta traktowana jest z niezrównaną dyskrecyą artystyczną.

Skoro mowa o powieści historycznej, nie możemy pominąć milczeniem III części trylogii historycznej z XVII wieku A. Krechowieckiego p. t. „O tron" (Petersburg, K. Grendyszyński). Nosi ona tytuł „Sława" i rozwija w dalszym ciągu nawiązane w poprzednich nici intrygi. Spodziewaliśmy się, co prawda, od tej III części o wiele więcej i — doznaliśmy pewnego rozczarowania. Sądziliśmy, że przedstawi nam autor Kazimierza Łyszczyńskiego w ostatniej epoce jego życia, że intuicyą artystyczną rozwiąże dręczącą historyków zagadkę: czy Łyszczyński był w samej rzeczy ateuszem i słusznie poniósł straszną karę całopalenia, czyli też padł ofiarą fatalnej pomyłki, nieporozumienia, a może intrygi?

Nic z tego! zawodowi historycy—np. E. Łuniński w studyum historycznem „Na stos", poświęconem temu przedmiotowi—nic stanowczego w tej kwestyi orzec nie mogą; ale i Krechowiecki też

nam nic nie powie. Za to w pierwszych roździałach mamy porwanie Kalksteina z Warszawy przez pełnomocników kurfirsta i uwięzienie go w Memlu—potem nieszczęsny ginie nam z oczu, aż wreszcie 400 stronic niżej dowiadujemy się, że go tracą z rozkazu elektora. Potem spotykamy imćp. Mikołaja Attelmayera, syna konsularnego a draba miejskiego, również nam znanego z poprzednich części trylogii; jeszcze dalej — Kazimierza Łyszczyńskiego, jak w celi u jezuitów wileńskich czyta Alstediusa i godzi się z żoną — poczem w powieści o nich głucho najzupełniej. Wreszcie mamy tu coś o wzięciu Kamieńca i coś o zwycięstwie pod Chocimem; ale wszystko to nie wiąże się w całość już nie artystyczną, lecz nawet — pragmatyczną. Rzecz prosta, że wobec takiego układu nie może być mowy o uwypukleniu charakterów. Na całych 600 stronicach niema ani jednej sceny, któraby wstrząsnąć lub choćby zająć mogła, ani jednej sytuacyi, któraby mocą swej plastyki pozostała w pamięci czytelnika. A tło historyczne? kurfirst z Waldeckiem w Królewcu, król z senatorami w Warszawie, Sobieski z kimś jeszcze w Jaworowie „gadają" o polityce — długo i nudno. Jeżeli Sienkiewiczowi zarzucają, że w powieściach jego za dużo potyczek, to cóż dopiero mówić o powieściach Krechowieckiego, które są poprostu rozepchane polityką, i to polityką — na języki!

Jako rzecz historyczna, „O tron" nie zastąpi dobrego podręcznika ani tem bardziej monografii, jako dzieło artystyczne, nie posiada większej wartości.

Od dzieł i pisarzów historycznych przenieśmy się w czasy i bieżące. Taki naprzykład Gruszecki — to pisarz nawskroś współczesny; odczuwa on wybornie potrzeby i warunki chwili obecnej, umie postrzegać zjawiska społeczne i zastanawiać się nad niemi. Ostatnie miesiące przyniosły nam kilka jego nowości.

Zaczniemy od rzeczy najsłabszej; to „Nawrócony", dalszy ciąg „Szachrajów". Wiemy już z doświadczenia, że tego rodzaju dalsze ciągi nie udają się: „Nawrócony" potwierdza tę regułę. Młody pan Strauchfeld, ożeniony z panną Karoliną Danborską, osiada na wsi, w Borownicach; chodzi teraz o to, jak się stosunki ułożą. Właściwie, nie układają się wcale; Karolina postawiła narzeczonemu za warunek, że będzie dlań—tylko siostrą. Ale i siostrą dobrą być nie potrafi: różnica ras, upodobań, temperamentu, kultury staje pomiędzy nimi i odpycha ich od siebie — i tak aż do końca. Strauchfelda męczy taki stosunek do żony, błaga ją zrazu o siostrzaną, potem o małżeńską miłość, raz, drugi i trzeci, to w jadalni, to w ogrodzie, to w jej gabinecie; zawsze banalnie klęka przed nią, ona odtrąca go ze stereoty-

powemi słowy na ustach: „Wstań, ktoś idzie". W sąsiedztwie Borownic, w Jodłowcu zamieszkuje ciotka Karoliny wraz ze swoim siostrzeńcem, młodym inżynierem; następuje zapoznanie się, i akcya przewleka się ociężale z Jodłowca do Borownic, z wizyty na rewizytę, a właściwie stoi ciągle w miejscu. Urywa się też najniespodziewaniej: Stranchfelda zabijają jego właśni oficyaliści — Żydzi, kiedy poszedł przekonać się o ich nadużyciach. Jaki związek zachodzi pomiędzy tą zbrodnią a poprzedzającemi sytuacyami? i który rozwiązuje ona zadzierzgnięty węzeł kolizyi dramatycznej? Żaden—żadnego. Zabójstwo Strauchfelda jest trafem (zabójcy chcieli uśmiercić podobno kogo innego [1]), który mógł się zdarzyć dwa tygodnie wcześniej, trzy lata później — lub wcale się nie zdarzyć.

Ideowo „Nawrócony" kwestyi asymilacyi Żydów na gruncie małżeństw mieszanych nie rozwiązuje; psychologicznie — daje kilka sylwetek zręcznych — np. rodziców Strauchfelda i jego siostry — inne pozostawia zaledwie zaznaczone.

O wiele ciekawszą jest inna z najnowszych powieści Gruszeckiego p. t. „Zwyciężeni". Rzecz dotyczy Sląska i stosunków tamtejszych, walki żywiołu miejscowego z niemieckim „kulturkampfem". Główną osią intrygi ma tu być agitacya przedwyborcza: kto ma być posłem, Slązak czy Niemiec. Agitacya ta jednakże rozwija się dopiero pod koniec powieści i zajmuje w niej względnie poślednie miejsce; w walce tej Ślązacy zostają w samej rzeczy „zwyciężeni", chodzi atoli o to, ażeby byli zarazem i zwycięzcami. W tym celu wprowadzoną została do powieści postać młodego Karola Nowaka, współwłaściciela stalowni żelaza „Graf Bismarck", z pochodzenia Slązaka, ale wychowanego w szkołach niemieckich. Po ukończeniu wyższego zakładu naukowego przyjeżdża on do stron rodzinnych zupełnie zniemczony. Cała intryga powieści polega na tem: czy p. Nowak, ożeniwszy się z Niemką, córką swego wspólnika, panną Elzą Reiner, zupełnie zapomni o swem pochodzeniu, czy też odezwie się w nim głos krwi i wpływy śląskie — piewszej linii młoda Slązaczka, Jadwiga Bogatówna — przeważą szalę. W skutek tego przesunięcia punktu widzenia ze sprawy natury ogólnej na osobistą powieść traci na doniosłości społecznej, ramy jej zacieśniają się niemal do współzawodnictwa panny Elzy z panną Jadwigą. Potrafił wszakże autor wpleść do koła intrygi powieścio-

---

[1]) Mówię „podobno", o ile przypominam sobie tę sytuacyę z czytania powieści w odcinku jednego z pism codziennych; w wydaniu książkowem bowiem cały ten rożdział z przyczyn niewiadomych został wypuszczony.

wej wiele scen i epizodów, w których stosunki wzajemne dwu ras malują się plastycznie. Do takich należą sceny fabryczne, zgromadzenia kółek robotników śląskich, a zwłaszcza zgromadzenie przedwyborcze — jeden z najcelniejszych obrazów powieści. Pogłębienie psychologiczne znajdziemy tu tylko w postaciach młodego Nowaka oraz dwu panien, Elzy i Jadwigi, z których pierwsza dumna, kapryśna, wyzywająca, przytem zimna, samolubna i próżna, oddycha pełną piersią cieplarnianą atmosferą wykwintów kultury europejskiej; druga — cicha, skromna, ciepła i serdeczna, sprawie śląskiej całem sercem oddana, na siebie niepomna. Inne postacie tak Niemców—od Reinera i dyrektora Scheuera aż do ostatniego nadzorcy — jak i Ślązaków, nie są zcharakteryzowane każda zosobna, lecz grupami, jako dwie wrogie sobie rasy, z których jedna ma w swoich rękach wszystko — władzę, pieniądze, stanowiska — czem się z pychą teutońską chełpi, dopuszczając się tysiąca nadużyć i niesprawiedliwości, druga — za całą broń posiada odporność i solidarność.

Inną jeszcze kwestyę równej doniosłości społecznej podniósł Gruszecki w nowelli p. t. „Nowy obywatel”. Czy człowiek, urodzony w Błońskiem czy Sandomierskiem, którego losy w dzieciństwie jeszcze zagnały nad Ural lub Wołgę, może potem po raz wtóry naturalizować się nad Wisłą lub Pilicą? Bohater opowieści, p. Szyszkowski rozwiązuje tę kwestyę przecząco w wyrazach listu, którym wzywa młodą żonę z dzieckiem do Tyflisu: „ja już nie wrócę, bo, nie przywykłszy do was za młodu, żyć z wami i źle, i smutno”. Majątek ziemski w Błońskiem nabędzie, ożeni się nawet tutaj, ale do nowych warunków życia, do nowego otoczenia nie przystosuje się — będzie się tu czuł obcym. Nowela wywołuje smutne reflekcye. A że Gruszecki nie z fantazyi wysnuł swego bohatera, o tem przekonywa nas jego charakter, nadzwyczaj subtelnie i konsekwentnie przeprowadzony; inne postacie — pozostawione w cieniu.

Podobnie palącą kwestyę podjął Gomulicki w ostatniej swej dwutomowej powieści p. t. „Wyzwolona”. Chodzi tu o wyzwolenie kobiety. Tu przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż powieść Gomulickiego daleką jest od tendencyjności; trudno z niej nawet odgadnąć, czy autor jest za czy przeciw emancypacyi. Zdaje się, zgodziłby on się na emancypacyę umiarkowaną, ale w jakich granicach — odgadnąć niepodobna. Bo, że Wanda Dalewiczówna, poświęciwszy się astronomii, potrafiła zdobyć sobie tak wysokie stanowisko naukowe, uzyskać dyplom doktorski, a napisawszy rozprawę o możliwości życia organicznego — na księżycu (co na to powie nasz recenzent - przyrodoznawca?), posiąść sławę i poklask—to

świadczyłoby, iż umysł kobiecy narówni z męskim jest uzdolnionym do nauk abstrakcyjnych. A że taż Wanda Dalewiczówna, doktór filozofii, profesor astronomii w Bukareszcie *in spe* po tych wszystkich laurach i tryumfach uczuwa dziwną próżnię w sercu, pragnie kochać, być kochaną i... mieć dziecko — to znów przemawiałoby na niekorzyść „wyzwolenia". Zagadki społecznej powieść Gomulickiego nie rozwiązuje; daje nam za to pięknie rozwinięty charakter Wandy, której przejścia duchowe są pogłębione psychologicznie, oraz cały szereg sylwetek drugorzędnych, czasem groteskowo, częściej zręcznie naszkicowanych.

Młodsi beletryści dalecy są od „stawiana" jakichkolwiek „kwestyi". Życie samo odmalować tak, jak się przedstawia oku obserwatora, w całej jego bezwstydnej nagości, ohydzie i nieubłaganym majestacie konieczności nieuniknionych; by wrażenie tem silniejsze osiągnąć, dobierać w obrazach barw zharmonizowanych z nastrojem, który pragniemy wywołać: to wystarczy, a sens moralny—ten sobie czuły słuchacz sam w duszy dośpiewa. Do takich realistów należy Reymont. Ostatnio „Gazeta Polska" zebrała garść jego nowel, zatytułowawszy je „W jesienną noc". Najlepsze z nich „W jesienną noc", „W porębie", „Przy robocie", „Venus", „O zmierzchu" wstrząsają do głębi. Otwórzmy książkę w pierwszem lepszem miejscu. Oto obraz zmierzchu. „Słońce zaszło, szary, ciężki zmierzch rozlewał się zwolna, szedł od lasów, czaił się wśród zbóż i powiewał nad łąkami zgrzebną, wilgotną płachtą mgieł... Stała się przerażająca cisza letniego wieczoru. Cisza pełna grozy stłumionych jęków, aromatów śmiertelnych, zduszonych krzyków, walki i mordu w przyrodzie..." A wśród tej „przerażającej ciszy" kona stary koń Sokół, „rżąc ostatkami sił, jęcząc, gryząc ziemię, rozpłaszczając się ze strachu, wyjąc dziko".—A gdy skonał, nad trupem przyjaciel jego, pies „najeżył sierść ze strachu, zaskowyczał dziko i począł wyć długo, strasznie, rozpaczliwie".

A oto inny obraz — noc: „szła chyłkiem... poczynała wlewać plugawymi łachmanami zmroku i trząść na ziemię drobny, przejmujący zimnem deszcz — i zwolna okręcała brudnymi zwojami wsie, szkielety drzew, puste pola, krzyże, co oślizgłe, czarne, zmęczone ramiona wyciągały ku niebu po wzgórzach i rozstajach. A za nocą, niby pies, wciskał się wiatr i obiegał pola ...milczkiem uderzał w ściany lasów, stojących dokoła... i cofał się przerażony mroczną ciszą głębin i ponurą zadumą olbrzymów, cofał się ze skomleniem, kłębił i rzucał z wściekłością na stary, leżący w dolinie nad rzeką park".

W taką noc w owym zapuszczonym parku pada z piedestału posąg Wenery, a chłop przejeżdżający, widząc gołą figurę na swej drodze, odcina jej głowę siekierą, a zabłoconego trupa kopnięciem strąca w rów.

Zda się, tematy błahe, dla czytelnika zupełnie obojętne, a jednak — z każdej z tych kart wionie coś straszliwego, przejmującego grozą, jak powiew idącej mimo nas śmierci.

Oto ostatni plon talentu Reymonta — przed fatalną katastrofą na kolei Wiedeńskiej.

Pisaliśmy już kiedyś w „Ateneum" o „Nowelach" Władysława Orkana; obecnie młody autor dał nam większą całość z życia Zakopieńców p. t. „Komornicy". Daremnie szukalibyśmy tu węzła dramatycznego, zręcznie pomyślanej i przeprowadzonej intrygi; powieść p. Orkana — to karta z życia, smutna, jak życie samo. Już w nowelach zauważyliśmy upodobanie młodego autora do barw ciemnych lub przejaskrawionych. W „Komornikach" znajdziemy również scen takich niemało. Mamy tu wszakże i pewne zmiany — na lepsze; bezwzględny, nagi realizm „Nowel" uległ znacznemu złagodzeniu. Autor zamierzył przekonać czytelników, że ludność wiejska nie jest bynajmniej szarą, niezróżniczkowaną masą; owszem, są tam wyraźne, wyodrębnione uwarstwienia: „gazdów", posiadających własny grunt, a przeto pychę i egoizm posiadaczy, i — „komorników", bezrolnych i bezdomnych, których „bogacze" wyzyskują latem, a zimą, kiedy roboty nie stanie, darmo żywić nie chcą i wypędzają precz na mróz i zawieję. „Komornicy" są właśnie obrazem nędznego życia i nędzniejszej jeszcze śmierci tych paryasów społeczeństwa wiejskiego. Język p. Orkana każą zbyt liczne prowincyonalizmy, nie tylko w dyalogu, lecz nawet w tekście: „dziopa", „obertal", „dumac", „ajdać", „skrepirować", „skuczać", „spsioczyć", „naoscymać", „stermać", „kany", „doznaku", „katędy" i t. d.

Ciekawie wyglądałby świat i społeczeństwa ludzkie, gdyby je chciał przetworzyć p. Laskowski według swojej recepty. Przedewszystkiem uznaje on dwie tylko klasy: poczciwych chłopów i zacną szlachtę. O innych przemilcza zupełnie, jakgdyby ich wcale nie było. O miastach, fabrykach, kopalniach, mieszczaństwie, profesyach wyzwolonych mówi się, jak o ilościach nieskończenie drobnych, które w równaniu algebraicznem opuścić wolno; bo przecie zadaniem chłopów jest trzymać się roli, a szlachty — także trzymać się roli. Że ktoś pójdzie na uniwersytet, kształci się niby to (!) na doktora, prawnika, głupstwo! ostatecznie wszystko rzuci w kąt dla

pługa. Ziemia to grunt, reszta — wiatr, dym. Bardzo słusznie! lecz co w takim razie robić z takiemi wielkościami, jak Warszawa, Łódź, Zgierz, Pabianice, Dąbrowa, Sosnowiec? co zrobić z ekonomicznym rozwojem kraju — od typu wyłącznie rolniczego do rolniczo-przemysłowego?

I więcej jeszcze. P. Laskowski pragnąłby zachować fizyognomię kraju z przed lat czterdziestu, obronić go od „nowinek" zagranicznych. Stosuje się to, jako środek uniwersalny, bez wyboru dla wszystkich. Chłopom—jak to powiastka „Surdutowiec" poucza—niewolno pozbywać się najzewnętrzniejszych cech swej odrębności, nie wolno zrzucać „białej po ojcach sukmany" i przebierać się w kosmopolityczny surdut, bo surdut jakoby jest znamieniem upadku moralnego, zwyrodnienia i popędów zbrodniczych. Po części możnaby się jeszcze z tem zgodzić, choć — Bogiem a prawdą—nie wszystkoż jedno, w co się przyodziać, byleby było co na grzbiet włożyć?

Co zaś do szlachty, to jej znowu, jak ongi, łokciem a miarką parać się nie przystoi. Oto bohater obrazku „W ojców ślady", inżynier, z dyplomem jednego z wyższych zakładów naukowych zagranicą, autor kilku znanych w świecie naukowym rozpraw teoretycznych,—myślicie, że będziepracował w obranym zawodzie? zbogaci wiedzę i chluby swemu społeczeństwu przysporzy? Gdzie zaś! ożeni się z pierwszą lepszą gąską folwarczną, osiądzie na wsi i będzie orał zagon praojców.

Spierać się z p. Laskowskim nie będziemy, walczyć z nim dowodami z ekonomii społecznej, statystyki, socyologii—nie myślimy.

Wymknął nam się wyraz: „socyologia". A jakże! twierdzeniom p. Laskowskiego nie brak podstaw socyologicznych, nawet — antropologicznych. Ten i ów ze szlachty w powieści „Zrośli z ziemią" usłyszał gdzieś, może w Warszawie na herbatce o „typach zawodowych"; plecie więc na ten temat trzy po trzy: „my, szlachta, mamy we krwi przywiązanie do roli — my jesteśmy wielkie bractwo — my stoimy na posterunku, którego bronić winniśmy — nam chodzi o ratunek ziemi, o szmat nieba nad nią! o grusze polne! o krzyże cmentarne! o pracę całych pokoleń, które na nie wzrosły i pomarły!" Wiemy już, wiemy! Aleź Rej i Kochanowski, a za nimi inni przez całe cztery stulecia, odciągając brać-szlachtę odmiast do wsi, bez socyologii i bez antropologii to samo o wiele lepiej i szczerzej wyrazili.

Szczególniej nie udała się p. Laskowskiemu ta ostatnia powieść: „Zrośli z ziemią"; trzy czwarte jej objętości zajmują opisy

biesiad wszetecznych, i to tak obfitych, że ten i ów z gości w połowie zabawy na siano się do stodoły potoczy albo w błoto zwali, a pies go po twarzy liże... Jest i to u Reja: „to też nieborak on dzbanarz leda gdzie w błocie się powali, tamże i uśnie, suknię pomaże, czapkę straci, ostrogi mu odbiorą, a on nieborak mnima, by w łaźni, a iżby go barwierz golił, ano mu psi gębę liżą“. Wszystko to już było!

Można opisywać stare dzieje, dawnych ludzi malować, życia współczesnego nie znać, a nie wpadać w skrajność i przesadę. Dowodem tego choćby Junosza. „Biblioteka dzieł wyborowych“ z jego papierów pośmiertnych wydobyła „Dworek przy cmentarzu“; odwieczne to portrety, od pleśni czasu zmurszałe, ale nie czuć ich zgnilizną, bo autor nie idealizuje swoich postaci, ale przekazuje je potomstwu, jako miłą pamiątkę zamierzchłej epoki.

Pamiątką również jest wydany niedawno zbiorek nowel, szkiców, obrazków przedwcześnie zmarłego literata i dzienikarza, ś. p. Jana Barszczewskiego, ujętych pod ogólnym nagłówkiem „W Kastelu“. Jest tu kilka wrażeń z podróży, którą zmarły odbył w r. 1898 na zjazd międzynarodowy dziennikarzy w Lizbonie: „Trzy dni w Madrycie“, „Z podróży do Lizbony“, „Z podróży nad Tagiem”. Jest kilka szkiców moralno społecznych, w których kryje się myśl głęboka, a zacna, jak „Filistrzy“, „Sumienie“, „Żona“, „Serce“; pozwolimy sobie przytoczyć słowa piękne i gorące, któremi autor kończy ostatni z wymienionych urywków: „zaprawdę, należy kształcić rozum, ale zawsze i przedewszystkiem kształćmy serce, aby nie tylko było dobrem, lecz i silnem, nie tylko litościwem, lecz i surowem, nie tylko miłującem, lecz i karzącem... a zawsze czystem! Takie serce jest opoka...“

Są tu wreszcie i dwie nowelki. Pierwsza, „W Kastelu“, która dała tytuł całemu zbiorkowi, opisuje przygody dwustu kilkudziesięciu żołnierzy polskich, internowanych w r 1833 w Kastelu Tryesteńskim; druga, „Bryła“, zawiera sympatyczną sylwetkę młodego pedagoga, który daremnie stara się pozyskać miłość swoich uczniów. Plastyki tu może niewiele, ale uczucia zdrój tryska obfity.

Jesteśmy w prawdziwym kłopocie, chcąc ocenić ostatnie utwory Rodziewiczówny. Cenimy talent pisarski autorki „Dewajtisa”— tem przykrzej więc nam stwierdzić, że talent ten marnuje się w robotach, wykonywanych „na zamówienie”. Nowych wrażeń życiowych nie stało; snuje się więc jedną powieść za drugą — z głowy. Karkołomne nieprawdopodobieństwa piętrzą się, jak skały, rękami olbrzymów jedne na drugie zwalone; fantazya autorki harcuje

z wiatrem w zawody, psychologia z logiką idą w kąt. Bo czyż kto widział kiedy takiego człowieka, jak bohater tytułowy „Magnata”? Autorka przypomniała sobie bajeczkę o Maciusiu - piecuchu, co przy pomocy czarodziejskiego konia przedzierzga się w pięknego rycerza, wjeżdża na szklanną górę i zdobywa królewnę, a z nią koronę; wyposażyła więc p. Aleksandra Kalinowskiego, ubogiego, choć z dobrego rodu szlachcica, w klacz krwi arabskiej i puszcza go w świat. I dalej — jak w bajce. Jakiś zaklęty dwór, w którym „coś” straszy, bo dawne jego właścicielki, trzy stare kobiety, kazały pochować się w podwórzu, tuż przed gankiem. Nasz Maciuś-Kalinowski strachów się nie boi; kupuje dwór — bez grosza w kieszeni. W jaki sposób zrujnowany majątek doprowadza do stanu kultury i spłaca należność, — to tajemnica autorki. Królewny zdobyć mu nie pozwolono, bo hrabianka, która jest w jego myśli celem, poniewiera nim i wychodzi sobie za innego. Wtedy Kalinowski na tym samym koniu skacze w jar — i kark sobie kręci. Nie! nic podobnego świat i korona polska nigdy nie widziały! A jest jeszcze klucz tajemniczy, który nasz bohater otrzymuje w spadku po dawnych właścicielkach folwarku; spodziewaliśmy się tu conajmniej ukrytego skarbu — gdzie tam! klucz otwiera jakiś lamus, a w nim — trzy stare suknie koronkowe. I tu więc zawód.

Rodzoniuteńkim bratem Kalinowskiego jest Dyzma Kryszpin, bohater powieści „Na wyżynach” (Biblioteka dzieł wyborowych, Nr. 158 i 159), podobnież zacietrzewiony w cnocie i honorze aż do potworności. Nie będziemy tu wyliczali wszystkich jego perypetyi; przytoczymy tylko epizod najjaskrawszy: Kryszpin w zakończeniu powieści zrzeka się milionowego spadku po wuju na rzecz kuzyna, Niemca, brzydkiego skąpca i dorobkiewicza, byleby mu ów kuzyn oddał swoje dziecko, a jego bratanka; chce bowiem wychować chłopca po polsku i po katolicku. Postępek z gruntu niekonsekwentny; jeżeli bowiem Kryszpin jest aż tak do niemożliwości szlachetnym, powinien i na ten raz jeszcze uczynić ofiarę ze swego „ja” i wziąć w posiadanie fabrykę, by położyć kres nadużyciom i wyzyskowi robotników, jakich się tamci dopuszczali — no, i w dalszym ciągu dopuszczać się będą.

Albo i „Nieoswojone ptaki” — nic wspólnego z życiem realnem nie mają. Różni bowiem są łajdacy na świecie, ale takiego łotra, jak Jan Stankar, malarz, trudno znaleźć: katuje żonę — to nic! zdarza się i to; ale nie pozwala jej odejść od siebie, ściga po świecie, aby ją w dalszym ciągu katować. A po tem wszystkiem ma

czelność skarżyć się, że żona straciła doń serce; prawdziwy Sinobrody z bajki.

O postaciach drugoplanowych we wszystkich trzech powieściach niema co nawet mówić; do chińskich one cieniów podobne.

Szkoda i jeszcze raz szkoda talentu.

Nie powiodło się piórom kobiecym w ostatniej dobie. P. Kowerska dała nam np. „Z pamiętników ornitologa". Postać tytułowa, Jan Szewłowski, podtatusiały kawaler, niezgrabny pedant, jak wszyscy uczeni, to figura z parawana; przypomina co najwyżej śmiesznych entomologów, botaników, geologów z powieści Meyne-Reida. Intryga i tu mało prawdopodobna: p. Jan Szewłowski otrzymuje niespodziewanie wielki spadek po przyjacielu, skąd ma tysiące kłopotów! Ale szczęśliwie zjawia się p. Johann Szewlawski, zniemczony Polak, oświadczając, że jego miał na myśli spadkodawca—i zabiera „ornitologowi" majątek z przed nosa. Przypomina się temat „Poskromienia złośnicy" i tylu innych komedyi aż do „Jowialskiego" i „Błażka opętanego": pijanego chłopa przebrano za pana (lub króla), napędzono strachu rozlicznymi niepokojami, a potem znów w błocie porzucono. I pomysłowości brak i plastyki w charakterach.

P. Anna Neumanowa, wydrukowawszy niedawno garść wrażeń z podróży, dała teraz wiązankę nowelek p. t. „Ze świata" (Biblioteka dzieł wyborowych Nr. 161). O talencie ich autorki nic stanowczego orzec jeszcze nie można; są to rzeczy zbyt drobne, szkicowe, a mające przeważnie za przedmiot miłość—szczęśliwą lub nieszczęśliwą. Autorka dużo podróżowała, wielu różnorodnych wrażeń doznała, materyału doświadczalnego zebrało się sporo; to też nowelki, które osnute są na wspomnieniach z podróży, o wiele lepsze; inne — obracają się około tematów zużytych i zbanalizowanych.

Mamy wresznie kilka debiutów.

Jeden, p. Michaliny Domańskiej, nie udał się najzupełniej; wypadki, opowiedziane w jej powieści p. t. „Brzydka" (Biblioteka dzieł wyborowych Nr. 164) są nazbyt powszednie, pospolite, ażeby w nich mogła się odmalować dusza ludzka; charaktery powierzchowne, psychologia—z wyjątkiem może bohaterki, i to nie zawsze—płytka. Przytem język ohydny, na dowód czego przytoczę kilka takich kwiatków: „sprowadzono mi pierwszą długą suknię z a wyborem i pośrednictwem którejś z nauczycielek"; „g ł o w a m i się kręci"; „t o a l e t a nasza miała się o d b y ć na miejscu"; „dlaczego kobiety brzydkie są i g n o r o w a n e, p r z e m i l c z a n e kompletnie"; „o p u ś c i ł a s i ę na fotel" (!); albo np. taki „nastrój" dworca kolejowego: „męczy mnie ta nerwowość, wisząca w powietrzu, to zatoko-

wanie się każdego we własnych sprawach, ta bezbrzeżna obojętność i tymczasowość tła" (!!).

O wiele więcej obiecującym jest pierwszy występ młodego autora, ukrywającego się pod pseudonimem Feliksa Habdanka; jest to „Azaryasz, studyum". Nie studyum to atoli i nie nowela, ale fantazya, a raczej alegorya. Azaryasz uchodzi na pustynię, aby tam być bliżej Boga. Ale Boga nie znalazł i po latach wielu przekonał się, że służyć Mu należy nie modlitwą jałową, lecz czynami, mającymi na celu dobro współbraci; wsparty na ramieniu wnuka obchodzi kraj cały, ucząc, krzepiąc i podnosząc duchy. Utwór zaleca się piękną myślą, chociaż w wielu miejscach siły nie dopisały autorowi; przemowa np. Azaryasza do tłumu, która powinna być szczytem potęgi, rozlewa się w czczych ogólnikach. Przytem treść nie jest dość ściśle dostosowaną do myśli przewodniej, przez co alegorya staje się nieco zamgloną. Szczerze możemy zachęcić autora do dalszej pracy.

O „Zmierzchu" p. Krzywoszewskiego nic dodatniego powiedzieć nie możemy: majaczeje tu nam przed oczami kilka sylwetek, kilka sytuacyi, w których nie zawiera się nic charakterystycznego ani dla osób, występujących tu, ani dla tła, na którem wszystko się rozgrywa.

I to już wszystko.

— Jakto — wszystko? A „Zginęła głupota!" Mieroszewicza? a „Szał miłości" Starkmana"? przecież to sensacya dnia!

— Może, ale w tych kwestych nie mam zdania.

— Cóż za purytanizm! Przecie tam wyśmienicie przedstawiono rodzinę mecenasostwa X., wydawcę Y., bankiera Z.? Przewybornie! i nazwiska bardzo niewiele zmienione; każdy odrazu się domyśli.

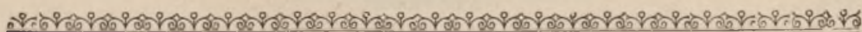
— Sądzę, że obchodzić to może jedynie przyjaciół mecenasostwa X., wydawcy Y., bankiera Z., a bardziej jeszcze—ich nieprzyjaciół. A że ja nie jestem ani ich przyjacielem, ani nieprzyjacielem, więc . . .

— Jednakże to bardzo ciekawe.

— Nie dla mnie... Nie o wszystkiem zresztą pisać warto...

Henryk Galle.





DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

W WARSZAWIE

(1875 — 1900).

Po ciężkich przejściach w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia i w następstwie upadku życia społecznego i ekonomicznego kółko ludzi dobrej woli zaczęło się krzątać około wytworzenia rozmaitych instytucyi publicznych, aby dopomódz podźwignięciu się kraju. Wtedy to powstały kolejno w Warszawie wszystkie najważniejsze instytucye, istniejące dotychczas ku ogólnemu pożytkowi, jak: Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, Towarzystwo Kredytowe Miejskie, Towarzystwo Ubezpieczeń od ognia, Banki: Handlowy i Dyskontowy. Wtedy też jeden z głównych inicyatorów pracy społecznej, Jan Tadeusz ks. Lubomirski, powziął myśl założenia w Warszawie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, jako instytucyi, którаby gromadzeniem wzorowych okazów, odpowiednim księgozbiorem i rozmaitemi pomocniczemi pracowniami przyczyniała się do rozwoju przemysłu, rolnictwa i rzemiosł w kraju.

Ustawa, wydana na imię tegoż ks. Lubomirskiego oraz Józefa hr. Zamoyskiego, Jakóba Natansona i domu handlowego Hille i Diet-

trich, jako pierwszych założycieli, zatwierdzona w dniu 5 czerwca 1875 r., nosiła na sobie cechy ówczesnych warunków, stosowanych do podobnego rodzaju przedsięwzięć w naszym kraju. Muzeum nie tylko nie korzystało z zapomóg ani ulg, zwykle zapewnianych w szerokiej mierze podobnym instytucyom zagranicą i w cesarstwie, ale nadto poddane zostało pewnym w swej organizacyi ograniczeniom, utrudniającym jego swobodny rozwój. Członkami Muzeum mogły być jedynie osoby, płacące najmniej 25 rb. składki rocznej, a wybór ich podlegał zatwierdzeniu ministra skarbu. Przytem nie mieli oni żadnych praw ani wpływu na losy instytucyi; komitet w liczbie 12 osób, kierujący instytucyą, nie był wybierany przez ogół członków Muzeum, lecz w miarę otwierania się wakansów sam wybierał i zapraszał kandydatów do swego grona. Nie był też obowiązany do składania sprawozdań ze swych czynności i obrotu funduszów. Wszystko to pozbawiało instytucyę szerszej podstawy i związku ze społeczeństwem i utrudniało wielce jej rozwój.

Mimo to, skoro tylko pozyskano ustawę, znalazło się grono ludzi, którzy pośpieszyli ze złożeniem bardzo znacznego, jak na owe czasy, funduszu, w ogólnej sumie 68,600 rb., i wzięli się gorliwie do wprowadzenia instytucyi w życie.

Tymi pierwszymi założycielami Muzeum, którzy złożyli na jej rzecz jednorazowo przynajmniej po 3,000 rb., byli oprócz wymienionych już: ks. Lubomirskiego, hr. Zamoyskiego, J. Natansona i domu handlowego Hille i Diettrich, Jan i—Berson, Jan Gotlieb Bloch, ś. p. Pelagia hr. Branicka, ś. p. Władysław hr. Branicki, Mieczysław Epstein, ś. p. Ludwik hr. Krasiński, ś. p. Leopold Kronenberg (ojciec), ś. p. Władysław Kronenberg, ś. p. Wilhelm E. Rau, b. p. Henryk Reichman, ś. p. Karol Scheibler, Feliks hr. Sobański, ś. p. Karol Szlenker, Aleksander Temler, Juliusz Wertheim, ś. p. Stanisław Wołowski, ś. p. Tomasz hr. Zamoyski i ś. p. Jan Zawisza.

Założyciele wybrali z pośród siebie pierwszy komitet w następującym składzie: K. Diettrich, M. Epstein, L. Krasiński, W. Kronenberg, J. ks. Lubomirski, J. Natanson, E. Rau, K. Szlenker, S. Wołowski, J. Wertheim, J. hr. Zamoyski. Komitet zaprosił na prezesa L. Krasińskiego, a na vice-prezesów: F. Sobańskiego i J. Natansona, urząd zaś dyrektora Muzeum powierzył b. profesorowi i dziekanowi wydziału fizyczno-matematycznego b. Szkoły Głównej, ś. p. Stanisławowi Przystańskiemu.

Ze sprawozdania działalności Muzeum, ogłoszonego drukiem w r. 1885 za lat 10, wypada przypomnieć, że komitet starał się od

samego początku istnienia Muzeum wprowadzić w życie wszystko, do czego ustawa go upoważniła. Jakoż bezzwłocznie po zatwierdzeniu ustawy w wynajętym przy placu Krasińskich lokalu pomieszczono Muzeum, na które złożyło się z górą 2,000 rozmaitych okazów z działów przemysłu i rolnictwa, przeważnie z ofiar pochodzących.

Z kolei urządzone zostały przy Muzeum: 1) W 1876 r. „Pracownia chemiczna", pod kierunkiem magistra nauk przyrodniczych, b. asystenta chemii przy uniwersytecie warszawskim, Napoleona Milicera, który ją do dnia dzisiejszego prowadzi; 2) w tymże czasie biblioteka, która z biegiem czasu doszła do 1778 tomów dzieł, przeważnie mających związek z przemysłem, rolnictwem, rzemiosłami i wogóle naukami ekonomicznemi; 3) w 1877 r. sale rysunkowe dla młodzieży męskiej i żeńskiej, przeważnie stanu rzemieślniczego, z zasiłku, specyalnie na ten cel udzielonego przez ś. p. W. Kronenberga. Sale te od samego początku cieszyły się wielkiem powodzeniem, i z nich to powstała z czasem wielce pożyteczna samodzielna instytucya, znana pod nazwą „Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej"; 4) i wreszcie w roku 1880 „Stacya oceny nasion" pod kierunkiem d-ra Antoniego Sempołowskiego, który ją prowadził aż do powołania go na kierownika takiejże stacyi w Sobieszynie w r. 1895.

Równocześnie Muzeum w celu popierania przemysłu i rzemiosł urządzało szereg wystaw czasowych, a w celu szerzenia wiedzy praktycznej— szereg odczytów z rozmaitych gałęzi nauk ścisłych i stosowanych. I tak: już w r. 1876 urządziło Muzeum pierwszą „wystawę wyrobów ślusarskich, szewckich, rymarskich i t. p."; w roku 1877 urządzono „wystawę pracy kobiet"; w r. 1878 „wystawę wyrobów z drzewa, gliny i szkła"; w r. 1880 „wystawę wyrobów tkackich"; w r. 1881 „wystawę wyrobów krajowych", przeznaczonych na wystawę powszechną w Moskwie; w tymże roku: „wystawę dzieł sztuki w zastosowaniu do przemysłu" i wreszcie w r. 1881 „wystawę ogrodniczą". Urządzenie wystaw na większą skalę utrudniał wielce brak własnego odpowiedniego pomieszczenia, skutkiem czego wystawy: „tkacka z r. 1880" i „dzieł sztuki w zastosowaniu do przemysłu" z r. 1881 urządzone zostały, za pozwoleniem ówczesnego naczelnika kraju, w salonach b. pałacu Brühlowskiego, a wystawa ogrodnicza w dawniejszej sali i ogrodzie b. Doliny Szwajcarskiej. Gdy jednak pałac Brühlowski oddano i przebudowano na pomieszczenia stacyi telegraficznej, a Dolinę Szwajcarską sprzedano, obok tego zaś władze zaczęły ściślej przestrzegać § 20 dawniejszej ustawy, mocą którego wystawy czasowe miały być urządzane we włas-

nym lokalu muzealnym,—urządzanie wystaw w szerszym zakresie stało się wielce utrudnionem.

Odczyty w pierwszem dziesięcioleciu swojego istnienia Muzeum urządzało z zakresu fizyki przemysłowej, z historyi gospodarstwa leśnego, z botaniki: „o żywieniu się roślin" i wreszcie: „o świetle elektrycznem", które w owej porze stanowiło nową zdobycz zarówno wiedzy, jak i przemysłu. Ze względu zaś na wielkie znaczenie przemysłu cukrowniczego dla naszego kraju Muzeum kilkakrotnie urządzało systematyczny szereg odczytów o cukrownictwie, połączonych z doświadczeniami w pracowni chemicznej i innemi praktycznemi zajęciami; odczyty te ułatwiły młodzieży gruntowniejsze obznajmienie się z przedmiotem.

Trwalszą pamiątką wystawy dzieł sztuki w zastosowaniu do przemysłu z r. 1881 jest wydane staraniem i nakładem ówczesnego prezesa komitetu, L. Krasińskiego, wspaniałe album fotograficzne z reprodukcyami licznych artystycznych okazów mebli, bronzów i t. p. przedmiotów, mogących służyć za wzory dla krajowego przemysłu i rzemiosł.

Wystawa zaś ogrodnicza, urządzona w r. 1881, przyniosła jeszcze pożyteczniejsze owoce, gdyż dała inicyatywę do zawiązania Towarzystwa Ogrodniczego, uorganizowanego po zatwierdzeniu odpowiedniej ustawy w r. 1884. Najważniejszem jednak z pierwszego dziesięciolecia istnienia Muzeum jest zapewnienie temuż własnej siedziby. W tej doniosłej sprawie dla dalszych losów instytucyi położył szczególne zasługi prezes L. Krasiński, który nie tylko kilka lat troskliwej pracy, ale nadto i znaczny bardzo, bo z górą 70,000 rb. wynoszący fundusz, w gotowiźnie na ten cel ofiarował. Należy tu z wdzięcznem uznaniem podnieść wieloletnie usiłowania i zasługi Krasińskiego około rozwoju i utrwalenia bytu Muzeum, które przez cały czas jego prezesury zasilał coraz nowemi ofiarami, ilekroć tego zachodziła potrzeba lub ilekroć chodziło o nową gałąź działalności, a brakowało na to funduszów. A potrzeba była częstą, bo kupno i przebudowanie nieruchomości muzealnej kosztowało z górą 230,000 rub. Pochłonęło więc ono nie tylko cały pierwotnie dla Muzeum przez członków założycieli złożony fundusz, również jak i dodatkowo przez większość z pomiędzy nich dodane po 3,000 rb. w ogólnej sumie 36,000 rb., ale nadto zaciągniętą w Towarzystwie Kredytowem Miejskiem pożyczkę w sumie 60,000 rb. i dodatkowo ofiarowane przez Krasińskiego jak wyżej 70,000 rb. Skutkiem tego Muzeum przez długi czas, jako jedyne środki utrzymania, opłacania rat Towarzystwa Kredytowego i innych ciężarów oraz po-

trzeb, posiadało tylko nieznaczne dochody z nieruchomości i składki od członków, których liczba z przyczyn, na wstępie wymienionych, bardzo wolno wzrastała. Ofiary też nadzwyczajne od osób postronnych słabo i wyjątkowo napływały, tak, że rachunki roczne często zamykały się niedoborami, przez prezesa i członków komitetu wyrównywanymi.

Mimo ten chroniczny brak funduszów, który utrudniał i utrudnia dotychczas rozwój Muzeum, zwłaszcza głównego jego zadania, a mianowicie wytworzenia poważnego zbioru nauczających okazów trwałej wartości, można śmiało powiedzieć, że instytucya ta z chwilą pozyskania własnego gmachu z obszerną salą na wystawy i odczyty, należącą do największych w mieście, wstąpiła w nowy okres działalności. Stopniowo w murach Muzeum znalazły przytułek i schronienie prawie wszystkie stowarzyszenia, instytucye i wydawnictwa, mające na celu rozwój pracy społecznej na wszystkich polach, korzystając przytem ze strony Muzeum z rozmaitych ułatwień i udogodnień. Tu się kolejno pomieściły: 1) oddział warszawski Najwyżej zatwierdzonego Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu ze wszystkiemi jego sekcyami; 2) redakcye: „Wszechświata", „Pamiętnika Fizyograficznego", „Przeglądu Technicznego" i „Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczej"; 3) wystawa stała prób i wzorów, zwinięta w r. 1899; 4) wzmiankowane już „Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej" z salami rysunkowemi, istniejącemi w głównym gmachu od r. 1892 i dodatkowo otworzonemi w roku 1899 w domu, do Muzeum należącym, przy ulicy Składowej, w lokalu, bezpłatnie na ten cel użyczonym; 5) w roku 1897 „Zbiory etnograficzne"; 6) pracownia i kursy piwowarskie od roku 1898-go w domu przy ulicy Składowej; 7) centralne laboratoryum cukrownicze, otworzone w r. 1899, tamże pomieszczone, i wreszcie 8) założone w r. 1898 Towarzystwo hygieniczne. Oprócz tego sale publiczne Muzeum służą już to bezpłatnie, już za umiarkowanem wynagrodzeniem dla zebrań, odczytów i przedstawień, urządzanych przez rozmaite społeczne i dobroczynne instytucye w widokach pożytku ogólnego.

Co się tyczy bezpośredniej działalności Muzeum, wielką w tej mierze stratą był najprzód zgon J. Natansona, który w pierwszych latach ze szczególną gorliwością zajmował się wprowadzeniem w życie różnych pracowni przy Muzeum, a następnie zgon (r. 1887) pierwszego dyrektora Muzeum, S. Przystańskiego; zgon ten z konieczności spowodował na czas pewien przerwę w ciągłości prac i rozwoju instytucyi. Na jego miejsce powołany został zasłużony profesor botaniki b. Szkoły Głównej i Uniwersytetu Warszawskiego, prezes

Towarzystwa Ogrodniczego, Jerzy Aleksandrowicz. I jemu jednakże nie sądzono dłużej instytucyi służyć: po dłuższej chorobie, utrudniającej znaną jego gorliwość i gotowość służenia dobru ogólnemu, zmarł w r. 1893. Po jego śmierci pełnił przez lat kilka zastępczo obowiązki dyrektora z wielką energią i pożytkiem dla instytucyi Lucyan Wrotnowski. Gdy zaś inne ważne zajęcia, spowodowane w znacznej mierze stratą prezesa komitetu, L. Krasińskiego, w r. 1895 zmusiły p. Wrotnowskiego do usunięcia się od sprawowanych bezinteresownie obowiązków, sprawami Muzeum zarządzała przez rok z górą delegacya: złożona z trzech członków komitetu, d-ra Karola Beniego, Władysława Lepperta i Stanisława Natansona, aż nareszcie od dnia 1-go kwietnia 1897 r. na stanowisko dyrektora Muzeum komitet powołał magistra nauk przyrodniczych, Józefa Leskiego. Posada prezesa komitetu po zgonie L. Krasińskiego pozostała nieobsadzona, obowiązki zaś prezesa z wyboru komitetu pełnił od tej pory zastępczo vice-prezes, S. Rotwand. Skład komitetu ulegał też z biegiem czasu licznym zmianom, spowodowanym przeważnie przez śmierć, a w rzadszych wypadkach przez usuwanie się członków od przyjętych obowiązków. Zmarli w r. 1884 J. Natanson; w r. 1889 T. Zamoyski; w r. 1892 W. Kronenberg; w tymże roku S. Wołowski; w r. 1895 L. Krasiński; w r. 1896 zaproszony na miejsce J. Natansona dr. L. Natanson, i wreszcie w r. 1899 W. E. Rau; usunęli się zaś z komitetu w r. 1889 K. Szlenker; w r. 1890 K. Strassburger; w r. 1891 M. Epstein; w r. 1892 — J. T. Lubomirski. Na stanowisku — z pierwotnych członków wytrwali, służąc instytucy przez ćwierć wieku: pp. F. Sobański i J. Wertheim, którym za ich tyloletnią ofiarność obywatelską należy się serdeczna od instytucyi i jej komitetu wdzięczność.

Co do działalności bezpośredniej Muzeum po przeniesieniu instytucyi do nowego gmachu, to krępowana chronicznie brakiem funduszów i szerszego poparcia ze strony ogółu, polegała głównie na dalszem prowadzeniu i stopniowem udoskonalaniu pracowni i stacyi, poprzednio przez Muzeum założonych, oraz uzupełnianiu ich nowemi gałęziami, wymagającemi więcej gotowości do służby obywatelskiej, aniżeli pieniężnych nakładów.

Pracownia Chemiczna z chwilą przeprowadzenia do gmachu Muzeum znalazła dogodniejsze pomieszczenie w kilku pokojach, odpowiednio do potrzeby urządzonych i tak wyposażonych, aby obok kierownika pomieścić mogła jeszcze kilku pracowników, chcących doskonalić się w chemii analitycznej.

W pracowni tej w czasie ubiegłych ostatnich 15 lat wykona-

no 2,893 rozbiory materyałów przemysłowych, rolnych i spożywczych na żądanie władz sądowych, zakładów przemysłowych, komitetu Muzeum, zarządu warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu i osób prywatnych. Oprócz tego w tymże czasie doskonaliło się przy pomocy kierownika pracowni, prof. Milicera, w pracach zawodowo-chemicznych, cukrowniczych i innych technicznych 113 osób, prawie wyłącznie młodzieży, wstępującej na drogę działalności fabrycznej. Nadto, w ciągu pierwszych 12 lat, wykonywane były w pracowni co tydzień doświadczenia chemiczne dla słuchaczów specyalnych kursów I-go i II-go Szkoły handlowej imienia L. Kronenberga, i wreszcie, w czasie pomiędzy 1885 a 1898 r., prowadzone były sześciokrotnie w miesiącach letnich ze współudziałem rozmaitych pracowników cukrowni rozbiory chemiczne w zastosowaniu do przemysłu cukrowniczego, które w braku szkół specyalnych były bardzo pożyteczne dla rozwoju cukrownictwa i uzupełnienia wiadomości fachowych jego współpracowników.

S t a c y a o c e n y n a s i o n pozostawała do r. 1895 pod kierunkiem d-ra Sempołowskiego; poczem kierownictwo jej objął Zdzisław Zieliński. W okresie od 1885 do 1899 r. włącznie stacya zbadała 8,693 próby różnych nasion na żądanie składów rolniczych nasion, sekcyi cukrowniczej i rolnej warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu oraz ziemian. Dalestacya udzielała wskazówek, dotyczących nasionoznawstwa, uprawy łąk i pastwisk, i zajmowała się ułożeniem odpowiednich zielników. W tych wszystkich celach nawiązano stosunki z 12 podobnemi stacyami zagranicznemi.

W r. 1892 zwiedzili stacyę delegat Ministeryum dóbr państwa W. W. Czerniajew i A. M. Kozłowski, czego następstwem było wyjednanie zapomogi od Ministeryum dóbr państwa dla Stacyi na przeciąg lat trzech po rb. 300 rocznie i jednorazowej na wzbogacenie środków stacyi w ilości rb. 500.

W r. 1897 stacya wprowadziła szczegółowy regulamin sprawdzania i oceniania nasion, połączony z plombowaniem worków z nasionami w składach, związanych ze stacyą odpowiednią umową. Worków takich, poddanych sprawdzeniu czystości nasion, oplombowano: w 1897 r. — 88; w 1898 r. — 112 i w 1899 r. — 635; a szybki ten postęp przemawia za uznaniem przez strony zainteresowane pożyteczności zaprowadzonego porządku.

W tymże 1897 r. urządzony został na tyłach posesyi Muzeum ogród doświadczalny dla stacyi w celu prowadzenia szkółki traw

i roślin pastewnych, a także dla sprawdzenia czystości nasion, nadsyłanych do oceny. Na utrzymanie ogrodnika, potrzebnych narzędzi i prenumeratę pism specyalnych komitet w ostatnich latach łożył oddzielnie około rb. 300 rocznie, obok zaś tego na przedstawienie komitetu Muzeum Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa podwyższyło zapomogę od roku 1898 do wysokości rb. 500 rocznie.

Cyfra dokonywanych ocen nasion na żądanie osób zainteresowanych wzrastała z roku na rok:

w roku 1895/6 wynosiła 559,
„ 1896/7 „ 672,
„ 1897/8 „ 869 i
„ 1898/9 „ 1397,

co zdaje się świadczyć najlepiej o istotnym pożytku tej gałęzi działalności Muzeum dla rolnictwa. Wiele do obecnego rozwoju tej stacyi przyczynił się zakup narzędzi i przyrządów ulepszonych z funduszów Muzeum, a także delegowanie kierownika stacyi zagranicę kosztem Muzeum w celu zaznajomienia się z podobnemi instytucyami. Stacya ogłasza drukiem swe sprawozdania corocznie od lat 19-tu.

S a l e r y s u n k o w e, zapoczątkowane w roku 1877, istniały przy Muzeum przemysłu i rolnictwa do 1892 roku; w roku tym z pomocą kilku znaczniejszych zapomóg, z których najgłówniejszą stanowiła suma 15,000 rb., ofiarowana przez p. Hipolita Wawelberga, zamienione zostały na samodzielną instytucyę pod nazwą Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej, istniejącą formalnie przy warszawskim oddziale Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu.

Muzeum przemysłu i rolnictwa przyczyniło się wielce do ułatwienia założenia i utrzymania Muzeum rzemiosł, oddając temuż do użytku w gmachu głównym za nizką bardzo roczną opłatą, a mianowicie rb. 1,000, lokal, złożony z 8 obszernych salonów, jak niemniej wszystkie posiadane w salach rysunkowych wzory, modele, okazy, meble i inne sprzęty. Nadto, gdy w roku zeszłym lokal w gmachu Muzeum okazał się za szczupłym wobec coraz liczniej napływającej młodzieży, pragnącej doskonalić się w rysunku, Komitet oddał dodatkowo bezpłatnie do dyspozycyi Muzeum rzemiosł dwa obszerne salony w gmachu przy ulicy Składowej, gdzie co wieczór gromadzi się również liczna młodzież rzemieślnicza dla kształcenia się w rysunku.

W czasie od 1885 do 1892 roku uczęszczało ogółem do sal rysunkowych Muzeum przemysłu i rolnictwa, za opłatą roczną po rs. 6

od mężczyzn i rb. 10 od kobiet: na rysunki techniczne mężczyzn 836

„ „ ręczne	„	401
	kobiet	346
	Razem osób . . .	1,583

W ostatnich zaś latach liczba osób ze sfery przeważnie rzemieślniczej, uczęszczających do sal rysunkowych, przez Muzeum przemysłu i rolnictwa na ten cel w obu domach użyczonych, wynosiła corocznie z górą 400 osób.

Biblioteka Muzeum, która w r. 1885 liczyła 466 dzieł w 749 tomach, treści przemysłowej, technicznej, rolnej, przyrodniczej i artystycznych wzorów rzemieślniczych, powiększona dalszymi darami, została skatalogowaną w 1894 roku. Inwentarz jej wykazuje 1,334 numerów i 1,778 tomów różnych dzieł, broszur i katalogów.

Brak odpowiedniego pomieszczenia utrudnia rozwinięcie dalsze biblioteki. Jest nadzieja jednakże, że zamierzona nowa budowa o której oddzielna będzie wzmianka, zdoła brakowi temu zaradzić.

Wystawy. Niemożność pozyskania dość obszernego miejsca na czasowe wystawy i potrzeba kilkoletniego czasu do przebudowania nabytej posesyi spowodowały 5-cioletnią przerwę w urządzaniu wystaw.

Pierwszą, we własnym gmachu urządzoną, była wystawa nasion i roślin gospodarskich w 1886 r., następnie przez szereg lat prawie rok rocznie ponawiana, przybierając stopniowo coraz więcej charakter handlowy.

Wystawy te odbyły się w r. 1886, 1887, 1888, 1890, 1891, 1892, 1894 i 1896. Od 1890 r. weszły w ich program także nawozy sztuczne, produkty domowego gospodarstwa wiejskiego, mlecznego oraz przyrządy i narzędzia, do wyrobu produktów mlecznych służące. Każda z wystaw trwała 10 — 14 dni, a ogółem uczestniczyło w nich 558 wystawców, którym przyznano 445 nagród, odznaczeń i podziękowań. Gdy zaś prezydyum sekcyi rolnej warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu podjęło myśl i starania urządzenia stałych jarmarków nasion na wzór jarmarków wełny i chmielu, wymagających obszernych pomieszczeń, dostępnych dla dowożonych transportów nasion, uznano za odpowiedniejsze, aby wystawy takie odbywały się pod opieką magistratu w zabudowaniach składów kantoru Banku państwa. Wobec tego komitet Muzeum zaniechał dalszego ich urządzania.

W dziale przemysłu i rękodzieł pierwszą wystawą w gmachu własnym była urządzona w 1886 r. „Wystawa odzieży i sprzętów

mieszkalnych"; następnie w 1888 r. odbyły się dwie wystawy: „wyrobów tkackich" i „wyrobów z drzewa, gliny, szkła i zabawek"; w 1889 r. miała miejsce „wystawa pracy kobiet"; w 1890 r. „wystawa wyrobów drobnego przemysłu", wchodzącego w zakres handlu wywozowego; w 1893 r. „wystawa skór, wyrobów ze skóry i tapicersko-dekoracyjnych"; wreszcie w 1895 r. „wystawa wyrobów metalowych". Ta, przerastając rozmiarami obszar pomieszczeń, jakiemi dysponuje Muzeum, odbyła się w zabudowaniach cyrku przy ulicy Ordynackiej i w przyległym ogrodzie Konserwatoryum muzycznego i cieszyła się wielkiem powodzeniem, które głównie zawdzięczać należy gorliwej pracy i energicznemu kierunkowi L. Wrotnowskiego.

Każda z wymienionych wystaw przemysłowych trwała od 2 do 3 miesięcy; ogółem wzięło w nich udział 1,734 wystawców; dyplomów zasługi i uznania, medali złotych, srebrnych, bronzowych i listów pochwalnych przyznano i wydano wystawcom 1,162 sztuki, a ostatnia wystawa przyniosła Muzeum czystego dochodu z górą rb. 5,000.

W 1889 roku urządzoną była wielka i piękna „wystawa dzieł starożytnej i nowożytnej sztuki stosowanej", umieszczona na obu piętrach gmachu, w której przyjęło udział 424 wystawców.

Ogółem Muzeum urządziło samodzielnie w ciągu 25-ciu lat — 23 wystaw, w których uczestniczyło 3,401 wystawców i rozdano 1,824 różne nagrody. Oprócz tego Muzeum przemysłu i rolnictwa brało czynny udział w kilku wystawach, urządzanych w gmachu muzealnym z inicyatywy Muzeum rzemiosł, a mianowicie w r. 1894 w „Wystawie afiszów", w r. 1895 w „wystawie umeblowań stylowych"; w 1897 — w „wystawie introligatorskiej".

Zbiory wartościowe, będące głównem zadaniem Muzeum, dotychczas stanowią najsłabiej rozwijającą się stronę jego działalności. Trudno jednak o to obwiniać komitet Muzeum, jeśli się zważy, że tu najmniej dobra wola i gorliwa praca wystarcza. Muzea, istniejące za granicą: w Berlinie, Wiedniu, Monachium i innych licznych miastach niemieckich, mają krociowe zapomogi od państwa i miast, które im głównie służą do kompletowania zbiorów i jednocześnie pobudzają ofiarność publiczną. Muzeum Stieglitzowskie w Petersburgu posiada kilka milionów rubli żelaznego funduszu, od którego procenty płyną na pomnażanie jego wspaniałych zbiorów. Tymczasem Muzeum warszawskie żadnych zgola wpływów ani też stałych funduszów na ten cel nie posiada, a z trudem osiągane niewielkie dochody zmuszone jest obracać na cele pilniejsze i przyno-

szące więcej bezpośredniego pożytku. Nieliczne dotychczas zgromadzone przedmioty, uporządkowane i spisane w 1892 roku, liczą 1,230 okazów przemysłowych i 820 rolnych. Wartościowe okazy sztuki czystej i stosowanej oraz rzemieślnicze oddane zostały w 1893 roku do użytku Muzeum rzemiosł, gdzie wystawiono je na widok publiczny. Pozostałe, podobnie, jak biblioteka, czekają powiększenia lokalności muzealnych, aby znaleźć dla siebie odpowiednie pomieszczenie.

* * *

Inne gałęzie działalności Muzeum, poczęte już w nowym gmachu, są następujące:

S t a c y a m e t e o r o l o g i c z n a, założona w r. 1885, przy współudziale warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu z inicyatywy ś. p. Eugeniusza Dziewulskiego, magistra nauk fizyko-matematycznych b. Szkoły Głównej, której kierownictwo powierzone zostało i dotąd pozostaje w ręku p. Władysława Kwietniewskiego, — mieści się w specyalnym w tym celu zbudowanym lokalu, znajdującym się w szczycie nowowzniesionego gmachu muzealnego od strony Wisły, wyposażonym odpowiednim tarasem ponad dachem dla dokonywania spostrzeżeń.

Stacya, dzięki ofiarności L. Krasińskiego, zaopatrzoną została w potrzebne przyrządy nakładem rb. 816 kop. 50. Na jej utrzymanie i zakładanie stacyi prowincyonalnych łożyły i dotąd łożą cukrownie za pośrednictwem sekcyi cukrowniczej warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu rocznie od rb. 1,500 do 2,000, a nadto jednorazowo w 1897 r. z tegoż źródła otrzymała stacya na pokrycie niedoboru, poniesionego z wydatków na utrzymanie — rb. 1,500.

Stacya meteorologiczna pozostaje w stosunkach z podobnemi stacyami w cesarstwie i zagranicą; polegają one na wymianie publikacyi spostrzeżeń i sprawozdań rocznych, a mianowicie z astronomicznemi spostrzegalniami i meteorologicznemi stacyami w Petersburgu, Odessie, Wiedniu, Sofii, Bukareszcie, Upsali, Berlinie, Paryżu, Londynie i Waszyngtonie. Stacya muzealna jest zarazem centralną dla 36 pomniejszych, przeważnie pomieszczonych przy cukrowniach Królestwa Polskiego.

Sprawozdania roczne z dokonanych spostrzeżeń w centralnej i pomniejszych 36 stacyach są drukowane w „Pamiętniku Fizyograficznym”.

W zakres zadań stacyi wkracza też sprawdzanie dokładności narzędzi, służących do pomiarów meteorologicznych, z którego korzystały firmy: G. Gerlacha oraz Berenta i Plewińskiego w Warszawie.

Pracownia Fizyczna. W 1887 r. dr. L. Natanson podjął myśl założenia przy Muzeum „Pracowni fizycznej", w którejby były sprawdzane przyrządy i narzędzia fizyczne miejscowego wyrobu, a także dokonywane badania i pomiary techniczne i naukowe z zakresu fizyki. Przy pomocy ofiar, otrzymanych od osób, uznających potrzebę takiej pracowni, została ona szybko wyposażoną w nieodzowne przyrządy i narzędzia fizyczne oraz inne naukowe potrzeby. Jej kierownictwo powierzono panu Józefowi Jerzemu Boguskiemu. W okresie ośmioletnim działalności „Pracowni fizycznej" zajmowało się w niej pod kierunkiem p. Boguskiego 56 osób badaniami na polu techniki i fizyki doświadczalnej. Przyrządów i narzędzi sprawdzono około 600 sztuk, a samodzielne studya i prace, wykonywane przez kierownika „pracowni", ogłoszone były w wydawnictwie „Prace matematyczno-fizyczne" i w „Zeitschrift für physikalische Chemie" Ostwaldta. W ostatnich latach inwentarz pracowni w części wcielonym został do pracowni chemicznej, w części zaś włączony do zbiorów przyrządów fizycznych, gromadzonych przez oddział odczytów, służących do demonstracyi doświadczalnych przy odczytach publicznych, a także dla młodzieży szkolnej, która pod kierunkiem swych nauczycieli zbiory te zwiedza i z nich korzysta.

Encyklopedya Rolnicza. W roku 1888 komitet Muzeum nabył prawo własności podówczas w handlu wyczerpanego wydawnictwa, noszącego tytuł „Encyklopedya rolnicza i nauk, z nią związek mających" i postanowił dokonać nakładu drugiego jego wydania, pod skróconym tytułem: „Encyklopedyi Rolniczej" w nowem gruntownem opracowaniu. Kierownictwo redakcyjne oddano w ręce specyalnego Komitetu, w którego skład weszli: dr. Jerzy Aleksandrowicz (b. prof. uniwersytetu), Ludwik Górski, dr. Karol Jurkiewicz, (b. prof. uniwersytetu), dr. K. Kaczkowski, Aleksander Kłobukowski; dr. Tadeusz Kowalski, (b. prof. Instytutu agronomicznego), Ludwik Krasiński; J. Krasuski, (b. doc. Instytutu agronomicznego), Leopold Kronenberg, Jan Tadeusz Lubomirski, Tymoteusz Łuniewski, Henryk Natanson, Stanisław Okęcki, Gustaw Plewako, Stanisław Rewieński i Aleksander Trylski. W roku 1892 skład Komitetu redakcyjnego powiększony został przez przybranie Władysława Andrychewicza, Stanisława Chaniewskiego, Stanisława Chełchowskiego, Maksymiliana Dobrskiego, prof. Stanisława Dawi-

da, d-ra E. Godlewskiego, Ludwika Górskiego (juniora), d-ra Fr. Górskiego, d-ra T. Jackowskiego, Aleksandra Janasza, Edmunda Jankowskiego, d-ra Stanisława Jentysa, Józefa Jeziorańskiego, d-ra W. Kleckiego, Wł. Habdank-Korzybskiego, Leopolda Kronenberga (syna), Józefa Natansona, d-ra Michała Natansona, Aleksandra Nowickiego, Bolesława Rugiewicza, d-ra Antoniego Sempołowskiego, Adolfa Suligowskiego, Bronisława Wernera, Stanisława Wrońskiego i Zdzisława Zielińskiego.

Współcześnie wybrano z pomiędzy członków komitetu redakcyjnego 13 do delegacyi wykonawczej, powierzając stronę techniczną wydawnictwa Aleksandrowi Trylskiemu, który w następnym 1893 roku objął wyłączne kierownictwo. Następnie wydawnictwo to przyjął p. Trylski na własne ryzyko, zapewniając Muzeum bezpłatne dostarczanie dziesięciu egzemplarzy każdego wydanego tomu.

Z dziesięciu egzemplarzy „Encyklopedyi Rolniczej", będących własnością Muzeum, komitet ofiarował jeden „Niższej szkole rolniczej w Sobieszynie", drugi zaś „Krajowej stacyi chemiczno-rolniczej w Dublanach". Wydawnictwo „Encyklopedyi" prawdopodobnie ukończonem zostanie w roku bieżącym.

Odczyty i wykłady publiczne, wygłaszane z niemałym pożytkiem dla słuchaczów seryami w pierwszem dziesięcioleciu, znalazły wyraz, w zmniejszonym zakresie, w systematycznych zajęciach cukrowniczych, urządzanych na wzór poprzednich, przez kierowników pracowni fizycznej i chemicznej.

W szerszym zakresie, jako popularne odczyty doświadczalne, rozwinęły się dopiero po uorganizowaniu w 1897 r. przy Muzeum „Oddziału krzewienia wiedzy" z dziedziny nauk ścisłych, przyrodniczych i stosowanych, z inicyatywy prof. Bronisława Znatowicza, redaktora tygodnika „Wszechświat". Ten oddział, mający za zadanie krzewienie zamiłowania do wiedzy przyrodniczej i gromadzenie potrzebnych do tego zbiorów, pożytecznie i szybko rozwinął swą działalność, czerpiąc wzór w pracach „Uranii" Wiednia i Berlina, w granicach skromnych warunków i środków, jakimi rozporządzać może Muzeum, z pomocą grona osób dobrej woli.

Zarząd tego Oddziału stanowi trzech członków - delegatów komitetu Muzeum: Władysław Leppert, Stanisław Natanson, Juliusz Wertheim, dyrektor Muzeum Józef Leski, oraz członkowie zaproszeni, w osobach pp. Emila Gerlacha, Adolfa Kipmana, Piotra Lebiedzińskiego, Jana Skiwskiego, Witolda Wróblewskiego i Bronisława Znatowicza. Owocem prac tego zarządu w ciągu ostatniego trzech-

lecia, oprócz sześciu luźnych odczytów, wygłoszonych w roku zeszłym i odnoszących się do nowszych odkryć i postępów w naukach przyrodniczych, były cztery obszerne serye odczytów. W 1897 r. w seryi: „O wodzie" było odczytów — 12; w 1898 r. w seryi: „O powietrzu i o ogniu" — odczytów 41; wreszcie w 1899 r. w seryi: „O ziemi" — odczytów 16. Ogółem wypowiedzianych było 69 odczytów popularnych przez 18 prelegentów, a mianowicie: pp. dra Czesława Barszczewskiego, d-ra Mikołaja Brunnera, Józefa Jerzego Boguskiego, Mansweta Ciemniewskiego, d-ra Henryka Dobrzyckiego, d-ra Maksymiliana Flauma, Edmunda Jankowskiego, Wacława Jezierskiego, d-ra Zygmunta Kramsztyka, Stanisława Kramsztyka, Adolfa Kipmana, Napoleona Milicera, d-ra geologii Józefa Morozewicza, Jana Trejdosiewicza (b. prof. uniwersytetu), Gabryela Tołwińskiego, Witolda Wróblewskiego, Włodzimierza Włodarskiego, Bronisława Znatowicza.

Odczytów tych słuchało przeszło 28,000 osób.

W ostatnim roku pożyteczna działalność oddziału odczytów wzrosła przez otworzenie dostępu do gabinetów i zbiorów fizycznych młodzieży szkolnej pod kierunkiem nauczycieli. Dotychczas takich zwiedzań, połączonych z praktycznemi na okazach objaśnieniami, z rozmaitych zakładów naukowych, w jesieni roku ubiegłego było 13, a korzystało ze zbiorów przeszło 300 młodzieży obojga płci.

Zbiory i zasoby oddziału odczytów dość szybko wzrosły, tak, że są zaopatrzone we wszystkie najpotrzebniejsze przedmioty do odczytów doświadczalnych i objaśnień szkolnych.

Stan majątkowy oddziału, kontrolowany oddzielnie od funduszów ogólnych, z końcem 1899 r. był następujący:

Wartość zbiorów	rb.	7,403	62	kop.
„ ruchomości	„	1,208	28	„
„ księgozbioru	„	26	97	„
„ instalacyi elektrycznej. . .	„	2,500	„	„
W gotowiźnie	„	2,828	17	„
Ogółem	rb.	13,967	04	„

Tak pomyślny rozwój działalności i gromadzonych środków oddział odczytów zawdzięcza bezsprzecznie energii zarządu, kierującego jego sprawami.

Wreszcie świeżo otworzona została przy Muzeum Pracownia Geologiczna, mająca na celu zbieranie materyału, mogącego posłużyć do ułożenia mapy geologicznej Królestwa Polskiego. Zapoczątkowa-

nie pracowni Muzeum zawdzięcza p. Józefie Tuhanowskiej, która na pierwsze koszta urządzenia pracowni ofiarowała rub. 4,500

Na tenże cel wpłynęły ofiary:

Od Zarządu warsz. oddz. Tow. pop. ros. przem. i hand.	„	500
Od p. Władysława Kiślańskiego, prezesa tegoż oddz. .	„	500
Razem	rub.	5,500

Na utrzymanie zaś pracowni otrzymało Muzeum dotychczas zapomogi:

1) Od Rady Zarządu przemysłowców górniczych Królestwa Polskiego rocznie	rb.	1,000
2) Od Rady Zarz. dr. Żelaz. Warsz.-Wiedeńskiej	„	500
3) Od Komit. Tow. Kredyt. Ziemskiego . . .	„	500
Razem	rub.	2,000

Do Zarządu pracowni weszli, jako delegaci komitetu Muzeum: Władysław Kiślański, Władysław Leppert i dyrektor Muzeum Józef Leski. Nadto zaproszono do udziału w zarządzie pracowni, jako znanych w kraju specyalistów: pp. ś. p. Wincentego Choroszewskiego, Alfonsa Grotowskiego, Karola Jurkiewicza, Hieronima Kondratowicza, Stanisława Kontkiewicza, Jana Lewińskiego, Michała Łempickiego, Aleksandra Michalskiego, Aleksandra Rychłowskiego, Juliana Strasburgera, Witolda Wróblewskiego i Bronisława Znatowicza. W końcu zaznaczyć jeszcze wypada, że za staraniem L. Wrotnowskiego domy muzealne zostały w r. 1895 zwolnione z opłaty podatków skarbowych, co spowodowało oszczędność w wydatkach, do 700 rb. rocznie dochodzącą.

Krótki ten szkic dotychczasowej działalności Muzeum świadczy, że, jakkolwiek znajdowało się ono w wyjątkowo trudnych warunkach, pozbawione wszelkich zasiłków oraz zapewnionych dochodów, starało się nie zaniedbywać żadnego z zadań, wskazanych i dostępnych dla jego działalności. Dla przemysłu założyło Muzeum pracownię chemiczną i fizyczną; dla rolnictwa założyło stacye: meteorologiczną i oceny nasion, i urządzało przez szereg lat wystawy nasion, podjęło wydawnictwo „Encyklopedyi Rolniczej”, wreszcie dla ogółu Muzeum otworzyło gmach, będący środowiskiem poważnej pracy ekonomicznej, technicznej i przemysłowej w najrozliczniejszych kierunkach i na wszelkich polach.

Wytrwała, acz cicha praca komitetu Muzeum zaczęła mu w ostatnich czasach zjednywać coraz więcej sympatyi i poparcia ze

strony ogółu, czego wymownym dowodem jest znacznie stosunkowo powiększona liczba członków Muzeum. Podczas gdy w r. 1886 Muzeum liczyło zaledwie 52 członków, a w r. 1890 nawet tylko 45, lista z r. 1899 wykazuje:

a)	dożywotnich członków założycieli . . .	16
b)	„ „ rzeczywistych . .	6
c)	członków rzeczywistych	194
d)	członków protektorów	107
	razem .	323

Drugim dowodem wzmagającego się uznania ze strony ogółu dla ważnych zadań Muzeum są ofiary, które instytucya ta z kilku stron w ostatnich czasach otrzymała. Najważniejszą z pomiędzy nich jest: przelew w r. 1894 ze strony L. Natansona nieruchomości przy ulicy Składowej, oznaczonej Nr. 5,291 hypotecznym (3 policyjnym), z funduszów zbiorowych na szkołę rzemiosł, specyalnie wybudowanej i urządzonej (obciążonej jedynie pożyczką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności w sumie 14,000 rb., dziś już pożyczką Tow. kred. miejskiego spłaconą), a nadto dwu kapitałów, czyniących ogółem 30,000 rb. z zapisów ś. p. Józefy Sierakowskiej i ś. p. Zbyszewskiej. Dom ten i kapitały ofiarowane zostały ze specyalnem przeznaczeniem, aby służyły na utrzymanie szkoły rzemiosł lub technicznej, a gdyby to było niemożebnem, na zapomogi dla młodzieży, kształcącej się w rzemiosłach technicznie. Na tenże sam cel, a mianowicie na otworzenie praktycznej szkoły rzemiosł, otrzymało Muzeum z zapisu ś. p. Edwarda Pawła Czabana rb. 24,000. W roku 1898 otrzymało Muzeum od spadkobierców L. Natansona rb. 5,000, jako fundusz wieczysty, od którego odsetki mają być corocznie rozdawane, jako zapomogi zwrotne stałym mieszkańcom m. Warszawy wyznania chrześcijańskiego, pochodzenia polskiego, zajmującym się rzemiosłem lub drobnym przemysłem we własnym lub cudzym warsztacie, umiejącym czytać i pisać po polsku. Fundacya ta, we właściwej drodze zatwierdzona, jest od lat dwu wprowadzoną w życie. W roku pierwszym korzystali z niej szewc, szczotkarz i introligator, a w roku drugim drzeworytnik, cyzeler i bronzownik.

W roku zaś ostatnim otrzymało Muzeum od spadkobierców ś. p. Augusta Schürra, a także długoletniego jego spólnika i przyjaciela, Stanisława hr. Łubieńskiego rb. 4,000, jako fundusz wieczysty,

od którego odsetki są przeznaczone na zapomogi dla osób wyznania chrześcijańskiego i pochodzenia polskiego, umiejących czytać i pisać po polsku, znanych z pilności i moralnego prowadzenia się, dla ułatwienia im kształcenia się w szkołach rolniczych, rzemieślniczych, technicznych lub handlowych w obrębie Królestwa Polskiego. Kroki właściwe w celu pozyskania zatwierdzenia tej fundacyi są przedsięwzięte.

Muzeum z wielką wdzięcznością przyjęło wszystkie powyżej wymieniono darowizny, jako dające mu możność skuteczniejszego pomagania rozwojowi przemysłu, rolnictwa i rzemiosł w kraju.

Byłoby też wielce do życzenia, aby ofiarność publiczna, która w ostatnich czasach tyle instytucyi, dla dobra ogólnego pracujących, hojnie wyposażyła, zechciała i Muzeum przemysłu i rolnictwa mieć stale na uwadze. Szczególniej pożądanymi są dalsze zapisy i znaczniejsze ofiary na praktyczną szkołę rzemiosł, jaką Muzeum pragnęłoby jak najprędzej otworzyć, korzystając z nadanego mu ustawą prawa. Dotychczas otrzymane fundusze wystarczają wprawdzie na urządzenie szkoły w skromnych, zresztą, bardzo rozmiarach, ale nie zabezpieczają jej utrzymania. Wymaga ono, jak wogóle utrzymanie wszelkich szkół specyalnych, daleko większych nakładów, aniżeli szkół ogólnych, zwłaszcza, jeśli to ma być istotnie dobra szkoła specyalna, zaopatrzona we wszelkie odpowiednie do potrzeb nauki środki i pomoce.

Im więcej jednak działalność Muzeum w ostatnich latach rozszerzała się i rozwijała, tem bardziej kierującemu nią komitetowi dawały się odczuwać krępujące działalność instytucyi braki.

Jeden tkwił w ustawie, która, jak już wzmiankowano, utrudniała szeroki udział społeczeństwa w działalności Muzeum. Obok tego było wielce pożądanem pozyskanie dla Muzeum wyraźnego prawa utrzymywania szkół rzemieślniczych i technicznych ze względu na naglącą w tym kierunku potrzebę społeczną i posiadane na ten cel ofiary.

Wygotowany przez komitet projekt nowej ustawy pozyskał zatwierdzenie p. ministra finansów w dniu 26 marca 1899 r., a główniejsze zmiany są następujące:

1) w całej ustawie przeprowadzono wyraźnie zasadę, że Muzeum istnieje nie tylko dla przemysłu i rolnictwa, ale i dla pożytku rzemiosł, co w dawnej ustawie nie było dość dobitnie wyrażonem;

2) dozwolono Muzeum otwierać w Warszawie zakłady naukowe rzemieślnicze i techniczne po uzyskaniu w każdym oddzielnym wypadku pozwolenia właściwej władzy:

3) zniesiono ograniczenie co do urządzania wystaw jedynie w lokalu Muzeum;

4) dozwolono Muzeum sprowadzać z zagranicy bez opłaty cła przedmioty, wyroby i zbiory, przeznaczone dla jego użytku, wreszcie

5) zmieniono zupełnie organizacyę Muzeum wedle zasad, w innych instytucyach społecznych przyjętych:

a) aby ułatwić udział kół szerszych w popieraniu Muzeum, dodano nową kategoryę członków protektorów, którzy zobowiążą się wnosić na rzecz Muzeum najmniej po rb. 6 rocznie lub złożą jednorazowo rb. 150;

b) zwolniono wybór członków od formalności zatwierdzania przez ministra skarbu;

c) nadano członkom prawo wybierania z grona swego członków komitetu do liczby 15 osób, na przeciąg lat trzech, z temi jednakże ograniczeniami, że dziewięciu członków wybierają założyciele, pozostałych zaś sześciu wybierają wszyscy członkowie Muzeum; że na miejsce dotychczasowych dożywotnich członków komitetu wybierają się nowi jedynie w miarę otwierania się wakansów, i że prezesa komitetu oraz jego członków zatwierdza w urzędowaniu warszawski generał-gubernator, wreszcie

d) włożono na komitet obowiązek składania ogólnym zebraniom członków corocznych sprawozdań, jak również etatu dochodów i wydatków do zatwierdzenia po wysłuchaniu komisyi rewizyjnej.

Tak zmieniona ustawa daje możność całemu społeczeństwu przez liczne zapisywanie się na członków brać bezpośredni udział w popieraniu ważnych zadań, do jakich Muzeum przemysłu i rolnictwa jest powołanem.

Pamiętać bowiem należy, że działalność Muzeum ma na celu popieranie pracy ekonomicznej i jej postępu na wszelkich polach życia narodowego, pomaganie społeczeństwu nauką, wzorami, rozmaitemi pracowniami i stacyami naukowemi, aby zwiększało liczbę pożytecznych swych pracowników.

Drugi brak, który w miarę rozwoju działalności Muzeum i mieszczących się pod jego skrzydłami instytucyi coraz dotkliwiej odczuwać się daje, dotyczy szczupłości gmachu muzealnego.

Aby pozyskać fundusz na rozszerzenie gmachu, komitet odnowił umorzoną dotychczas część pożyczki Towarzystwa kredytowego miejskiego w sumie 18,400 rb. Liczy też na to, że na gma-

chu muzealnym będą mogły być z całem bezpieczeństwem umieszczone niektóre kapitały fundacyjne, w użytkowaniu Muzeum będące, a fundusz ten w związku z niewielkiemi oszczędnościami, w ostatnich latach zebranemi, oczekiwanemi ofiarami i dodatkową pożyczką Tow. kred. miejskiego, na nowo wzniesione budowle podnieść się mającą, ma posłużyć do zaradzenia pilnej potrzebie.

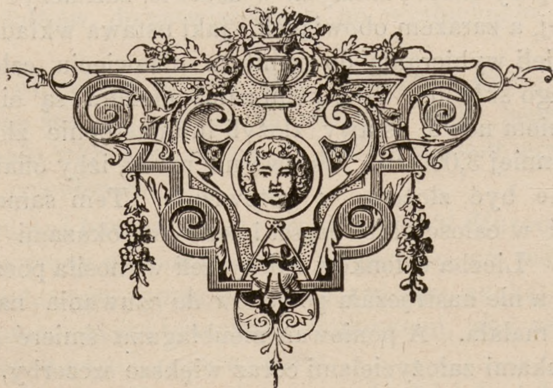
Aby ważne i trudne zadanie z całą oględnością i rozwagą przeprowadzić, komitet zaprosił do udziału w naradach i opracowaniu projektów: pp. Franciszka Braumana, Artura Goebla, Władysława Marconiego, Apoloniusza Nieniewskiego, budowniczych, oraz pp. Karola Bevensee, Władysława Czosnowskiego, Maksymiliana Horna, Maurycego Karstensa, ś. p. Fryderyka Martensa, Jana Meyera, Juliana Meyera i ś. p. Wiktora hr. Ronikiera. Początkowo projektowano nadbudowanie frontu, bliższe jednak studya fundamentów i murów przekonały, że nie byłoby to możebnem bez zupełnego prawie przebudowania obecnie istniejącej budowli frontowej i połączonych z tem bardzo znacznych kosztów i strat w wynajmie lokali. Zamiar więc przebudowania frontu musiał być nateraz zaniechanym. Natomiast komitet zaprosił p. Franciszka Lilpopa, budowniczego, do opracowania projektu zupełnie nowej oficyny, na tyłach posesyi muzealnej wznieść się mającej.

Z pomiędzy zmian, zaszłych w ustawie, zaznaczyć należy ważny przywilej, a zarazem obowiązek, jaki ustawa wkłada na członków założycieli wybierania do komitetu dziewięciu członków, t. j. 3/5 całego jego składu. Członkami założycielami są ci, którzy już przed wydaniem nowej ustawy złożyli lub następnie złożą na rzecz Muzeum najmniej 3,000 rb. Ustawa nie mówi, iżby ofiara ta musiała koniecznie być złożoną w gotowiźnie. Tem samem wolno ją uskuteczniać w całości lub części i cennymi okazami do zbiorów muzealnych. Liczba członków założycieli wynosiła początkowo 22; dawna ustawa nie nastręczała powodów do czuwania nad tem, aby liczba ta nie malała. A ponieważ nieubłagana śmierć czyniła pomiędzy członkami-założycielami coraz większe szczerby, liczba więc powyższa, uwzględniając kilku nowoprzybyłych w ostatnich latach, stopniowo zmniejszyła się do 16 osób przeważnie w starszym wieku będących, w części poza Warszawą, a nawet poza krajem mieszkających, na które wedle nowej ustawy spada obowiązek wybierania 9 członków komitetu. Zachodzi więc pilna potrzeba zwiększenia liczby członków założycieli Muzeum. Skoro ustawa nie wymaga

bynajmniej, aby suma 3,000 rb. ofiarowana była dla Muzeum odrazu, komitet na ostatniem swem posiedzeniu uznał, że takowa może być składaną częściowo. W następstwie tego ci z pomiędzy pp. członków Muzeum, którzy już pewne ofiary dla Muzeum złożyli, mają prawo je do 3,000 rb. uzupełnić, aby pozyskać godność i prawa członka założyciela. Komitet uważał nawet, iż jest władnym przyjmować narówni z ofiarami w gotowiźnie deklaracye, obejmujące zobowiązania uzupełnienia ofiary dla Muzeum do 3,000 rb., w pewnych, ściśle oznaczonych ratach i terminach, aby tym sposobem zwiększenie ważnej listy członków założycieli ułatwić. Miejmy nadzieję, że społeczeństwo, uznając całą wagę wytkniętej potrzeby dla przyszłości Muzeum, nie zechce zwlekać z zapisywaniem się na listę członków-założycieli.

* * *

Oto krótki obraz dotychczasowych losów i potrzeb Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.



Rozbiory i Sprawozdania.

Mieszkania ludności wiejskiej. Podał **Kazimierz Rakowiecki.** Warszawa, 1900. Odbitka ze „Zdrowia“, str. 32.

Do broszury autor dołączył ułożony przez siebie „kwestyonaryusz w sprawie mieszkań ludności wiejskiej“. Kwestyonaryusz zawiera 46 pytań. Odpowiedzi na te pytania ma wpisać każdy, kto zechce się tem zająć, przyczem autor poleca odsyłać je pod adresem Towarzystwa Hygienicznego w Warszawie. A zatem chodzi tu o zebranie jaknajwięcej danych z różnych okolic kraju, ażeby na ich podstawie umożliwić szerszą pracę nad polepszeniem bytu ludu wiejskiego. Kwestyonaryusz obejmuje mniej więcej wszystkie szczegoły, dotyczące rzeczonej kwestyi. Tak np. pytanie 2-gie brzmi: „Nazwa wioski, gdzie zbierane są dane (powiat, gmina): pytanie 3-cie: „Charakter danej miejscowości (pole, lasy, łąki, błota, blizkość rzeki, środki komunikacyi, urodzajnośc gleby“); pytanie 7-me: „Z jakiego materyału stawiane są chaty i domy dla służby? Grubość ścian. Czy są w wiosce budowle murowane? Czy są chaty ziemne“; pytanie 8-me: „Czem jest kryty dach?“; pytanie 21-sze: „Ilu mieszkańców mieszka we własnych izbach?“; pytanie 30 — 40: „Wymiary poszczególnych chat i liczba mieszkańców chaty“; pytanie 45-te: „Plany odręczne“ i t. d. Sama zaś broszura jest dokładną i szczegółową odpowiedzią na powyższy kwestyonaryusz. Dowiadujemy się z niej, że wieś Grala Dombrowizna pow. siedleckiego, gminy i parafii Skurzec, leży o 2 mile od Siedlec i o 3 mile od Stoczka, przy szosie. W pobliżu wioski przepływa mała rzeczka „Gołąbek“. Charakter miejscowości płaski, zlekka tylko falisty. Grunt przeważnie piaszczysty, łatwo przepuszczalny. Lasów w okolicy niewiele. Gleba średnio urodzajna. Miejscowość wilgotna. Wioska ciągnie się na przestrzeni około 150 metr. dwoma rzędami po obu stronach drogi. Ogólna ilość chat — 11, oddzielnych budynków

mniej więcej drugie tyle. Wodę czerpią mieszkańcy z 4-ch studni. Przeciętna długość czworaków wynosi 17 metr., chat wiejskich — 8,8 metr., przeciętna szerokość czworaków — 8,6 metr., chat — 6 metr. Wioska liczy nominalnie 159, faktycznie zaś 142 mieszkańców, t. j. 40 mężczyzn, 52 kobiety i 50 dzieci do lat 12-tu. Z tych—57 mieszkańców (11 rodzin) mieszka w cudzych izbach, a 85 (18 rodzin) — we własnych. 17 rodzin posiada własną ziemię, przyczem 6 rodzin po 1 morgu, 8 rodzin po 2 — 3 morgi, a 3 rodziny po 4 — 5½ morgi. Oświaty książkowej brak zupełny. Tylko 2-u czyta i pisze, paru innych czyta znośnie, paru wreszcie niby to czyta. Żadnego z pism ludowych nie trzymają, żadne z dzieci nie zna ani jednej literki. W roku 1898/9 1 dziecko, uczęszczające do gminnej szkółki w Skurcu, przypadało na 99 mieszkańców gminy, przyczem 8 wsi z tej gminy nie posyłało wcale dzieci do szkoły. I t. d. I t. d.

Z przytoczonych danych autor dochodzi do wniosku, że główne ujemne strony warunków mieszkalnych danej wioski są: 1) niepomierne skupienie chat i budynków gospodarskich, 2) przeludnienie w izbach mieszkalnych, 3) brak wentylacyi, 4) obecność przybudówek na chlewy lub obórkę, 5) nieodpowiedni rozkład chaty, 6) zbyt mała wysokość izb mieszkalnych, 7) obecność ciemnych komór, 8) brak światła, 9) wilgoć, 10) brak schludności i porządku.

W końcu autor zaznacza, że nadesłane odpowiedzi potwierdziły istnienie tych samych ujemnych warunków mieszkań włościańskich w innych okolicach kraju.

Że zbieranie takich danych jest wysoce pożytecznem, to, zdaje się, nie ulega kwestyi. Stan mieszkań naszych włościan jest wogóle bardzo zły, i oddawna należałoby go poprawić. Chcąc zaś cośkolwiek poprawić, należy to przedewszystkiem poznać. Podziękujmy więc autorowi za dobrą informacyę, o którą u nas niestety, tak trudno, i zakończmy jego własnemi słowami: „Oby w celu rzetelnego poparcia skutecznego załatwienia rzeczonej sprawy zjednoczyły się usiłowania wielu ludzi dobrej woli!“ *A. Mogilnicki.*

Piotr Chmielowski. *Metodyka historyi literatury polskiej.* Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego“. Warszawa, 1899.

Postęp pracy naukowej wiąże się ściśle z rozwojem metod, właściwych każdej gałęzi wiedzy. Najskrzętniejsze zbieranie szczegółów na niewiele się przyda, jeżeli mu nie towarzyszy świadomość potrzeb i zadań nauki w danym zakresie. Owocność pracy naukowej rośnie współrzędnie ze stopniem biegłości u pracowników w posługiwaniu się metodą i doskonaleniem się tej ostatniej.

Ubóstwo naszego dorobku naukowego wynika, obok innych przyczyn, z nieświadomości i zaniedbania wymagań metodycznych, odbijającego się w luźnej, dorywczej, kompilatorskiej przeważnie pracy lub mozolnem, a bezładnem, gromadzeniu szczegółów.

Prof. Struve we „Wstępie krytycznym do filozofii“ zebrał bardzo starannie i streścił wszystkie rozprawy i dzieła z zakresu „filozofii nauk specyalnych“, jakie od lat stu pojawiły się w naszem piśmiennictwie. Ciekawy ten zarys świadczy, że, jakkolwiek wszyscy samodzielniejsi i poważniejsi pracownicy zastanawiali się nad kwestyami metodycznemi, jednakże nie mogli się zdobyć na opracowanie specyalnych metodyk. To też nasi uczeni w dziełach swych oryginalnych najczęściej uwydatniali nieudolność zastosowania wymagań metodycznych, zarówno w planie pracy, jak i grupowaniu szczegółów.

Smutne losy naszych uniwersytetów nie pozwalały na rozwinięcie się szkół

naukowych i systematyczne kształcenie coraz nowych pokoleń pracowników. To też śród uprawiających niwę nauki spotykamy tylu samouków, dyletantów, ochotników, których gorliwość wyczerpuje się często po zlepieniu kilku monografii, wydaniu jakichś materyałów lub spisów bibliograficznych. Ileż znowu pracy, wyłożonej bez żadnej dla nauki korzyści przez gorliwych, a nieprzygotowanych należycie!

Na polu badań historycznych po „Historyce“ Lelewela, ogłoszonej w r. 1815, trzeba było czekać lat 84, aż nieustępujący Lelewelowi w pracowitości, zamiłowaniu nauki i przygotowaniu Chmielowski nawiąże zerwaną nić tradycyi i ogłosi „Metodykę historyi literatury polskiej“.

Nie mam zamiaru porównywać ze sobą tych dzieł. Poprzestanę na przypomnieniu, że Chmielowski pisał swą książkę w mniej pomyślnych dla pracy naukowej warunkach. Nie rozporządzając katedrą uniwersytecką, nie mając koło siebie uczniów, których studyami miałby obowiązek kierować, przygotował swą „Metodykę“ dla pisma pedagogicznego, zmuszony do uwzględnienia nie tyle potrzeb pracujących nad nauką, ile interesów nauczających i uczniów. Usiłował więc połączyć w jedną całość metodykę pracy naukowej z metodyką nauczania. Stąd wynikł rażący nasze pojęcia o nauce tytuł: „Metodyka historyi literatury polskiej“, naprowadzający niewłaściwie czytelnika na myśl, iż Chmielowski chce stosować do badania dziejów literatury polskiej specyalną jakąś metodę. Gdyby można było tytuł zmienić na: „Metodyka nauczania historyi literatury polskiej“ i dostosować do niego książkę przez szersze rozwinięcie zasad wykładu w niższym i średnim zakresie, oddałaby ona wielkie usługi w nauczaniu i mogłaby pośrednio niejeden umysł zdolniejszy zachęcić do pracy nad literaturą. Dążąc do dwu różnych celów, utrudnił Chmielowski posługiwanie się tą pracą zarówno zabierającym się do studyów samodzielnych, jak nauczycielom. W przedmowie, mówiąc o podziale dzieła na trzy części: pojęcie literatury i jej historyi, wskazówki dla uczących się historyi literatury, zasady badania dziejów literatury polskiej, — oświadcza, iż te „części łączą się ze sobą jaknajściślej i powinny być czytane w tym porządku, w jakim je ułożyłem“. Gdyby autor na tytule dzieła i początku przedmowy nie zapowiedział wyraźnie, że zamierza dać nam dla historyi literatury metodykę, jaką dla historyi politycznej skreślił Lelewel w swej „Historyce“, toby można uważać pracę Chmielowskiego za bardzo pożyteczny przewodnik dla nauczycieli i osób, pragnących o własnej sile zaznajomić się z dziejami literatury polskiej. Ktoby szukał tu jednak metodyki badania naukowego dziejów literatury, ten poza historyą pracy nad historyą literatury polskiej i dość bogatą bibliografią opracowań nie znajdzie ni rozstrzygnięcia, ni rozbioru najważniejszych zasadniczych kwestyi, jakiemi są: przedmiot nauki, stosunek jej do innych nauk, istota zjawisk, będących przedmiotem danej nauki, i wynikające z niej zasady grupowania i podziału na okresy, wreszcie sposoby odtwarzania dziejowego rozwoju. Wprawdzie poświęca Chmielowski dużo miejsca rozbiorowi teoryi Taine'a i jej obronie przeciw zarzutom Kawczyńskiego i krytyków francuskich, wylicza i wyjaśnia pięć zasad, zapożyczonych przez Taine'a z dziedziny biologii, a mogących oddawać wielkie usługi przy badaniu dziejów literatury, lecz nie podaje należytych wskazówek stosowania tych zasad w pracy historycznej. To zaś, co mówi o ocenie strony zewnętrznej i wewnętrznej autorów, może mieć znaczenie głównie dla krytyki literackiej, której zadania i cele różnią się znacznie od zadań historyi literatury. Innem okiem patrzeć musi na utwór literacki krytyk, a innem historyk.

Tak ważną kwestyę: o ile historya jest nauką, o ile zaś sztuką, pomija Chmielowski milczeniem, oświadczając się za wyłącznie naukowym jej charakterem.

„Historya literatury — powiada on w drugim rozdziale książki — jest nauką, dążącą do wykrycia praw rozwoju myśli, uczuć i ideałów ludzkich w ogóle lub narodowych w szczególności, wyrażonych za pośrednictwem pięknego słowa“. Definicya ta może się nadawać wybornie dla filozofii historyi literatury, dziejów duchowego rozwoju ludzkości, ale dla historyi literatury jest za szeroką i za ciasną zarazem. Za szeroką, gdyż obejmuje cały proces rozwoju duchowego ludzkości, zamiast ograniczyć się na pewnej kategoryi utrwalonych pojawów tego procesu, za ciasną zaś przez to, iż zaleca badaczowi poszukiwać przedewszystkiem praw rozwoju pewnych zjawisk, pomijając odtworzenie ich istoty i związków w czasowej kolei.

Historya byłaby nauką, gdyby się opierała na stwierdzonych stałych prawach, tłómaczących zjawiska życia społecznego. Ponieważ jednak dotąd, mimo tak szerokiego rozwoju badań na polu nauk społecznych i psychologii, praw tych nie wykryto, historya — we wszystkich swych gałęziach— musi być sztuką i nauką jednocześnie. Sztuką o tyle, o ile w braku prawa naukowego, przy niemożności odtworzenia ze ścisłością zupełną stosunków i zjawisk życia przeszłego, historyk musi z pomocą intuicyi i wyobraźni odgadywać i uzupełniać procesy dziejowe, musi szukać prawdy i przedstawiać ją środkami artystycznymi.

Obserwacye dziesięciu astronomów, badających jedno zjawisko, jednakiemi narzędziami, mogą wypaść jednozgodnie, lecz nie było dotąd wypadku, by dwaj historycy samodzielnie w podobny sposób odtworzyli jakiś moment dziejowy.

Historyk podobnie, jak malarz lub architekt, wspierać się musi w coraz większym zakresie na rezultatach nauki i obserwacyi zjawisk, które będą go zbliżały coraz więcej ku prawdzie, lecz nigdy zapewne statystyka nie zastąpi historyi, a historya nie przestanie być sztuką, opartą na rezultatach nauk pomocniczych.

Twórczość poety jest procesem bardzo złożonym. Można wprawdzie drogą analizy wykryć w utworze różne czynniki tego procesu, lecz do uchwycenia wszystkich, do ujęcia z możliwą ścisłością ich ustosunkowania i stopnia siły, do odgadnięcia praw, kierujących nieskończoną rozmaitością w grze tych czynników, bardzo nam jeszcze daleko. Nic nas nawet nie upoważnia do przewidywania, iż nastąpi to kiedyś w odległej przyszłości.

Historyk literatury, mając do czynienia z takiemi zjawiskami, może zajmować stanowisko badacza ścisłego dopóty jedynie, póki się zajmuje materyalną stroną utworów i opiera na danych, dostarczanych przez paleografię, bibliografię, lingwistykę, dokumenty biograficzne i t. p., skoro jednak zwraca się ku badaniu istoty pojawu, jego myśli przewodniej, uczuć i ideałów w nim odbitych, stopnia i natury artyzmu, stosunku autora do Boga, ludzi, przyrody, musi z uczonego przekształcić się w artystę, siłą tego „współczucia“, którego znaczenie słusznie podnosi Chmielowski, odtworzyć w duszy własnej procesy, jakich rezultatem były badane pojawy literackie. Dopiero takie przywrócenie życia utworów przeszłości w duszy badacza pozwala wyjaśnić ich genezę, stosunek do innych, tajemnicę wpływu, powodzenia lub zapomnienia.

Zapewne, że metodyka nie może podać przepisów na wywołanie należytego stopnia „współczucia“ w historyku, na podniecenie wyobraźni lub rozbudzenie intuicyi przy odtwarzaniu dziejów literatury. Może jednak i powinna rozebrać kwestyę stosunku nauki do sztuki w odtwarzaniu przeszłości, oznaczyć bliżej za-

kres, w jakim badacz może stosować rezultaty i metody naukowe, wreszcie udzielić wskazówek, pozwalających w syntezie, w samym obrazie procesu dziejowego połączyć harmonijnie wymagania nauki i artyzmu.

Historyk literatury musi troszczyć się, by dzieło jego nie tylko pouczało, ale i pociągało czytelnika, by czyniło zadość wymaganiom prawdy naukowej i piękna zarazem.

Praca Chmielowskiego jest właściwie zbiorem bardzo pożytecznych wiadomości i wskazówek dla chcących się obznajmić z historyą literatury polskiej z pomocą ogłoszonych dotąd opracowań. Nie można jednak uważać jej za metodykę nauczania, bo nie daje najważniejszych dla nauczyciela informacyi w kwestyach takich, jak wybór postaci i dzieł na różnych stopniach nauki, sposób zapoznawania z utworami wybitnymi, posługiwania się podręcznikami i opracowaniami. Metodyką zaś pracy naukowej nad historyą literatury stać się może dopiero po jej uzupełnieniu przez rozbiory pominiętych, a niezbędnych w takim przewodniku pytań. *Br. Ch.*

M. Zdziechowski. *Szkice literackie.* I. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka, 1900.

Autor niniejszych „Szkiców“ od samego prawie początku swego zawodu literackiego wystąpił, jako zwolennik prądów umysłowych, stanowiących w różnych literaturach europejskich, a osobliwie we francuskiej, reakcyę idealistyczną, spirytualistyczną, a poniekąd i religijną przeciw przemożnemu w trzeciej ćwierci ubiegłego stulecia panowaniu pozytywizmu i naturalizmu bezwyznaniowego. Przejąwszy się żywo ideami przewodniemi tych nowych prądów, odpowiadającemi widocznie jego pragnieniom i upodobaniom osobistym, p. Zdziechowski stał się wytrwałym i konsekwentnym ich rzecznikiem nie tylko w swych obszernych pracach o Byronie i jego wpływie, o Mesyanistach i Słowianofilach, lecz także w mniejszych swych rozprawach, studyach i artykułach literackich. Niedziw więc, że te ostatnie, zebrane pod ogólną nazwą „Szkiców“, mogły wytworzyć dość jednolitą całość, osnutą na pewnej, logicznie rozwiniętej myśli przewodniej. Jednolitość ta wszakże nie jest zupełna: najprzód dlatego, że rozpoczynająca cały zbiór dość obszerna rzecz o nowellach amerykańskich Sienkiewicza odosobnione w nim zajmuje stanowisko i nie łączy się organicznie z pozostałymi szkicami, a następnie dlatego, że wszystkie owe prace, choć ożywione wspólną ideą, nie są jednak dość ściśle z sobą zjednoczone i do siebie przystosowane. Oczywiście, nie można z tego powodu czynić zarzutu autorowi, który, nazwawszy swą książkę zbiorem szkiców, daje nam więcej, aniżeli w tej nazwie przyrzeka, gdyż daje nam pewien logiczny ciąg myśli zasadniczych, okazanych w różnostronnem oświetleniu; sądzę wszelako, że myśli owe zyskałyby na wyrazistości i sile, gdyby zostały opracowane w ściślejszem zespoleniu organicznem. Nie mniej przeto przyznać trzeba, że i w tym układzie, w jakim je nam autor przedstawił, rozwijają się one jasno i konsekwentnie w przewodniej swej dążności. P. Zdziechowski daje nam w swej książce krótkie, szkicowe charakterystyki i rozbiory dzieł wielu wybitnych przedstawicieli owego zaznaczonego powyżej idealistyczno-religijnego kierunku literatury współczesnej. Poznajemy ich tu w pewnem logicznem następstwie, uwydatniającem ich względne znaczenie w ogólnym rozwoju dążeń duchowych obecnej doby.

Odpowiednio do tego wszystkie szkice ugrupowane zostały w sześciu czę-

ściach, ukazujących owe dążenia najprzód na ich charakterze coraz bardziej stanowczym i określonym, a następnie w rozlicznych ich zastosowaniach na polu twórczości artystycznej. Wyjątek stanowi część 1-sza, zapełniona całkowicie wspomnianą rozprawą o nowellach Sienkiewicza, która nie tylko pozbawiona jest związku z przewodnią ideą ogółu zawartych tu rzeczy, ale także pod względem wartości literackiej, jako najpierwsza młodzieńcza praca autora, znacznie niżej od nich stoi. W części 2-ej mamy szereg wybitnych pisarzów, wyobrażających we Francyi współczesnej kierunek idealistyczny w najogólniejszem, nawet w dość ogólnikowem jego zakresie. Naczelne miejsce zajmują tu Gabryel Sarrazin, E. M. de Vogüe, Karol Secretan, Gwido de Brémond d'Ars; obok nich spotykamy wielu innych pisarzów, przedstawiających ów neoidealizm francuski w różnych jego odcieniach. Następnie w części 3-ej swej książki obszerniejsze studyum poświęca p. Zdziechowski działalności Edwarda Schuré, który, zajmując się przeważnie badaniami nad esoteryzmem, t. j. nad tajną tradycyą religijną, przechowującą się w odwiecznych wierzeniach ludzkości, zbliża się bardziej, aniżeli poprzednio wymienieni pisarze, do dogmatycznej i mistycznej strony nauki chrześcijańskiej, chociaż daleki jeszcze jest od ściśle prawowiernych jej zasad.

Na gruncie ścisłej prawowierności stajemy w następnej, 4-ej części „Szkiców", zapełnionej wyczerpującem streszczeniem i trafną bardzo charakterystyką znamienitego dzieła O. Morawskiego, p. t.: *Wieczory nad Lemanem.* Dwie ostatnie części swej książki poświęca p. Zdziechowski praktycznym i teoretycznym zagadnieniom twórczości artystycznej. W części 5-ej z punktu widzenia zasadniczej swej idei rozpatruje twórczość Asnyka, Elizy Orzeszkowej (w ostatnich jej powieściach), Tetmajera i Wierzbickiego; w części 6-ej (zatytułowanej „Spór o piękno") z tegoż samego stanowiska rozwija pogląd swój na istotę piękna, przyczem polemizuje z teoretykami najmłodszego, modernistycznego czy dekadenckiego kierunku naszej literatury nadobnej, wykazując jednostronność ich abstrakcyjnej, obcej zupełnie moralnym zadaniom życia ludzkiego estetyki, przeciwstawiając jej głębokie idee wielkich pisarzów i myślicieli współczesnych, jak Sully Prudhomme, Leon Tołstoj i Fogazzaro, i uwydatniając brak oryginalności w uznawanych przez wielu za nowe objawienie artystyczne poglądach koryfeusza naszych modernistów, Przybyszewskiego, który istotnie w swej erotomanii mistyczno-zmysłowej w swem wynoszeniu ponad wszystko sztuki i jej zadań co krok spotyka się z romantykami niemieckimi z początku ubiegłego stulecia.

W wyborze i zestawieniu odpowiedniem tematów uwydatnia się już przewodnia dążność autora „Szkiców", wyrażona przytem pod różnemi postaciami w poglądach jego na rozpatrywanych pisarzów i ich dzieła. P. Zdziechowski nie zatrzymuje się na ogólnikowym idealizmie tak zwanych neochrześcijan francuskich, nie znajduje zadowolenia w głębokim, ale pełnym dowolności, esoteryzmie Schurégo lub utylitaryzmie Tołstoja, lecz dąży wytrwale do ideału pozytywnej religijności, ugruntowanej na prawowiernych zasadach chrześcijańskich i katolickich. Wszelako nie zawsze może się pogodzić z naczelnymi przedstawicielami i rzecznikami tych zasad, z praktycznym i realistycznym kierunkiem ich dążeń, w których słusznie dopatruje się analogii z dążeniami pozytywizmu i materyalizmu bezwyznaniowego, występującymi u nas po r. 1863. Oba te, tak zasadniczo różne, a jednak tak ściśle równoległe, kierunki, jako jednostronna i krańcowa reakcya przeciw idealizmowi romantycznemu poprzedniej epoki, zarówno są wstrętne autorowi „Szkiców", który jest zdecydowanym idealistą z przekonań, zasad i usposobienia i domaga się możliwie zupełnej realizacyi w życiu ideału chrześcijańskiego. —

Żywe przejęcie się takim idealizmem i wytrwała, a konsekwentna, obrona jego praw słusznych oto jest główna zaleta książki p. Zdziechowskiego i zasługa całej jego działalności pisarskiej. *W. G.*

Emil Thomas. *Die letzten zwanzig Jahre deutscher Literaturgeschichte.* 1880 — 1900. Leipzig (Fiedler).

Pomimo trudności, jaką sprawia zwykle kwestya zobrazowania piśmiennictwa danej chwili, ukazują się ciągle próby tego rodzaju. Pisano już w Niemczech o pojedyńczych działach literatury rzeczy syntetyczne; o poezyi (Biese, Bartels), o dramacie (Lotzman, Steiger), o prozie (Wolf). Nie było, zdaje się, jednakże dotąd w Niemczech całkowitego obrazu piśmiennictwa ostatnich czasów. Dopiero p. Emil Thomas pokusił się o to. Zanim o pracy jego szerzej coś powiem, zaznaczę, że okres 1880—1900 nie wydaje mi się wyraźnym; bardziej określonym byłby cykl 1870 — 1900 t. j. od wojny. Oczywiście bowiem nowsza literatura w znacznej części rozwinęła się w Niemczech pod wpływem tego nastroju, jaki powstał w narodzie po wielkich tryumfach politycznych r. 1870 — 71. Okaże się, że zwycięstwo wojenne było klęską ducha: milcząco fakt ten przyznaje i p. Thomas. Po roku 1870 występują tylko starzy pisarze, którzy już przedtem znani byli na świecie; poza tem głusza i milczenie... Ci, którzy mieli stworzyć dzisiejszy świat duchowy niemiecki, albo jeszcze się nie narodzili, albo też przemawiali głosem niezrozumiałym i dopiero w lat kilkanaście później znaleźli echo w społeczności: takim był Fr. Nietzsche, który jest właściwym ojcem i twórcą całej moderny niemieckiej. Wszystko tam z niego wypływa — a dodać należy — wszystko to w żadnym związku nie stoi z tryumfem oręża pruskiego; owszem jest reakcyą przeciw dzikości ducha, wywołanej przez wojnę. Poezya niemiecka — częściowo — pragnęłaby zrównoważyć te straty, jakie duch ludzki w Niemczech poniósł przez rozwój siły fizycznej; częściowo zaś—ludzie, pozbawieni oparcia, utraciwszy wiarę w siebie i w otoczenie, szukają jakichś upojeń chorobliwych lub sami siebie dysekują. Ten nowy nastrój jest w związku z podobnymi prądami w innych piśmiennictwach Europy, we Francyi i Belgii, w Skandynawii i Słowiańszczyźnie, częściowo też i we Włoszech. Dwa te rodzaje pisarzów, z których jedni chcą roztlić ducha w społeczności, a drudzy w sobie samych go rozwinąć i ukrzepić, — stanowią zapewne wyraz dwu prądów literackich, przenikających społeczność dzisiejszą.

Starzy powieściopisarze—Freytag, Spielhagen, Auerbach — wypowiedzieli już swoje słowo; niemniej i dawni poeci, jak Geibel, Schack, Bodenstedt, Hamerling... Naśladowcy tych pisarzów stanowili tylko dalszy ciąg twórczości swych poprzedników — i nic właściwie nowego do piśmienniczych skarbów nie dodali. Paweł Heyse — był jednym z tych autorów, w których już zaczątkowo mieszczą się motywy t. zw. modernistów, rozświetlone jednakże promieniami Grecyi i Italii. Freytag pisał rzeczy z podkładem politycznym, a Spielhagen stał się wyrazicielem reakcyi. Na scenie panował Oskar Blumental i Paweł Lindau, dziennikarze raczej, niż literaci. W poezyi po Kinklu i Kellerze — wystąpili śpiewacy-humoryści, Scheffel i Baumbach, znani u nas z przekładów i szerszego studyum Cz. Jankowskiego. Przeciwnie, proza epicka przybrała ciężkie szaty erudycyi w egipskich romansach Ebersa, w średniowiecznych obrazach Dahna i rzymskich nowellach Ecksteina. Marlittowa i Wernerowa w powieści społecznej, Anzengruber i Rosegger w teatrze, wreszcie cały szereg zręcznych wierszopisów, których nazwiska nic

nam nie mówią — stali długi czas na czele literatury, tworząc bardzo zręcznie przez autora nazwane *Gartenlaube-talente.* Tacy pisarze nie mogli zadowolnić inteligentniejszej i wybredniejszej części publiczności. Rodziła się potrzeba i konieczność jakiejś nowej myśli literackiej: był to ten sam okres, kiedy we Francyi kiełkowały prądy t. zw. symbolistów.

Po r. 1880 dwaj bracia Hart założyli pismo *Kritische Waffengänge*, w którem się zjednoczyli wszyscy niezadowoleni. W artykule wstępnym *Wozu, wogegen, wofür?* rozwinęli swój program: zerwać z eklektycznym dyletantyzmem, zwalczać leniuchostwo krytyczne, panujące dotąd w literaturze, otworzyć miejsce umysłom żywym i energicznym, które nie wierzą w ostateczny upadek literatury i nie chcą do niego dopuścić. Dość ostro, z pewnym zapędem młodzieńczym, osądzono tu wszystkich głośnych pisarzów niemieckich współczesnych, — co zazwyczaj wywołuje hałas i wstrząśnienie.

Moderne Dichtercharaktere było nowem pismem niezadowolonych, a w niem to Bleibtreu ogłosił swą Rewolucyę w literaturze. Nakoniec M. G. Conrad wspólnie z Bleibtreuem założyli pismo *Gesellschaft*, do dziś istniejące. Okazało się jednak, że ci, którzy chcieli eklektyzm zwalić, sami byli eklektykami, gdyż czerpali tendencye już to w naturalizmie Zoli, już w piśmiennictwie rosyjskiem i skandynawskiem. Naturalizm właśnie przekwitał we Francyi, gdy Niemcy chcieli go sobie przyswoić. Ostatecznie jednak powstała grupa ciekawych pisarzów, z których Bleibtreu zdawał się najżywotniejszym, choć był tylko płodnym; Conrad pisał romanse w stylu Zoli, Alberti malował Berlin w duchu socyalnym, Conradi ogłaszał gorące pieśni, Arno Holz i Karol Henckel stworzyli poezyę socyalistyczną, Liliencron wystawiał w wierszach życie nowoczesne. Pojedyńcze osobistości miały fizyonomię wyraźną; całość jednak nie stanowiła żadnej jedności. Zarzut główny, jaki im robiono, był ten, że nie czuło się w nich niemieckości; byli to pisarze nie narodowi, francuscy może, rosyjscy, norwescy — ale nie niemieccy. Z nieludzko logicznej doktryny Zoli, z nihilizmu Tołstoja, z aktywnej indywidualności Ibsena — powstawała zwolna synteza, w niemieckim duchu przetrawiona. Ibsen zwłaszcza pokazał światu istotę myślenia i czucia nowożytnego. Zarazem doszedł do uszu ogółu nadzwyczajny głos Fryderyka Nietzschego, pisarza, który już za czasów wojny roku 1870 działać począł, ale który dopiero we dwadzieścia lat później został usłyszany w Niemczech — i poza ich granicami. Wpływ jego był, jak piorun: pomimo tradycyi o nie-germańskiem pochodzeniu tego wyjątkowego pisarza, ma on kulturę niemiecką i wyraża częściowo ducha niemieckiego; zresztą jest ogólno-ludzki. Ściśle germański był wpływ muzyki Ryszarda Wagnera. Tak powstała grupa, zwana *Jüngstdeutschen.* Jednocześnie zaś nowa fala oddziaływać poczęła na Niemcy: secesyjne ideały symbolistów i egzotyków. Jak widzimy, Niemcy opóźnili się nieco w pochodzie literackim; naturalizm zakwitł u nich w chwili, gdy już wiądł na zachodzie; symbolizm zjawił się również zapóźno. Należy dodać w teatrze wpływy Sardou, które do Niemiec wprowadził Sudermana z pewnemi zmianami, a nadto realistyczne próby w pierwszych dziełach Hauptmana.

Hauptman porzucił później realizm — dla romantyki symbolicznej, dla indywidualności w duchu ibsenowskim, dla *übermenschów* nietzscheańskich. Hauptmann stał się dziś ośrodkową postacią literatury niemieckiej: stanowi on eklektyczną kombinacyę wszystkich wpływów i prądów, jakie działały na Niemcy od r. 1870. Pomijając starsze wpływy — Goethego i Szekspira — mamy w nim Zolę i Ibsena,

Wagnera i Nietzschego, Maeterlincka, Jüngstdeutschen i Freie Bühne. Z dzieł jego zapewne najoryginalniejszym jest dramat bez jednostki p. t. *Weber*. Tu występują tłumy; jest to pierwsza próba dramatyczna tego rodzaju — próba bardzo szczęśliwa. Godny też uwagi jest jego utwór, p. t. Dzwon zatopiony, stanowiący w istocie dość pospolitą alegoryę.

Ostatnimi czasy dały się słyszeć głosy przeciw sławnemu pisarzowi: *Los von Hauptman* — jest to hasło naj-naj-najmłodszych Niemców. Śród przedstawicieli nowej literatury niemieckiej najprzedniejsze miejsce zajmuje Stanisław Przybyszewski, którego twórczość stanowi wyraz konwulsyjnej szarpaniny wewnętrznej ducha, żądnego dotrzeć do samego rdzenia własnego. Podobne — każdy w swojej formie — dążenia wyrażają inni autorzy, jak Otto Julius Bierbaum, kierownik *Freie Bühne* i współkierownik *Insel*; mistyczny poeta Franz Evers; Richard Dehmel, jeden z najdźwięczniejszych muzyków słowa; Wedekind, Scholz, Dörmann (autor zbioru *Neurotica* i *Sensationen*); Hugo v. Hofmanstahl, który się ostatnio wzoruje na Gabr. d'Annunzio i inni. Peter Altenberg jest specyalistą od nastrojów (stimmungów) i impresyi (Wie ich es sehe, Ashantee); Stefan George pod dziwacznymi tytułami wydaje zbiory bardzo oryginalnych poezyi; Alfred Mombert i Paweł Scheerbart — odznaczają się również szczególnem wyszukaniem formy i treści.

Osobną grupę stanowią młodzi pisarze niemiecko-austryaccy.

Książka p. Thomasa nie ma, zdaje się, wysokich uroszczeń. Jest to wielki artykuł dziennikarski z przedmową i zakończeniem — i z szeregiem nazwisk pośrodku. Autor nie jest pozbawiony złośliwego dowcipu — i kierunki lub osoby niesympatyczne ośmiesza zapomocą zręcznie dobranych, choć często niesłusznych epitetów. Książka ta ma przedewszystkiem znaczenie informacyjne i odpowiada rzeczywistej potrzebie literatury: zbilansowania pracy, dotąd wykonanej. Dla ułatwienia sprawy p. Thomas podzielił pisarzów na grupy, których zresztą jest koło trzydziestu; nazwisk zaś koło trzechset, a tytułów dzieł do tysiąca. Jest to zatem, jako przewodnik informacyjny, książka wielkiej wartości; co do poglądów, oczywiście bardzo często z autorem zgodzić się nie można, zwłaszcza wobec licznych banalników, jakimi zwykle dziennikarze pstrzą swoje rozmyślania literackie.

W zakończeniu książki znajdujemy szerszą wzmiankę o pismach tygodniowych i miesięcznych, poświęconych literaturze, oraz o stosunku handlu księgarskiego do piśmiennictwa za naszych czasów: w ostatniej rozprawie mieści się wiele słusznych uwag o lichwiarskim wyzysku, jaki uprawiają księgarze względem piszących.

A. Lange.

Al. Janowski. *Wycieczki po kraju.* Zeszyt II. (Warszawa, 1900, str. 151. Skład główny w księgarni Jana Fiszera).

Mamy więc już drugi zeszyt szczęśliwie przez p. Janowskiego pomyślanego wydawnictwa p. t. „Wycieczki po kraju". W pierwszej wycieczce głównymi etapami były: Kielce, Chęciny, Bodzentyn, Święty Krzyż, Wąchock, Iłża i Radom. Książeczka druga, ułatwiając poznanie bardziej na wschód położonej części południa Królestwa, prowadzi nas przez Ostrowiec, Opatów, Klimontów i Ossolin aż do uroczego Sandomierza.

Nie będę się tu rozwodził nad ważnością i większą, niżby się niejednemu wydawać mogło, użytecznością przedsięwziętej przez p. Janowskiego pracy. Sądzę, że zaznaczyłem to już dostatecznie w styczniowym numerze „Ateneum" (rok

1900), zdając sprawę z pierwszego zeszytu „Wycieczek“. Na dobro zaś dalszego ciągu wydawnictwa zanotować muszę większe, niż w poprzednim tomiku, uwzględnienie rad i wskazówek praktycznych dla turysty, jako to: wyszczególnienie zajazdów i hoteli w każdej miejscowości ze wskazaniem cen postojów, obiadów, furmanek, nawet biletów kolejowych i t. p. Dalej, choć niezbyt obfite, włączono tu niektóre dane statystyczne, opisywanych miejscowości dotyczące. Ilustracyi, choć niezawsze dokładnych, jest tutaj także więcej, — słowem, wszędzie znać dbałość sumiennego autora o doskonalenie podjętej pracy. Na jednym tylko punkcie nie widzę postępu, — w rzeczach mianowicie, dotyczących sztuki. Sztukę traktuje autor po macoszemu. Zrzadka tylko zaznacza autor styl danych budowli, nie udzielając nigdzie bliższych co do charakterystyki ich pod względem architektonicznym objaśnień. Jeżeli nad jakimś zabytkiem, jak np. nad pomnikiem Krzysztofa Szydłowieckiego, zatrzymuje się dłużej, czyni to bardziej dla historycznych, aniżeli estetycznych, względów. Architektonice kolegiaty opatowskiej poświęca autor zaledwie 3 wiersze: „Kościół jest trzynawowy, środkowa wyższa od bocznych, całość wspiera się na kilku filarach i czyni wrażenie wielkiego piękna i harmonii“. Objaśnienie, jak widzimy, objaśniające niewiele.

Pojmuję doskonale pobudki i intencye autora i nawet cofam swój zarzut dawniejszy co do przeładowania przewodnika historyą, zwłaszcza, jeśli autor wyboru dat i objaśnień historycznych dokonywać będzie i nadal tak umiejętnie i sumiennie, jak w omawianym 2-m zeszycie. Ale swoją drogą jeszcze raz zaznaczam, że brak poważniejszego uwzględnienia estetycznej strony zabytków sztuki, napotykanych w różnych zakątkach kraju, czynić będzie całe wydawnictwo p. J. niekompletnem, do użytku turystów tylko czasowo, do chwili zjawienia się wszechstronniejszego polskiego Baedeckera przydatnem. Wprawdzie może całe dziesiątki lat będziemy musieli na tę chwilę czekać, ale właśnie tembardziej żałować wypadnie, jeśli życzliwe rady krytyki nie znajdą u autora przychylnego posłuchu. Zwłaszcza u nas, gdzie szersze masy tak mało posiadają rzetelnej znajomości sztuki wogóle, a gdzie zabytki sztuki swojskiej uchodzą uwagi nawet ludzi skądinąd wysoko estetycznie wykształconych, ileżby pożytku i dobrego wpływu wywrzeć mogło zaznajomienie poglądowe z artystyczną stroną zabytków swojskiej sztuki, wskazanie podróżującym po kraju masom, że od najdawniejszych czasów naszej historyi mieliśmy bacznie wytężone oko na płody cywilizacyi zachodniej, że, choć nie zdobyliśmy się na stworzenie sztuki oryginalnej własnej, jednakże zawsześmy chętnie owoce ducha artystycznego Europy na nasz grunt przeszczepiali, a przeszczepione często już samodzielnie odpowiednio do naszych warunków i gustów modyfikowali. Zwłaszcza Małopolska z Sandomierzem — ileż to ciekawej mogłyby dać pod tym względem nauki! Taki kościół Św. Jakóba jakżeż się nadawał nie tylko do zapoznania podróżnika ze stylem romańskim, ale i do przekonania go naocznego, że już w owych zamierzchłych wiekach sztuka polska próbowała z powodzeniem samodzielnych wzlotów! Wobec niezmiernej ważności kościoła tego w historyi naszej architektury, nie byłoby nawet nie na miejscu podać czytelnikowi nie tylko dokładny plan kościoła w jego stanie obecnym, ale i plan pierwiastkowy, jak go z fragmentów różnych odcyfrował prof. Łuszczkiewicz. Wprost napraszała się o uwzględnienie jakaś wzmianka, na czem polegały właściwości stylu romańskiego w Polsce. A dalej, gdy mowa o budowlach kazimierzowskich, trzebaż było koniecznie podać choćby najkrótszą ich charakterystykę.

I wiele, wiele rzeczy dałoby się powiedzieć z okazyi czy to katedry, śpichlerza kolegiackiego, ratusza lub zamku sandomierskiego, czy stal i ławek w kole-

giacie opatowskiej, czy wreszcie z okazyi zamku krzyżtoporskiego. Bo o jednem pamiętać należy, że, jeżeli turyście nie pomożemy nazwać sobie oglądanych na wycieczce rzeczy, stracą one dla niego już nie połowę, ale trzy czwarte swego uroku i znaczenia. Kwestyę więc uwzględnienia w „Wycieczkach" strony historyczno-estetycznej opisanych zabytków sztuki jeszcze raz, i to gorąco, polecamy uwadze autora. *Wacław Kloss.*

Jadwiga Chrząszczewska i **Jadwiga Warnkówna.** *Z biegiem Wisły*, obrazki o kraju z 200 rysunkami w tekście i 2-a mapami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1901.

O ile treść historyczna daje się łatwo przybrać w ponętną i zajmującą szatę, o tyle geografia przedstawia się opornie, tem więcej, gdy chodzi o dostarczenie lektury dla młodzieży, którą opisy, nawet piękne, nudzą najczęściej. To też przystępnych, a zajmujących, książek z zakresu geografii mamy bardzo niewiele, a wśród nich wybitne miejsce zająć musi książka, w której autorki, prowadząc „Z biegiem Wisły" młodych czytelników, zachęcają ich do poznania znacznego obszaru ziemi rodzinnej.

Opierając się na źródłowym materyale naukowym z zakresu geografii, historyi i ludoznawstwa, ukazują nam autorki Śląsk i źródła Wisły. Zwiedzamy Kraków, a zajrzawszy do Wieliczki i Dąbrowy, porzucamy na chwilę zlewisko królowej rzek polskich i dążymy wzdłuż Warty, aż do Prosny.

Wracając jednak wkrótce do głównego założenia, odwiedzamy polską Szwajcaryę i, trzymając się już ściśle wytkniętej drogi (raz bowiem tylko zbaczamy w stronę Niemna), zwiedzamy Sandomierz, Radom, Lublin, Warszawę, Płock, Włocławek, Toruń, wreszcie Oliwę i Gdańsk, zaglądając po drodze tam, gdzie tylko coś ciekawego usłyszeć możemy, choćby w małej mieścinie lub pod wiejską strzechą.

Autorki nie żałowały pracy, aby nam podróż uprzyjemnić, umiały wskazać każdą piękność, każdy pomnik pracy obecnej, pamiątkę przeszłej, a wszystko ukwieciły opisem zwyczajów, podań, legend lub wspomnień historycznych.

To też po przeczytaniu książki widzimy nie tylko sam obszar ziemi: pola, miasta, świątynie pamiątek, środowiska życia przemysłowego i handlowego, ale znamy i naród, co mieszka pod słomianą strzechą, w nizkim domku lub wspaniałej kamienicy wielkomiejskiej; widzimy go, jak pracuje na skwarze słonecznym lub w głębi kopalni, jak płynie na galarach lub zwija się wśród maszyn fabrycznych: znamy jego uczucia i zwyczaje, klechdy i zabawy, wiemy, jak się ubiera (szkoda tylko, że pominięto wspaniały strój „Książaków" łowickich) i czem się żywi.

Piękny jest opis pogrzebu górnika, wesela w Zamojarczyźnie, śmieszy nas konik zwierzyniecki, pociąga obrząd wianków lub sobótki, skreślony prawdziwie malowniczo, interesują dożynki. (Fałszywie je tylko autorki inaczej „zażynkami" nazywają. Zażynki jest to zwyczaj, zachowany w niektórych okolicach kraju, a polegający na tem, że gospodyni domu idzie na pole sama rozpocząć żniwa i pierwszą garść plonu przynosi do dworu lub chaty).

Wogóle autorki potrafiły dużo poezyi wpleść w opowiadanie, piękny a przystępny język jest niekiedy prawdziwie poetycznym, a wierzenia ludu stają przed nami plastycznie: jak żywy, płata figle dyabeł Boruta i Rokita, widzimy Twardowskiego, który dzięki pieśni nabożnej uniknął wiecznej kary i zawisł w przestworzu, dowiadujemy się o niezgodzie miesięcy, poznajemy legendy i o świętej

Barbarze, i o powstaniu Wielunia, i o trzech krzyżach na placu Św. Aleksandra w Warszawie, i wiele, wiele innych.

Prócz tego autorki chętnie się wyręczają ustępami z poezyi, które się zastosować dały, a więc kolejno: Klonowicz, Pol, Lenartowicz, Deotyma, Konopnicka, Sienkiewicz i inni przemawiają do czytelnika.

Zarzutów można zrobić niewiele. Są pewne niedokładności: Piotr Skarga nazywał się Powęski, a nie Pawęski (212 str.), pałacu Białego w Łazienkach nie można identyfikować z Okrąglakiem (str. 232), wieśniaczka nie może śpiewać dziecku w polu „kołysz się, kolebko, od ściany do ściany!“ (str. 203).

Korekta nieraz płata figle: to rok upadku Księstwa Warszawskiego oznacza cyfra 1813, to mówi o gubernii warszawsko-siedleckiej, to w znanym czterowierszu: „selery, pory i kalafiory — któż to nie przyzna, że to włoszczyzna“ zmienia „selery“ na „sery“, lub nawet paczy tekst „Pana Tadeusza“ (str. 270 „mechami“ sic!).

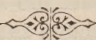
Możeby dobrze było nie tylko przy niektórych poetach i malarzach, uczonych i reformatorach oznaczać datę urodzenia i śmierci, ale zastosować to do wszystkich.

Należałoby zmienić napisy pod niektórymi rysunkami (str. 25), a stanowczo zmienić kliszę, przedstawiającą pomnik króla Zygmunta w Warszawie. Postać, otoczona rusztowaniem, daje fałszywe pojęcie, bo sprawia wrażenie, że król stoi na balkonie.

Pod względem pedagogicznym książka ma dużo zalet: stara się usunąć ogólnie zakorzenione wady, zwracając uwagę na wandalizm podróżników, co pustoszą groty stalaktytowe (str. 115) lub szpecą mury, zapisując swe nazwiska (str. 177).

Lecz i pod tym względem jedna uwaga: Obchód „Rękawki“ nazwany jest wesołą zabawą (str. 34), a na to się chyba żaden pedagog nie zgodzi: taki sposób wspierania biednych jest conajmniej niewłaściwy, bo ani w obdarzających, ani w obdarzanych uczuć dodatnich nie zdoła wzbudzić.

Mimo to wszystko książka ma istotną wartość, powinna się jaknajbardziej rozpowszechnić wśród młodzieży, dla której jest przeznaczona, bo wzbogaci umysł i serce. Młodzież powtórzy z autorkami: „Dużo jest większych, wspanialszych, piękniejszych rzek na Bożym świecie, ale dla nas Wisełka ukochana najmilsza, bo ona nasza, a i my jej swojacy...“ *A. W.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Julian Dunajewski. *Mowy w sejmie krajowym i Radzie Państwa*, przetłómaczył, objaśnił i wydał dr. Władysław Leopold Jaworski, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1899, tomów dwa.

Słynęli niegdyś Polacy ze sztuki krasomówczej. Zarówno czynny żywot w polu, w potrzebie wojennej, jako też i w zawodach cywilnych, na służbie publicznej, do której cały ogół „obywatelstwa“ był powołany, rozprawa ustna znajdo-

wała się w ciągłym obrocie i użyciu. Wraz ze zmianą zasadniczych warunków bytu przedziwny ten organ oddziaływania na wyobrażenia, dążności i czyny współbraci uległ radykalnemu przeobrażeniu. W tegoczesnych naszych traktatach estetycznych częściej już posłyszysz o „muzyce z kamienia“, niżli o architektonice żywego słowa, które też za dni naszych pielęgnują i uprawiają niemal wyłącznie kaznodzieje kościelni; katedra nauczycielska, estrada prelegenta lub deklamatora nie są nawet w stanie zamarzyć o współzawodnictwie z amboną. Gdyby nie teatr, musielibyśmy wymowę świecką zaliczyć w dobrej połowie ziem etnograficznie polskich do zjawisk mitologicznych, legendowych. Zdarza się, bezwątpienia, niekiedy, że i z trybuny parlamentarnej słyszeć się da głos polski, — ale już najzwyklej w języku chyba niemieckim. Drugą część mów sejmowych Juliana Dunajewskiego — mowy ministeryalne w wiedeńskiej Radzie państwa — trzeba było z tego powodu tłómaczyć, objaśniać, w odnośnikach komentować. Robota niewdzięczna! — skutek lichy. Muszę oto rozpierzchłe władze pamięci i wyobraźni wypędzać z najgłębszych, zapuszczonych zakątków duszy, ażeby módz w spolszczonej tej niemiecczyźnie posłyszeć jeszcze coś niecoś z owych przedziwnie pełnych, urównoważonych, swobodnych, spokojnych i, jak potoki na dolnych stokach Karpat poważnie sunących, dzwoniących okresów, które niegdyś, przed czterdziestu niespełna laty, spływały ku nam, słuchaczom Wszechnicy Jagiellońskiej, z cienkich, mocno zarysowanych, ostro a trzeźwo zaciętych warg profesora ekonomii politycznej... Koloryt w przekalkowaniu dźwięków na papier spłowiał lub znikł; rysunek pozostał nietknięty. Jest to, jak i dawniej, najściślejsza, równoległa prawie kombinacya faktów i rozumowań, — rozumowań, wysnutych z faktów, i faktów, podpartych rozumowaniem, a wszystko razem obficie przeplecione krótkiemi, ciętemi wstawkami epizodycznemi, przeważnie sarkastycznemi, wybuchającemi, gdzie fakt bierze rozbrat z rozumowaniem lub naodwrót. Te naddatkowe naciski i podkreślenia, pozbawione dziś — na bibule — prawdy gestów, dość zresztą skromnych i intonacyi wielce bogatej, niezliczonemi odcieniami wysubtelizowanej, są w książce uciążliwe; w wygłoszeniu płynnem i miarowem, znacząco zawsze chłodnem i skupionem w sobie stanowiły one przed laty największy powab ekspozycyi i dowodzenia. Czytanie wymaga natężonej ciągłości uwagi, która niegdyś, w słuchaniu, przychodziła sama, nic nie kosztowała. Mowy Dunajewskiego, jako austryackiego ministra skarbu, stanowią pokaźny przyczynek do wewnętrznych dziejów monarchii rakuskiej, a obejmują w tej historyi okres bardzo ważny, najważniejszy zapewne z całego wieku XIX. Pierwszą mowę wygłosił minister w dniu 30 listopada 1880 roku, przedstawiając ustawę finansową wraz z preliminarzem budżetu na rok 1881; ostatni raz przemówił Dunajewski w dniu 4 grudnia 1890, przekładając preliminarz (na rok 1891), wykazujący — słuchajcie!... — nadwyżkę dochodów nad wydatkami w sumie 2,285,624 złr. Dziesięciolecie to śmiało nazwać można podstawowo reorganizacyjnem i naprawczem. Skarbowość austryacka do roku 1881 stała i podtrzymywała się głównie podporami nadzwyczajnemi. Żyła przeważnie z kapitału, nie z procentu — w najogólniejszem tych słów znaczeniu. Po wielkim polityczno-wojskowym kataklizmie roku 1866 i w części po klęskach lat 1870—71 okres od roku 1871 do 1881, bezpośrednio poprzedzający kierownictwo Dunajewskiego, był — rzec można — ciągłem zatykaniem dziur bieżących forszusowem spieniężaniem zasobów źródłowych, przeważnie naturalnych. Łatano deficyty, przywracano równowagę w budżetach z pomocą rozmaitych ryczałtowych kombinacyi z akcyami kolejowemi, — głównie jednak wyprzedażami d ó b r p a ń s t w o w y c h... Starczyć tego oczywiście nie mogło na

długo. Obejmując w końcu roku 1880 tekę ministra skarbu, Dunajewski otwarcie zaznaczył, że „już obecnie nie rozporządzamy tymi wielkimi środkami, jakimi administracya państwa i ustawodawstwo szafowały w dziesięcioleciu ubiegłem...“ Trzeba było koniecznie odwołać się do środków małych, a żyć według przysłowia polskiego o zgodzie rozchodu z przychodem, — przysłowia, na nieszczęście, najmniej w samej Polsce przestrzeganego. Najprostszy zdrowy rozsądek wskazywał w takiem położeniu, jako na jedyne lekarstwo, — na oszczędność. Ale oszczędność bywa niekiedy nieprodukcyjniejszą od samej rozrzutności. Oszczędzanie się — powiadał Dunajewski w swej mowie programowej — mogłoby być wydatnem w trzech wypadkach: gdyby państwo zgodziło się na pogwałcenie swych zobowiązań i praw nabytych; gdyby zamierzało wywołać zupełną stagnacyę w rozwoju wewnętrznym; wreszcie „gdybyśmy się dali nakłonić do osłabienia mocarstwowego stanowiska Austryi...“ Wśród siarczystych oklasków większości izby (prawicy, przeważnie słowiańskiej) minister oświadczył z niedającym się powtórzyć akcentem wyrachowanej niemieckiej flegmy i pedanteryi, że rząd Jego Ces. Mości „nie zamierza wejść na żadną z tych trzech dróg...“ Niepodobieństwo uszczuplenia rozchodów narzucało nieodbicie alternatywę odwrotną: zwiększenie dochodów, a to, naturalnie, przez wynalezienie nowych źródeł podatkowych. Ale tu inny szkopuł: obciążyć ludność nowymi podatkami to najczęściej wychodzi na jedno, co ją uczynić niezdolną nawet do płacenia podatków starych... Należy nieodzownie spotęgować siły podatkowe ludności, aby mieć skąd i z czego czerpać... „Baran dobrze się musi odżywiać, aby miał wełnę do strzyżenia...“ Problemat, zdawałoby się, bardzo prosty, jasny. Ale profan nie ma najmniejszego wyobrażenia o trudnościach rozwiązania—z jakiemi walczyć musi minister odpowiedzialny, zniewolony z każdego napływającego do skarbca centa zdawać sprawę przed tymi właśnie, którzy centa płacą. To też przedewszystkiem profan dużo skorzystaćby potrafił z przestudyowania mów Dunajewskiego. Jak ze wskazówek na zegarze dowiadujemy się, czy zawcześnie lub zapóźno do pracy dziennej się zabieramy i ją kończymy, tak z jego prelekcyi ministeryalnych dowiedzieć się możemy, w jakich to warunkach i okolicznościach wznosi się lub upada dobrobyt, pomyślność i względne szczęście państw, narodów, rodzin. Badanie to dr. Władysław Leopold Jaworski, tłómacz, ułatwił znacznie wybornemi swemi streszczeniami, poprzedzającemi każdy wykład: jest ono i dostępnem, i zajmującem. *J. T. H.*

Dr. S. Mintz. *Hygiena biblijna w świetle krytyki spółczesnej.* 1901.

Autor porusza sprawę społeczną pierwszorzędnego znaczenia; idzie tu bowiem o „zbiór przepisów w Pięcioksięgu“, obowiązujący Żydów, czyli o całokształt życia hygienicznego ogromu ludności, ślepo ulegającej tym przepisom. Całokształtem zwiemy je głównie z tej przyczyny, że w sferach odnośnych ściśle i z ochotą wykonywa się to tylko, co nosi na sobie cechę wyznaniową, pozostałe zalecenia hygieny stosując przeważnie — z musu. O ile zaś nietaktowną byłaby krytyka zewnętrzna zasad wierzeniowych Żydów, gdy one nie mają styczności z życiem społecznem całego ogółu, o tyle zaciekawić musi każdego pogląd Żydów samych na niektóre przepisy ich wyznania, na te zwłaszcza, co pośrednio łączą się ze stosunkami społeczności całej. Zdaniem tedy „wielu postępowych wyznawców mozaizmu“, należy „zaniechać obrzezania w naszym umiarkowanym klimacie“, przenieść na niedzielę „odpoczynek sobotni“ oraz jeść „wieprzowinę, w której pod

drobnowidzem nie wykryto trychin". Z takiem mniemaniem nie zgadza się dr. M., który woli „narazić się na zarzut wstecznictwa", a zaznaczywszy, iż „obrzezanie spotykamy pośród Malajo - Polinezyjczyków, na wyspach Tahiti, na Madagaskarze, pośród niektórych ludów meksykańskich na długo jeszcze przed odkryciem Ameryki, w Australii i Afryce", — przychyla się wreszcie do sądu Spencera, który w swych „Zasadach socyologii" zalicza obrzezanie do okaleczeń, będących rodzajem „pobierania trofeów". Zdaniem autora książki o hygienie biblijnej Żydzi również składają trofea Bogu, jako „uznanie ich podobieństwa względem Niego". Co zaś do małej ilości chorych syfilitycznych wśród Żydów, to przyczyny należy szukać „we wczesnych małżeństwach, we wzorowem życiu rodzinnem, oraz w odrębności"; święcenie soboty, wedle autora, nie ma nic wspólnego z hygieną; jest to raczej sprawa socyalna, bo idzie o odpoczynek „dla sług i służebnic", równych panu. Teraz wszakże nie rozumiemy związku logicznego dowodzeń autora, który raz twierdzi, że należy przepisy „przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza" i nie przenosić odpoczynku sobotniego na dzień inny, ponieważ nie był on dany ze względów hygienicznych; to znowu wyjaśnia nam przyczynę odpoczynku „charakterem socyalnym", a w takim wypadku można przecież powtórzyć twierdzenie, zastosowane do hygieny, że mianowicie „odpoczynek sobotni da się bez uszczerbku przenieść na inny dzień w tygodniu", jak to istotnie czynią wszyscy prawie Żydzi postępowi. Autor, który woli „narazić się na zarzut wstecznictwa", podział zwierząt na „czyste" i nieczyste czyli na dozwolone Żydom do jedzenia i zakazane, tłómaczy między innemi, za pisarzem niemieckim, w ten sposób, że przepisy o pokarmach, miały na celu „wyodrębnić naród żydowski i uchronić go od asymilacyi z ościennemi plemionami". Stwierdza dalej, że „nic nie było w stanie tak izolować i odosobnić lud żydowski, jak prawa o pokarmach", i nie odmawia słuszności nawet zdaniu talmudystów, którzy myśl o pokarmach streścili w takiej sentencyi: „niedozwolony był ich chleb z powodu ich wina, wino z powodu córek, córki z powodu bożków". Pomimo tej, tak dziwnej tendencyi, a przynajmniej przestarzałej, autor dochodzi do wniosku, iż „obyczaj, uświęcony wiekami, nabrał mocy prawa religijnego". Jeżeli teraz pominiemy pozostałe wywody autora o infekcyi i dezinfekcyi biblijnej, jako nie mające bliższej styczności z życiem społecznem, a traktowane głównie teoretycznie, — to nic poza powyższym istotnym zarzutem „wstecznictwa" nie uderza nas w tej lekkiej pracy kompilacyjnej, nad czem warto byłoby zastanowić się uważniej; z żalem tylko stwierdzić musimy, iż widocznie „zarzut wstecznictwa" nie jest obecnie nazbyt nieprzyjemnym, gdyż autor, prowokując go, nieomal się pyszni tem swojem „wstecznictwem". Wreszcie zwracamy uwagę autora, że po polsku nie mówi się „jałówka zamienia byka", lecz zastępuje; nie mało tego, lecz nie dosyć na tem. Dalej: wszetecznictwo nie jest to samo, co wstecznictwo. Wreszcie pisownia — niejednostajna: w jednym wierszu czytamy: Midyanitan i biblji.

On.

Leon Winiarski. *Wiliam Morris.* (Życiorysy znakomitych ludzi). Warszawa, 1900 (B. Natanson).

Malarz, poeta, architekt, fabrykant mebli, rysownik, drukarz, działacz społeczny — wszystko to skupiło się w jednej osobistości Morrisa, który przedewszystkiem był artystą i z punktu widzenia artysty patrzał na wszystkie, tak różnorodne swoje czynności. Kiedy się ukazał na widowni życiowej, panował w Anglii

czas przełomu w sztuce, głównie w malarstwie. — Malarstwo dotychczasowe upadało coraz bardziej; w tematach i wykonaniu panowała szablonowość. Ale równolegle powstawała nowa sztuka, która, coprawda, zapewne dlatego, że nie miała genialnych przedstawicieli, nie stworzyła nic zupełnie nowego, odrodziła jednak malarstwo angielskie. Wzorów do naśladowania poczęto szukać w przeszłości dość odległej, bo średniowiecznej: powstała szkoła prerafaelitów. Twórcą tego kierunku był Ford Madof Brown; obok niego zgrupowali się młodsi malarze, jak Rosetti, Holmann, Hunt. Ci ostatni założyli „braterstwo", mające na celu odrodzenie sztuki angielskiej w kierunku prerafaelityzmu. „Braterstwo" to, chociaż z trudem i z walką przeciw „starej sztuce", miotającej, jak zwykle bywa, pioruny, rozwijało się pomyślnie, szczególniej, kiedy Ruskin wystąpił w ich obronie i pozyskał im opinię publiczną w latach 50 — 60 XIX wieku. „Braterstwo" zdobywa coraz więcej członków, między którymi są: Swinburne, Burne-Jones i William Morris. Ta chwila przełomowa, w której się pojawia Morris, ten prerafaelityzm, którego wpływowi ulega odrazu, pozostawił ślady niezatarte na całej jego działalności tak poetyckiej, jak i dekoracyjno-malarskiej. Założona przezeń przy współudziale Burne-Jones'a fabryka mebli stylowych, obić i t. p. rzeczy dekoracyjnych wyrabia w swoim rodzaju arcydzieła, zastosowując w praktyce te wymagania, jakie teoretycznie stawiał Ruskin sztuce dekoracyjnej. Współcześnie jednak i może głównie jest Morris poetą; poezya jego również, ideałami wieków średnich przesiąknięta i z nich do naśladowania wzory czerpiąca, ulega temuż wpływowi ruskinowskich, prerafaelickich teoryi. Jak malarze tego kierunku byli przedewszystkiem kolorystami (Rosetti), tak Morris świetność kolorytu wprowadza w dziedzinę poezyi. Biorąc układ i formę zewnętrzną od Chaucera, biorąc tematy z mitologii greckiej lub folkloru skandynawskiego, tworzy on czterotomowy poemat „The Earthly Paradise" (Raj ziemski) i wiele innych (The Life and Death of Jasan, Love is enough, Three Northern Love Stories i t. d.). Tłómaczy prócz tego Eneidę i Odysseję; o tłómaczeniach tych mówi krytyka: „Zrobić lepiej byłoby niemożliwością". Zajął się również poeta przemysłem książkowym, założył papiernię i drukarnię. Według wzorów rękopisów średniowiecznych odlewa czcionki, zapożycza stamtąd ornamentykę brzegów, marginesów, liter początkowych. Działalność przemysłowa wprowadza go w zetknięcie się z szeregami proletaryatu, z nędzą, zaczyna więc marzyć o działalności społecznej. Z początku, w myśl teoryi Ruskina, przenosi fabrykę na wieś, zastępuje maszyny pracą ręczną, ale, widząc wkrótce bezowocność takiego postępowania, wstępuje w poczet członków partyi socyalno-demokratycznej. I ta jednak nie zadowolniła go. Więc zamyślił stworzyć stowarzyszenie, dążące do pewnego ideału przyszłości, różnego od innych istniejących. O ideałach tych dowiadujemy się z książki jego „News from Nowhere" (Wieści z nikąd). — Pobudką do jej napisania była fantazya Amerykanina Bellamy'ego „Looking Backward" (tłóm. polskie p. t. „W wieku XXI) i jest zupełnem tej ostatniej przeciwieństwem. Maluje tu Morris marzenia swoje o przyszłości. We śnie przenosi się do Anglii wieku XXI, gdzie panują idealne stosunki równości, miłości, pracy, przyjemności; niema tu miast wielkich, fabryk, wyzysku, pieniędzy ni handlarskich geszeftów; nad wszystkiem panuje pojmowanie życia, jako estetycznej w wysokim stopniu przyjemności. Na zewnętrzną stronę tego snu o przyszłości ogromny wpływ wywarło uwielbienie średniowiecza, cechujące wszystkie prace Morrisa. Wewnętrzna zaś jego strona jest pełną kultu piękna i miłości, tych dwu głównych kultów Morrisa. Jest, jednem słowem, to marzenie konsekwentnie wypływające z poglądów i ukochań

Morrisa, syntezą, ideałem przyszłości. Postać tego poety, przemysłowca i spolenego działacza odmalował Winiarski z jasnością, żywością i krytycyzmem, zbyt często jednak przeplatając wykład odwoływaniem się do swojej umiłowanej antropologii. Dziwnie np. brzmi zarzut, że w swej fantazyi przyszłości Morris nie uwzględnił czynników antropologicznych, jakdyby wszystko inne już było uwzględnionem i poważniejszych zarzutów nie można było wytknąć. Zdaje się, że p. Winiarski ma żal do Morrisa, że nie był antropologiem; tak różnostronny mógł, co prawda, jeden jeszcze dział nauki włączyć w koło swojego widnokręgu, ale trudno, do tego musiałby być uczonym wogóle, a takim Morris nie był. Mimo ten jednak trochę ciasny punkt widzenia, przebłyskujący na szczęście tylko od czasu do czasu, całość życiorysu jest bardzo zajmująca. *W. M.*

Dzieła **Adama Mickiewicza.** Wydanie Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza. Tom drugi. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa. 1900. Druk E. Winiarza, w 8-ce, str. 4 nl.+590+6 nl.

Po kilkoletniej przerwie ukazał się nowy tom dzieł Mickiewicza, wydawanych przez Towarzystwo. Ogromny ten pod względem rozmiarów tom obejmuje wszystkie drobne wiersze poety, pisane w latach 1824—1855, jakoteż jemu przypisywane. Otrzymaliśmy obecnie tekst, wydany krytycznie, a oparty na edycyach, dokonanych pod okiem poety w roku 1838 i 1844, lub też na tych drukach i czasopismach, w których po raz pierwszy się ukazał, lub wreszcie na autografach. Znaczenie wszelako tego wydania dzieł Mickiewicza polega nie tylko na samym tekście krytycznym utworów. Wielkie znaczenie mają odmiany tekstu, obejmujące niemal sto stron. Niemało też znaczenia posiadają uwagi wydawcy, który kolejno przechodził wiersz za wierszem i niejednokrotnie, nie tylko całą do nich odnoszącą się bibliografię podał, ale nadto kilkanaście nowych, a trafnych, wysnuł wniosków, tyczących się genezy poszczególnych wierszy. Ponieważ, niestety, wydanie niniejsze dla wielu będzie nieprzystępne, pozwolimy sobie zwrócić uwagę na kilka twierdzeń Dra W. Bruchnalskiego, wypowiedzianych bądź to we wstępie do niniejszego wydania drobnych wierszy, bądź też w uwagach wydawcy. Najprzód tedy nadzwyczaj trafnym wydaje się nam wniosek co do chronologiczno-topograficznego ugrupowania „Sonetów krymskich" przez Mickiewicza. A zatem sonet „Stepy Akermańskie" przypada na czas przed wyjazdem z Odessy, kiedy poeta odbywał wycieczkę do Lubomiły; „Cisza morska", kiedy okręt, wiozący towarzystwo, zawinął do Tarkan-Kut, „Żegluga" i „Burza" na podróż morską z Tarkan-Kut do Kozłowa; „Widok gór", kiedy po przybyciu na stepy Kozłowa uderzył poetę swym ogromem Czatyrdah; „Bakczyseraj", „Bakczyseraj w nocy", „Grób Potockiej" i „Mogiły haremu" poświęcone są wrażeniom wycieczki z Kozłowa do rezydencyi chanów; „Bajdary" mają za treść opis jazdy po uroczej dolinie tej nazwy, dokąd poeta przybył z Bakczyseraju przez Bałakławę. Dalsza podróż z Bajdarów odbywała się wzdłuż wybrzeża koło Kikineis, Ajudahu, koło Czatyrdahu do Ałuszty, sonety zaś idą od tej chwili w odwrotnym porządku, t. j. w kierunku powrotu: „Ałuszta w dzień", „Ałuszta w nocy", „Czatyrdah", „Pielgrzym", „Kikineis", „Ruiny zamku w Bałakławie". Wyjątek stanowi sonet „Droga nad przepaścią", który powinienby następować po „Bakczyseraju", i „Ajudah", który powinienby następować po „Pielgrzymie". Wykazał nadto dr. Bruchnalski pewien wpływ książki

Murawiewa Apostoła: „Die Reise in Taurien“, na niektóre sonety krymskie, a zwłaszcza na „Mogiły haremu“. Sprostował nadto dr. Bruchnalski mylne twierdzenie, jakoby źródłem bajki p. t. „Pchła i rabin“ była bajka Lafontaine'a. Zdaniem bowiem jego, źródła bajki Mickiewiczowskiej należy szukać u Ezopa („De pulice“), jakoteż zbił nieprawdziwe zapatrywania co do daty napisania „Farysa“, czas zaś powstania tego utworu ograniczył do czasu między styczniem a jednym z letnich miesięcy roku 1828. Nadto trafnie wykazuje szan. wydawca, iż ballada „Ucieczka“ musiała powstać podczas pobytu Mickiewicza w Poznańskiem w roku 1831. Dowodem na to świadectwo A. E. Odyńca, jakoteż ta okoliczność, że, gdyby poeta był ją napisał przedtem, byłby ją, podobnie jak to się stało z innymi utworami, zamieścił albo w wydaniu paryskiem Chodźki z roku 1828, albo w wydaniu poznańskiem Muczkowskiego z lat 1828 — 1829, albo nakoniec w „Meliteli“ z lat 1829 — 1830. Co się tyczy genezy tej ballady, zaznaczyć należy twierdzenie, iż motyw czarów został wprowadzony z ludowego podania, a nie, jak utrzmywał niżej podpisany, pod wpływem „Świetlany“ Żukowskiego. Nadzwyczaj wreszcie trafne wydaje mi się spostrzeżenie, że Mickiewicz mógł istotnie słyszeć „pieśń“ ludową, a nie „podanie prozaiczne“ na tle lenorowem. *Stanisław Ż łziarski.*

Dr. Tadeusz Grabowski. *Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne.* Kraków, 1901, 8-o, str. 109.

Na ostatnim Zjeździe historyków polskich w Krakowie prof. Kallenbach w swym pięknym referacie, „O niezałatwionych kwestyach literatury polskiej z pierwszej połowy XIX wieku“, pomiędzy wielu innemi trafnemi spostrzeżeniami zwrócił uwagę uczestników Zjazdu na pilną potrzebę opracowania dziejów krytyki polskiej, — w słusznem przekonaniu, że „dobrze skreślona ewolucya naszej krytyki literackiej rzuciłaby pożądane światło na dzisiejsze kierunki badania i rozproszyłaby niejedną wątpliwość i chwiejność sądu“. W Niemczech i we Francyi oddawna już zdobyto się na opracowanie dziejów krytyki literackiej i artystycznej, w naszej nauce tymczasem brak nie tylko historyi całokształtu krytyki, lecz nawet wyczerpujących monografii, poświęconych rozbiorowi poglądów i działalności poszczególnych krytyków, a tych było przecie wielu w epoce romantyzmu, zarówno w kraju, jak na emigracyi. Posiadamy wprawdzie studyum E. Przewóskiego o Mochnackim, jako krytyku (w „Kraju“, 1894, № 27—34), lecz pierwiastek biograficzny jest w niem pominięty zupełnie; podobnież nie wyczerpuje przedmiotu szkic ks. Krupińskiego o Tyszyńskim (w „Bibl. Warsz.“, 1884, tom I), a o pismach krytycznych Goszczyńskiego, Witwickiego, Szotarskiego, Ropelowskiego, Feliksa Wrotnowskiego, Klaczki i t. d. nie posiadamy studyów. Praca p. Tadeusza Grabowskiego jest pierwszą wyczerpującą monografią o krytyku polskim, rozpatrującą pisma Michała Grabowskiego na tle jego życia. Jest to praca poważna i naukowa. Autor jasno charakteryzuje poglądy krytyczne Grabowskiego, rozpatrując je w związku z ogólnymi prądami naszej umysłowości, i, co jest największą zasługą monografii, wykazuje ich zależność od poglądów krytyków francuskich: p. de Staël, Wiktora Hugo („Préface de Cromwell“), Villemain'a, Tocqueville'a, Nisard'a, Sainte Beuve'a. Rozstrząsając pojęcia polityczne M. Grabowskiego, pojęcia, które, choć płynęły, jak się wyraził Kraszewski, z „żądzy dobra powszechnego i zapału ulepszenia swych braci“, były jednak dla społeczeństwa szkodliwe (nauka

o *fait providential*) i musiały zdepopularyzować tego, co je głosił, — autor słusznie je potępia, lecz, jak przystało na pracę naukową, uwzględnia pobudki M. Grabowskiego i przyznaje im czystość i szlachetność, zaznacza jednak bardzo słusznie, „że Grabowski, jak często człowiek, tworzący nowe pomysły, uczynił zwrot pierwej, nim przekonał się o możliwości ich zastosowania“ (str. 72). Wogóle autor jest bezstronnym w ocenie M. Grabowskiego, jako człowieka i pisarza; podnosząc jego bezstronność, znaczną erudycyę, spokój, umiarkowanie, nieugiętość charakteru i ważne zasługi w rozwoju polskiej krytyki literackiej, wykazuje, że niekiedy bywał on ciasnym i dogmatycznym, że, jako powieściopisarz, był miernotą, że nie był „ani wielkim filozofem, ani moralistą, ani politykiem, ale szczerym chrześcijaninem“. Badania swoje oparł autor na źródłach pierwszej ręki, a więc przedewszystkiem na pismach M. Grabowskiego, których poczet uzupełnił niewspominaną dotychczas w naszej literaturze krytycznej jego pracą, wydrukowaną po rosyjsku („Graf Genrich Rzewuskij“, Moskwa, 1858) oraz ciekawą, niedrukowaną dotąd repliką „*Réponse à l'article de M. Josephowitsch* inséré dans le numéro *du Nord* et à d'autres articles de ce journal sur la question russo-polonaise“. Natomiast nie wspomina autor o artykułach Kraszewskiego „O części trzeciej Literatury i krytyki“ w „Tygodniku petersburskim“ (1839, № 58, 64, 68, 82, 83).

Ign. Chrzanowski.

Bolesław Koskowski. *Wychodźtwo zarobkowe włościan w Królestwie Polskiem.* Warszawa, 1901, nakład Stan. Sadowskiego, str. 62 (odbitka z „Gazety Polskiej“).

Autor rozważa najprzód zewnętrzne i wewnętrzne przyczyny wychodźtwa czyli brak rąk roboczych w Niemczech i przeludnienie w sferze robotników w Królestwie Polskiem, potem — dowiódłszy istnienia materyału osobowego do emigracyi czasowej — uzasadnia ją przez porównanie płac zarobnych u nas i w gospodarstwach niemieckich, posługując się odpisami kontraktów, zawartych przez biura izb rolniczych śląskiej i poznańskiej z galicyjskimi robotnikami sezonowymi. Z kolei p. Koskowski zastanawia się nad sposobami złagodzenia lub wstrzymania wychodźtwa, idąc w tem za dr. Tadeuszem Pilatem i dochodząc, czy zalecane przez niego środki dałyby się zastosować w kraju naszym; nakoniec wskazuje najświeższe próby poważnego traktowania tej kwestyi przez niektóre towarzystwa i spółki rolnicze na prowincyi. Pomimo pozorów roboty dziennikarskiej książeczka ta jest pracą bardzo umiejętną i sumienną, drobne zaś jej rozmiary powinny ułatwić drogę do czytelników. Sprawa wychodźtwa jest jedną z najważniejszych i najpilniejszych spraw ekonomicznych, jakie zaskoczyły społeczeństwo nasze ostatnimi laty, ponieważ zaś wiąże się z nią cały szereg zagadnień kulturalnych i politycznych, więc każdy, ktokolwiek ma tu coś do powiedzenia, powinien głos zabrać. Mojem zdaniem, p. Koskowski miał więcej do powiedzenia i wyraził to lepiej od wielu innych, bo nie patrzy na rzeczy ze stanowiska interesów klasowych, lecz w sposób bezstronny, ze światłem nauki i—z sercem gorącem.

Jan Stecki.

═ Dnia 13 grudnia 1900 roku odbyło się posiedzenie Komisyi historyi sztuki pod przewodnictwem prof. dra Maryana Sokołowskiego.

Prof. Jerzy Mycielski streścił pierwszą część rozprawy p. t. „Lucas Vorsterman i dwaj panowie polscy“ (1640 — 1646). We wstępnych uwagach podał zarys stosunków artystycznych Polski z Niderlandami w pierwszej połowie XVII wieku. Za tem poszedł mało znany dotąd stosunek Piotra Soutmana z polskim dworem i wielkimi panami, a w dalszym ciągu przybycie na dwór Władysława IV Piotra Dankertsa de Ry i jego działalność artystyczna. Malarstwo niderlandzkie oddziaływało też przeważnie na polskich malarzy XVII-go wieku. Wobec tego oraz wobec wogóle licznych kulturalnych stosunków Polski z Niderlandami, w pierwszej zwłaszcza połowie XVII-go wieku, stosunki dwu wybitnych osobistości w Polsce tego czasu ze znakomitymi artystami Flandryi nabierają więcej wagi tembardziej, że artyści ci zostawili nam ich portrety. Jednym z nich jest Lucas Vorsterman (1595 — 1675), artysta, należący do słynnej plejady rytowników, grupujących się około Rubensa i wraz z Pawłem Pontiusem w niej najznakomitszy. Ostatnia o nim praca naukowa p. Henryka Hymensa z Brukseli podaje wyczerpujący rys jego twórczości, najprzód we Flandryi wspólnie z Rubensem, następnie w Anglii, potem w Antwerpii z Van Dyckiem, wreszcie po roku 1637 wspomina o stosunku z Polakiem, którego jednak nie jest w stanie bliżej określić. Jest to młody ks. Bogusław Radziwiłł, który właśnie w tym czasie przybył do Niderlandów. Vorsterman bawi przy boku Radziwiłła czas jakiś na wojnie (w roku 1641). Referent przypuszcza, że w tym czasie Vorsterman wykonał też portret Radziwiłła, którego jednak nie posiadają większe nawet europejskie zbiory, a p. H. Hymans też o jego istnieniu nie wie. W końcu podał referent wiadomość o przelotnym stosunku miłosnym ks. Bogusława z jedną z największych piękności owego czasu, portretowaną przez Van Dycka Beatryksą de Cusance.

Przewodniczący przedstawił bardzo ciekawy komunikat p. Fournier z Lyonu o pasach polskich, fabrykowanych w Lyonie. Wykonywała je w drugiej połowie XVIII-go wieku słynna fabryka Guyot et Germain, do której później, jako trzeci wspólnik, należał Pierre-Toussaint-Dechazelle, rysownik fabryki. Wyroby jej rozchodziły się i były poszukiwane na rynkach Lipska i Frankfurtu, a także w Polsce i Rosyi, gdzie dwór petersburski sprowadzał je na wielkie uroczystości dworskie.

P. Ludwik Puszet podał wiadomość o figurze Matki Boskiej, wykonanej w drzewie, z końca XIV-go lub początku XV-go wieku, znajdującej się w muzeum dyecezyalnem poznańskiem, której jednak miejsce pochodzenia dokładniej nie jest znane. Rówież przedstawił p. Puszet fotografię i opis płaskorzeźby w kościele N. Maryi Panny in Summo w Poznaniu, przedstawiającej św. Stanisława, wskrzeszającego Piotrowina, a pochodzącej zapewne z końca XVIII-go wieku.

═ **Komitet, zarządzający Kasą** pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia dra **J. Mianowskiego** ma zaszczyt do powszechnej podać wiadomości, iż zmarły dnia 9 listopada roku 1891 Władysław Pepłowski uczynił Kasę spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu

rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób, na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, Komitet oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżej wyłuszczonym określeniom i warunkom, w celu zepewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy w Warszawie, przy ulicy Niecałej № 7, lub nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyłuszczonych na piśmie.



KRONIKA MIESIĘCZNA.



Dwudziestolecie *Prawdy*. — *Veto*. — Program protestu. — Co rzeczywiście było postępem? — Towarzystwo pomocy i opieki nad umysłowo i nerwowo chorymi. — W sprawie sądów gminnych. — Rozłam w sekcyi rzemieślniczej. — Dość już wichrzeń i jątrzeń! — *Książka*. — *Poradnik dla czytających książki*. — *Poradnik językowy*. — Varia.

„*Liberum veto!* Przeciw czemu? — Przeciw bezprawiu, przeciw nieprawdzie oraz całemu ich niezliczonemu potomstwu... Wśród większości naszych czasopism panuje głębokie przekonanie, że w nich nie powinny się odzywać głosy solowe, lecz chóry, i to chóry, śpiewające *unisono*. Różnić się mamy tylko brzmieniem gardeł; można z nich wydobywać basy, barytony, tenory, alty, soprany, ale, broń Boże, odmienne melodye. Prasa nasza rozumie jedynie harmonię, ale nie wzniosła się jeszcze do pojmowania kontrapunktu, który jej się wydaje rozdźwiękiem. Jak to można — pyta ona — ażeby Piotr śpiewał co innego, a Paweł co innego, i żeby z tych sprzeczności splotła się całość zgodna? Ponieważ wierzę, iż to jest zupełnie możliwe, ponieważ jestem wyznawcą kontrapunktu w dziennikarstwie, więc niezależnie od prawideł prawomyślnej harmonii, zanucę sobie czasem odrębne solo... *Liberum veto* więc! *Veto* przeciwko niewolnictwu myśli, samochwalstwu, poniżaniu innych, bladze, kłamstwu, obłudzie, ultramontanizmowi i innym cnotom „podwójnej

buchalteryi" duchowej. Niech będzie pochwalona swoboda przekonań, sprawiedliwość, nauka i tolerancya i prawda!"

Prześlicznie! „Z takimi listami uwierzytelniającymi — pisze autor artykułu p. t. „Dwudziestolecie Prawdy", p. Wł. Bukowiński — rozpoczynała Prawda swe posłannictwo, swą poważną służbę naukową, społeczną i publicystyczną, a wrogowie jej nawet przyznać muszą, że hasłom swym nie sprzeniewierzyła się nigdy, że ich nie odstąpiła, nie sprzedała ani za cenę większej popularności, ani za legion abonentów nowych, ani za miejsce wygodne przy żłobie pełnym obroku."

Owszem, przyznajemy. Co więcej, zgadzamy się na to, że ten program protestu był w owych czasach, przed dwudziestu laty, jedynym możliwym aktem publicystycznym. Protest? Przeciw czemu? Przeciw błotu! Chciano miłości! Chciano sprawiedliwości! Chciano czystości i światła, skromności, połączonej z energią, pokory z wiarą, nieugiętości i pracy. Nie chciano mroków, odwracano się od błota, ciemiężono zbrodnię, gardzono słabością. Na Boga — wołano — nie mówcie nam, że trzeba być cierpliwym! Dość już tych gwałtów sumienia! Protestujemy przeciwko zgniliźnie, zarażającej powietrze, bo chcemy oddychać...

Oddychać?! Byłoż to możliwe w czasach, jak słusznie powiada p. Bukowiński, przygnębienia i apatyi, bezideowości i bezprogramowości, które rozpanoszyły się wygodnie w większości organów ówczesnej prasy konserwatywnej, kiedy to Kuryer Szymanowskiego czuł się głównie powołanym do obrony „zagrożonych" ideałów, a Kłosy Lewentala były szczytem powagi i naukowości, kiedy to, dodajmy, Przegląd Tygodniowy, po wyjściu celniejszych współpracowników, ugrząsł zupełnie w handlarskiem pojmowaniu stosunków? Dlatego nowe pismo z programem humanitarnym istotnie „zdobywało pozycyę po pozycyi." Po kilku latach zaś „przepaść, która z początku dzieliła Prawdę ówczesną od społeczeństwa, poczęła się wypełniać i wreszcie znikła niemal. Większa część haseł praktycznych, stawianych przez pismo, znalazła odgłos wśród społeczeństwa i przyjęła się nawet w prasie zachowawczej. Poglądy i zasady (Prawdy)... przesiąknęły powoli do mózgu i krwi ogółu i nie są dziś już nawet synonimem jakiegoś szczególnego demokratyzmu czy postępowości." Darwin, jak pisał niedawno Poseł Prawdy, był niegdyś patronem kryminałów, a dziś „teorya rozwoju przechadza się dumnie i swobodnie po wałach twierdz konserwatyzmu, pozdrawiana przez ich załogi ukłonem lub czołobitnością."

Dotychczas wszystko to jest istotną zasługą Prawdy, zasługą nie tuzinkową, do której spełnienia trzeba było niemało wiedzy, talentu i ukochania. Lecz ona pragnie więcej. Utrzymuje, że nie stanęła nieruchoma na zajętem stanowisku, że uwzględniała nowe prądy życia przemysłowego, że przygarnęła przedstawicieli „kierunku ludowego"; dopiero kiedy „ludowcy po pierwszych latach samodzielnego istnienia sformułowali program wyraźny, lecz nie odzwierciedlający (?) w dostatecznej mierze wszystkich budzących się potrzeb żywiołu demokratycznego i gdy w jego łonie uwidoczniła się konieczność uwzględnienia stron, przez nich odrzuconych (?), Prawda otworzyła swe łamy nowemu zastępowi współpracowników".

Pan Bukowiński dobrze odtworzył pierwsze zarysy walki, lecz jego historya przy końcu załamuje się. Prawda nie otworzyła swych łamów nowemu „zastępowi" współpracowników dlatego, że przedstawiał „najnowsze prądy postępowe", które właściwie były już przestarzałe, lecz dlatego, że ten „zastęp" odpowiadał duchowi protestu, który w tem piśmie panował i nadal na każdem miejscu i o każdej porze, jakkolwiek Darwin już śmiało może się pokazywać na wałach twierdz konserwatyzmu. Bez względu na zmienione warunki życia społecznego, na rozwijające się nowe potrzeby i cele, na konieczność rozpoczęcia roboty pozytywnej, jasno określonej, w szczegółach wytkniętej, Prawda ciągle protestowała. Ten tygodnik „polityczny, społeczny i literacki" w każdej sprawie odpowiadał z surowym smutkiem: *non possumus*, nie umiejąc nigdy rozstrzygnąć srodze palącego pytania: co czynić? Treścią i miazgą jego duszy była zawsze: prawda, tak! w tych szpaltach rzeczywiście nigdy nie mieszkało kłamstwo, natomiast zbrakło umiejętności i odwagi wglądania w najbliższe potrzeby krajowe, szperania w ciemnościach, skupienia uwagi na istotnych, bieżących, zasadniczych dolegliwościach. Rozpatrywano wszystko w świetle prawd oderwanych. To łatwiejsze!

„Ludowcy" nie odzwierciedlali „wszystkich budzących się potrzeb żywiołu demokratycznego!" Wolne żarty! Odzwierciedlałaż je Prawda ze swym programem negatywnym, ze swem wiecznem niezadowoleniem, przechodzącem niekiedy w pantominę melodramatyczną? Negacya nie jest postulatem, krytyka nie jest programem, grymas wzgardy i zniechęcenia nie jest podnietą i zachętą. Nieco młodsi publicyści rozumieli to dobrze, pojęli, że czas otwierania lufcików i odświeżania powietrza już minął, że trzeba zakasać rękawy i wziąć się do grubej, pospolitej, codziennej pracy. Stąd ich pro-

gram realny, i dlatego optymistyczny, stąd ich rozterki mniemane z zasadami humanitarnemi, których generalnym agentem mieniła się Prawda. W życiu wiele z tych prawd, poczętych z surowej logiki, miało zgoła inny wygląd. Tylko lunatycy mogli nie dojrzeć, że przy szczegółowem rozpatrywaniu kwestyi żydowskiej, parcelacyi, emigracyi i t. d. i t. d. musi — w okresie pracy realnej — wystąpić na jaw cała impotencya frazeologii humanitarnej, którą tak długo starano się łatać dziury, goić bolączki na ciele społecznem. Starcie między życiem a mdłym „humanitaryzmem" — dla większej części naszych „postępowców" wstrętne i niewątpliwe — było nieuniknione. Powiedziano jednak sobie śmiało: dalej! Alboż można się zatrzymywać? I po kilku latach rzetelnej pracy doprowadzono do tego, że dziś naprawdę większość haseł praktycznych „ludowych" wsiąkła w prasę warszawską, stała się ich własnym postulatem społecznym, że nie tylko Darwin, ale prawdziwy demokratyzm wtargnął do dawnych twierdz konserwatyzmu. Doprowadzono zaś do tego szczegółowem, praktycznem, realnem, tętniącem rozwinięciem programu działania praktycznego; frazesy stały się dobytkiem wszystkich; obecnie lada chłystek, powołany do jakiejś „konserwacyi", lada statysta reakcyi potrafi deklamować na temat ideałów ewolucyi, demokracyi, postępu i t. p. Zarówno zdemaskować obłudę jednych, jak zmusić do roboty innych można było tylko wskazaniami realnemi. To było czynione — uparcie, wytrwale, namiętnie, lecz gołosłownie przez Prawdę, rzeczowo, z dowodami w ręku — przez innych. Nie ona też będzie powtarzała: „Choć mi się oprzesz dzisiaj..."

Pomijam kwestyę, że dzisiejsze stanowisko tego tygodnika nie odpowiada niemal całkowicie istniejącym i budzącym się prądom i potrzebom, że publicystyczna barwa Prawdy zblakła w sposób bardzo przykry. Albowiem przedewszystkiem trzeba pamiętać o jednem: kiedy z trąby, w którą dmą hałaśliwie niektóre organy naszej prasy, wylatują szumne hasła chrześcijańskie, „dobra publicznego" i t. p., to wiemy, co o tem trzymać. Puste frazesy! Lecz redaktorowie i współpracownicy Prawdy pragnęli, wierzyli, kochali...

A skoro tak, to może rychło-li patrzeć, jak ten pożyteczny, a nawet w dobie obecnej, kiedy prawie niema organu niezależnego, niezbędny tygodnik opatrzy się, że wypadnie inną służbę rozpocząć, że trzeba „z żywymi naprzód iść". *Das alte stürzt, es ändert sich die Zeit, und neues Leben blüht aus den Ruinen.*

* * *

W końcu r. z. pozyskaliśmy bardzo potrzebną instytucyę, mianowicie „Towarzystwo Pomocy Lekarskiej i Opieki nad umysłowo i nerwowo chorymi”. Niebawem A t e n e u m wydrukuje obszerne i gruntowne studyum o tego rodzaju stowarzyszeniach w Europie. Możemy więc pominąć zasadniczą stronę kwestyi, a zająć się — wykonawczą, praktyczną. Zarząd Towarzystwa składają: prof. Brodowski, jako prezes, red. Libicki, jako wiceprezes, oraz członkowie: sędzia Moldenhawer, red. Chrzanowski, kupcy: Bobrowski i Brauman, lekarze: Bucelski, Korniłowicz, Radziwiłłowicz, Rembieliński, Rychliński i Wizel. Według § 1 ustawy Towarzystwo ma na celu: *a*) zapewnienie bezpłatnej pomocy lekarskiej ubogim chorym umysłowym i nerwowym, którzy z różnych przyczyn nie znaleźli miejsca w zakładach dla umysłowo i nerwowo chorych; *b*) rozciąganie opieki i dozór nad chronicznie umysłowo i nerwowo chorymi, pozbawionymi możności — skutkiem niezdolności umysłowej lub fizycznej — zapewnienia sobie utrzymania; *c*) udzielanie wsparć i pomocy osobom, niewyleczonym zupełnie, lecz wypisanym ze szpitala i niezdolnym jeszcze do pracy samodzielnej; *d*) zapewnienie pomocy materyalnej tym ubogim rodzinom, wśród których znajdują się chorzy nerwowi lub umysłowi; *e*) przygotowanie służby do odpowiedniego obchodzenia się z tego rodzaju chorymi i w razie potrzeby dostarczanie służby takiej do domów; *f*) dopomaganie przy umieszczaniu umysłowo-chorych w specyalnych zakładach leczniczych; *g*) wyszukiwanie rodzin, wśród których możnaby umieszczać umysłowo lub nerwowo chorych (*patronage familiaire*).

Zadanie naszego Towarzystwa — powiada memoryał, opracowany przez specyalnie *ad hoc* wybraną komisyę — polega nie tylko na tem, by otoczyć nerwowo i umysłowo chorych z warstw ludności najbiedniejszej należytą opieką tam, gdzie opieki tej brak, a bezpłatnem leczeniem tam, gdzie leczenie może dać dodatnie rezultaty, lecz, co ważniejsza, polega ono na tem, że Towarzystwo winno dać przykład mądrej i oszczędnej organizacyi lecznictwa i przytulania i przekonać ogół, że sprawy te należą do obowiązków społecznych i winny być ujęte w ręce przez samo społeczeństwo. Jako cele praktyczne natychmiastowe, memoryał wskazuje: 1) Wystąpienie do warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej z prośbą, aby chorzy z kwalifikacyą Towarzystwa byli niezwłocznie przyjmowani do szpitali psychiatrycznych, będących pod zarządem rady miejskiej; 2) Zorganizowanie okręgowych rad opiekuńczych, złożonych z mieszkańców danego okręgu bez różnicy stanu, płci i wyznania, przy udziale lekarzy specyalistów; rady te *a*) kwalifikowałyby

chorych do szpitali i przytułków; *b*) pomagały chorym w dostaniu się do szpitali; *c*) obznajmiały się ze stanem materyalnym chorych i ich rodzin, a ewentualnie wydawały i określały wysokość i rodzaj niezbędnej pomocy; *d*) rozciągały opiekę nad chorymi, zarówno w domach, jak i po umieszczeniu ich w szpitalach; *e*) zbierały statystykę nerwowo i umysłowo chorych; *f*) składały Towarzystwu odpowiednie sprawozdania ze swej działalności; 3) Porozumienie z Towarzystwem opieki nad nieuleczalnymi w celu zabezpieczenia bezpłatnej pomocy i wydawania lekarstw chorym, korzystającym z opieki Towarzystwa; 4) Porozumienie z zarządem przytułków w celu uzyskania ułatwień w umieszczeniu chorych.

Oto takie są zadania, cele i zamiary Towarzystwa, które dotychczas (do d. 6 b. m.) liczy zaledwie 183 członków i ma w kasie 3058 rub. z ofiar jednorazowych i składek członkowskich.

183? 3058? W tych cyfrach jest humor. Albowiem o cóż chodzi? Powstaje Towarzystwo, mogące obudzić najgorętszy entuzyazm i ogarnąć nim najszersze sfery. Pragnie zaopiekować się najsroższemi nieszczęściami ludzkości: obłędem i niedołęstwem, na których widok niemasz oczu, któreby się nie napełniły łzami; przemawia do serca, wystawiając mu okropność takiej niedoli; przekonywa umysł, wskazując mu krzywdę, jaka się dzieje ludzkości przez zaniedbanie tego rodzaju chorych, i rozmiary klęski, trapiącej wszystkie zakątki naszego kraju i szerzącej się w sposób głęboko zastanawiający; wreszcie napina wolę do czynów, bo występuje z inicyatywą, czyni pierwsze kroki, skupia ludzi fachowych i pragnących reformy. I, uczyniwszy to, oczekuje przez kilka już miesięcy poparcia, członków, pieniędzy — wpatruje się w społeczeństwo i prasę z niemem, lecz pełnem niepokoju pytaniem: cóż wy na to?.. Widzieliśmy, jaka jest odpowiedź. A przecież serca nasze umieją płonąć, nasze oczy umieją patrzeć z czułością na objawy miłosierdzia, ze zgrozą — na nędzę i upośledzenie. Więc może wolno się spodziewać, że dziwna ta obojętność jest chwilowa i że za pośrednictwem pism wpływowych, poczytnych przełamiemy ją — na pożytek tak potrzebnej, tak dawno oczekiwanej instytucyi.

Towarzystwo otrzymało wprawdzie od p. Feliksa Bobrowskiego dar: przestrzeń kilkomorgową (Karolin pod Warszawą) na sanatoryum dla chorych. Lecz skąd weźmie środki na zbudowanie sanatoryum? Obowiązkiem społeczeństwa jest nie pozwolić na to, aby przestrzeń ta pozostała pustą....

* *
*

Od paru miesięcy „Warszawskij Dniewnik” drukuje szereg artykułów p. t. „Zarysy projektowanych reform sądowych”. Przed paru tygodniami umieszczony tam został trzeci z tego szeregu, mający tytuł: „Narzecza miejscowe w praktyce sądów gminnych”. Autor, p. E. Jeliszew, tak pisze: Przy rozpoznawaniu przez komisyę uwagi do artykułu 464 ustawy sądowej przedewszystkiem uznano za konieczne przekonać się, czy obecnie w sądach gminnych odbywa się często sądzenie spraw w narzeczach miejscowych i na jakich zasadach możnaby ograniczyć wyjątki, wykazane w tej uwadze. Z tego powodu zapytywani byli prezesowie zjazdów pokoju, a odpowiedzi mogą być streszczone w punktach następujących:

1) Tylko w jednym okręgu (II okrąg gubernii Siedleckiej) rozpoznawanie spraw w sądach gminnych odbywało się przeważnie w języku rosyjskim; w dwu okręgach (w gub. Lubelskiej) częściowo w języku rosyjskim, a we wszystkich pozostałych miejscowościach przeważnie w narzeczach miejscowych, w ogromnej większości w języku polskim, w jednym okręgu (okręg I gub. Suwalskiej) w litewskim, w jednym (okręg II gub. Suwalskiej) częścią w polskim, częścią w litewskim, w jednym wreszcie okręgu (okręg III gub. Piotrkowskiej) częścią w polskim, częścią w niemieckim.

2) Znajomość języka państwowego w przeważnej liczbie miejscowości uczyniła bardzo nieznaczne postępy, zwłaszcza wśród kobiet. Niewielu sędziów gminnych z wyboru włada swobodnie językiem rosyjskim, a znaczna liczba ławników zaledwie umie podpisać po rosyjsku nazwisko swoje.

3) Bywają jednakże wypadki uchylania się osób, należących do klas wykształconych ludności, od używania języka rosyjskiego w sądzie, pomimo, że język ten jest znany tym osobom.

W ostatecznych swoich wnioskach większość prezesów zjazdów sędziów pokoju uważa obecnie za niemożliwe nie tylko zniesienie, ale i ograniczenie wyjątków, określonych w art. 464 ustawy sądowej.

Jednakże niektórzy prezesowie w tym przedmiocie wypowiedzieli zdania odrębne.

Prezes drugiego okręgu gub. Siedleckiej mniema, że w jego okręgu uwaga do paragrafu może być zniesiona. Prezes I okręgu gub. Radomskiej uważałby za pożyteczne uczynić używanie języka państwowego w sądach gminnych bezwarunkowo obowiązkowem na zasadzie motywów następujących: słysząc język rosyjski, ludność szybko przywykłaby do niego; za najlepszy przykład tego służyć mogą miasta, w których sędziowie pokoju sądzą sprawy w języku

rosyjskim; w czasie wprowadzenia reformy sądowej w Królestwie Polskiem — rzadko kto rozumiał po rosyjsku, a obecnie stało się to nie dlatego, że istnieją szkoły, bo są one i w wioskach, ale dzięki praktyce. Ludność, słysząc często język rosyjski, przyzwyczaja się do niego i z konieczności zaznajamia się z nim. Z wyjaśnień niektórych prezesów zjazdów widać między innemi, że często w sądach gminnych strażnicy ziemscy i inne osoby urzędowe składają zeznania nie w języku rosyjskim, ale w łamanym polskim, i że obecnie wiele osób, władających językiem rosyjskim, przy zwracaniu się do osób urzędowych usiłuje mówić w narzeczach miejscowych. Zauważono np., iż w bankach, kasach i t. p. interesanci, którzy zaczęli mówić po polsku, zaczynają używać języka rosyjskiego, ilekroć zaproponowano im przywołanie tłómacza.

W czasie rozpoznawania wszystkich wymienionych danych co do dopuszczenia narzeczy miejscowych w sądach gminnych w łonie komisyi wynikła niejednolitość poglądów. Dwaj członkowie, A. G. Gasman i N. I. Szrejber, zwrócili szczególną uwagę na następujące dane faktyczne: 1) chociaż prawodawstwo obecne żąda od sędziów gminnych cenzusu umysłowego, który napozór gwarantuje znajomość języka rosyjskiego, jednakże, jak widać z wyjaśnień prezesów zjazdów, wielu sędziów gminnych z wyboru mało zna język państwowy; 2) wymagana przez prawo od ławników umiejętność czytania i pisania powinna oznaczać umiejętność tę w języku rosyjskim, gdyż uwaga do paragrafu 464 dopuszcza sądzenie w sądach gminnych spraw w narzeczu miejscowem tylko w tym razie, gdy strony i osoby, wchodzące do sprawy, nie zaś ławnicy, nie znają języka rosyjskiego; jednakże okazuje się, iż większość ławników obecnie zaledwie umie po rosyjsku pisać swoje nazwisko; nakoniec 3) w przeważnej liczbie miejscowości i w okręgu izby sądowej znajomość języka rosyjskiego pozostaje na stopniu bardzo nizkim. Taki stan rzeczy, według zdania wymienionych dwu członków komisyi, wymaga zwrócenia na te fakty szczególniejszej uwagi. Z danych urzędowych, dotyczących działalności rosyjskiej szkoły państwowej w Królestwie Polskiem, widać, że w dniu 1-ym stycznia 1897 r. było: w niższych zakładach naukowych 242,822, w średnich 9,906, razem 252,728 uczniów na 9,455,943 mieszkańców Królestwa Polskiego. Porównywając te liczby z twierdzeniem prezesów zjazdów sędziów pokoju, iż w przeważnej liczbie miejscowości okręgu znajomość języka rosyjskiego stoi na stopniu bardzo nizkim, nie można nie przyjść do wniosku, że okoliczność tę w znacznym stopniu należy przypisać temu, iż ludność, po nabyciu

w szkole znajomości języka państwowego, później, nie mając tego języka w użyciu, zapomina go, a w części uchyla się od jego używania, gdyż nie jest zniewalaną do tego przez żadne zarządzenia. Ale, oczywiście, zarządzenia rządowe, skierowane od dnia Najwyższego Ukazu Imiennego z dnia 30-go sierpnia 1865 roku do rozszerzenia w Królestwie Polskiem języka rosyjskiego kosztem znacznych na ten cel nakładów ze skarbu państwa, były wydane w celu osiągnięcia największego powodzenia w tej dziedzinie, istnienie zaś wyjątków, określonych w uwadze do paragrafu 464-go, przeszkadza temu. Z uwagi na to, według zdania dwu członków komisyi, byłoby pożądanem przedsięwzięcie już teraz środków do tego, aby zapewnić dostateczne rozkrzewienie się języka państwowego, przynajmniej w mniej lub więcej odległej przyszłości. Na zasadzie wszystkich tych wywodów dwaj członkowie komisyi przedstawili swoją redakcyę przepisu co do wykładania artykułu, redakcyę, określającą, w jakim języku ma być w okręgu dokonywane sądzenie spraw sądowych. Główna różnica w porównaniu z redakcyą poprzednią polega na tem, że wyjątki w używaniu—przy sądzeniu ustnem—narzeczy miejscowych zachowują swą moc na *5 lat* od czasu ogłoszenia prawa, z zastrzeżeniem, aby po upływie tego czasu sądzenie spraw w sądach gminnych odbywało się według przepisów ogólnych, t. j. w razie, gdyby którakolwiek ze stron lub którykolwiek ze świadków nie znał języka rosyjskiego, aby wyjaśnienia i zeznania odbierane były za pośrednictwem tłómacza. Wprowadzenie tego terminu, według zdania członków komisyi, nie może budzić żadnych obaw, gdyż: 1) w roku 1882 wyłączono z atrybucyi sędziów gminnych niektóre czyny kradzieży, jeżeli wartość przedmiotu, zagrabionego lub przywłaszczonego, przewyższa 30 rbl., i włączono do atrybucyi sędziów pokoju, a od tego czasu, t. j. w ciągu lat 18, sprawy tego rodzaju, wynikające w miejscowościach powiatowych, bez przeszkód rozpoznawane są przez sędziów pokoju w języku rosyjskim; 2) zmiana projektowana może otrzymać moc prawa z roku 1899 zaledwie za dwa lata, a w ciągu siedmiu lat znajomość języka rosyjskiego jeszcze więcej rozpowszechni się wśród ludności.

Takie jest zdanie dwu członków komisyi. Prezes i większość członków komisyi uznają, iż wobec oświadczenia prezesów zjazdów sędziów pokoju co do bardzo nizkiego stopnia rozpowszechnienia języka państwowego w przeważnej liczbie miejscowości okręgu, nie ma zasad do jakiegokolwiek ograniczenia wyjątków, wskazanych w uwadze do artykułu 464 ustawy sądowej, zwłaszcza, że przedsięwzięcie środków do większego rozpowszechnienia i używania języka

rosyjskiego wśród ludności miejscowej stanowi zadanie ogólnopaństwowe, nie mające związku z instytucyami sądowemi.

Opierając się na tych zasadach, komisya postanowiła uwagę do paragrafu 464 utrzymać bez żadnych zmian w treści, a więc zaproponowała, aby używanie w sądach gminnych narzeczy miejscowych dopuszczane było i w przyszłości w tym zakresie, w jakim dopuszczane bywa obecnie".

Sprawa sądów gminnych w Królestwie zainteresowała i inne organy prasy rosyjskiej. Na szczególniejszą uwagę zasługuje rozprawa p. A. Kordasewicza p. t. „Sądy gminne w Królestwie Polskiem", wydrukowana w *Żurn. minist. justic.*, i odpowiedź na nią p. N. Lebiedyncewa p. t. „W obronie sądów gminnych w Królestwie Polskiem", wydrukowana w *Wiestniku Prawa*. P. Kordasewicz przedewszystkiem zastanawia się nad wykształceniem sędziów gminnych. Według danych, ogłoszonych w „Pamiatn. Kniż warsz. sud. okr.", okazuje się, że na 360 sędziów (239 z wyboru, reszta mianowanych z urzędu)

ukończyło wyższe zakłady naukowe	28.05%
„ średnie „ „	45.00%
„ niższe „ „	5.83%
Było w szkołach, lecz ich nie ukończyło . . .	12.79%
Otrzymało wychowanie domowe	8.33%

Autora zarówno takie kwalifikacye ogólne sędziów, jak ich kompetencya prawna, nie zadawalają zupełnie. Zdaniem jego, sędziowie są na łasce „łapownictwa" pisarzów i „krętactwa" obrońców. „Wielu sędziów, — pisze on — posiadających patenty gimnazyalne, tak źle włada językiem rosyjskiem, że nie jest w możności zredagować najkrótsze motywy wyroku, z konieczności więc ulegać musi pisarzowi". W ostatecznej konkluzyi autor zapewnia, że sądy gminne nie odpowiadają potrzebom ludu. P. Lebiedyncew odpowiedź swoją rozpoczyna słowami: „Sądownictwo i jego poszczególne dekasterye nie obawiają się krytyki, ale wszelka krytyka, zwłaszcza instytucyi sądowej, ze strony sądowników, powinna być oparta na zbadaniu mnóstwa zjawisk, jej wyniki powinny być przedmiotowe, a metoda badania naukowa albo przynajmniej logiczna". W dalszym ciągu p. L. przypomina zasady samorządu gminnego w Królestwie Polskiem, opartego na wszechstanowości, której zawdzięczamy, „że niezależność sądu gminnego od administracyi, świadomość wielkiego pożytku, jaki można przynieść w roli sędziego ludowi, przyciągnęły miejscową inteligencyę z wyższem wykształce-

niem". „Sędziowie stali się ekspertami prawa, a ławnicy (przedstawiciele ludu) ekspertami faktu". Autor punkt po punkcie zbija akt oskarżenia p. Kordasewicza, uznaje poziom inteligencyi sędziów za wystarczający, przypomina, że ludność jest z sędziów zadowolona (z 239 sędziów z wyboru 21 urzęduje od 1876 roku, 20 przeszło 20 lat, 33 przeszło 15 lat, 41 przeszło 10 lat, 62 od 5 lat), przy pomocy danych cyfrowych obala teoryę „przewagi pisarzów", podnosi szybkość procedury i ostatecznie — na podstawie bliższego poznania działalności sądów gminnych — dochodzi do wniosku, że odpowiadają one całkowicie potrzebom miejscowym i spełniają swe zadanie zadawalająco.

Tego zdania jest również publicystyka polska.

*
* *

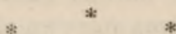
Na uwagę zasługują rozterki, jakie się zakradły przed kilkunastu miesiącami, a teraz już burmistrzują na dobre, w sekcyi IV przemysłu drobnego i rzemiosł T. p. p. i h. Początkami swymi sięgają one czasów zjazdu rzemieślniczego w Petersburgu, na który sekcya wysłała memoryał o nieprzyjmowaniu Żydów do cechów. Memoryał jakoś nie został przedstawiony zjazdowi, i stąd protest niektórych członków sekcyi. Obecnie rozdraźnienie doszło do tego, że pewna, dość znaczna grupa rzemieślników żąda hałaśliwie i wytrwale utworzenia nowej sekcyi „czysto rzemieślniczej", istniejąca bowiem ma być przepełniona żywiołami, nie tylko nie fachowymi, lecz nawet wrogimi rzemieślnikom. Napróżno zarząd Towarzystwa w wielokrotnych perswazyach oraz w ostatecznej odezwie wskazywał, że 1) przy oddziale istnieje oddawna sekcya IV, poświęcona wyłącznie sprawom rzemieślniczym, w której każdy rzemieślnik znaleźć może zupełnie odpowiednie pole do pracy nad sprawami i zadaniami swego stanu; 2) że nazwa „Sekcyi IV Przemysłu drobnego i Rzemiosł" wynika z nazwy ogólnej Towarzystwa popierania ros. przemysłu i handlu, lecz charakteru sekcyi w niczem nie zmienia i bynajmniej nie przeszkadza sekcyi tej zajmować się sprawami rzemieślniczemi, jak to od wielu lat wyłącznie miało miejsce; 3) że skład osobisty, sekcyi IV, wbrew twierdzeniu niektórych osób, w zupełności odpowiada tym właśnie celom, gdyż należą do niej w ogromnej większości rzemieślnicy, a nieliczne osoby innych zajęć nie tylko w pracach sekcyjnych nigdy nie przeszkadzały, lecz przeciwnie składały wielokrotnie dowody gorliwego popierania spraw rzemieślniczych (np. przy utworzeniu przytułku dla rzemieślników, kursów dla piwowa-

rów, sal rysunkowych, Muzeum rzemiosł, pogadanek garbarskich i t. p.); 4) że przez zapisywanie się w poczet członków sekcyi IV osoby, pragnące dla spraw rzemieślniczych pracować, zyskują możność oddziaływania w pożądanym przez siebie kierunku i mogą wpływać bezpośrednio na bieg spraw sekcyjnych; 5) że, gdy rzeczowa potrzeba utworzenia nowej sekcyi wydaje się wątpliwą, to z drugiej strony istnieje bardzo uzasadniona obawa, że utworzenie drugiej sekcyi, która sama nazywa siebie rzemieślniczą, a nawet czysto rzemieślniczą, obok istniejącej już sekcyi IV, która, choć nazywa się Sekcyą Przemysłu drobnego i Rzemiosł, lecz mimo to była, jest i stanowczo chce pozostać sekcyą czysto rzemieślniczą, może, a nawet musi wytworzyć dla obu sekcyi położenie trudne i niejasne i stać się powodem niezgód i rozdwojenia, i obawy te podziela i wyraża liczne grono rzemieślników sekcyi IV, sekcyi zasłużonej, oddawna istniejącej i z rzemieślników prawie wyłącznie złożonej. Najprzód zarząd delegował przedstawicieli rady Towarzystwa do porozumienia się z delegatami opozycyi: do końca niepodobna było dowiedzieć się, o co właściwie chodzi. Ostatecznie postanowiono nowej sekcyi rzemieślniczej nie otwierać, uchwałę zaś tę przedstawić do zatwierdzenia ogólnemu zebraniu, które ma się odbyć za miesiąc.

Kiedy przyglądam się tym i tego rodzaju zajściom, przypominają mi się słowa Strindberga z dramatu „Ojciec" (akt I, scena VIII): „Rzecz doprawdy dziwna, moja Małgorzato, że, ile razy zaczynasz prawić o Bogu i miłości, głos twój twardnieje, a oczy nabierają odbłysku nienawiści". Tak! Rzecz dziwna, że, ilekroć żywioły, jakoby zachowawcze, podejmują jakąś reformę w imię zagrożonych interesów „tradycyjnych i chrześcijańskich", tyle razy rozlega się piekielna symfonia okrzyków nienawistnych, w której głuchną wszelkie głosy rozsądku i współdziałania. Szanujemy zasadę opozycyi, wiemy dobrze, jak bardzo jest ona zasłużona sprawie postępu, lecz mimo to, a raczej właśnie dlatego, protestujemy przeciwko licytowaniu się w wygłaszaniu szumnych frazesów, przeciwko twardnieniu głosu tam, gdzie jest miejsce na brzmienie rozsądku i perswazyi, przeciwko błyskom nienawiści tam, gdzie potrzeba krzepiącego światła miłości i solidarności. Zaiste, mamy dość już wichrzeń i jątrzeń! Pragniemy spokoju i ładu, chcemy sprawiedliwości i rozwagi, bo nie stać nas na to, aby tracić bodaj najkrótsze chwile na — niedorzeczny zamęt i przerywać ciężką pracę dźwigania się. Tymczasem od pewnego czasu z organów rewolwerowych rozlega się okrzyk: *écrasez!* Co, gdzie, kogo i jak? Niewiadomo. Lecz niekry-

tyczny tłum biegnie i rozpoczyna się robota niszczenia. A ludzie ci mają temperament!

Należy się spodziewać, że rozumniejsza część społeczeństwa zrozumie niebezpieczeństwo, grożące od tych nieustannych mącicieli spokoju, i przedsięweźmie środki w celu przeciwdziałania robocie destrukcyjnej.



W nasz chudy barszcz literacki wrzucono świeżo dwa grzyby: p. R. Wende rozpoczął wydawać miesięcznik, poświęcony bibliografii krytycznej, p. n. *Książka*, jednocześnie zaś p.p. Żmigrodzka i Kotschedoff (księgarnia Paprockiego) wypuścili w świat pierwsze Nr. *Poradnika dla czytających książki*, dwutygodnika sprawozdawczo-literackiego ilustrowanego. Powiedzmy odrazu, żeoba grzyby różnią się wielce i że jeden z nich wygląda na coś zgoła pozbawionego smaku i zapachu. „Książka”, oddawszy się w opiekę ruchliwemu pisarzowi, p. Maryanowi Massoniusowi, i zgrupowawszy koło siebie poważny zastęp krytyków literackich, naukowych i publicystycznych, zaprezentowała się w pierwszym numerze bardzo przyzwoicie. Oceny są pisane przez pisarzów fachowych, którzy ujmują rzeczy w sposób nader zwięzły, lecz wystarczający czytelnikowi. Każdy numer ma zawierać zupełną bibliografię książek polskich z ostatniego miesiąca (Nr. 1 obietnicy tej jeszcze nie spełnił), oceny ich mają się pokazywać możliwie najrychlej; prócz tego zaś redakcya będzie drukowała kronikę życia literackiego i księgarskiego oraz życiorysy, a w razie potrzeby i artykuły, dotyczące ważniejszych spraw i potrzeb literatury.

Poradnik jeszcze więcej obiecuje, lecz natomiast w pierwszych dwu numerach niczego nie dotrzymuje. Oceny ogromnej większości książek nie są, w rzeczy samej, „sążnistemi uczonemi krytykami”, od czego się w słowie wstępnem odżegnuje redakcya, ale też nie są niczem, albo raczej są banalnemi uwagami, które psu na budę się nie zdały. Zupełnie niepotrzebny jest artykuł p. t. „Henryk Sienkiewicz (kartka jubileuszowa)”, niedokładny—dział bibliograficzny. Jeżeli tak dalej pójdzie, to będziemy musieli przyjść do przekonania, że sami wydawcy nie wiedzą, po co i komu radzą za pośrednictwem swego „Poradnika”; wprawdzie numer 3 jest nieco lepszy, lecz i on nie budzi jeszcze zaufania na przyszłość. Zdaje się, iż najlepiej byłoby, żeby oba pisma zlały się w jedno, albo żeby jedno z nich przestało istnieć, — które, niech orzekną sami czytelnicy. Przewodnik biblio-

graficzno-krytyczny jest nam rzeczywiście potrzebny, ale czy nie za wiele na raz tego dobrego? Jedno pismo, dobrze prowadzone, zupełnie wystarczy i zrobi swoje: wyruguje z czasopism ogólnych lichy obecnie, bezczelnie niedbały dział sprawozdawczy i zastąpi go ocenami fachowemi, przedmiotowemi, sprawiedliwemi, niepisanemi *ad usum* wydawcy lub wpływowych współpracowników. A surowa ocena marnot beletrystycznych może istotne korzyści przynieść społeczeństwu, może choć poczęści wydawców odstraszy od nakładu, publiczność — od czytania, pismaków — od pisania.

Jeszcze pilniejszym potrzebom odpowiada nowonarodzony *Poradnik językowy*, wydawany w Krakowie (ul. Karmelicka 22) pod redakcyą prof. Romana Zawilińskiego. Ten skromny miesięcznik, jak go redakcya w słowie wstępnem nazywa, będzie z jednej strony w sposób jaknajprzystępniejszy objaśniał zjawiska językowe, przypominał zasady i prawa, usuwał wątpliwości i niepewności w poprawnem użyciu języka i tym sposobem prostował błędy, — z drugiej zaś przez skrzętne zapisywanie zjawisk nowych będzie kroniką faktów bieżących z życia i rozwoju mowy polskiej. Numer I zawiera między innemi dział „Błędy gramatyczne”, będący okropnym aktem oskarżenia dla dzienników warszawskich i galicyjskich. Miejmy też nadzieję, że każdy pisarz polski zaopatrzy się w tak pożyteczne, a przytem nader tanie (1 rbl. 50 kop. rocznie) czasopismo. Zresztą ono powinno mieć — 10,000 prenumeratorów.

*
* *

Na zakończenie zwięzła kronika wybitniejszych faktów z życia bieżącego. „Kuryer Codzienny” w artykułach p. t. „Nie wolno milczeć” poruszył sprawę nadużyć fizycznych wśród młodzieży szkolnej. Jednocześnie p. Bol. Zdziarski w „Gazecie Polskiej” podjął sprawę ułatwienia ćwiczeń gimnastycznych dzieciom na prowincyi.

„Gazeta Polska” w Nr. 31 ogłosiła wynik konkursu etycznego, spopularyzowanego już p. n. konkursu cnoty. Rezultat głosowania czytelników ogłoszony będzie w końcu bieżącego miesiąca.

Dyrekcya teatrów warszawskich postanowiła utworzyć w Ogrodzie Saskim „czwartą scenę”, w której będą się odbywały przedstawienia tańsze z udziałem „młodszych sił” aktorskich. W przedmiocie tym rozumne uwagi wydrukował w „Kuryerze Warszawskim” p. W. Bogusławski. Aktorzy warszawscy myślą o utworzeniu instytucyi, zapewniającej schronienie na starość solistom opery, dramatu, operetki i orkiestry.

Na sanatoryum dla suchotników złożono już 65,000 rbl. Budowa gmachu odpowiedniego wkrótce ma być rozpoczęta.

Towarzystwa rolnicze gubernialne coraz żwawiej krzątają się około zorganizowania biur pośrednictwa pracy, przeznaczonych głównie do wyszukiwania pracy dla robotników rolnych i, odwrotnie, robotników dla właścicieli ziemskich.

W Lublinie kupcy miejscowi starają się o założenie szkoły handlowej czteroklasowej.

Do niektórych spraw, powyżej zanotowanych pobieżnie, powrócę w najbliższej kronice.

Bolesław Koskowski.



Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Февраля 1901.

Wydawca: ***Wł. Spasowicz.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

ENCYKLOPEDYI STAROPOLSKIEJ

Ilustrowanej Tom I-szy,

zawierający do 1,000-ca artykułów z polskiej: **kultury, nauki, historyi, prawa, muzyki, pieśni, gier, dowcipu, urzędów, zwyczajów, rękodzieł, handlu, rolnictwa, łowiectwa, kuchni staropolskiej, pamiątek, uzbrojeń, życia publicznego, rycerskiego, domowego i kościelnego** z 9-ciu wieków ubiegłych. Cena tomu tego kapitalnego i bogato ilustrowanego dzieła, na welinie, w oprawie ozdobnej rubli 3 i zaliczka na tom ostatni rub. 1, lub odrazu za 3 tomy rb. 9. — Tom 2-gi i 3-ci wyjdą w r. 1901. Nabywać można w większych księgarniach lub żądać listownie w Redakcyi Encyklopedyi Staropolskiej **(Warszawa, ulica Chmielna 59)** wysyłki za zaliczką pocztową t. j. zapłatą przy odbiorze książki. Cena egzemplarzy, pozostałych w małej liczbie od prenumeraty, po wyjściu dzieła podwyższoną będzie.

„Odgłosy Szkocyi”

przez

Stanisława Bełzę

Wydanie **drugie** illustrowane, Cena rb. 1 kop. 50.

Tegoż Autora:

Na Lagunach. Wydanie **drugie** illustrowane . . . rb. 2 k. —
W Kraju Tysiąca Jezior. Z podróży i przechadzek po **Finlandyi.** Wydanie **trzecie** illustrowane. . . rb. 1 k. 50
W Górach Olbrzymich. Wyd. **drugie** illustrowane . rb. 1 k. 20
Holandya. Wydanie **drugie** illustrowane. . . . . rb. 1 k. 80
Za Apeninami. Wydanie **trzecie** ozdobne . . . . rb. 1 k. —
Listy z Sycylii. Z illustracyami . . . . rb. 1 k. 80
W Stolicy Padyszacha. Wrażenia z podróży do Konstantynopola. Z illustracyami . . . . rb. 2 k. —
Nad brzegami Bosny i Narenty. Z podróży i przechadzek po Bośni i Hercegowinie. Z illustracyami . rb. 1 k. 50
Obrazy Korsyki. Z illustracyami . . . . rb. 1 k. 50
W Pirenejach. Odczyt publiczny. Z illustracyami . — k. 60

(Księgarnia Gebethnera i Wolffa).